**W północ się odzieję**

Terry Pratchett

Przełożył Piotr W. Cholewa



Rozdział 1

PIKNY WIELKI CIUT CHŁOPECEK

Dlaczego ludzie tak bardzo lubią hałas? — zastanawiała się Tiffany Obolała. Dlaczego hałas jest taki ważny?

Coś całkiem blisko wydawało odgłos jak rodząca krowa. Okazało się, że to stara katarynka, a jej korbą kręcił obdarty mężczyzna w cylindrze. Odsunęła się możliwie uprzejmie, ale dźwięk się lepił; budził uczucie, że gdyby tylko mu pozwolić, poszedłby za człowiekiem do domu.

Był to tylko jeden głos w wielkim tyglu dźwięków wokół niej, a wszystkie wydawali ludzie próbujący wydawać dźwięk głośniejszy od innych wydających dźwięki ludzi. Kłócili się więc przy prowizorycznych straganach, nurkowali po jabłka albo żaby[[1]](#footnote-1), okrzykami zagrzewali walczących w zawodach albo pasiastą kobietę na linie, na całe gardło zachęcali do kupna cukrowej waty oraz — nie wchodźmy w szczegóły — intensywnie spożywali alkohol.

Powietrze nad zielonym zboczem aż wibrowało od gwaru. Całkiem jakby na wzgórzach zjawili się wszyscy mieszkańcy dwóch, a może i trzech miasteczek. A zatem w miejscu, gdzie kiedyś z rzadka słyszało się krzyk myszołowa, teraz rozbrzmiewał nieustający krzyk… no, wszystkich. Nazywało się to dobrą zabawą. Nie hałasowali jedynie kieszonkowcy i inni złodzieje, którzy zajmowali się swoją pracą w godnym pochwały milczeniu. Do Tiffany się nie zbliżali — kto by chciał sięgać do kieszeni czarownicy? Człowiek miał szczęście, jeśli wyciągnął wszystkie palce. Przynajmniej tego się obawiali, a rozsądna czarownica utwierdzała ich w tych lękach.

Kiedy jest się czarownicą, to jest się wszystkimi czarownicami, myślała Tiffany Obolała, idąc przez tłum. Miotłę — sunącą kilka stóp nad ziemią — ciągnęła za sobą na sznurku. Trochę ją to krępowało. Metoda była skuteczna, ale na jarmarku wszędzie biegały dzieci ciągnące za sobą balony — też na sznurku; w rezultacie cały czas miała uczucie, że z tą miotłą wygląda trochę głupio. A jeśli coś sprawiało, że jedna czarownica wygląda głupio, to wszystkie wyglądają głupio.

Z drugiej strony jeśli przywiąże ją gdzieś do żywopłotu, z pewnością jakiś dzieciak zechce zaimponować kolegom, odczepi sznurek i wsiądzie, a wtedy najprawdopodobniej pofrunie prosto w górę aż do granicy atmosfery, gdzie zamarza powietrze; i chociaż w teorii mogła wezwać miotłę z powrotem, jednak matki denerwowały się, kiedy musiały czekać, aż ich dzieci odtają w jasnych promieniach letniego słońca. A to by nie wyglądało dobrze. Ludzie zaczęliby gadać. Ludzie zawsze gadali o czarownicach.

Z rezygnacją szarpnęła za sznurek. Przy odrobinie szczęścia pomyślą, że ją też ogarnął duch zabawy i że to taki żart.

Nawet podczas czegoś tak pozornie radosnego jak jarmark obowiązywały dość ścisłe zasady etykiety. Tiffany była czarownicą; kto wie, co mogłoby się zdarzyć, gdyby zapomniała czyjeś imię albo — co gorsza — gdyby je pomyliła? Co by się stało, gdyby zapomniała o wszystkich tych drobnych kłótniach, podziałach, ludziach, którzy nie rozmawiają z sąsiadami i tak dalej? Nie miała pojęcia, czym jest „pole minowe”, ale gdyby je znała, wydawałoby się jej dziwnie znajome.

Była czarownicą. Dla wszystkich ludzi w Kredzie to ona była czarownicą. Nie tylko dla swojej wioski, także dla innych, nawet tak dalekich jak Szynka Zbożowa, dobry dzień marszu stąd. Region, który czarownica uważała za swój, dla którego mieszkańców robiła to co konieczne, zwano jej gospodarstwem, a gospodarstwo Tiffany było całkiem spore. Niewiele czarownic ma dla siebie całą formację geologiczną, chociaż tę akurat prawie całą pokrywała trawa, a prawie całą trawę pokrywały owce. Dziś jednak owce na wzgórzach pozostawiono same, by robiły to wszystko, co zwykle robią owce, kiedy nikt ich nie pilnuje, czyli prawdopodobnie to samo co wtedy, kiedy się na nie patrzy. Owce, zawsze doglądane, zaganiane i ogólnie pod opieką, teraz nie interesowały nikogo, ponieważ właśnie odbywała się najwspanialsza impreza świata.

Owszem, jarmark szorowania był jedną z najwspanialszych imprez na świecie tylko wtedy, gdy człowiek nie oddalał się od domu na więcej niż jakieś cztery mile. Jeśli żył w Kredzie, musiał na jarmarku spotkać wszystkich, których znał[[2]](#footnote-2). Często spotykał tu osobę, z którą potem miał go połączyć ślub. Z całą pewnością wszystkie dziewczęta nosiły swoje najlepsze sukienki, a chłopcy wyraz nadziei na twarzach i włosy przygładzone tanią pomadą lub — częściej — śliną. Ci, którzy decydowali się na ślinę, zwykle lepiej na tym wychodzili, ponieważ tania pomada była naprawdę bardzo tania, w upale często rozpuszczała się i ściekała, przez co chłopcy nie stawali się obiektem zainteresowania młodych kobiet — na co szczerze liczyli — ale much, które zlatywały się do ich głów na obiad.

Jednakże, ponieważ trudno byłoby nazywać taką imprezę „jarmarkiem, na który się chodzi z nadzieją na zdobycie całusa, a jeśli ktoś naprawdę ma szczęście, to również obietnicy następnego”, nazywano ją szorowaniem.

Szorowanie trwało trzy dni, pod sam koniec lata. Dla większości mieszkańców Kredy były to wakacje. Teraz nastał już dzień trzeci i większość uważała, że kto do tej pory nie zdobył całusa, może wracać do domu. Tiffany nie zdobyła, ale w końcu była czarownicą. Kto wie, w co mogłaby zamienić odważnego chłopaka?

Jeśli pod koniec lata sprzyjała pogoda, podczas jarmarku ludzie często spali na dworze, pod gwiazdami — a także pod krzakami. Właśnie dlatego, gdyby ktoś chciał nocą pospacerować, powinien uważać, by nie potknąć się o czyjeś stopy. Żeby nie określać tego zbyt szczegółowo, działo się często coś, co niania Ogg — czarownica, która miała już trzech mężów — nazywała „organizowaniem sobie własnych rozrywek”. Szkoda, że niania Ogg mieszkała w górach, bo szorowanie na pewno by się jej spodobało, a Tiffany bardzo by chciała widzieć jej minę, kiedy zobaczy olbrzyma[[3]](#footnote-3).

Został — na pewno został, nie została, co do tego nie ma żadnych wątpliwości — wycięty w murawie tysiące lat temu. Wyrysowany białymi liniami w zieleni, należał do ery, kiedy ludzie musieli myśleć o przetrwaniu i płodności w niebezpiecznym świecie.

Aha — został też wycięty, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie, zanim ktokolwiek wynalazł spodnie. Prawdę mówiąc, stwierdzenie, że nie ma spodni, było całkiem niewystarczające. Jego brak spodni wypełniał świat. Nie dałoby się przejść spacerkiem po wąskiej, biegnącej pod wzgórzami drodze, nie zauważając przy tym gigantycznej nieobecności czegoś, na przykład spodni, oraz obecności tego, co znalazło się tam zamiast nich. Zdecydowanie był to wizerunek człowieka bez spodni i z całą pewnością nie kobiety.

Wszyscy przychodzący na szorowanie powinni przynieść ze sobą małe łopatki czy choćby noże; razem schodzili po zboczu, wycinając całe zielsko, jakie od zeszłego lata porosło linie rysunku. Dzięki temu kredowa skała pod spodem lśniła świeżością, a olbrzym wyróżniał się na niej zuchwale, jakby wcześniej już nie był zuchwały.

Kiedy dziewczęta pracowały przy olbrzymie, zawsze chichotały.

A powód tego rozchichotania, jak i jego okoliczności, nieodmiennie przywodził Tiffany na myśl nianię Ogg, która zwykle z szerokim uśmiechem stała za plecami babci Weatherwax. Powszechnie uważano ją za wesołą staruszkę, lecz było w niej coś więcej. Nigdy nie była oficjalną nauczycielką Tiffany, ale Tiffany jakoś nie mogła się od niej nie uczyć. Uśmiechnęła się do siebie, kiedy o tym pomyślała. Niania posiadła pradawną, mroczną wiedzę — o dawnej magii, która nie potrzebowała czarownic, która istniała wbudowana w ludzi i w krajobraz. Dotyczyła takich spraw jak śmierć, małżeństwo i zaręczyny. I obietnice, pozostające obietnicami nawet wtedy, gdy nie było nikogo, kto by je słyszał. I wszystkie te rzeczy, które każą ludziom pukać w niemalowane drewno i nigdy, ale to nigdy nie przechodzić pod czarnym kotem.

Żeby to rozumieć, nie trzeba być czarownicą. W tych szczególnych chwilach świat wokół stawał się… no, bardziej realny, płynny… Niania Ogg nazywała to „uduchowionym” — słowo nietypowo poważne u kogoś, kto częściej mówił: „Chętnie napiję się brandy, bardzo dziękuję, a jak już przy tym jesteśmy, to może podwójną”. Opowiadała też Tiffany o dawnych czasach, w których czarownice chyba lepiej się bawiły. Choćby to wszystko, co robiły w okresie przemiany pór roku… Tradycje zaginęły już i trwały tylko w pamięci ludzi, która — jak tłumaczyła niania Ogg — jest głęboka, mroczna, dysząca i nigdy nie blaknie. Drobne rytuały…

Tiffany najbardziej podobał się ten z ogniem. Lubiła ogień. To był jej ulubiony żywioł. Uważano go za tak potężny i tak przerażający, że przyszłe pary małżeńskie zawierały związek, przeskakując razem nad ogniskiem[[4]](#footnote-4). Pomagało chyba, jeśli przy tym recytowało się krótką inkantację, tak przynajmniej zapewniała niania Ogg, zresztą od razu powtórzyła Tiffany jej słowa, które natychmiast utknęły w umyśle. Wiele z tego, co mówiła niania Ogg, wydawało się przyklejać.

Ale te czasy już minęły. Wszyscy zachowywali się teraz z większą godnością, z wyjątkiem niani Ogg i olbrzyma.

W Kredzie istniało wiele innych rzeźb na zboczach wzgórz. Jedną z nich był biały koń, który kiedyś — jak sądziła Tiffany — wyrwał się z gruntu i pogalopował jej na ratunek. Teraz zastanawiała się, co by było, gdyby olbrzym zrobił to samo — ponieważ trudno w pośpiechu znaleźć parę spodni długich na sześćdziesiąt stóp.

Ona tylko raz chichotała z olbrzyma i było to już bardzo dawno temu. Na świecie istniały cztery kategorie ludzi: mężczyźni, kobiety, magowie i czarownice. Magowie żyją zwykle na uniwersytetach w wielkich miastach i nie wolno im się żenić, choć powód tego był dla Tiffany całkiem niezrozumiały. W każdym razie prawie nigdy nie widywało się ich w tej okolicy.

Czarownice były zdecydowanie kobietami, ale większość tych starszych, które znała Tiffany, też nie wyszła za mąż — głównie dlatego, że niania Ogg zużyła już wszystkich dostępnych mężów, ale też zapewne dlatego, że nie miały czasu. Oczywiście, niekiedy się zdarzało, że czarownica wychodziła za kogoś ważnego, jak na przykład Magrat Garlick, ta z Lancre, chociaż wszyscy twierdzili, że ostatnio zajmuje się już tylko ziołami. Ale jedyną znaną Tiffany młodą czarownicą, która miała czas na zaloty, była jej najlepsza przyjaciółka z gór, Petulia. Petulia specjalizowała się w świńskiej magii i wkrótce miała poślubić miłego młodzieńca, który w przyszłości odziedziczy po ojcu świńską farmę[[5]](#footnote-5), co oznaczało, że jest praktycznie arystokratą.

Czarownice jednak nie były tylko zapracowane — były też izolowane. Tiffany przekonała się o tym bardzo wcześnie. Była wśród ludzi, ale nie była taka jak oni. Zawsze dawał się wyczuć pewien dystans, pewna bariera. Nie trzeba było się o to starać — powstawał samoczynnie. Dziewczęta, które znała od tak dawna, że kiedyś biegały razem w samych koszulach, teraz dygały grzecznie, kiedy mijała je na drodze. Nawet starsi mężczyźni na jej widok sięgali palcem do grzywki, czy raczej tego, co za grzywkę uważali.

Nie wynikało to tylko z szacunku, ale też z pewnego rodzaju lęku. Czarownice miały swoje sekrety. Były na miejscu, żeby pomóc, kiedy rodziły się dzieci. Na weselu dobrze było mieć pod ręką czarownicę (nawet jeśli człowiek nie był pewien, czy na szczęście, czy dla ochrony przed pechem). Kiedy człowiek umierał, czarownica wskazywała mu drogę. Czarownice miały sekrety, których nie zdradzały… no, ludziom, którzy nie są czarownicami. Między sobą, kiedy już spotkały się na jakiejś polanie, żeby wypić szklaneczkę czy dwie (lub też, w przypadku niani Ogg, szklaneczkę lub dziewięć), plotkowały jak gęsi.

Ale nigdy o tych prawdziwych sekretach — tych, o których nigdy się nie opowiada, o rzeczach uczynionych, usłyszanych i widzianych. Tak wiele sekretów, że aż człowiek się bał, by nie zaczęły wyciekać. Olbrzym bez spodni nie jest wart nawet najkrótszego komentarza w porównaniu z tym wszystkim, co może zobaczyć czarownica.

Nie, Tiffany nie zazdrościła Petulii romansu, który bez wątpienia odbywał się w ciężkich butach, mało twarzowych gumowych fartuchach i w deszczu, nie wspominając już o rozbrzmiewających wokół chrumkaniach.

Zazdrościła jej za to, że jest taka… rozsądna. Petulia wszystko sobie zaplanowała. Wiedziała, czego oczekuje od przyszłości, zawinęła rękawy i wzięła się do pracy, by to wszystko zrealizować, choćby po kolana w chrumkaniu, jeśli trzeba.

Każda rodzina, nawet w górach, trzymała przynajmniej jedną świnię, by służyła latem jako kosz na odpadki, a przez resztę roku jako wieprzowina, bekon, szynka i kiełbasy. Świnia była ważna — babcię można ukoić terpentyną, jeśli źle się czuje, ale jeśli zachoruje świnia, natychmiast posyła się po świńską czarownicę. Płaci się jej, i to dobrze płaci, zwykle kiełbasą.

Na dodatek Petulia była wyspecjalizowaną zanudzaczką — była nawet tegoroczną mistrzynią w szlachetnej sztuce zanudzania. Tiffany uważała, że nie da się tego lepiej ująć: jej przyjaciółka siadała obok świni i mówiła do niej, łagodnie i spokojnie, o sprawach niezwykle wręcz nudnych, aż uruchamiał się jakiś niezwykły świński mechanizm, po czym zwierzak ziewał z zadowoleniem i przewracał się — już nieżywy, ale gotów stać się istotnym wkładem w roczną dietę całej rodziny. Być może, nie wydaje się to dla świni najlepszym możliwym rozwiązaniem, ale biorąc pod uwagę krwawy i przede wszystkim hałaśliwy sposób, w jaki świnie ginęły przed wynalezieniem zanudzania, w ogólnym schemacie rzeczy było to dla nich o wiele wygodniejsze.

Samotna w tłumie, Tiffany westchnęła ciężko. Niełatwo nosić szpiczasty kapelusz. Poza tym, czy się to komu podoba, czy nie, czarownica jest właśnie szpiczastym kapeluszem, a szpiczasty kapelusz jest czarownicą. To on skłania ludzi do ostrożności względem nosicielki. Okazywali szacunek, owszem, i byli trochę nerwowi, jakby się spodziewali, że zajrzy im do głów, co zresztą pewnie mogłaby zrobić, używając zawsze będących w pogotowiu Pierwszego Wejrzenia i Drugich Myśli[[6]](#footnote-6). Ale te nie były tak naprawdę magiczne. Każdy mógł się ich nauczyć, jeśli tylko miał choćby ślad rozumu, jednak nawet ten ślad niekiedy trudno było znaleźć. Ludzie są często tak zajęci życiem, że nie próbują się zastanowić dlaczego. Czarownice owszem, i to znaczy, że są potrzebne, o tak, bardzo potrzebne, praktycznie przez cały czas. Jednakże — w sposób bardzo delikatny i stanowczo niewypowiedziany — nie całkiem chciane.

To nie były góry, gdzie wszyscy są przyzwyczajeni do czarownic. Mieszkańcy Kredy mogli być przyjaźni, ale nie byli przyjaciółmi, takimi prawdziwymi przyjaciółmi. Ponieważ czarownica się różni. Czarownica wie o rzeczach, o których nie wie zwykły człowiek. Czarownica to ktoś całkiem odmienny. Czarownica to ktoś, kogo może lepiej nie złościć. Czarownica nie jest taka jak inni.

Tiffany Obolała była czarownicą. I stała się czarownicą, ponieważ jej potrzebowali. Każdy potrzebuje czarownicy, tyle że nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę.

I to się udawało. Obrazki z książek dla dzieci, przedstawiające zaślinioną staruchę, rozmywały się powoli za każdym razem, kiedy Tiffany pomogła młodej matce przy pierwszym dziecku albo wygładziła starcowi drogę do grobu. Mimo to stare opowieści, stare plotki i stare książki z obrazkami wciąż zdawały się tkwić jakoś w pamięci świata.

Dodatkowe utrudnienie stanowił fakt, że w Kredzie nie istniała tradycja czarownic — żadna by się tu nie osiedliła, dopóki żyła babcia Obolała. Babcia Obolała, jak wszyscy wiedzieli, była mądrą kobietą. I to dostatecznie mądrą, by nie zostać czarownicą. W Kredzie nie działo się nic, co nie podobało się babci Obolałej, a w każdym razie nie działo się dłużej niż dziesięć minut.

Tak więc Tiffany była samotna.

Nie tylko nie miała już wsparcia od górskich czarownic, takich jak niania Ogg czy panna Plask, ale też mieszkańcy Kredy właściwie czarownic nie znali. Inne przybyłyby jej na pomoc, gdyby poprosiła — to oczywiste, ale choć tego nie mówiły wprost, mogłoby to oznaczać, że nie radzi sobie z odpowiedzialnością, że obowiązki ją przerosły, nie jest pewna, nie jest dość dobra.

— Przepraszam, panienko…

Tiffany usłyszała nerwowy chichot. Obejrzała się i zobaczyła dwie małe dziewczynki w najlepszych nowych sukienkach i słomkowych kapeluszach. Wpatrywały się w nią uważnie, chyba z leciutką sugestią figlarności w oczach. Zastanowiła się szybko i uśmiechnęła do nich.

— A tak, Becky Pardon i Nancy Upright, tak? Co mogę dla was zrobić?

Becky Pardon nieśmiało wyjęła zza pleców mały bukiecik. Tiffany poznała go, naturalnie. Sama takie układała dla starszych dziewcząt, kiedy była mała, po prostu dlatego, że tak trzeba, że to należało do szorowania: wiązanka kwiatów zebranych na wzgórzu i związanych — to ważne, to był element magii — trawą wyrwaną przy odsłanianiu świeżej kredy.

— Jeśli włożysz to dzisiaj pod poduszkę, przyśni ci się twój kawaler — oświadczyła Becky Pardon, bardzo teraz poważna.

Tiffany wzięła od niej trochę przywiędły bukiecik.

— Popatrzmy — rzekła. — Co my tu mamy? Słodkie szepty, dziewczęce poduszeczki, siedmiolistna koniczyna… bardzo szczęśliwa… gałązka portków starucha, lewarek w ścianie, hm… krwawiące serce i…

Przyjrzała się drobnym, białym i czerwonym kwiatkom.

— Dobrze się czujesz, panienko? — spytała dziewczynka.

— Zapominajka![[7]](#footnote-7) — stwierdziła Tiffany ostrzej, niż zamierzała. Ale dziewczynki nie zauważyły, więc mówiła dalej, już pogodnie: — Rzadko się je tu widuje. Pewnie uciekła z jakiegoś ogrodu. Oraz, jak pewnie same wiecie, związałyście je wszystkie paskami trzciny, której kiedyś ludzie używali do produkcji trzcinowych świec. Co za miła niespodzianka. Bardzo wam dziękuję. Mam nadzieję, że świetnie się bawiłyście na jarmarku…

Becky podniosła rękę.

— Czy mogę, panienko?

— Coś jeszcze, Becky?

Becky zarumieniła się i przeprowadziła szybką naradę z przyjaciółką. Potem znów zwróciła się do Tiffany, nieco bardziej różowa, ale zdecydowana doprowadzić sprawę do końca.

— Bo przecież nie można podpaść za zadanie pytania, prawda, panienko? Znaczy, tylko za pytanie?

Na pewno chodzi o „Czy jak dorosnę, mogę zostać czarownicą?”, domyśliła się Tiffany, ponieważ zwykle o to chodziło. Dziewczynki widziały ją na miotle i wydawało im się, że na tym polega czarownictwo.

— W każdym razie nie u mnie — zapewniła. — Pytaj.

— Czy masz jakieś namiętne przypadki, panienko?

Kolejna umiejętność wymagana od czarownicy to nie pozwalać, by wyraz twarzy ujawniał, co się myśli. A już w żadnych okolicznościach nie wolno dopuścić, by stała się nieruchoma jak deska. Tiffany zdołała odpowiedzieć — bez śladu drżenia w głosie, bez najlżejszego uśmieszku zakłopotania:

— To bardzo ciekawa kwestia, Becky. Mogę spytać, dlaczego chcesz wiedzieć?

Dziewczynka z wyraźną ulgą przyjęła fakt, że pytanie stało się — można powiedzieć — publiczne.

— No więc, panienko, zapytałam babci, czy mogę zostać czarownicą, jak już będę starsza, a ona powiedziała, że nie powinnam, bo czarownice nie mają namiętnych przypadków, panienko.

Wobec dwóch par oczu, otwartych szeroko jak u sów, Tiffany starała się myśleć szybko. Te dziewczynki mieszkają na farmach, więc z pewnością wiedzą, jak kotka ma kociaki, a suka szczeniaki. Widziały narodziny jagniąt i krowę rodzącą cielę, bo to zawsze hałaśliwe wydarzenie, które trudno przeoczyć. Rozumieją, o co pytają.

W tym momencie wtrąciła się Nancy.

— Tylko że gdyby nie, panienko, tobyśmy chciały z powrotem nasze kwiatki, jak już je pokazałyśmy, no bo mogą się trochę zmarnować, bez urazy.

Cofnęła się szybko.

Tiffany zaskoczył jej własny śmiech. Już bardzo dawno się nie śmiała. Głowy odwracały się z zaciekawieniem, by sprawdzić, jaki to żart… Zdążyła złapać obie dziewczynki, zanim uciekły. Odwróciła je przodem do siebie.

— Brawo dla obu — pochwaliła. — Przyjemnie jest od czasu do czasu spotkać się z rozsądnym myśleniem. Nigdy się nie wahajcie z zadaniem pytania. A odpowiedź brzmi tak, że jeśli chodzi o namiętne przypadki, czarownice nie różnią się od innych ludzi. Tyle że często są zabiegane i nie mają czasu o tym pomyśleć.

Dziewczynki były chyba zadowolone, że ich praca nie poszła całkiem na marne, a Tiffany przygotowała się do kolejnego pytania, które znowu zadała Becky.

— Więc masz ukochanego, panienko?

— Nie, w tej chwili nie — odparła Tiffany krótko, pilnując twarzy, by niczego nie zdradziła. Podniosła bukiecik. — Ale kto wie, jeśli ułożyłyście go jak należy, to znajdę nowego, a w takim razie okażecie się czarownicami o wiele lepszymi ode mnie.

Rozpromieniły się, słysząc to bezczelne pochlebstwo, które jednak powstrzymało je od dalszych pytań.

— A teraz — rzekła Tiffany — lada moment zacznie się toczenie serów. Na pewno nie chcecie tego przegapić.

— Nie, panienko — zapewniły chórem.

Zanim odeszły, pełne ulgi i poczucia własnej ważności, Becky poklepała Tiffany po ręce.

— Ukochani potrafią być bardzo trudni, panienko — oświadczyła z przekonaniem typowym, jak dobrze wiedziała Tiffany, dla wszystkich ośmiolatek na świecie.

— Dziękuję ci. Na pewno o tym nie zapomnę.

Jeśli chodzi o rozrywki oferowane na jarmarku, takie jak ludzie wykrzywiający się przez chomąto, walczący poduszkami na natłuszczonej belce albo nawet nurkujący po żaby, to cóż, Tiffany mogła w nich uczestniczyć albo je omijać — a szczerze mówiąc, wolała omijać. Zawsze jednak lubiła obejrzeć porządne toczenie sera — to znaczy zobaczyć, jak porządny ser toczy się aż na sam dół zbocza, chociaż nie przez olbrzyma, bo takiego sera nikt potem nie chciałby zjeść.

Były to sery twarde, czasem specjalnie wytwarzane na turniej toczenia, a twórca sera, który pierwszy dotarł na sam dół nieuszkodzony, wygrywał pas ze srebrną klamrą oraz powszechny podziw.

Tiffany była ekspertem w produkcji serów, ale nigdy nie startowała. Czarownice nie mogły uczestniczyć w żadnych zawodach, bo gdyby wygrały — a wiedziała, że zrobiła już jeden czy dwa sery, które bez trudu mogłyby wygrać — wszyscy by powtarzali, że to niesprawiedliwe, skoro są czarownicami, a w każdym razie tak by myśleli, choć pewnie niewielu mówiłoby to głośno. Gdyby natomiast nie wygrały, ludzie mówiliby: „Co to za czarownica, co nie potrafi zrobić sera, który by wygrał ze zwykłymi serami, robionymi przez zwykłych ludzi, jak my?”.

Cały tłum przesuwał się powoli w stronę startu toczenia, choć stoisko nurkowania po żaby nadal miało sporo klientów, jako humorystyczne i niezawodne źródło rozrywki, zwłaszcza dla tych, którzy akurat nie nurkowali. Niestety, człowiek, który wkładał sobie łasice do spodni i podobno miał życiowy rekord dziewięciu łasic, nie zjawił się w tym roku i wszyscy się zastanawiali, czy może stracił zapał. Ale wcześniej czy później wszyscy zmierzali z wolna na linię startową toczenia serów. Tak nakazywała tradycja.

Zbocze było naprawdę strome, a w dodatku zawsze występowała pewna hałaśliwa rywalizacja między właścicielami serów, prowadząca do popychania, szarpania, kopniaków i sińców, a niekiedy też do złamania ręki czy nogi. Wszystko toczyło się normalnie, a czekający zawodnicy ustawiali swoje sery — aż nagle Tiffany zauważyła, jako chyba jedyna w tłumie, groźny ser, który przytoczył się samodzielnie. Pod warstwą kurzu był całkiem czarny i miał przywiązany kawałek niebiesko-białej szmatki.

— No nie… — westchnęła. — Horacy. A gdzie ty się zjawiasz, nadchodzą za tobą kłopoty. — Odwróciła się, w skupieniu szukając oznak tego, czego tu być nie powinno. — Słuchajcie uważnie — rzuciła cicho. — Wiem, że co najmniej jeden jest tu gdzieś w pobliżu. To nie dla was, tu chodzi tylko o ludzi. Rozumiecie?

Ale było już za późno. Mistrz Zabaw, w swym obwisłym kapeluszu z koronką wokół ronda, dmuchnął w gwizdek i toczenie serów zostało rozpoczęte — co brzmi o wiele wspanialej od „się zaczęło”. Człowiek w kapeluszu zdobionym koronką nigdy nie użyłby krótkiego określenia, kiedy wystarczyłoby dłuższe.

Tiffany bała się patrzeć.

Poganiacze nie tyle biegli, ile raczej staczali się i ześlizgiwali za swymi serami. Słyszała krzyki, coraz głośniejsze, kiedy czarny ser nie tylko wysunął się na prowadzenie, ale też niekiedy turlał się z powrotem pod górę, by przewracać zwyczajne, niewinne sery. Usłyszała jego cichy warkot, kiedy dotoczył się niemal na szczyt wzgórza.

Poganiacze krzyczeli, próbowali go złapać albo odepchnąć kijami, ale piracki ser sunął naprzód i dotarł na sam dół tuż przed straszliwą plątaniną ludzi i zwykłych serów, która zwaliła się na mecie. Potem wtoczył się wolno na szczyt i przysiadł tam skromnie, choć nadal wibrował lekko.

A u stóp zbocza wybuchały bójki między serowymi dżokejami, którzy wciąż jeszcze byli w stanie wyprowadzić cios. A że ściągnęli tym powszechną uwagę na siebie, Tiffany skorzystała z okazji, złapała Horacego i wcisnęła do torby. W końcu należał do niej. Dokładniej, to ona go kiedyś zrobiła, ale do surowca musiało się przesączyć coś niezwykłego. W efekcie Horacy był jedynym serem, który pożerał myszy, a jeśli nie przybiło się go do półki, to także inne sery. Nic dziwnego, że doskonale się rozumiał z Nac Mac Feeglami[[8]](#footnote-8), którzy mianowali go honorowym członkiem swojego klanu. Takie sery lubili.

Z nadzieją, że nikt nie zauważy, dyskretnie podniosła torbę do ust.

— Czy tak należy się zachowywać? — szepnęła. — Nie wstyd ci?

Torba zakołysała się lekko, ale Tiffany wiedziała, że w słowniku Horacego nie ma słowa „wstyd” — podobnie jak żadnego innego. Opuściła torbę, odeszła na bok i powiedziała:

— Wiem, że tu jesteś, Robie Rozbóju.

I był — siedział jej na ramieniu. Wyczuwała go. Mimo że na ogół nie przepadali za myciem, chyba że deszcz padał, Nac Mac Feeglowie zawsze pachnieli czymś jakby pijanymi ziemniakami.

— Kelda kazała mi sprawdzić, jako ze sobie radzis — oświadczył wódz klanu. — Nie psychodziłaś do kopca, coby se z nią pogadać juz ze dwa tydnie — ciągnął. — I tak se myśle, ze łona sie martwi, coby ci sie jako ksywda nie stała, bo tak cięzko pracujes i w ogóle.

Tiffany jęknęła w duchu.

— To bardzo uprzejme z jej strony — zapewniła. — Tyle jest pracy… Kelda wie to z pewnością. Nieważne, ile zrobię, zawsze czeka coś nowego. Nie ma końca potrzebom. Ale też nie ma się czym martwić. Radzę sobie. I proszę, nie wypuszczajcie Horacego w miejscach publicznych. Wiesz, jaki jest wtedy pobudzony.

— No więc tak po prawdzie, stoi tam napisane na tej wstązce, ze wstęp dla mieskańców tych wzgóz. Psecie my tu mieskamy, a nawet jesteśmy folklorem! Z folklorem nie mozna sie spierać. A zrestą zem chciał złozyć wyraz sacunku temu wielkiemu chłopeckowi bez portek. Pikny z niego wielki ciut chłopecek, ni ma co. — Rob przerwał na chwilę, po czym dodał cicho: — Znacy, moge jej psekazać, ze syćko u ciebie dobze?

Wyczuła w nim jakąś nerwowość, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale zdawał sobie sprawę, że nie będzie to dobrze przyjęte.

— Robie Rozbóju, będę ci wdzięczna, jeśli tak właśnie zrobisz — odparła. — Ponieważ w tej chwili wielu muszę zabandażować, jeśli dobrze widzę.

Rob Rozbój, wyglądający nagle jak ktoś w niewdzięcznej misji, pospiesznie wypowiedział słowa, które żona kazała mu powtórzyć:

— Kelda mówi, ze w mozu nie braknie innych ryb.

Przez chwilę Tiffany stała całkowicie nieruchomo. Potem, nie patrząc na Roba, rzuciła cicho:

— Podziękuj keldzie za tę wędkarską informację. Muszę się brać do pracy, Rob, więc wybacz. Ale podziękuj!

Większa część tłumu dotarła już do stóp wzgórza, żeby pogapić się, ratować, a może po amatorsku próbować udzielać pierwszej pomocy jęczącym poganiaczom serów. Dla widzów była to kolejna atrakcja: nieczęsto widuje się przyzwoitą plątaninę ludzi i serów, a kto wie, może trafią się w niej jakieś interesujące obrażenia?

Tiffany, zadowolona, że ma jakieś zajęcie, nie musiała się przeciskać — szpiczasty kapelusz potrafił stworzyć przejście przez tłum szybciej niż świątobliwy mąż przez płytkie morze. Gestem przepędziła radosny tłum, raz czy dwa razy energicznie popychając tych wolniej kojarzących. Okazało się na szczęście, że rannych w tym roku nie było wielu: jedna złamana ręka, jeden złamany nadgarstek, jedna złamana noga i ogromna liczba sińców, skaleczeń i otarć spowodowanych przez zjazd na sam dół — trawa nie zawsze jest przyjazna. Było tam kilku młodych ludzi, absolutnie pewnych, że nie będą dyskutować z damą o naturze swych urazów, uprzejmie dziękują, kazała więc im po powrocie do domu przyłożyć kompres na bolący obszar, gdziekolwiek się znajdował. Potem patrzyła, jak odchodzą, kuśtykając.

No więc poradziła sobie całkiem dobrze, prawda? Skorzystała ze swych umiejętności przed wyciągającym szyje tłumem i zgodnie z tym, co podsłuchała u starszych mężczyzn i kobiet, nieźle jej poszło. Może tylko to sobie wyobraziła, ale jedna czy dwie osoby były chyba zakłopotane, kiedy staruszek z brodą do pasa uśmiechnął się z wdzięcznością i powiedział:

— Dziewczyna, co umie tak kości nastawiać, szybko znajdzie sobie męża.

Ale to minęło i po chwili, nie mając tu nic więcej do roboty, ludzie zaczęli długą wspinaczkę na wzgórze. I wtedy przejechał powóz, a potem, co jeszcze gorsze… potem się zatrzymał. Na drzwiach miał wymalowany herb rodu Keepsake.

Wysiadł z niego młody człowiek — całkiem przystojny, choć jednocześnie tak sztywny, że można by prasować na nim pościel. To był Roland. Nie odszedł dalej niż o krok, gdy jakiś niezbyt przyjemny głos z powozu zwrócił mu uwagę, że powinien zaczekać, aż lokaj otworzy mu drzwiczki, i żeby się spieszył, bo nie mają przecież całego dnia.

Młody człowiek ruszył w stronę tłumu i nastąpiło ogólne poprawianie ubrań, bo w końcu był to syn barona, który miał na własność większą część Kredy i prawie wszystkie ich domy. A chociaż baron to porządny chłop, trochę uprzejmości dla jego krewnych na pewno nie zaszkodzi…

— Co się tu działo? Wszyscy są cali? — zapytał.

Życie w Kredzie było na ogół dość przyjemne i relacje między panem a ludem opierały się na wzajemnym szacunku. Jednak pracujący na farmach odziedziczyli przekonanie, że lepiej nie zamieniać zbyt wielu słów z mającymi władzę, na wypadek gdyby te słowa okazały się nie na miejscu. W końcu zamek wciąż miał swoją izbę tortur, chociaż od setek lat nieużywaną… W każdym razie lepiej się cofnąć i niech mówi czarownica. Jeśli ona będzie miała kłopoty, zawsze może odfrunąć.

— Nic poza tym, co czasem musi się zdarzyć, niestety — wyjaśniła Tiffany, świadoma tego, że jako jedyna z obecnych kobiet nie dygnęła. — Kilka połamanych kości, które się zrosną, i kilka zaczerwienionych twarzy. Wszystko już załatwione, nie ma się czym niepokoić.

— Właśnie widzę, właśnie widzę… Dobra robota, młoda damo.

Przez moment Tiffany miała wrażenie, że czuje smak własnych zębów. „Młoda damo” od… niego? To było prawie, choć nie tak zupełnie obraźliwe. Ale chyba nikt inny nie zwrócił na to uwagi. W końcu takiego języka używali jaśnie państwo, kiedy próbowali być przyjaźni i uprzejmi. On się stara mówić jak jego ojciec, pomyślała, ale jego ojciec robił to instynktownie i dobrze mu wychodziło. Nie można zwracać się do ludzi, jakby byli publicznym zgromadzeniem.

— Bardzo dziękuję, proszę pana — odpowiedziała.

No, jak dotąd całkiem nieźle, tyle że teraz otworzyły się drzwiczki powozu, wysunęła się delikatna biała stópka i dotknęła gruntu. To była ona — Angelica czy Letitia, a może coś jeszcze bardziej wymyślnego; oczywiście Tiffany doskonale wiedziała, że to Letitia, ale przecież można jej chyba wybaczyć odrobinę złośliwości w zaciszu własnej głowy? Letitia! Co za imię! Jak kichnięcie! A poza tym kim właściwie była ta Letitia, że nie pozwoliła Rolandowi zjawić się na szorowaniu? Powinien tu być! Jego ojciec przyszedłby na pewno, gdyby tylko był w stanie! I spójrzcie tylko! Białe pantofelki! Ile by wytrzymały u kogoś, kto uczciwie pracuje?

W tym miejscu się powstrzymała. Odrobina złośliwości całkiem wystarczy.

Letitia spojrzała na Tiffany i tłum z czymś zbliżonym do przerażenia.

— Jedźmy już, dobrze? Proszę. Mama się irytuje.

I tak powóz zniknął, kataryniarz na szczęście zniknął, słońce też zniknęło. Niektórzy z uczestników jarmarku zostali w ciepłych cieniach zmierzchu, ale Tiffany odleciała do domu sama, wysoko, gdzie tylko nietoperze i sowy mogły widzieć jej twarz.



Rozdział 2

KOCIA MUZYKA

Spała zaledwie godzinę, nim zaczął się koszmar.

Najlepiej z całego wieczoru zapamiętała stukanie głowy pana Petty o ścianę i balustradę, kiedy wyciągnęła go z łóżka i trzymając za brudną nocną koszulę, powlokła po schodach na dół. Był ciężkim mężczyzną, na wpół śpiącym, przy czym druga jego połowa była pijana.

Kiedy tak wlokła go za sobą jak worek, wiedziała, że nie wolno dać mu czasu na myślenie, nawet jednej chwili. Ważył trzy razy więcej od niej, ale znała się na dźwigniach. Nie można być czarownicą, jeśli się nie wie, jak manewrować kimś cięższym od siebie. Przecież nigdy by nie zdołała zmienić pościeli inwalidzie.

W końcu zjechał z ostatnich kilku stopni do malutkiej kuchni i zwymiotował na podłogę. Tiffany była zadowolona: leżenie w cuchnących wymiocinach to najmniej, na co ten człowiek zasłużył, ale musiała szybko przejąć kontrolę, zanim pan Petty zdąży się opanować.

Kiedy tylko zaczęło się bicie, przerażona pani Petty, typowa domowa myszka, uciekła z krzykiem drogą do wiejskiej gospody; ojciec Tiffany posłał jakiegoś chłopaka, żeby obudził jego córkę. Pan Obolały był człowiekiem przewidującym; rozumiał, że ta piwna wesołość po całym dniu na jarmarku może pokonać każdego. I kiedy Tiffany pędziła na miotle w stronę chaty Pettych, słyszała, jak budzi się kocia muzyka.

Uderzyła Petty’ego w twarz.

— Słyszy pan to? — spytała, machnąwszy ręką w stronę ciemnego okna. — Słyszy pan? To kocia muzyka i grają ją dla pana, panie Petty, właśnie dla pana! Mają kije! I mają kamienie! Mają wszystko, co im wpadło w ręce, i mają też pięści, a dziecko pańskiej córki nie żyje, panie Petty. Zbił pan swoją córkę tak mocno, że dziecko umarło; kobiety pocieszają pana żonę i wszyscy wiedzą, że pan to zrobił! Wszyscy!

Patrzyła w jego przekrwione oczy. Jego dłonie odruchowo zacisnęły się w pięści, ponieważ zawsze był człowiekiem, który pięściami myślał. Już wkrótce spróbuje ich użyć, wiedziała o tym, ponieważ łatwiej uderzać, niż myśleć. Pan Petty pięściami wybijał sobie drogę przez życie.

Kocia muzyka zbliżała się powoli, bo trudno jest ciemną nocą iść przez pola, kiedy człowiek ma w sobie bukłak piwa, niezależnie od tego, jak słusznym gniewem się uniósł. Tiffany miała nadzieję, że nie pójdą najpierw do stodoły, bo wtedy powieszą go od razu. Jeśli będzie miał szczęście, to tylko go powieszą. Kiedy sama tam zajrzała i zobaczyła, że dokonał się mord, wiedziała, że bez niej będzie popełniony raz jeszcze. Rzuciła czar na dziewczynę, by zabrać jej ból; teraz trzymała go tuż nad swoim ramieniem. Był niewidzialny, oczywiście, ale w oczach duszy płonął ognistym pomarańczem.

— To ten chłopak — wybełkotał mężczyzna; wymiociny ściekały mu na pierś. — Przychodził tutaj, zawracał jej w głowie. Nie słuchała swojej mamy ani mnie. A przecie ma dopiero trzynaście lat! To skandal!

— William też ma trzynaście — stwierdziła Tiffany, starając się panować nad głosem. Nie było to łatwe; wściekłość wzbierała w niej, bliska wybuchu. — Chce mi pan wmówić, że była za młoda na taki romans, ale nie za młoda na to, by ją pobić tak mocno, że krwawiła z miejsc, z których nikt nie powinien krwawić?

Nie wiedziała, czy pan Petty odzyskuje rozsądek, ponieważ nawet w najlepszych chwilach miał go tak niewiele, że trudno było stwierdzić, czy w ogóle tam jest.

— To było niedobre, co razem robili — oświadczył. — A w końcu mężczyzna musi pilnować dyscypliny we własnym domu, racja?

Tiffany mogła sobie wyobrazić gorące słowa padające w gospodzie, kiedy coraz głośniej rozbrzmiewała uwertura do muzyki. W wioskach Kredy niewiele było broni, ale były takie narzędzia jak sierpy, kosy, noże do przycinania strzech i ciężkie, bardzo ciężkie młoty. Nie były bronią — dopóki się nimi kogoś nie uderzyło. A wszyscy wiedzieli, jaki Petty ma temperament. Ile razy jego żona tłumaczyła sąsiadom, że podbiła sobie oko, bo uderzyła się o drzwi?

O tak, Tiffany wyobrażała sobie rozmowy w gospodzie, kiedy włączało się piwo i ludzie przypominali sobie o tym wszystkim, co nie było bronią, a wisiało w szopach. Każdy jest królem w swoim małym zamku. I każdy o tym wie — przynajmniej każdy mężczyzna — więc pilnuje swoich spraw i nie zagląda do cudzego zamku, dopóki ten zamek nie zacznie cuchnąć, a wtedy trzeba coś zrobić, bo rozpadną się wszystkie pozostałe. Pan Petty stanowił w sąsiedztwie wstydliwą tajemnicę, która właśnie przestała być tajemnicą.

— Jestem pańską jedyną szansą — powiedziała Tiffany. — Niech pan ucieka. Niech pan złapie, co może, i niech pan ucieka natychmiast. Niech pan ucieknie tam, gdzie nikt nigdy o panu nie słyszał, a potem jeszcze kawałek dalej, na wszelki wypadek, bo nie zdołam ich powstrzymać, rozumie pan? Osobiście nie obchodzi mnie, co się stanie z pańskim nędznym ciałem, ale nie chcę, żeby dobrzy ludzie zmienili się w złych ludzi, bo dokonają mordu, więc niech pan lepiej biegnie przez pola, a ja zapomnę, w którą stronę pan ruszył.

— Nie możesz mnie wypędzić z mojego własnego domu — wybełkotał, znajdując w sobie jakąś pijacką przekorę.

— Stracił pan już swój dom, swoją żonę, swoją córkę… i swojego wnuka, panie Petty. Tej nocy nigdzie nie znajdzie pan przyjaciół. Ja proponuję panu życie.

— To przez picie! — wybuchnął Petty. — Picie to zrobiło!

— Ale to pan pił, a potem jeszcze więcej, i jeszcze! Pił pan przez cały dzień na jarmarku i wrócił do domu tylko dlatego, że alkohol chciał już iść do łóżka! — Tiffany czuła w sercu jedynie chłód.

— Przepraszam…

— To nie wystarczy, panie Petty, wcale nie wystarczy! Niech pan idzie i stanie się lepszym człowiekiem. Potem, kiedy pan wróci odmieniony, tutejszym ludziom serce może pozwoli się z panem przywitać, a może choćby skinąć głową.

Obserwowała jego oczy. Znała go dobrze. Coś w nim wzbierało. Był zawstydzony, oszołomiony, urażony, a w takich sytuacjach Petty’owie tego świata atakują.

— Niech pan tego nie robi, panie Petty — poradziła. — Ma pan pojęcie, co pana spotka, jeśli uderzy pan czarownicę?

I pomyślała: Tymi pięściami mógłbyś mnie zabić jednym ciosem, dlatego postaram się, żebyś był przestraszony.

— To ty napuściłaś na mnie kocią muzykę, tak?

Westchnęła.

— Nikt nie panuje nad muzyką, panie Petty. Pojawia się sama, kiedy ludzie mają już dosyć. Nikt nie wie, gdzie się zaczyna. Ludzie się rozglądają, ktoś patrzy komuś w oczy, tamten kiwnie lekko, inni to widzą. Inni też spoglądają po sobie i tak, bardzo powoli, budzi się muzyka, ktoś chwyta łyżkę i uderza nią o talerz, potem ktoś inny wali kuflem o stół, buty zaczynają tupać o podłogę, coraz głośniej i głośniej. To głos gniewu, głos ludzi, którzy mają już dosyć. Chce pan spotkać się z taką muzyką?

— Myślisz sobie, że jesteś taka mądra, co? — warknął Petty. — Z tą swoją miotłą, swoją czarną magią, kiedy tak rozkazujesz normalnym ludziom…

Mogłaby niemal go podziwiać. Stał tak, bez żadnych przyjaciół na tym świecie, zalany własnymi wymiocinami i… pociągnęła nosem — tak, mocz kapał mu z nocnej koszuli… A jednak był aż tak głupi, żeby w ten sposób do niej mówić.

— Nie jestem mądra, panie Petty. Po prostu mądrzejsza od pana. A to nietrudne.

— Tak? Ale ta mądrość jeszcze ci zaszkodzi. Taka dziewucha, co wtyka nos w cudze sprawy… Co zrobisz, kiedy ta muzyka zagra dla ciebie, co?

— Niech pan ucieka, panie Petty. Niech pan stąd zniknie. To pańska ostatnia szansa.

I naprawdę tak było — rozróżniała już pojedyncze głosy.

— Ale chyba wasza wysokość pozwoli biedakowi włożyć buty? — rzucił z sarkazmem.

Schylił się po nie przy drzwiach, lecz pana Petty można było czytać jak bardzo małą książeczkę, taką ze śladami palców na każdej stronie i z kawałkiem bekonu zamiast zakładki.

Wyprostował się i machnął pięścią…

Zrobiła krok do tyłu, chwyciła go za przegub i uwolniła ból. Czuła, jak płynie przez jej rękę, aż zamrowiło, potem przez zaciśnięte palce do Petty’ego — cały ból jego córki w ciągu jednej sekundy. Ból cisnął nim przez całą kuchnię i pewnie wypalił wszystkie uczucia z wyjątkiem zwierzęcego strachu. Petty jak byk rzucił się do rozklekotanych drzwi kuchennych, wyrwał się na zewnątrz i pognał w ciemność.

Tiffany chwiejnym krokiem wróciła do stodoły, gdzie paliła się lampa. Według babci Weatherwax człowiek nie czuł bólu, który przenosił, lecz to było kłamstwo. Czuła ból, który niosła, ale że nie był to naprawdę jej ból, mogła to jakoś wytrzymać, jednak uwolnienie go czyniło ją słabą i oszołomioną.

Kiedy pojawił się rozzłoszczony, gwarny tłum, siedziała cicho w stodole przy śpiącej dziewczynie. Hałas okrążył dom, ale nie wdarł się do środka — tak nakazywała jedna z niepisanych reguł. Trudno uwierzyć, że anarchia kociej muzyki ma jakieś reguły, lecz to fakt; mogła trwać trzy noce albo zakończyć się po jednej, a nikt nie wychodził z domu, kiedy muzyka unosiła się w powietrzu, nikt też nie wracał do domu, chyba że po to, by błagać o wybaczenie, zrozumienie albo dziesięć minut na spakowanie rzeczy i ucieczkę. Kocia muzyka nigdy nie była zorganizowana. Zdawało się, że przychodzi do głów wszystkim równocześnie. Grała, kiedy wioska uznała, że ktoś za mocno pobił żonę albo zbyt okrutnie skopał psa, albo kiedy żonaty mężczyzna i zamężna kobieta zapominali, że ślub brali z kimś innym. Zdarzały się też inne, mroczniejsze przestępstwa przeciwko muzyce, lecz nie rozmawiało się o nich otwarcie. Czasem ludzie mogli ją uciszyć, naprawiając swe postępki; często pakowali się i wynosili przed nadejściem trzeciej nocy.

Petty pewnie by nie zrozumiał sugestii; Petty by wyszedł, wymachując pięściami. Zaczęłaby się bójka, ktoś zrobiłby coś głupiego, to znaczy jeszcze głupszego, niż zrobił Petty. A potem baron by się dowiedział i ludzie mogliby stracić swoje źródła utrzymania, co oznacza, że musieliby opuścić Kredę i odejść stąd może nawet na dziesięć mil, żeby znaleźć pracę i zacząć nowe życie wśród obcych.

Pan Obolały był człowiekiem obdarzonym głębokim instynktem i jakieś dziesięć minut później, kiedy muzyka już cichła, delikatnie otworzył wrota stodoły. Tiffany wiedziała, że to dla niego trochę krępujące — był szanowanym człowiekiem, a teraz nagle córka stała się ważniejsza od niego. Czarownica nie słucha niczyich poleceń; wiedziała, że z tego powodu inni mężczyźni sobie z niego żartują.

Uśmiechnęła się, kiedy usiadł na sianie obok niej; dzika muzyka nie znalazła nic, co mogłaby pobić, obrzucić kamieniami albo powiesić. Ojciec rozejrzał się i jego wzrok padł na małe zawiniątko, pospiesznie otulone sianem i workiem. Tiffany ułożyła je tak, by dziewczyna nic nie zauważyła.

— Więc to prawda, że nosiła dziecko? — Pan Obolały nawet w najlepszych chwilach był oszczędny w słowach.

— Tak, tato.

Przez moment zdawało się, że ojciec Tiffany spogląda w pustkę.

— Lepiej, żeby go nie znaleźli — stwierdził po przyzwoitej chwili.

— Tak.

— Niektórzy mówili, żeby założyć mu pętlę. Byśmy ich powstrzymali, oczywiście, ale nie byłoby dobrze, gdyby ludzie się podzielili. To jakby trucizna dla wsi.

— Tak.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu. Potem ojciec zerknął na śpiącą dziewczynę.

— Co dla niej zrobiłaś? — zapytał.

— Co tylko potrafię.

— I wykonałaś tę swoją sztuczkę z odbieraniem bólu?

Westchnęła.

— Tak, ale to nie wszystko, co powinnam zabrać. Muszę pożyczyć łopatę, tato. Pochowam to małe biedactwo gdzieś w lesie.

Odwrócił głowę.

— Wolałbym, żeby nie na ciebie to spadło, Tiffany. Nie masz nawet szesnastu lat, a ciągle widzę, jak biegasz po ludziach, niańczysz ich, bandażujesz i nie wiadomo co jeszcze. Nie powinnaś tego wszystkiego robić.

— Tak, wiem — zgodziła się Tiffany.

— Więc dlaczego?

— Bo inni tego nie robią, nie chcą albo nie mogą. Dlatego.

— Ale to przecież nie twoja sprawa, prawda?

— Zmieniam ją w moją. Jestem czarownicą. To właśnie robimy. Kiedy sprawa jest niczyja, to jest moja — wyjaśniła szybko Tiffany.

— No tak, ale wszyscy myśleliśmy, że chodzi o latanie dookoła na miotłach i takie różne, a nie o obcinanie staruszkom paznokci.

— Bo ludzie nie rozumieją, co jest potrzebne. Nie dlatego, że są źli, po prostu nie myślą. Weź taką panią Stocking, która nie ma na świecie niczego oprócz swojego kota i artretyzmu. Ludzie dość często przynosili jej coś do jedzenia, to prawda, ale nikt nie zauważył, jak długie ma paznokcie u nóg. Splątały się jej tak, że od roku nie potrafiła zdjąć butów! Ludzie tutaj są chętni, jeśli chodzi o jedzenie czy niekiedy bukiet kwiatów, ale nie ma ich, kiedy zaczyna się robić trochę brudno. Czarownice dostrzegają takie rzeczy. Pewnie, czasem zdarza się trochę latania, ale głównie po to, żeby dostać się do miejsca, gdzie jest bałagan.

Ojciec pokręcił głową.

— I lubisz to robić?

— Tak.

— Dlaczego?

Tiffany musiała się zastanowić; ojciec nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

— Pamiętasz, tato, co zawsze mówiła babcia Obolała: „Nakarm tych, co są głodni, ubierz tych, co nadzy, przemów za tych, co nie mają głosu”. No więc uważam, że jest jeszcze miejsce na: „Podnieś za tych, co nie mogą się schylić, sięgnij za tych, co nie mogą się wyciągnąć, wytrzyj za tych, co nie mogą się obrócić”. Zgodzisz się? A wszystko dlatego, że czasami trafi się dobry dzień, który wynagradza wszystkie złe dni i przez jedną chwilę słyszysz, jak obraca się świat. Nie potrafię inaczej tego wytłumaczyć.

Ojciec przyjrzał się jej z czymś w rodzaju zdziwienia połączonego z dumą.

— I uważasz, że warto?

— Tak, tato!

— No to jestem z ciebie dumny, dżygicie, bo pracujesz jak mężczyzna!

Użył pieszczotliwego określenia, które znała tylko rodzina, więc pocałowała go grzecznie i nie powiedziała, że raczej nie znalazłby mężczyzny, który pracowałby tak jak ona.

— A co teraz wszyscy zamierzacie zrobić z Pettymi? — spytała.

— Twoja mama i ja możemy wziąć do siebie panią Petty z córką i… — Pan Obolały przerwał i spojrzał na nią, jakby go przeraziła. — Nic nigdy nie jest takie proste, moja mała. Za młodu Seth Petty był całkiem porządnym facetem. Nie najbystrzejszy prosiak z miotu, to fakt, ale przyzwoity gość, na swój sposób. To jego ojciec był wariatem. Rozumiesz, wtedy sprawy załatwiało się szybko i ostro; kto nie był posłuszny, mógł się spodziewać, że oberwie po łbie, ale ojciec Setha miał taki gruby skórzany pas z podwójną sprzączką i tłukł nim Setha nawet za to, że chłopak krzywo na niego spojrzał. Szczera prawda. Zawsze powtarzał, że da mu lekcję.

— Chyba mu się udało — stwierdziła Tiffany, ale ojciec podniósł rękę.

— Potem zdarzyła się Molly — podjął. — Trudno powiedzieć, że Molly i Seth byli dla siebie stworzeni, bo tak po prawdzie żadne z nich nie było stworzone właściwie dla nikogo. Ale wydaje mi się, że byli razem jakby szczęśliwi. W tamtych czasach Seth pracował jako poganiacz i pędził stada, czasami aż do wielkiego miasta. Do takiej roboty nie trzeba specjalnego wykształcenia i możliwe, że niektóre owce były trochę bystrzejsze od niego, ale ktoś musiał tę robotę wykonać, Seth dostawał wypłatę i nikt źle o nim nie myślał. Kłopot polegał na tym, że w efekcie zostawiał Molly samą na całe tygodnie i…

Ojciec przerwał, wyraźnie zakłopotany.

— Wiem, co chcesz mi powiedzieć. — Tiffany spróbowała mu pomóc, ale postanowił to zignorować.

— Nie o to chodzi, że była niedobrą dziewczyną. Raczej o to, że nigdy tak naprawdę nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi, nie miała nikogo, kto by jej wytłumaczył, a przez cały czas przejeżdżali tędy różni obcy, różni wędrowcy. Niektórzy całkiem przystojni…

Tiffany zlitowała się nad ojcem. Siedział z nieszczęśliwą miną, zakłopotany, bo swojej małej dziewczynce musiał mówić o sprawach, o jakich małe dziewczynki nie powinny wiedzieć.

Pochyliła się i znów pocałowała go w policzek.

— Wiem, tato, naprawdę wiem. Amber nie jest naprawdę jego córką, tak?

— No, przecież tego nie powiedziałem, nie? Może i jest — odparł skrępowany ojciec.

I na tym polega problem, pomyślała Tiffany. Prawda? Gdyby Seth Petty wiedział, czy jest tak, czy tak, pewnie jakoś pogodziłby się z tym „może”. Niewykluczone. Nigdy nie wiadomo.

Ale on też nie wiedział. Zapewne w niektóre dni zdawało mu się, że wie, a w inne podejrzewał najgorsze. A dla takiego człowieka jak Petty, nieprzyzwyczajonego do myślenia, takie mroczne myśli przetaczały się po głowie, aż plątały się w mózgu. A kiedy mózg przestaje myśleć, wkraczają pięści.

Ojciec przyglądał się jej z uwagą.

— Wiesz o takich sprawach?

— Nazywamy to obchodzeniem domów. Każda czarownica to robi. Spróbuj zrozumieć, tato. Widziałam rzeczy straszne, a niektóre tym straszniejsze, że były takie, no… zwyczajne. Różne drobne sekrety za zamkniętymi drzwiami, tato. Rzeczy dobre i rzeczy paskudne, o których nie chcę ci opowiadać. To wszystko jest elementem czarownictwa. Uczysz się wyczuwać takie sprawy.

— Wiesz, dla nikogo z nas życie nie jest usłane różami… — zaczął ojciec. — Był czas, kiedy…

— W pobliżu Kromki żyła stara kobieta — przerwała mu Tiffany. — I umarła w łóżku. Właściwie nic w tym strasznego, zwyczajnie skończyło się jej życie. Tylko że leżała tak dwa miesiące, zanim ktoś się zorientował. Oni tam w Kromce są trochę dziwni. Ale najgorsze jest to, że jej koty nie mogły się wydostać i zaczęły ją pożerać; wiesz, była zwariowana na punkcie kotów, więc pewnie by nie miałaby nic przeciw temu, ale jedna kotka urodziła w jej łóżku kociaki. Właśnie w jej łóżku. Naprawdę trudno było znaleźć tym kociakom domy, dopiero w miejscach, gdzie ludzie nie słyszeli jeszcze tej historii. Zresztą to były śliczne kociaki, z pięknymi niebieskimi oczkami.

— Kie-kiedy mówisz „w jej łóżku”… — zająknął się ojciec — masz na myśli…

— Z nią nadal leżącą, owszem — potwierdziła Tiffany. — Tak, musiałam sobie radzić z martwymi. Na początku trochę wymiotujesz, ale potem uświadamiasz sobie, że śmierć jest, no… częścią życia. Nieźle jest też myśleć o tym jak o liście zadań do wykonania, i wykonywać je po kolei. Można też trochę popłakać, ale wszystko to należy do całości.

— Nikt ci nie pomógł?

— O tak, dwie starsze panie, gdy do nich zapukałam. Ale właściwie ona nikogo nie obchodziła. Czasem tak się zdarza. Ludzie znikają w szczelinach. — Zastanowiła się. — Tato, nadal nie używamy tej starej kamiennej szopy, prawda? Możesz posłać kogoś, żeby ją dla mnie wysprzątał?

— Oczywiście. A wolno spytać po co?

Tiffany usłyszała tę grzeczność w jego głosie. W końcu zwracał się do czarownicy.

— Chyba wpadł mi do głowy pewien pomysł — oświadczyła. — I chyba wykorzystam jakoś tę szopę. To tylko myśl, ale nie zaszkodzi, że sprzątniesz ją na wszelki wypadek.

— Wiesz, ciągle jeszcze jestem bardzo dumny, kiedy widzę, jak śmigasz na tej swojej miotle — rzekł ojciec. — To jest magia, prawda?

Każdy by chciał, żeby magia istniała, pomyślała Tiffany. I co można odpowiedzieć? Nie, magia nie istnieje? Czy może: Owszem, magia istnieje, ale nie taka, jak myślisz? Wszyscy chcą wierzyć, że pstryknięciem palców możemy zmienić świat.

— Krasnoludy je robią — powiedziała. — Nie mam pojęcia, jak działają. Utrzymać się na nich — to jest sztuka.

Kocia muzyka ucichła, może dlatego, że nie miała już celu, a może ponieważ — to całkiem prawdopodobne — istniała szansa, że jeśli muzycy szybko wrócą do gospody, zdążą jeszcze wypić piwo przed zamknięciem.

Pan Obolały wstał.

— Powinniśmy chyba zabrać tę dziewczynę do domu. Jak sądzisz?

— Młodą kobietę — poprawiła go Tiffany, schylając się nad śpiącą.

— Co?

— Młodą kobietę — powtórzyła. — Zasługuje przynajmniej na to. Myślę też, że najpierw zabiorę ją gdzie indziej. Potrzebuje pomocy, jakiej nie potrafię jej udzielić. Możesz poszukać gdzieś kawałka sznura? Mam na miotle skórzany pas, naturalnie, ale to chyba nie wystarczy.

Usłyszała jakieś szelesty na stryszku i uśmiechnęła się. Niektórzy z przyjaciół bywają naprawdę niezawodni.

— Zabierasz ją gdzieś? — zdumiał się pan Obolały.

— Niedaleko. Muszę. Ale się nie martw. Niech mama przygotuje dodatkowe łóżko, niedługo z nią wrócę.

Ojciec zniżył głos.

— To oni, prawda? Dalej wszędzie za tobą chodzą?

— No… Mówią, że nie, ale sam wiesz, jakie kłamczuchy są z tych Nac Mac Feeglów.

Miała za sobą długi dzień i w dodatku niełatwy, inaczej nie byłaby taka niesprawiedliwa. Jednak — co dziwne — z góry nie odezwał się żaden komentarz. Ku jej zaskoczeniu brak Feeglów okazał się nagle niemal tak samo niepokojący jak ich nadmiar.

Ale zaraz potem z radością usłyszała cichy głos:

— Cha, cha, cha, terozki nas nie psyłapała, nie, chłopcy? Siedzieliśmy cichutko jako małe mysecki! Wielka ciut wiedźma nicego nie podejzewała! Chłopcy! Chłopcy?

— Tępaku Wullie, słowo daję, ni mas nawet dość rozumu, coby se nos wydmuchać! — odpowiedział podobny, ale gniewny głos. — Której cąstecki w „nikt ma nawet słówecka nie pisnąć” ześ nie zrozumiał? O zes łojzicku!

Ostatniej uwadze towarzyszyły odgłosy przepychania.

Pan Obolały zerknął niespokojnie na sufit i pochylił się do córki.

— Wiesz, że mama bardzo się o ciebie martwi? Przecież niedawno znowu została babcią. I bardzo jest dumna… z ciebie też, oczywiście — dodał pospiesznie. — Ale całe to czarownictwo, rozumiesz, to nie coś, czego młody człowiek oczekuje u przyszłej żony. No i teraz, kiedy ty i młody Roland…

Tiffany sobie z tym radziła. Radzenie sobie także jest częścią czarownictwa. Jej ojciec wyglądał tak żałośnie, że przybrała pogodną minę i powiedziała:

— Na twoim miejscu, tato, poszłabym do domu i wyspała się porządnie. Ja tu wszystko załatwię. Nawet widzę tam zwój liny, lecz chyba nie będzie mi już potrzebny.

Przyjął to z ulgą. Nac Mac Feeglowie potrafią zaniepokoić kogoś, kto ich dobrze nie zna. Chociaż, jeśli się lepiej zastanowić, potrafią zaniepokoić każdego, niezależnie od tego, jak długo ich zna. Obecność Feeglów w życiu człowieka szybko je zmienia.

— Byliście tu przez cały czas? — spytała gniewnie, kiedy tylko ojciec pospiesznie wyszedł.

Przez moment z góry padał deszcz ścinków siana i całych Nac Mac Feeglów.

Problem z gniewaniem się na Nac Mac Feeglów polegał na tym, że przypominało gniewanie się na tekturę albo na pogodę — nie robiło żadnej różnicy. Spróbowała jednak mimo wszystko, bo już stało się to w pewnym sensie tradycją.

— Robie Rozbóju! Obiecaliście mnie nie szpiegować!

Rob uniósł dłoń.

— Ano tak, ześ trafiła, jasna sprawa, ale to takie łono nie po rozumienie, panienko, bo ześmy wcale nie spiegowali. Dobze godom, chłopaki?

Masa niebiesko-czerwonych postaci, zalegających teraz na podłodze, wzniosła głosy w chórze bezczelnych kłamstw i wymówek. Przycichli, kiedy zobaczyli jej minę.

— Dlaczego właściwie, Robie Rozbóju, upierasz się przy kłamstwie, kiedy zostałeś przyłapany na gorącym uczynku?

— Ano, to łatwe, panienko — odparł Rob Rozbój, który był formalnie przywódcą Nac Mac Feeglów. — No bo wis, jaki jest sens kłamania, kiedy cłek nicego złego nie zrobił? A zrestą terozki jestem śmiertelnie poraniony do samych podrobów z powodu tego, ze moje dobre imie zostało ocernione — oznajmił z uśmiechem. — Ile razy zem cie okłamał, panienko?

— Siedemset pięćdziesiąt trzy. Za każdym razem, kiedy obiecujesz nie wtrącać się w moje sprawy.

— Ano tak. Ciągle ześ jest nasą wielką ciut wiedźmą.

— To może, ale nie musi być prawda — rzekła Tiffany z godnością. — Ale jestem o wiele bardziej wielka, a o wiele mniej ciut niż dawniej.

— O duzo bardziej wiedźmowata — wtrącił wesoły głos.

Tiffany nie musiała nawet patrzeć, by wiedzieć, kto się odezwał. Tylko Tępak Wullie potrafił wtrącić się tak, że wpadał po szyję. Spojrzała na jego rozpromienioną twarz — nigdy nie mógł zrozumieć, co właściwie zrobił nie tak.

Wiedźma! Nie brzmiało to zbyt ładnie, ale każda czarownica była dla Feeglów wiedźmą, choćby i całkiem młoda. Nic przez to nie chcieli powiedzieć — a w każdym razie prawdopodobnie nie chcieli, chociaż nigdy na pewno nie wiadomo, a Rob Rozbój uśmiechał się czasem, kiedy tak mówił. Ale to przecież nie ich wina, że dla każdego, kto nie ma nawet sześciu cali wzrostu, słowo to oznacza osobę, która włosy czesze grabiami i ma zęby gorsze niż stara owca. Zostać nazwaną wiedźmą, kiedy ma się lat dziewięć, może się wydawać dość śmieszne. Ale nie jest już zabawne, kiedy ma się prawie szesnaście, za sobą ciężki dzień, za mało snu i wielką, ale naprawdę wielką ochotę na kąpiel.

Rob Rozbój wyraźnie to zauważył, bo zwrócił się do brata:

— Psypominas sobie, bracie mój, ze są takie momenty, ze powinieneś racej wepchnąc ten swój łeb w kacy kuper, zamiast sie łodzywać?

Tępak Wullie spuścił głowę.

— Pseprasam, Rob. Ino zem nie znalazł tu zadnej kacki.

Przywódca Feeglów spojrzał na okrytą kocem dziewczynę, śpiącą spokojnie na podłodze, i nagle wszystko stało się poważne.

— Jakbyśmy tu byli, kiedy to lanie sie działo, toby on miał cięzki dzionek, słowo daje.

— Więc może dobrze, że was nie było — odparła Tiffany. — Nie chciałbyś zobaczyć ludzi, jak idą do waszego kopca z łopatami, co? Słuchajcie, macie się trzymać z daleka od grubychszych. Ludzie robią się nerwowi. A kiedy robią się nerwowi, zaczynają się złościć. No ale skoro już tu jesteście, to możecie mi pomóc. Chcę przenieść tę biedną dziewczynę do kopca.

— Ano, wimy — zapewnił Rob. — Psecie sama kelda nas tu wysłała, cobyśmy cie znasli.

— Wiedziała o tym? Jeannie wiedziała?

— Ja tam nie wim — zapewnił nerwowo Rob.

Zawsze był nerwowy, kiedy mówił o swojej żonie — Tiffany już dawno to zauważyła. Kochał ją do zatracenia i na samą myśl, że choćby spojrzy na niego spod zmarszczonych brwi, kolana zmieniały mu się w galaretę. W życiu pozostałych Feeglów liczyły się bijatyki, kradzieże i pijaństwo, plus kilka dodatkowych elementów, jak zdobywanie żywności (którą zwykle kradli) czy pranie ubrań (które zwykle pomijali). Jako mąż keldy Rob Rozbój odpowiadał też za Tłumaczenie, co dla Feegla nigdy nie jest łatwe.

— Jeannie ma widze o sprawach — powiedział, nie patrząc Tiffany w oczy.

Zrobiło jej się go żal. Lepiej chyba znaleźć się między młotem a kowadłem niż między keldą a wiedźmą, pomyślała.



Rozdział 3

CI, KTÓRZY PORUSZAJĄ SIĘ WE ŚNIE

Księżyc stał już wysoko, zmieniając świat w wyraźnie rysowaną czarno-srebrną układankę, gdy Tiffany i Feeglowie zmierzali ku wzgórzom. Feeglowie, jeśli chcą, potrafią poruszać się całkiem bezszelestnie. Tiffany sama bywała przez nich przenoszona i zawsze była to łagodna przejażdżka, właściwie całkiem przyjemna, zwłaszcza jeśli kąpali się w ciągu ostatniego miesiąca czy dwóch.

Każdy pasterz ze wzgórz musiał przy jakiejś okazji widzieć kopiec Feeglów. Nikt nigdy o tym nie mówił. Pewne kwestie lepiej pozostawiać niewypowiedziane — na przykład fakt, że straty owiec na wzgórzu, gdzie mieszkali Feeglowie, były o wiele mniejsze niż w bardziej odległych częściach Kredy, ale z drugiej strony kilka zwierząt jednak znikało; były to słabe jagnięta albo stare samice (Feeglowie lubili starą, twardą baraninę, jaką można przeżuwać godzinami) — więc stad strzeżono i strażnicy pobierali swoją zapłatę. Poza tym kopiec znajdował się blisko tego, co pozostało z pasterskiej chaty babci Obolałej, a to była ziemia niemalże święta.

Kiedy się zbliżyli, Tiffany wyczuła dym uchodzący między ciernistymi krzakami. Na szczęście nie musiała już wślizgiwać się do środka przez wąski tunel. Takie przeciskanie się nie przeszkadza, kiedy ma się dziewięć lat, ale kiedy ma się prawie szesnaście, jest to poniżające i niszczy porządną sukienkę, w dodatku — choć nigdy by się do tego nie przyznała — tunel stał się o wiele za ciasny.

Lecz kelda Jeannie wprowadzała zmiany. Niedaleko kopca była dawna jama kredowa, do której prowadził podziemny korytarz. Kelda kazała chłopcom popracować nad nią z kawałkami zardzewiałego żelaza i brezentem, który „znaleźli” w ten bardzo specyficzny sposób, w jaki „znajdowali” różne rzeczy. Dół wciąż wyglądał na typową jamę kredową na wzgórzu, ponieważ jeżyny oraz pędy Pnącego Henry’ego i Krętej Betty zostały nad nią przeciągnięte tak, że nawet myszy trudno byłoby znaleźć przejście do wnętrza. Woda jednak ściekała bez przeszkód, skapywała po żelazie i wypełniała stojące w dole beczułki. Zostało teraz o wiele więcej miejsca na gotowanie jedzenia, a nawet dosyć, żeby Tiffany wsunęła się do środka, o ile tylko pamiętała, żeby wcześniej krzyknąć swoje imię, ponieważ wtedy niewidoczne ręce ciągnęły za sznurki i droga przez nieprzebyte ciernie otwierała się jakby magicznie. W dole kelda miała swoją prywatną łazienkę; pozostali Feeglowie brali kąpiel, kiedy coś im o niej przypomniało — na przykład zaćmienie Księżyca.

Amber została błyskawicznie wniesiona do jamy, a Tiffany czekała niecierpliwie obok właściwego punktu w cierniowym gąszczu, aż gałęzie „magicznie” rozsuną się na boki.

Kelda Jeannie, okrągła prawie jak piłka, czekała na nią, trzymając po dziecku na każdej z rąk.

— Bardzo sie ciese, ze cie widze, Tiffany — powiedziała. — Kazałam chłopcom, coby wysli i wypuścili z siebie pare na dwoze. To zajęcie dla kobiet i to nie za psyjemne, pewnie sie zgodzis. Ułozyli ją psy ogniu i juz zacęłam zucać na nią ukojenia. Uwazam, ze sobie poradzi, ale ześ dobrą robote zrobiła dziś w nocy. Twoja słynna pani Weatherwax osobiście nie dałaby rady nic lepiej.

— Nauczyła mnie odbierać ból — oświadczyła Tiffany.

— Nie mówiłaś — rzekła kelda i spojrzała na nią dziwnie. — Mam nadzieje, ze nie bedzies miała okazji, coby pozałować tej… upsejmości.

W tym momencie w tunelu prowadzącym do głównego kopca pojawiło się kilku Feeglów. Spoglądali niepewnie to na swoją keldę, to na swoją wiedźmę. W końcu ich rzecznik odezwał się z wahaniem:

— Nie chcemy się wtrącać ani nic, drogie panie, ale ześmy psysykowali jakąsik nocną psekąske i Rob kazał zapytać, cy wielka ciut wiedźma nie ma łochoty spróbować?

Tiffany pociągnęła nosem. W powietrzu unosił się wyraźny zapach — zapach, jaki powstaje na przykład wskutek bliskiego kontaktu baraniny z patelnią. No dobrze, pomyślała; wiemy, że to robią, ale powinni okazać choć tyle grzeczności, żeby nie robić tego przy mnie!

Rzecznik Feeglów musiał to sobie uświadomić, bo zaczął gwałtownie oburącz gnieść skraj swojego kiltu, jak zwykle Feeglowie, kiedy zamierzają wygłosić gigantyczne kłamstwo.

— No, chyba zem słysał, ze jakasik łowiecka tak se psypadkiem spadła na patelnie, kiedy ześmy gotowali, i ześmy próbowali ją wyciągnąć, ale… no wis, jakie są te łowiecki… pseraziła sie i broniła. — W tym miejscu jego wyraźna ulga, że zdołał stworzyć jakieś wytłumaczenie, zachęciła go do prób wejścia na wyższy poziom fikcji. — Tak se myśle, ze musiała być w samobójcym nastroju — dodał. — A to dlatego, ze po całych dniach nie ma nic do jedzenia łopróc trawy.

Zerknął z nadzieją na Tiffany, by sprawdzić, czy się udało. Kelda wtrąciła się energicznie:

— Ciut Miodousty Jocku, idźze zaraz i powiedz, ze wielka ciut wiedźma zje kromecke z baraniną. Rozumis? — Obejrzała się na Tiffany. — I zadnej dyskusji, dziewecko. Bo mi wyglądas, jakbyś cała sie kiwała z braku poządnego ciepłego jedzenia. Wim dobze, ze carownice dbają o syćkich łopróc siebie. No jus, chybojcie, chłopcy.

Tiffany wciąż wyczuwała w atmosferze napięcie. Kelda ciągle wpatrywała się w nią z powagą.

— Pamiętas, co było wcoraj? — spytała.

Zabrzmiało to jak głupie pytanie, ale Jeannie nie była głupia. Warto się było zastanowić, choć Tiffany tęskniła raczej za kawałkiem owcy samobójczyni i mocnym snem.

— Wczoraj… znaczy, teraz to już pewnie przedwczoraj… wezwano mnie do Zapnij Bezu — powiedziała wolno. — Tamtejszy kowal nie uważał z paleniskiem, które otworzyło się nagle i rozsypało mu gorące węgle na nogę. Opatrzyłam go i odebrałam ból, który przelałam w kowadło. Za to dostałam dwadzieścia cztery funty ziemniaków, trzy wyprawione skóry, pół wiadra gwoździ, jedno stare, ale całe prześcieradło, dobre na bandaże, i jeden mały słoik jeżowego sadła, o którym jego żona przysięga, że jest doskonałym lekiem na zapalenie trzewi. Do tego poczęstowali mnie solidną porcją potrawki. Potem, ponieważ już byłam niedaleko, poszłam do Zapnij Wielomy, gdzie zajęłam się drobnym problemem pana Gowera. Wspomniałam mu o sadle jeża, a on stwierdził, że to cudowne lekarstwo na niewymowne. Za słoik dał mi całą szynkę. Pani Gower poczęstowała mnie herbatą i pozwoliła zebrać duży kosz miłości-w-marynie, która w jej ogrodzie rośnie bujniej niż gdziekolwiek indziej. — Tiffany zastanawiała się chwilę. — A tak, potem zatrzymałam się jeszcze w Krańcu Bystroty, żeby zmienić okład, potem odwiedziłam barona, a później, oczywiście, miałam resztę dnia dla siebie, ha! Ogólnie to nie był zły dzień jak na mijające dni, bo ludzie myśleli głównie o jarmarku.

— Jak na mijające dni, ten dzień pseminął — odparła kelda. — I nie wątpię, ze był pracowity i pozytecny. Ale psez cały cas miałam złe psecucia co do ciebie, Tiffany Obolała. — Tiffany zaczęła protestować, lecz Jeannie podniosła małą, brązową jak orzech dłoń. — Tiffany, tsa ci wiedzieć, ze cie pilnuje. Jesteś wiedźmą tych wzgóz i mam moc, coby widzieć cie w swojej głowie, coby na ciebie uwazać, bo ktoś musi. Wiem, ze to wies, bo jesteś mądra, i wiem, ze udajes psede mną, ze nie wies, jako i ja udaje, ze nie wiem, ze wiem, ale jestem pewna, ze o tym tez wies, tak?

— Chyba musiałabym rozrysować to na papierze — odparła Tiffany, próbując zbyć sprawę żartem.

— To nie jest śmiesne! Widzę cie w głowie zamgloną! Niebezpieceństwo dookoła ciebie! A najgorse, ze nie wiem, skąd psyjdzie. Tak nie powinno być!

Tiffany otwierała już usta, by odpowiedzieć, kiedy tunelem przybiegło z kopca pół tuzina Feeglów; nieśli talerz. Tiffany nie mogła nie zauważyć — gdyż czarownice zauważają różne rzeczy, jeśli tylko mogą — że niebieski szlaczek wokół brzegu wyglądał całkiem podobnie do tego z prawie najlepszego kompletu jej mamy. Pozostałą część talerza przesłaniał duży kawał baraniny i pieczone ziemniaki. Całość pachniała wspaniale, więc żołądek przejął kontrolę od mózgu. Czarownica je tam, gdzie może, i jest zadowolona.

Mięso było rozcięte na pół, chociaż połowa dla keldy wydawała się trochę mniejsza niż ta dla Tiffany. Ściśle mówiąc, nie może istnieć połowa trochę mniejsza od drugiej połowy, bo wtedy nie byłaby połową, ale istoty ludzkie wiedzą, o co tu chodzi. A keldy zawsze mają ogromny apetyt, bo przecież muszą rodzić dzieci.

Zresztą chwila nie była odpowiednia na rozmowy. Feegle podał Tiffany nóż, który był w rzeczywistości feeglowym pałaszem, a potem podsunął jej dość brudną puszkę z włożoną do niej łyżką.

— Psyprawa? — zaproponował nieśmiało.

To było dość eleganckie jak na posiłek Feeglów. Jeannie starała się ich ucywilizować — o ile w ogóle można ucywilizować Feegla, ale przynajmniej nadawała im właściwy kierunek. Mimo to Tiffany wiedziała dosyć, by zachowywać ostrożność.

— Co w tym jest? — spytała, doskonale wiedząc, że to niebezpieczne pytanie.

— Och, same pysności — zapewnił Feegle i zagrzechotał łyżką o puszkę. — Są tu dzikie jabłka, są ziarna gorcycy i chsan, i ślimaki, zioła i cosnek, i scypta spóźniaka…

Jedno słowo wyrzucił z siebie o wiele za szybko jak na gust Tiffany.

— Ślimaki? — przerwała mu.

— Ano, istowo bardzo pozywne są, pełno w nich wit-min i min-rałów, wis, i jesce tych ciut pro-tinych, a najlepse, ze jak sie doda duzo cosnecku, to smakują jak cosnek.

— A jak smakują, jeśli się nie doda czosnku?

— Jak ślimaki — odparła kelda, litując się nad kelnerem. — I musę pedzieć, ze to dobre jedzenie, dziewcyno moja. Chłopcy wypuscają je nocką, coby sie pasły na dzikiej kapuście i psiej sałacie. Całkiem smacne i pewno ci sie spodoba to, ze nie ma tu zadnego kradzenia.

No tak, to rzeczywiście dobra wiadomość, uznała Tiffany. Feeglowie kradli z radością i bezustannie, bardziej dla sportu niż z konieczności. Z drugiej strony dla odpowiednich osób, w odpowiednim miejscu i odpowiednim czasie potrafili być bardzo hojni, a to szczęśliwie działo się właśnie teraz.

— Feeglowie zajmują się farmerstwem? — zdziwiła się głośno.

— No nie! — zaprotestował rzecznik, a stojący za nim wyrażali urazę i obrzydzenie, wykrzykując „błee” i wtykając sobie palce do gardeł. — To zadne farmerstwo, ino hodowla tsody, bo łona jest dobra dla swobodnych duchów, co lubią pocuć wiatr pod kiltem. Chociaz tsa psyznać, ze stampeda są ciut krępujące.

— Spróbuj ciut kęsek — poprosiła ją kelda. — To ich zachęci.

Rzeczywiście, nowa feeglowa potrawa okazała się całkiem smaczna. Może to prawda, co mówią, pomyślała Tiffany, że z czosnkiem wszystko jest dobre. Oprócz budyniu.

— Nie psejmuj się moimi chłopcami — rzekła Jeannie, kiedy już zjadły. — Casy sie zmieniają i oni to chyba wiedzą. Ty tez. Jak sie cujes?

— Wiesz, jak zwykle — odparła Tiffany. — Zmęczona, wzburzona i zdenerwowana. Mniej więcej.

— Za cięzko pracujes, dziewcyno. Martwie sie, ze nie jes dosyć, i widze, ze na pewno nie śpis, ile tsa. Kiedy łostatnio psespałaś nocke w poządnym łózku? Wis psecie, ze spać musis. Nie mozes poządnie myśleć, jak nie mas casu, coby łodpocąć. A boje sie, ze niedługo bedzie ci tsa całych sił, jakie mozes zebrać. Moze kces, cobym zuciła na ciebie ukojenie?

Tiffany ziewnęła.

— Dziękuję za propozycję, ale nie sądzę, żebym tego potrzebowała, jeśli nie masz nic przeciw temu. — W kącie zauważyła stos brudnej wełny; zapewne jeszcze całkiem niedawno należała do owcy, która postanowiła pożegnać się ze światem i popełnić samobójstwo. Stosik wyglądał bardzo zachęcająco. — Powinnam jeszcze sprawdzić, co z dziewczyną. — Nogi Tiffany wyraźnie nie chciały, żeby szła dokądkolwiek. — Ale myślę, że w kopcu Feeglów jest bezpieczna jak w domu.

— Nie — stwierdziła cicho Jeannie, kiedy Tiffany zamknęła oczy. — O wiele, wiele bezpiecniejsa niz w domu.

Kiedy Tiffany już zachrapała, Jeannie wolno przeszła do kopca. Amber leżała skulona przy ogniu, a Rob Rozbój ustawił wokół niej kilku starszych i mądrzejszych Feeglów. To dlatego, że trwała już wieczorna bijatyka. Nac Mac Feeglowie walczyli tak samo często, jak oddychali, i zwykle w tym samym czasie. Było to sensem ich życia w pewnym sensie. Poza tym, jeśli ktoś ma tylko kilka cali wzrostu, ma też cały świat do walczenia z nim, więc lepiej, żeby uczył się wcześnie.

Jeannie usiadła przy mężu i przez chwilę obserwowała bójkę. Młodzi Feeglowie odbijali się od ścian, od swoich wujów i od siebie nawzajem.

— Rob… — odezwała się po chwili. — Myślis, ze dobze wychowujemy nasych chłopecków?

Rob Rozbój, wyczulony na nastroje Jeannie, spojrzał na śpiącą dziewczynę.

— Istowo, zadnych wątpliwości… Hej, widziała ześ to? Trochę-bardziej-ciut-niz-ciut-Jock-Jock kopnął Tępaka Wulliego w sam rozkrok! Pikna brudna walka, a on ma ledwo tsy cale!

— Pewnego dnia bedzie z niego wielki wojownik, Rob, to prawda — przyznała Jeannie. — Ale…

— Zawse im powtazam — ciągnął podniecony Rob Rozbój, gdy młody Feegle przeleciał im nad głowami — ze drogą do sukcesu jest atakować tylko takich, co są więksi! To wazna zasada!

Jeannie westchnęła, gdy kolejny młody Feegle uderzył o ścianę, potrząsnął głową i biegiem wrócił do bójki. Zranienie Feegla jest praktycznie niemożliwe; człowiek, który próbowałby któregoś rozdeptać, szybko odkrywał, że mały ludzik, zamiast leżeć pod butem, w rzeczywistości wspina się w górę po nogawce, a potem dzień mógł tylko się pogorszyć. Poza tym, jeśli ktoś zauważył jednego Feegla, prawdopodobnie dookoła było wielu innych, których nie zauważył — natomiast oni z całą pewnością zauważyli jego.

Może grubeszychy mają większe problemy, bo są więksi od nas, myślała kelda. I westchnęła cichutko. Nigdy nie pozwoli, by mąż się o tym dowiedział, ale zastanawiała się czasem, czy młody Feegle mógłby z pożytkiem dla siebie nauczyć się czegoś innego, na przykład księgowości. Czegoś, przy czym nie musiałby stale odbijać się od ścian, nie musiałby przez cały czas walczyć. Ale czy wtedy nadal byłby Feeglem?

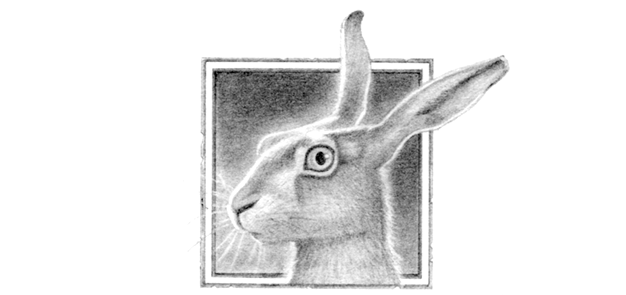
— Boje sie o wielką ciut wiedźmę, Rob — powiedziała. — Dzieje sie cosik niedobrego.

— Sama chciała być wiedźmą, dziewecko ty moja — odparł Rob. — A terozki musi sama tocyć swoją kłode, jak my syćkie. Ale dobze walcy, wis psecie. Pocałowała pana zimy na śmierć, a królowej elfów psyłozyła patelnią. Pamiętam tez, jak ta niewidzialna bestyja wlazła jej do głowy, a ona złapała ją i wyzuciła. Umie walcyć.

— Tak, to wim dobze — przyznała kelda. — Pocałowała twaz zimy i sprawiła, ze znowu psysła wiosna. To wielki wycyn, ni ma co, ale wtedy miała na sobie płasc lata. I tą mocą go udezyła, nie tylko własną. Zrobiła to dobze i nikt mi nie psychodzi na myśl, kto poradziłby se lepiej, ale musi być łostrozna.

— A jakiegoz wroga moze łona mieć, zebyśmy nie mogli z nim walcyć łobok niej? — zdziwił się Rob.

— Tego nie wim — wyznała kelda. — Ale w mojej głowie wygląda to tak: kiedy łona pocałowała zimę, potsąsnęło mną to do samiuśkich kozonków. I tak se myśle, ze moze są tacy, co porusyli sie we śnie. Musis pamiętać, Robie Rozbóju, coby mieć na nią łoko, i to więcej niz ino jedno.



Rozdział 4

PRAWDZIWE ZŁOTÓWKI

Tiffany zbudziła się głodna, słysząc śmiech. Amber była już przytomna i — wbrew wszelkim oczekiwaniom — radosna.

Tiffany odkryła dlaczego, kiedy większą część siebie zdołała wcisnąć do tunelu prowadzącego do kopca. Dziewczyna wciąż leżała skulona pod ścianą, ale grupa młodych Feeglów zabawiała ją, wykonując salta, stania na rękach, a czasami podstawiając sobie wzajemnie nogi w humorystyczny sposób.

Śmiech wydawał się młodszy niż sama Amber; brzmiał jak radosne gaworzenie wydawane przez małe dziecko, kiedy zobaczy jakieś błyszczące przedmioty w jaskrawych barwach. Tiffany nie wiedziała, jak działają ukojenia, ale były lepsze niż wszystko, co potrafiłaby zrobić czarownica. Zdawało się, że uspokajają ludzi, czynią ich lepszymi, poczynając od wnętrza głów. Poprawiały nastrój, a co najlepsze, dawały zapomnienie. Czasami Tiffany miała wrażenie, że kelda mówi o ukojeniach, jakby były żywe — żyjące myśli, być może, albo i przyjazne żywe istoty, które jakoś usuwają złe wspomnienia.

— Cuje sie dobze — oświadczyła kelda, pojawiając się jakby znikąd. — I poradzi sobie. Pewno, bedą kosmary, kiedy nadejdzie ciemność. Ukojenia syćkiego nie zrobią. Ale teraz wraca do siebie, od samego pocątku, a to najlepse.

Wciąż było ciemno, lecz na horyzoncie już się rozjaśniało. Przed nadejściem dnia Tiffany miała jeszcze do wypełnienia przykrą misję.

— Mogę ją na razie tu zostawić? — spytała. — Muszę jeszcze załatwić pewien drobiazg.

Nie powinnam zasypiać, myślała, wspinając się na brzeg jamy. Powinnam od razu wracać! Nie powinnam tam zostawiać tego maleństwa!

Szarpnęła za miotłę ukrytą w ciernistym gąszczu wokół kopca i nagle znieruchomiała. Ktoś ją obserwował — czuła na karku czyjś wzrok. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła starą kobietę, całą w czerni, dość wysoką, ale wspartą na lasce. Tiffany patrzyła, jak kobieta rozpływa się powoli, jak gdyby rozpuszczała się w pejzażu.

— Pani Weatherwax? — zwróciła się do pustej przestrzeni. To było głupie. Babcia Weatherwax nawet po śmierci nie wzięłaby laski, a już na pewno nie pokazałaby się z nią za życia.

Tiffany kątem oka dostrzegła jakiś ruch i odwróciła się błyskawicznie. Za nią był zając, siedział na tylnych łapkach i przyglądał się jej z zaciekawieniem, ale bez śladu lęku.

Tak się zachowywały, oczywiście. Feeglowie nie polowali na nie, a przeciętny owczarek prędzej by nogi pogubił, nim zając by się zdyszał. Zające nie miały ciasnych nor, w których można by je złapać. Żyły prędkością, śmigając przez krajobraz niczym marzenie wiatru — mogły sobie pozwolić na to, by usiąść i patrzeć, jak przed nim płynie powolny świat.

Ale ten nagle wybuchł płomieniem. Jarzył się przez chwilę, a potem, bez żadnych ran, odbiegł pędem niby szara smuga.

No dobrze, pomyślała Tiffany, uwalniając miotłę. Zbadajmy tę sprawę z punktu widzenia zdrowego rozsądku. Trawa nie jest przypalona, a zające nie są znane z wybuchania płomieniem, więc…

Znieruchomiała, gdy w jej pamięci otworzyła się malutka klapka.

„Zając do ognia bieży”…

Widziała te słowa gdzieś zapisane? Może słyszała je w piosence? Dziecięcej wyliczance? Tylko co zając ma z czymś takim wspólnego?

Cóż, była czarownicą i miała zadanie do wykonania. Tajemnicze znaki mogły zaczekać. Czarownice dobrze wiedzą, że tajemnicze znaki pojawiają się przez cały czas. Zwykle świat niemal tonie w tajemniczych znakach. Trzeba tylko wybrać jakiś wygodny.

Nietoperze i sowy bez trudu zlatywały Tiffany z kursu, kiedy pędziła nad uśpioną wioską. Dom Pettych stał na samej granicy. Miał ogródek. Każdy dom we wsi miał ogródek, a większość tych ogródków była obsadzona warzywami albo — jeśli żona postawiła na swoim — w połowie warzywami, a w połowie kwiatami. Przed domem Pettych leżało ćwierć morgi pokrzyw.

To zawsze irytowało Tiffany, złościło ją aż po podeszwy jej ciężkich butów. Tak trudno byłoby wyrwać te zielska i posadzić parę zagonów ziemniaków? Potrzebny jest tylko nawóz, a tego we wsi nie brakuje; sztuka polega na tym, żeby nie przedostał się do domu. Pan Petty naprawdę mógłby się wysilić.

Wrócił do stodoły, a w każdym razie ktoś tu zaglądał. Dziecko leżało teraz na stosie słomy. Tiffany zjawiła się przygotowana, ze starym, lecz mocnym jeszcze płótnem, które było na pewno lepsze od worka i słomy. Ale ktoś już przeniósł małe ciałko i położył przy nim kwiaty, tyle że tak naprawdę to były pokrzywy. Ten ktoś zapalił też świeczkę w cynowym lichtarzu, jakie widziało się w każdym domu w wiosce.

Lichtarz. I płomień. Na stosie słomy. W stodole pełnej suchego jak pieprz siana i słomy. Tiffany patrzyła na to ze zgrozą, kiedy nagle nad głową usłyszała stęknięcie.

Jakiś człowiek wisiał z krokwi.

Zaskrzypiały belki, a w dół spłynęło trochę kurzu i źdźbła siana. Tiffany szybko podniosła lichtarz, zanim kolejny opad sprawi, że stodoła stanie w ogniu. Już miała zdmuchnąć świecę, kiedy uświadomiła sobie, że wtedy pozostanie w ciemności, razem z kołyszącą się wolno postacią, która może, choć nie musi, być trupem.

Bardzo ostrożnie postawiła lichtarz koło wrót, a potem rozejrzała się, szukając czegoś ostrego. W stodole Pettych wszystko było tępe oprócz piły.

Na pewno on tam wisi! Kto jeszcze mógłby to być?

— Panie Petty! — zawołała, wspinając się na zakurzone krokwie.

Odpowiedziało jej ciche rzężenie. To dobrze?

Tiffany udało się zaczepić jedną nogą o belkę, przez co mogła uwolnić rękę z piłą. Niestety, potrzebowała jeszcze dwóch. Sznur mocno się zacisnął na szyi, a tępe zęby piły podskakiwały na nim tak, że człowiek kołysał się coraz bardziej. W dodatku zaczął się szarpać, dureń jeden, więc lina nie tylko się kołysała, ale też skręcała. Za chwilę Tiffany pewnie spadnie…

Coś się poruszyło, błysnęła stal i Petty runął w dół jak kamień. Tiffany zdołała utrzymać równowagę tak długo, by chwycić za zakurzoną belkę, a potem na wpół się zsunąć, na wpół zeskoczyć za nim.

Paznokciami szarpała powróz na jego szyi, lecz był napięty jak bęben… I nagle powinna chyba zabrzmieć tryumfalna muzyka, ponieważ tuż przed nią zjawił się Rob Rozbój. Wzniósł maleńki błyszczący miecz i spojrzał pytająco.

Tiffany jęknęła w myślach. Co jest w panu dobrego, panie Petty? Co dobrego pan zrobił? Nawet powiesić się nie potrafi pan jak należy. Co dobrego pan jeszcze zrobi? Czy wyświadczę światu przysługę, pozwalając skończyć, co pan zaczął?

Tak to już jest z myślami. Same się myślą, a potem wpadają komuś do głowy w nadziei, że zacznie myśleć tak samo. Takie myśli trzeba powstrzymywać, inaczej mogą całkiem opanować czarownicę. A wtedy wszystko się posypie i nie pozostanie nic prócz chichotu.

Słyszała powiedzenie, że zanim dobrze się kogoś pozna, trzeba przejść milę w jego butach; nie miało wielkiego sensu, ponieważ — po przejściu mili w czyichś butach — człowiek prawdopodobnie dowie się tyle, że ten ktoś ściga go i oskarża o kradzież pary butów. Choć oczywiście pewnie zdoła uciec z powodu braku obuwia u ścigającego. Rozumiała jednak, co to przysłowie rzeczywiście znaczy… i oto leżał przed nią człowiek, którego tylko jeden oddech dzielił od śmierci. Nie miała wyboru, żadnego wyboru. Musiała dać mu ten oddech — z powodu wiązki pokrzyw. Coś w tym nędznym ciele nadal starało się być dobrym człowiekiem. Może tylko maleńka iskierka, ale była tam. I nie dało się z tym spierać.

Nienawidząc się za tę ckliwość, skinęła na Wielkiego Gościa klanu Nac Mac Feeglów.

— Dobrze — powiedziała. — Postaraj się go za bardzo nie zranić.

Błysnął miecz. Cięcie miało chirurgiczną precyzję, tyle że chirurg pewnie najpierw umyłby ręce.

Powróz dosłownie odskoczył, kiedy Feegle go rozciął, i odleciał na bok jak wąż. Petty wciągnął powietrze tak gwałtownie, że płomyk świecy przy wrotach odchylił się na moment.

Tiffany wstała z kolan i otrzepała się.

— Po co pan tu wrócił? — zapytała. — Czego pan szukał? Co chciał pan znaleźć?

Pan Petty leżał nieruchomo. Nawet nie stęknął w odpowiedzi. Trudno byłoby go teraz nienawidzić, kiedy tak rzęził na ziemi.

Być czarownicą oznacza, że człowiek musi dokonywać wyborów, i to zazwyczaj takich, jakich zwykli ludzie nie chcą ani dokonywać, ani nawet o nich wiedzieć. Dlatego otarła mu twarz szmatką zwilżoną pod pompą, a potem owinęła martwe dziecko w większy i czyściejszy kawałek materiału, który w tym właśnie celu przyniosła. Nie był to najlepszy możliwy całun, lecz przyzwoity. Przypomniała sobie, jakby we śnie, że powinna odnowić zapas prowizorycznych bandaży, i nagle zrozumiała, jak bardzo powinna być wdzięczna.

— Dziękuję ci, Robie Rozbóju — powiedziała. — Sama chyba nie dałabym sobie rady.

— Moze byś se dała — odparł Rob Rozbój, choć oboje wiedzieli, że nie. — Tak sie ino zdazyło, ze se psechodziłem obok, no wis, wcale nie za tobą. Jeden z tych takich psypadków.

— Ostatnio sporo było takich przypadków.

— Ano. — Rob wyszczerzył zęby. — To musi być tez jakisik psypadek.

Nie dało się wprawić Feeglów w zakłopotanie. Zwyczajnie nie pojmowali tej koncepcji.

Obserwował ją.

— Co terozki bedzie? — zapytał.

To kluczowe pytanie, prawda? Czarownica musi przekonać ludzi, że wie, co robić dalej, nawet jeśli nie wie. Petty przeżyje, a to biedne dziecko nie przestanie być martwe.

— Zajmę się wszystkim — powiedziała. — To właśnie robimy.

Ale jestem tylko ja, nie ma żadnego „my”, myślała, lecąc przez poranne mgły do miejsca, gdzie rosną kwiaty. A chciałabym, naprawdę bym chciała, żeby było.

\* \* \*

W leszczynowym gaju znajdowała się polana, od wczesnej wiosny do późnej jesieni porośnięta kwiatami. Rosła tu tawuła, naparstnica, portki starucha, Jack-do-łóżka, storczyki, potrójny Charlie, szałwia, boskie drzewka, krwawniki, przytulie, kaczeńce, pierwiosnki i dwa rodzaje orchidei.

W tym miejscu leżała pochowana staruszka, którą nazwali czarownicą. Jeśli ktoś wiedział, gdzie szukać, pod całą tą zielenią mógł znaleźć resztki jej chaty. Jeśli naprawdę wiedział, gdzie szukać, mógłby też zobaczyć skrawek ziemi, gdzie była pogrzebana. A jeśli rzeczywiście naprawdę wiedział, gdzie szukać, mógłby odkryć miejsce, w którym Tiffany zakopała kota staruszki. Rosła tam kocimiętka.

Dawno temu kocia muzyka przyszła po starą kobietę i jej kota, a maszerujący w jej rytm ludzie wywlekli staruszkę na śnieg, zburzyli nędzną chatę i spalili książki, bo były w nich obrazki z gwiazdami.

Dlaczego? Bo syn barona zaginął, a pani Snapperly nie miała krewnych ani zębów i szczerze mówiąc, trochę chichotała. To czyniło ją czarownicą. Ludzie z Kredy czarownicom nie ufali, więc wyciągnęli ją na śnieg. Kiedy ogień pochłaniał strzechę chaty, a mężczyźni ciskali kamieniami w kota, aż go zabili, stronice z gwiazdami marszczyły się, czerniały i odlatywały w nocne niebo. Tej zimy staruszka dobijała się do drzwi, które pozostały przed nią zamknięte, i w końcu umarła w śniegu, a że trzeba było ją gdzieś pochować, płytki grób znalazł się w miejscu, gdzie dawniej stała chata.

Jednak staruszka nie miała nic wspólnego z zaginięciem syna barona, prawda? I wkrótce potem Tiffany wyruszyła aż do niezwykłej krainy baśni, żeby sprowadzić go z powrotem. Prawda? Nikt już nie wspominał tamtej staruszki, nikt… Ale kiedy przechodzili latem obok miejsca, gdzie mieszkała, widzieli, że kwiaty wypełniają atmosferę radością, a pszczoły barwami miodu.

Nikt o tym nie mówił. W końcu co można powiedzieć? Niezwykłe kwiaty rosnące na grobie starej kobiety, a kocimiętka w miejscu, gdzie ta mała od Obolałych zakopała jej kota? To tajemnica, a może i osąd, ale kto osądzał, kogo, za co i dlaczego, o tym lepiej nie myśleć, a tym bardziej nie dyskutować. Mimo wszystko… cudowne kwiaty na szczątkach możliwej czarownicy… jak to mogło się stać?

Tiffany nie zadawała takich pytań. Nasiona były drogie i musiała jechać aż do Dwukoszula, żeby je dostać, ale przyrzekła sobie, że każdego lata feeria barw w lesie przypomni ludziom, że była kiedyś staruszka, którą zaszczuli na śmierć, i że tu leży pochowana. Tiffany nie była pewna, czemu uważa to za ważne, lecz w duszy była głęboko przekonana, że tak jest.

Kiedy skończyła kopać głęboki smutny dołek w zagonie szybkiej miłości, rozejrzała się, by mieć pewność, że nie widzi jej żaden wczesny przechodzień, a potem oburącz zasypała dołek, odsuwając zeschłe liście i przesadzając kilka zapominajek. Nie był to najlepszy wybór kwiatków, ale rosły szybko, a to istotne, gdyż… ktoś ją obserwował. Najważniejsze było, by się nie obejrzeć. Wiedziała, że nie można jej zobaczyć. Przez całe życie spotkała tylko jedną osobę, która lepiej potrafiła nie być widziana — i była nią babcia Weatherwax. Zresztą wciąż unosiła się mgła, a usłyszałaby, gdyby ktoś nadszedł ścieżką. Nie był to również żaden ptak ani zwierzę. Te zawsze wyczuwała inaczej.

Czarownica nie powinna się oglądać, bo powinna wiedzieć, kto za nią stoi. Tiffany zwykle potrafiła to odgadnąć, ale teraz każdy zmysł jej mówił, że nie ma tu nikogo prócz niej — a jednak w jakiś dziwny sposób czuła, że to nie tak.

— Za dużo pracy, za mało snu — powiedziała głośno i zdawało się, że jakiś cichy głos odpowiada jej: „O tak”. Brzmiał jak echo, tyle że nie było niczego, co mógłby powtarzać.

Odleciała z największą prędkością, do jakiej potrafiła zmusić miotłę. A że nie była ona zbyt duża, przynajmniej nie wyglądało to, jakby Tiffany uciekała.

\* \* \*

Szaleństwo… Czarownice nieczęsto o nim rozmawiały, lecz cały czas pamiętały o zagrożeniu.

Szaleństwo, a właściwie unikanie szaleństwa, stanowiło duszę i jądro czarownictwa. A działało to tak: po pewnym czasie czarownica, która zawsze pracowała samotnie, zgodnie z tradycją czarownic, ma skłonność do… dziwactw. Oczywiście, zależy to od czasu i od siły umysłu, ale wcześniej czy później traci ostrość widzenia takich rzeczy jak kłamstwo, dobro, zło, prawda i konsekwencje. A to może być bardzo niebezpieczne. Dlatego czarownice muszą wzajemnie utrzymywać się w normalności, a przynajmniej w stanie, jaki jest normalny dla czarownic. Nie trzeba wiele: wspólna herbatka, śpiewy, spacer po lesie… I jakoś wszystko się układało, więc mogły oglądać katalogi chatek z piernika, nie wpłacając od razu zaliczki na którąś z nich.

Dlatego — poza wszystkim innym — Tiffany martwiła się, żeby nie oszaleć. Minęły już dwa miesiące od ostatniej wizyty w górach i trzy od ostatniego spotkania z panną Tyk, jedyną prócz niej czarownicą, która się tutaj zjawiała. Tiffany nie miała czasu na wizyty. Zawsze czekało ją zbyt dużo pracy. Może na tym polega sztuczka, pomyślała: jeśli zawsze ma się coś do roboty, nie ma czasu na szaleństwo…

\* \* \*

Słońce stało już dość wysoko, kiedy wróciła do kopca Feeglów. Ze zdumieniem zauważyła Amber siedzącą na jego zboczu, otoczoną przez Feeglów i roześmianą. Kelda już czekała, zanim Tiffany zdążyła zaparkować miotłę w cierniowych krzakach.

— Mam nadzieje, ze ci to nie pseskadza — powiedziała, widząc minę Tiffany. — Słońce to wielki uzdrawiac.

— Jeannie, to naprawdę cudownie, że rzuciłaś na nią ukojenia. Ale wolałabym, żeby za dużo was nie widziała. Może komuś opowiedzieć.

— Och, syćko to wyda sie jej snem, juz ukojenia o to zadbają — odparła spokojnie Jeannie. — Zrestą kto bedzie słuchać takiej ciut dziewecki paplającej o elfach?

— Ma trzynaście lat! Coś takiego nie powinno się jej zdarzyć!

— Nie jest scęśliwa?

— No, niby jest, ale…

W oczach Jeannie błysnęła stal. Zawsze okazywała Tiffany szacunek, ale taki szacunek wymaga też poszanowania z drugiej strony. To był przecież kopiec Jeannie. I prawdopodobnie też jej ziemia.

— Jej mama będzie się martwić — powiedziała tylko Tiffany.

— Bedzie? A cy martwiła się, kiedy bidactwo dostało takie bicie?

Tiffany wolałaby, żeby kelda nie była tak bystra. Ludzie mówili czasem o Tiffany, że ma za ostry umysł i w końcu sama się nim pokaleczy. Jednak spokojny wzrok keldy mógłby chyba ciąć żelazne gwoździe.

— No więc… matka Amber… nie jest… zbyt… mądra.

— Tak słysałam — rzekła Jeannie. — Ale więksości zwiezaków tez mózgu nie zbywa, a psecie łania bedzie walcyć w obronie swojego koziołka, a lisica dla sceniaka nie cofnie sie psed psem.

— Ludzie są bardziej skomplikowani.

— Na to wychodzi. — Przez chwilę głos keldy brzmiał lodowato. — No ale ukojenia dobze działają, więc moze dziewuska powinna wracać do swojego skomplikowanego świata?

Gdzie jej ojciec ciągle jeszcze żyje, pomyślała Tiffany. Wiem, że tak. Był poobijany, ale oddychał i mam nadzieję, że wytrzeźwiał. I czy cała ta historia w ogóle jakoś się zakończy? Trzeba ją jakoś załatwić! Mam inne sprawy! I dzisiaj po południu mam odwiedzić barona!

\* \* \*

Ojciec Tiffany wyszedł im naprzeciw, kiedy dotarły na podwórze. Tiffany zwykle zostawiała miotłę przywiązaną do drzewa za płotem, oficjalnie dlatego, że lataniem płoszyła kury, ale głównie dlatego, że nie potrafiła jeszcze zgrabnie lądować i wolała nie mieć widzów.

Ojciec spoglądał to na nią, to na Amber.

— Dobrze się czuje? Wygląda na trochę… senną.

— Dostała coś, żeby się uspokoiła i poczuła lepiej — wyjaśniła Tiffany. — No i nie powinna teraz biegać po okolicy.

— Jej mama była w strasznym stanie — rzekł z wyrzutem. — Ale powiedziałem jej, że opiekujesz się nią w bardzo bezpiecznym miejscu.

W jego tonie brzmiała nie aż tak delikatna sugestia „Jesteś tego pewna, prawda?”, lecz Tiffany starannie ją zignorowała.

— Tak było — odpowiedziała krótko.

Spróbowała sobie wyobrazić panią Petty w strasznym stanie, ale bezskutecznie. Za każdym razem, kiedy ją spotykała, kobieta miała na twarzy wyraz zalęknionego zdziwienia, jak gdyby życie niosło zbyt wiele zagadek, a ona tylko czekała, aż trafi w nią następna.

Ojciec odciągnął Tiffany na bok i zniżył głos.

— Petty wrócił nocą — szepnął. — I podobno ktoś próbował go zabić!

— Co?!

— Pewne jak to, że tu stoję.

Tiffany spojrzała na Amber. Dziewczyna patrzyła w niebo, jakby cierpliwie czekała, aż zdarzy się coś ciekawego.

— Amber — odezwała się ostrożnie. — Umiesz karmić kury, prawda?

— O tak, panienko.

— No to idź i nakarm nasze. Ziarno znajdziesz w szopie.

— Twoja mama nakarmiła je parę godzin temu… — zaczął ojciec, ale Tiffany odciągnęła go na bok.

— Kiedy to się stało? — spytała, patrząc, jak Amber posłusznie idzie do szopy.

— Jakoś tak w nocy. Pani Petty mi mówiła. Ktoś go mocno pobił. W tej krzywej stodole, tam gdzie siedzieliśmy.

— Pani Petty wróciła? Po tym wszystkim, co zaszło? Co ona w nim widzi?

Pan Obolały wzruszył ramionami.

— To jej mąż.

— Ale wszyscy wiedzą, że ją bije!

Ojciec był trochę zakłopotany.

— No wiesz… pewnie dla niektórych kobiet jakikolwiek mąż jest lepszy niż żaden.

Tiffany otworzyła już usta do odpowiedzi, ale spojrzała ojcu w oczy i dostrzegła prawdziwość tych słów. Widywała takie kobiety także w górach, wyczerpane przez zbyt dużo dzieci i za mało pieniędzy. Oczywiście, jeśli znały nianię Ogg, można było coś zrobić przynajmniej w kwestii dzieci, ale i tak spotykało się czasem rodziny, które żeby podać na stół coś do jedzenia, musiały sprzedać krzesła. I nigdy nikt nie znalazł na to rady.

— Nikt pana Petty’ego nie pobił, tato, choć to całkiem niezły pomysł. Znalazłam go, kiedy próbował się powiesić, więc go odcięłam.

— Miał dwa złamane żebra i cały był posiniaczony.

— Spadł z wysoka, tato. On się dusił! Co miałam zrobić? Pozwolić mu tam się bujać? Przeżył i zobaczył nowy dzień, czy na to zasługuje, czy nie. Nie do mnie należą egzekucje! Tam leżał bukiet, tato! Zielska i pokrzywy! A on miał dłonie poparzone od pokrzyw! Więc przynajmniej jakaś jego cząstka zasługuje na to, żeby żył! Rozumiesz?

— Ale wykradłaś dziecko.

— Nie, tato. Wykradłam się stamtąd z dzieckiem. Posłuchaj, tato, bo to ważne. Pochowałam dziecko, które umarło. Ocaliłam człowieka, który umierał. To właśnie zrobiłam, tato. Ludzie mogą nie zrozumieć, mogą wymyślać sobie różne historie… Nie obchodzi mnie to. Trzeba robić to, co jest najpilniejsze.

Usłyszeli gdakanie i Amber przeszła przez podwórze, a kury podążały za nią rzędem. Gdakała Amber; Tiffany i jej ojciec patrzyli, jak kury maszerują tam i z powrotem, jakby ćwiczyły musztrę. Dziewczyna chichotała cicho między jednym gdaknięciem a drugim. Kiedy kury z powagą zatoczyły krąg wokół niej, spojrzała na Tiffany i jej ojca, jak gdyby nic się nie stało, i poprowadziła ptaki do szopy.

Po chwili odezwał się pan Obolały.

— To się wcale nie zdarzyło, prawda?

— Zdarzyło się — odparła Tiffany. — Nie mam pojęcia, w jaki sposób.

— Rozmawiałem z paroma chłopakami — powiedział jej ojciec. — A mama pogadała z kobietami. Będziemy mieli oko na Pettych. Zaniedbaliśmy sprawy, których nie powinniśmy zaniedbywać. Ludzie nie mogą wszystkiego zrzucać na ciebie. Nie mogą liczyć, że ty wszystko załatwisz. A jeśli posłuchasz mojej rady, nie będziesz próbować. Są sprawy, którymi musi się zająć cała wioska.

— Dzięki, tato — odparła Tiffany. — Teraz zajrzę do barona.

\* \* \*

Tiffany ledwie pamiętała barona jako zdrowego mężczyznę. Nikt też nie wiedział, co mu właściwie dolega. Ale jak wielu inwalidów, których widziała, jakoś się trzymał, żył rutyną i czekał na śmierć.

Słyszała, jak miejscowi nazywają go skrzypiącym drzewem, które sto lat stoi. Jednak stan barona ostatnio się pogorszył i zdaniem Tiffany już wkrótce to drzewo jego życia runie ostatecznie.

Mogła jednak odebrać mu ból i nawet trochę go postraszyć tak, żeby przez jakiś czas nie powracał.

Kiedy dotarła do zamku, powitała ją pielęgniarka, panna Spruce. Była blada.

— To nie jest jego dobry dzień — poinformowała. I dodała ze skromnym uśmiechem: — Przez cały ranek się za niego modliłam.

— Na pewno to bardzo ładnie z pani strony. — Tiffany pilnowała, by w głosie nie pojawił się nawet ślad sarkazmu, jednak pielęgniarka i tak rzuciła jej niechętne spojrzenie.

Pokój pachniał jak izby chorych na całym świecie: za dużo ludzi, za mało powietrza. Pielęgniarka stanęła w progu, jakby na straży. Tiffany czuła na karku jej bezustannie podejrzliwy wzrok. Coraz częściej spotykało ją takie traktowanie. To się zdarza — na przykład kiedy w okolicy pojawiają się wędrowni kaznodzieje, którzy nie lubią czarownic, a inni ich słuchają. Tiffany miała wrażenie, że ludzie żyją w bardzo dziwnym świecie. Wszyscy wiedzieli — z jakiegoś tajemniczego źródła — że czarownice porywają dzieci, ściągają zarazę na zboże i inne podobne bzdury. A równocześnie w te pędy biegli do czarownicy, kiedy tylko potrzebowali pomocy.

Baron leżał w pomiętej pościeli. Twarz miał poszarzałą, a włosy siwe, z wyjątkiem małych różowych plamek w miejscach, gdzie całkiem powypadały. Zawsze dbał o porządek i codziennie rano przychodził któryś z gwardzistów, żeby go ogolić. Poprawiało to baronowi humor, o ile można to stwierdzić. W tej chwili jednak zdawało się, że patrzy przez Tiffany na wylot. Była przyzwyczajona — baron należał do, jak to nazywają, „starej szkoły”. Był dumny i nie miał łagodnego charakteru, ale nigdy się nie poddawał. Dla niego ból był brutalem i dręczycielem, a jak się postępuje wobec brutali i dręczycieli? Nie wolno im ustąpić, w końcu uciekną. Tyle że ból nie znał tej zasady. Po prostu dręczył jeszcze mocniej. A baron leżał, zaciskając blade wargi; Tiffany wyraźnie słyszała, jak nie krzyczy.

Po chwili siedziała już obok niego. Zamknęła i rozprostowała dłonie, nabrała tchu i odebrała ból, wywołując go ze schorowanego ciała i umieszczając w niewidzialnej kuli nad swym ramieniem.

— Wiesz, że nie uznaję magii — oznajmiła od drzwi pielęgniarka.

Tiffany skrzywiła się jak linoskoczek, który poczuł właśnie, że ktoś uderzył ciężkim drągiem o koniec liny. Ostrożnie pozwoliła, by strumień bólu wygasał po trochu.

— Rozumiem, że od tego czuje się lepiej — ciągnęła panna Spruce — ale skąd się bierze cała ta moc uzdrawiająca? Tego chciałabym się dowiedzieć.

— Może bierze się z pani modlitw — odparła słodko Tiffany i z satysfakcją dostrzegła, że przez twarz tej kobiety przemknął wyraz furii.

Jednak panna Spruce miała skórę grubą jak słoń.

— Musimy mieć pewność, że nie działają tu siły mroczne i demoniczne. Lepsza jest odrobina cierpienia na tym świecie niż wieczne męki na tamtym.

Wysoko w górach są tartaki napędzane energią wody. Wielkie tarczowe piły wirują tak szybko, że zmieniają się w srebrzysty błysk w powietrzu… do chwili gdy jakiś roztargniony robotnik zapomni, że powinien uważać, bo wtedy piła staje się czerwonym dyskiem, a w powietrzu fruwają palce.

Tak właśnie czuła się teraz Tiffany. Musiała się skoncentrować, bo ból tylko czekał na moment rozproszenia uwagi. No trudno, będzie, co będzie… cisnęła ból w stojący obok łóżka lichtarz. Rozpadł się natychmiast, a świeca rozbłysła płomieniem; Tiffany przydepnęła ją i zgasiła. Potem zwróciła się do zdumionej pielęgniarki.

— Panno Spruce, nie wątpię, że to, co pani ma do powiedzenia, jest niezwykle interesujące, ale ogólnie, panno Spruce, niespecjalnie mnie obchodzi pani opinia o czymkolwiek. Nie przeszkadza mi, panno Spruce, jeśli chce pani zostać, ale chcę zaznaczyć, panno Spruce, że to, co robię, jest bardzo trudne, a gdyby coś się nie udało, to także dla mnie niebezpieczne. Proszę wyjść, panno Spruce, albo zostać, panno Spruce, ale przede wszystkim siedzieć cicho, panno Spruce, bo dopiero zaczęłam i muszę jeszcze przenieść wiele bólu.

Panna Spruce rzuciła jej kolejne spojrzenie. Było przerażające.

Tiffany odpowiedziała jej własnym spojrzeniem, a jeśli czarownica naprawdę się czegoś porządnie uczy, to spoglądać.

Za wzburzoną pielęgniarką trzasnęły drzwi.

— Mów cicho… Podsłuchuje w korytarzu…

Głos należał do barona, ale był ledwie słyszalny. Pobrzmiewały w nim tony kogoś przywykłego do wydawania poleceń, lecz teraz łamał się i cichł, a każde słowo błagało tylko o dość czasu, by zdążył wypowiedzieć następne.

— Przepraszam, ale muszę się skupić, proszę pana — odparła Tiffany. — Bardzo bym nie chciała, żeby coś się nie udało.

— Oczywiście. Zachowam milczenie.

Odbieranie bólu jest niebezpieczne, trudne i bardzo wyczerpujące, ale dało cudowną rekompensatę, gdy szara twarz starca zaczęła wracać do życia. Już teraz skóra zaróżowiła się nieco, a potem bardziej, kiedy coraz więcej bólu spływało z niego przez Tiffany do nowej niewidzialnej kuli unoszącej się nad jej prawym ramieniem.

Równowaga. Najważniejsza jest równowaga. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakich się nauczyła: środek huśtawki nie jest ani w górze, ani w dole, ale górność i dolność przepływają przez niego, choć on sam pozostaje w bezruchu. Musiała stać się właśnie środkiem huśtawki, żeby ból spływał przez nią, a nie do niej. Potrafiła tego dokonać! Była z siebie dumna; nawet babcia Weatherwax z satysfakcją mruknęła coś pod nosem, kiedy pewnego dnia Tiffany pokazała jej, że opanowała tę sztuczkę. A mruknięcie babci Weatherwax odpowiadało gromkim oklaskom kogokolwiek innego.

Baron się uśmiechał.

— Dziękuję, panno Tiffany Obolała. A teraz chciałbym usiąść w swoim fotelu.

To było niezwykłe i Tiffany musiała się zastanowić.

— Na pewno? Jest pan bardzo słaby.

— Wiem, wszyscy mi to powtarzają. — Baron machnął ręką. — Nie mam pojęcia, czemu im się wydaje, że tego nie wiem. Proszę pomóc mi się podnieść, panno Tiffany Obolała, bo muszę z panią porozmawiać.

Nie było to zbyt trudne. Dziewczyna, która potrafiła wywlec z łóżka pana Petty, nie miała specjalnych kłopotów z baronem, tyle że obchodziła się jak z porcelanową figurką.

— Nie wydaje mi się, byśmy pani i ja, panno Tiffany Obolała, przez cały ten czas, kiedy się pani mną zajmuje, prowadzili ze sobą coś więcej niż tylko najprostsze i najbardziej praktyczne rozmowy. Mam rację? — rzekł, kiedy tylko usadowiła go z laską w rękach, by mógł się na niej opierać. Baron nie należał do ludzi, którzy rozsiadają się w fotelu, kiedy mogą przysiąść na samym brzegu.

— Rzeczywiście, proszę pana, chyba ma pan rację — przyznała ostrożnie.

— Dziś w nocy śniło mi się, że mam tu gościa — oświadczył baron z kpiącym uśmiechem. — I co pani o tym myśli, panno Tiffany Obolała?

— Chwilowo nie mam pojęcia, proszę pana — odparła Tiffany, myśląc: Oby nie któryś z Feeglów! Niech to nie będą Feeglowie!

— To była pani babcia, panno Tiffany Obolała. Wspaniała kobieta o niezwykłej urodzie. O tak… Bardzo się zirytowałem, kiedy wyszła za pani dziadka, lecz przypuszczam, że tak było lepiej. Ale wie pani, brakuje mi jej.

— Naprawdę?

Starzec się uśmiechnął.

— Kiedy moja droga żona odeszła, ona była jedyną osobą, która ośmielała się ze mną kłócić. Człowiek obdarzony władzą i odpowiedzialnością potrzebuje kogoś, kto powie mu, kiedy zachowuje się jak dureń. Muszę zaznaczyć, że babcia Obolała wypełniała to zadanie z godnym podziwu entuzjazmem. I powinna, ponieważ często byłem durniem, który wymagał kopniaka w dupę, metaforycznie. Żywię nadzieję, panno Tiffany Obolała, że kiedy zejdę już do grobu, wyświadczy pani tę samą przysługę mojemu synowi Rolandowi, który, jak pani wie, bywa niekiedy nadmiernie zadufany w sobie. Będzie mu potrzebny ktoś, kto kopnie go w dupę, metaforycznie, albo i całkiem realnie, jeśli zacznie mu się przewracać w głowie.

Tiffany spróbowała ukryć uśmiech, a potem przez chwilę regulowała obrót kuli bólu wiszącej przyjaźnie nad jej ramieniem.

— Dziękuję za zaufanie. Postaram się go nie zawieść.

Baron odchrząknął uprzejmie.

— Muszę wyznać, że w pewnym momencie żywiłem nadzieję, iż pani i mój syn możecie nawiązać… bardziej intymne stosunki…

— Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi — zapewniła ostrożnie Tiffany. — Byliśmy dobrymi przyjaciółmi i wierzę, że pozostaniemy… dobrymi przyjaciółmi.

Musiała szybko zająć się bólem, który zakołysał się niebezpiecznie.

Baron pokiwał głową.

— To świetnie, panno Tiffany Obolała. Ale proszę nie pozwalać, by te więzy przyjaźni powstrzymały panią przed wymierzeniem mu słusznego kopniaka w dupę, gdyby go potrzebował.

— Uczynię to z przyjemnością, proszę pana — obiecała Tiffany.

— Brawo, panienko. I dziękuję, że nie skarciła mnie pani za użycie słowa „dupa” ani nie spytała o znaczenie słowa „metaforycznie”.

— Nie, proszę pana. Wiem, co znaczy „metaforycznie”, a „dupa” jest powiązana z kopem tradycyjną frazeologią i nie ma się czego wstydzić.

Baron przytaknął.

— Ma pochwały godną dojrzałą wyrazistość. „Pupa” czy „tyłek” nadają się, szczerze mówiąc, dla starych panien i małych dzieci.

Tiffany wypróbowała te słowa na języku.

— Rzeczywiście, proszę pana. Wydaje się, że zgrabnie pan to podsumował.

— Bardzo dobrze. Nawiasem mówiąc, panno Tiffany Obolała, trudno mi ukryć zainteresowanie faktem, że ostatnio nie dyga pani w mojej obecności. Dlaczego nie?

— Teraz jestem czarownicą, proszę pana. My nie dygamy.

— Ale ja jestem twoim baronem, moja panno.

— Tak. A ja jestem pańską czarownicą.

— Ale ja mam tutaj żołnierzy, którzy przybiegną, gdy tylko zawołam. A wie pani, jestem pewien, że ludzie tutaj nie zawsze szanują czarownice.

— Tak, proszę pana. Wiem o tym, proszę pana. Ale jestem pańską czarownicą.

Tiffany obserwowała oczy barona. Były bladobłękitne, lecz w tej chwili pojawiła się w nich przebiegła, figlarna iskierka.

Najgorsze, co mogłabyś teraz zrobić, powiedziała sobie w myślach, to okazać jakąkolwiek słabość. On jest jak babcia Weatherwax. Testuje ludzi.

I całkiem jakby czytał jej w myślach, dokładnie w tym momencie baron się roześmiał.

— Jest pani bardzo samodzielną osobą, panno Tiffany Obolała.

— Trudno mi to ocenić, proszę pana. A ostatnio mam nawet wrażenie, że jestem własnością wszystkich.

— No tak. Mówiono mi, że pracuje pani bardzo ciężko i sumiennie.

— Jestem czarownicą.

— Istotnie — zgodził się baron. — Już pani o tym mówiła, wyraźnie, konsekwentnie i wielokrotnie. — Obie kościste dłonie wsparł na lasce i spojrzał ponad nimi. — A więc to prawda? To, że jakieś siedem lat temu wzięła pani żelazną patelnię i wyruszyła do swego rodzaju krainy baśni, gdzie ocaliła pani mojego syna przed królową elfów, kobietą bardzo niegodziwą, jak rozumiem?

Tiffany się zawahała.

— Czy chce pan, żeby tak było?

Baron zachichotał i wyciągnął chudy palec.

— Czy chcę, żeby tak było? Doprawdy! Dobre pytanie, panno Tiffany Obolała, która jest czarownicą. Niech pomyślę… Powiedzmy tyle… że chcę poznać prawdę.

— No więc ten fragment o patelni jest prawdą, przyznaję. No i Roland był wtedy mocno sponiewierany, więc musiałam, wie pan, przejąć dowodzenie. Trochę.

— Trochę? — powtórzył z uśmiechem starzec.

— Nie takie nierozsądnie wielkie trochę — zapewniła pospiesznie Tiffany.

— A czemu wtedy nikt mi o tym nie powiedział, jeśli wolno spytać?

— Bo jest pan baronem — odparła krótko. — A chłopcy z mieczami ratują dziewczęta. Tak się toczą opowieści. Tak opowieści działają. Nikt naprawdę nie chciał myśleć, że mogło być na odwrót.

— Nie było ci przykro?

Nie odrywał od niej wzroku i zdawało się, że nawet nie mruga. Kłamstwo nie miało sensu.

— Tak. Trochę.

— Czy było to rozsądnie duże trochę?

— Tak mi się zdaje, owszem. Ale potem wyjechałam, żeby zostać czarownicą, i to chyba przestało mieć znaczenie. Taka jest prawda, proszę pana. Ale kto właściwie panu powiedział?

— Pani ojciec — odparł baron. — I jestem mu za to wdzięczny. Wczoraj mnie odwiedził, żeby złożyć wyrazy szacunku, wiedząc, że… widzi pani… umieram. Co jest, niestety, kolejną prawdą. I niech pani nawet nie myśli o robieniu mu wymówek, czy jako młoda dama, czy czarownica, czy kto tam jeszcze. Obiecuje pani?

Tiffany wiedziała, że to długie podtrzymywanie kłamstwa bolało ojca. Ona sama nigdy się tym specjalnie nie przejmowała, ale on tak.

— Obiecuję.

Baron milczał przez chwilę.

— Wie pani, panno Tiffany Obolała, będąca, drogą regularnej powtarzalności, czarownicą, osiągnąłem już wiek, kiedy wzrok mam przyćmiony, ale umysł jakoś potrafi spojrzeć dalej, niż można by przypuszczać. Może nie jest jeszcze za późno, by spróbować coś naprawić. Pod moim łóżkiem stoi skrzynia okuta mosiądzem. Proszę ją otworzyć. No, dalej! Proszę otworzyć teraz!

Tiffany wyciągnęła skrzynię — tak ciężką, jakby była pełna ołowiu.

— Znajdzie tam pani skórzane mieszki — odezwał się starzec. — Proszę wyjąć jeden. Zawiera piętnaście dolarów. — Zakaszlał. — Dziękuję za uratowanie syna.

— Nie mogę przyjmować… — zaczęła Tiffany, lecz baron zastukał laską o podłogę.

— Proszę się uciszyć i słuchać, panno Tiffany Obolała. Kiedy walczyła pani z królową elfów, nie była pani jeszcze czarownicą, a zatem tradycja zakazująca czarownicom przyjmowania pieniędzy nie ma tu zastosowania. — Oczy migotały mu jak szafiry. — Co do pani osobistej opieki nade mną, jak rozumiem, jest ona opłacana używaną czystą pościelą, używanym obuwiem i drewnem na opał. Mam nadzieję, że moja ochmistrzyni była hojna. Kazałem jej nie oszczędzać.

— Co? Aha, tak, oczywiście, proszę pana.

To była prawda. Czarownice żyły w świecie używanych ubrań, starych prześcieradeł (dobrych na opatrunki), butów, w których zostało jeszcze trochę życia, i oczywiście wszystkich rzeczy z drugiej ręki, z trzeciej ręki, z lewej do prawej ręki, z prawej do lewej i ogólnie z ręki do ręki. W takim świecie dostęp do resztek z funkcjonującego zamku był jak wręczenie klucza do mennicy. Co do pieniędzy… raz po raz obracała w dłoniach skórzany mieszek. Był bardzo ciężki.

— A co pani z tym wszystkim robi, panno Tiffany Obolała?

— Co? — spytała z roztargnieniem, wciąż patrząc na mieszek. — Och, no… wymieniam albo przekazuję ludziom, którzy są w potrzebie… nic takiego.

— Panno Tiffany Obolała, nagle zaczęła pani wyrażać się mgliście. Sądzę, że skupiła się pani na myśli, że piętnaście dolarów to niewiele, prawda, za ocalenie życia synowi barona.

— Nie!

— Przyjmę, że znaczy to „tak”, zgoda?

— Przyjmie to pan za „nie”! Jestem pańską czarownicą! — zdyszana, spojrzała na niego z gniewem. — I próbuję utrzymać dość trudną kulę bólu, proszę pana.

— Ach, wnuczka babci Obolałej… Pokornie proszę o wybaczenie, jak niekiedy ją powinienem prosić. Ale mimo wszystko proszę uczynić mi tę przyjemność i zaszczyt, i przyjąć tę sakiewkę, panno Tiffany Obolała, a jej zawartość wykorzystać na moją pamiątkę tak, jak uzna pani za stosowne. Jestem pewien, że to więcej pieniędzy, niż pani kiedykolwiek widziała.

— Rzadko kiedy w ogóle widuję pieniądze — zaprotestowała, nieco oszołomiona.

Baron znowu stuknął laską o podłogę, jakby bił jej brawo.

— Bardzo wątpię, czy widziała pani kiedyś takie — oświadczył wesoło. — Widzi pani, w mieszku jest piętnaście dolarów, ale nie takich, do jakich jest pani przyzwyczajona albo byłaby pani, gdyby w ogóle była przyzwyczajona do pieniędzy. To stare dolary, z czasów, zanim zaczęli majstrować przy walucie. Współczesny dolar to głównie mosiądz, moim zdaniem, a złota zawiera tyle co morska woda. Te jednak to prawdziwe złotówki, jeśli wybaczy mi pani ten żarcik.

Tiffany wybaczyła mu ten żarcik, ponieważ go nie zrozumiała. Uśmiechnął się, widząc jej niepewność.

— Krótko mówiąc, panno Tiffany Obolała, jeśli zaniesie pani te monety do odpowiedniego kupca, powinien zapłacić, hm, oceniam, że około pięciu tysięcy ankhmorporskich dolarów. Nie wiem, ile to wyjdzie w przeliczeniu na stare buty, ale możliwe, że mogłaby pani kupić za to stary but rozmiaru tego zamku.

A Tiffany myślała: Nie mogę tego wziąć. Pomijając wszystko inne, mieszek stał się wręcz niezwykle ciężki.

Powiedziała więc:

— To o wiele za dużo dla czarownicy.

— Ale nie za dużo za syna — odparł baron. — Nie za dużo za dziedzica, nie za dużo za ciągłość pokoleń. Nie za dużo za usunięcie kłamstwa z tego świata.

— Nie mogę sobie za to kupić drugiej pary rąk. Ani zmienić choćby jednej sekundy z przeszłości.

— Mimo to muszę nalegać, by pani przyjęła te pieniądze — rzekł baron. — Jeśli nie dla pani, to dla mnie. Zdejmie to ciężar z mojej duszy, a może mi pani wierzyć, przyda jej się małe czyszczenie. Zgodzi się pani chyba? Niedługo umrę, prawda?

— Tak, proszę pana. Myślę, że bardzo niedługo.

Przez ten czas Tiffany zaczęła już barona trochę rozumieć, więc nie była zdziwiona, kiedy się roześmiał.

— Wie pani — rzekł — większość powiedziałaby: „Ależ skąd, staruszku, pożyjesz jeszcze długie lata, ani się obejrzysz, a będziesz zdrów jak ryba, przed tobą jeszcze kawał życia!”.

— Istotnie, proszę pana. Ale ja jestem czarownicą.

— A w tym kontekście oznacza to…?

— Bardzo się staram, żebym nie musiała kłamać, proszę pana.

Starzec poprawił się w fotelu. Nagle spoważniał.

— Kiedy nadejdzie czas… — I urwał.

— Dotrzymam panu towarzystwa, proszę pana, jeśli pan chce — obiecała Tiffany.

Baron przyjął to z ulgą.

— Widziałaś kiedyś Śmierć?

Spodziewała się tego, więc była przygotowana.

— Zwykle wyczuwa się tylko jego przejście, proszę pana, ale dwukrotnie spotkałam go w jego postaci, którą nazwałabym fizyczną, gdyby istniał w fizycznym świecie. To szkielet z kosą, jak na obrazkach w książkach… Prawdę mówiąc, sądzę, że właśnie dlatego, że tak go rysują w książkach. Był uprzejmy, ale stanowczy.

— Nic dziwnego! — Starzec milczał przez chwilę, po czym zapytał: — Czy… czy sugerował cokolwiek na temat życia pozagrobowego?

— Tak, proszę pana. Jak się wydaje, nie zawiera ono musztardy. Odniosłam też wrażenie, że nie ma w nim również marynat.

— Naprawdę? To ciężki cios. Przypuszczam, że także keczup jest wykluczony?

— Nie zagłębiałam się w temacie pikantnych przypraw. Miał bardzo dużą kosę.

Ktoś zastukał mocno do drzwi i panna Spruce zawołała:

— Dobrze się czujesz, panie?!

— Absolutnie znakomicie, droga panno Spruce! — odpowiedział baron głośno, a potem konspiracyjnie ściszył głos. — Mam wrażenie, że nasza panna Spruce niezbyt panią lubi, moja droga.

— Uważa, że jestem niehigieniczna — stwierdziła Tiffany.

— Nigdy tak naprawdę nie rozumiałem, o co w tym chodzi — wyznał baron.

— To całkiem łatwe. Przy każdej okazji muszę wtykać ręce do ognia.

— Co takiego? Wtykasz ręce do ognia?

Pożałowała, że o tym wspomniała, ale wiedziała, że staruszek nie da jej spokoju, dopóki mu nie pokaże. Westchnęła i podeszła do kominka, gdzie zdjęła ze stojaka duży żelazny pogrzebacz. Musiała przyznać się przed sobą, że lubiła się czasem popisywać, a baron będzie dobrą widownią. Ale czy powinna? No cóż, sztuczka z ogniem nie jest skomplikowana, ból był dobrze wyważony, a w końcu baronowi nie zostało już wiele czasu.

Wyciągnęła wiadro wody z niedużej studni na drugim końcu pokoju. Studnia, a zatem również wiadro, zawierała w sobie żaby, ale Tiffany była łaskawa i wrzuciła je z powrotem. Nikt nie lubi gotować żab. Wiadro z wodą też nie było naprawdę konieczne, ale miało swoją rolę do odegrania.

Chrząknęła teatralnie.

— Widzi pan, proszę pana? Mam tutaj jeden pogrzebacz i jedno wiadro zimnej wody. Zimny pogrzebacz, zimne wiadro z wodą. Teraz… w lewej ręce ściskam pogrzebacz, a prawą wtykam w najgorętszą część płomienia, o tak.

Baron syknął, kiedy płomienie rozjarzyły się wokół jej dłoni, a czubek pogrzebacza nagle rozgrzał się do czerwoności.

Kiedy uznała, że wywarła na baronie dostateczne wrażenie, zanurzyła pogrzebacz w wodzie, z której uniósł się obłok pary. Potem stanęła przed baronem i wyciągnęła przed siebie obie dłonie, bez żadnej rany.

— Przecież widziałem, jak się palisz! — Baron szeroko otworzył oczy. — Brawo! Doskonałe! To jakaś sztuczka, prawda?

— Raczej umiejętność, proszę pana. Włożyłam rękę do ognia, a całe ciepło przesłałam do pogrzebacza. Przemieściłam je. Ten ogień, który pan widział, to były kawałki martwej skóry, brudu i wszystkie te paskudne, niewidzialne, gryzące stworki, które ludzie niehigieniczni miewają na rękach… — Urwała. — Dobrze się pan czuje? — Baron patrzył na nią, wytrzeszczając oczy. — Proszę pana! Proszę pana!

Starzec przemówił, jak gdyby czytał z niewidzialnej książki:

— „Zając do ognia bieży. Zając do ognia bieży. Ogień go przyjmuje, nie pali się. Ogień go kocha, nie pali się. Zając do ognia bieży. Ogień go kocha, jest wolny”… Wszystko teraz wróciło! Jak mogłem zapomnieć? Jak śmiałem zapomnieć? Mówiłem sobie, że zapamiętam to na zawsze, ale czas płynie i świat wypełnia się zdarzeniami do pamiętania, zadaniami do wykonania, sprawami zajmującymi czas, zajmującymi pamięć… I zapominasz to, co ważne, co prawdziwe.

Tiffany ze zdumieniem zobaczyła, że łzy spływają mu po twarzy.

— Pamiętam wszystko — szepnął głosem przerywanym szlochami. — Pamiętam żar! Pamiętam zająca!

W tym momencie drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju weszła panna Spruce. To, co się następnie zdarzyło, trwało tylko chwilę, ale Tiffany zdawało się, że minęła godzina. Pielęgniarka spojrzała na nią, trzymającą pogrzebacz, potem na starca we łzach, na chmurę pary, potem znów na Tiffany, która wypuściła pogrzebacz, na starca i jeszcze raz na Tiffany, kiedy pogrzebacz wylądował w kominku z brzękiem, który odbił się echem w świecie. Następnie panna Spruce nabrała tchu jak wieloryb, kiedy szykuje się do zanurkowania na dno oceanu, i wrzasnęła:

— Niby co mu robisz?! Wynoś się stąd, bezczelna lafiryndo!

Dar mowy powrócił do Tiffany bardzo szybko i po chwili rozrósł się do daru krzyku:

— Nie jestem bezczelna! I nie lafirynduję!

— Natychmiast wzywam straże, posępna nocna wiedźmo! — krzyknęła pielęgniarka i pobiegła do drzwi.

— Jest dopiero jedenasta trzydzieści! — zawołała za nią Tiffany.

Nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić. Ból się zakołysał. Poczuła go. Nie była dostatecznie skupiona. Traciła równowagę. Koncentrowała się przez chwilę, po czym, próbując się uśmiechać, zwróciła się do barona.

— Bardzo przepraszam, że pana zdenerwowałam — zaczęła i dostrzegła, że staruszek uśmiecha się przez łzy, a jego twarz promienieje.

— Zdenerwowałaś? Wielkie nieba, skąd, wcale nie jestem zdenerwowany! — Spróbował wyprostować się na fotelu i drżącym palcem wskazał ogień. — Wręcz przeciwnie, czuję się rozbudzony! Pełen życia! Jestem młody, panno Tiffany Obolała! Widzi mnie pani? Tam, w dolinie? Idealny, rześki wrześniowy dzień. Mały chłopiec w tweedowej kurtce, która za bardzo drapała, to pamiętam, drapała i pachniała moczem! Mój ojciec śpiewał „Melodyjnie śpiewają skowronki”, a ja próbowałem dołączyć, ale nie potrafiłem oczywiście, bo miałem tyle głosu co królik. Przyglądaliśmy się, jak wypalają ścierniska. Wszędzie było pełno dymu, a kiedy nadciągnęły płomienie, myszy, szczury, króliki i nawet lisy biegły w naszą stronę, uciekając przed ogniem. Bażanty i kuropatwy startowały w ostatniej chwili, jak to one. Nagle zapadła cisza i zobaczyłem zająca. Stał tam i patrzył na mnie, dookoła spadały strzępy płonącej trawy, za nim ściana ognia, a on patrzył prosto na mnie i wiedział, mogę przysiąc, że zwrócił moją uwagę. I wtedy wybił się w górę i skoczył w ogień. Naturalnie, płakałem głośno, bo był taki piękny. Ale ojciec wziął mnie na ręce i powiedział, że zdradzi pewną tajemnicę, i nauczył mnie piosenki o zającu, żebym znał prawdę i już nie płakał. Później obejrzeliśmy popioły i nie było tam martwego zająca.

Staruszek niezgrabnie odwrócił ku niej twarz… która promieniała, naprawdę promieniała. Jarzyła się.

Skąd się to bierze? — zastanawiała się Tiffany. Blask jest zbyt żółty, żeby pochodził od ognia na kominku, a zasłony są zaciągnięte. Zawsze było tutaj zbyt ciemno, ale teraz jakby słońce zaświeciło w rześki wrześniowy dzień…

— Pamiętam, że kiedy wróciliśmy do domu, narysowałem to wszystko kredkami. Tato był taki dumny… Pokazywał ten rysunek w całym zamku, żeby wszyscy mogli podziwiać — ciągnął baron, pełen entuzjazmu jak mały chłopczyk. — To były dziecięce bazgroły, oczywiście, ale mówił o tym jak o dziele geniusza. Rodzice czasem tak się zachowują. Znalazłem ten rysunek w jego dokumentach, kiedy umarł; jeśli to panią interesuje, jest w skórzanej teczce w tej skrzyni z pieniędzmi. To w końcu cenna rzecz. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem — dodał. — Ludzie, dni i wspomnienia przychodzą i znikają, ale to jedno zawsze tu było. Żadne pieniądze, jakie mógłbym pani ofiarować, panno Tiffany Obolała, nie wynagrodzą tego, że przywróciła mi pani tę cudowną wizję, którą zapamiętam aż do dnia mojej…

Płomienie w kominku znieruchomiały na moment i chłód przeniknął powietrze. Tiffany nigdy nie była całkiem pewna, czy widziała Śmierć, tak naprawdę widziała. Może w jakiś przedziwny sposób wszystko to działo się w jej głowie. Ale gdziekolwiek on był, był tutaj.

CZY TO NIE BYŁ ODPOWIEDNI MOMENT? — zapytał Śmierć.

Tiffany się nie cofnęła. To nie miało sensu.

— Ty to zorganizowałeś? — spytała.

CHOĆ BARDZO BYM CHCIAŁ PRZYPISAĆ SOBIE ZASŁUGĘ, DZIAŁAJĄ TU INNE SIŁY. MIŁEGO DNIA, PANNO OBOLAŁA.

Śmierć odszedł, a baron pomaszerował za nim — mały chłopiec w nowej tweedowej kurtce, która okropnie drapała i czasami pachniała moczem[[9]](#footnote-9), idący za ojcem przez dymiące pole.

A potem Tiffany położyła dłoń na twarzy zmarłego i z szacunkiem zamknęła mu oczy, w których przygasało światło płonących ściernisk.



Rozdział 5

MATKA JĘZYKÓW

Powinna teraz nastąpić chwila spokoju, ale zamiast niej nadszedł czas żelaza. Zbliżało się kilku zamkowych gwardzistów, a ich zbroje robiły nawet więcej hałasu niż zwykłe zbroje, ponieważ żadna nie pasowała jak należy. Od setek lat nie zdarzyła się tutaj żadna bitwa, jednak gwardziści nadal nosili pancerze, bo rzadko kiedy trzeba je łatać i raczej się nie przecierają.

Drzwi otworzył Brian, sierżant. Jego twarz miała dość skomplikowany wyraz. Był to wyraz twarzy człowieka, któremu właśnie powiedziano, że zła czarownica — którą znał jeszcze z czasów, kiedy była małą dziewczynką — zabiła jego szefa, syn szefa wyjechał, a czarownica nadal jest w komnacie, natomiast pielęgniarka — której nigdy zbytnio nie lubił — popycha go z tyłu i krzyczy:

— No na co czekasz?! Czyń swoją powinność!

Wszystko to działało mu na nerwy.

Rzucił Tiffany niepewne spojrzenie.

— Dzień dobry, panienko, wszystko w porządku? — Potem zobaczył barona w fotelu. — Więc on nie żyje, tak?

— Tak, Brian — potwierdziła Tiffany. — Umarł parę minut temu i mam powody, by wierzyć, że był szczęśliwy.

— No, to pewnie dobrze… Chyba — stwierdził sierżant, po czym jego twarz wykrzywiła się boleśnie i łzy błysnęły w oczach, przez co następne słowa zabrzmiały wilgotnie i płaczliwie. — Wiesz, naprawdę był dla nas bardzo dobry, kiedy moja babunia zachorowała. Codziennie przysyłał jej gorący posiłek, codziennie, aż do końca.

Ujęła jego bezwładną dłoń i spojrzała ponad ramieniem. Pozostali gwardziści też płakali, a płakali tym bardziej, że byli silnymi, mocnymi mężczyznami — przynajmniej taką mieli nadzieję — i w ogóle nie powinni płakać. Ale baron zawsze był tutaj, był jak wschód słońca. Owszem, potrafił dać człowiekowi solidną burę, jeśli przyłapał go śpiącego na służbie albo znalazł tępy miecz (mimo że za pamięci żyjących żaden gwardzista nie musiał używać miecza do czegokolwiek prócz podważenia pokrywki na słoju dżemu), ale kiedy pominąć nieistotne drobiazgi, to był ich baronem, oni byli jego ludźmi, a teraz odszedł.

— Zapytaj ją o pogrzebacz! — wrzasnęła pielęgniarka za Brianem. — No już, zapytaj o pieniądze!

Pielęgniarka nie widziała twarzy Briana. Tiffany owszem. Prawdopodobnie znowu poczuł szturchnięcie z tyłu, bo nagle poczerwieniał.

— Wybacz, Tiff… to znaczy panienko, ale ta dama mówi, że uważa, że dokonałaś morderstwa i kradzieży — powiedział, a jego twarz mówiła wyraźnie, że w tej chwili właściciel wcale tak nie uważa i nie chce kłopotów z kimkolwiek, a zwłaszcza z Tiffany.

Tiffany wynagrodziła go lekkim uśmiechem. Zawsze pamiętaj, że jesteś czarownicą, mówiła sobie. Nie zaczynaj krzyczeć, że jesteś niewinna. Ty wiesz, że jesteś niewinna. Niczego nie musisz wykrzykiwać.

— Baron był tak dobry, że podarował mi trochę pieniędzy za… opiekę nad nim. Przypuszczam, że panna Spruce przypadkiem usłyszała go wtedy i odniosła błędne wrażenie.

— To było bardzo dużo pieniędzy! — upierała się panna Spruce, czerwona na twarzy. — Ta wielka skrzynia pod łóżkiem barona stała otwarta!

— Wszystko to prawda — zgodziła się Tiffany. — I wydaje się, że panna Spruce słyszała przypadkiem przez dość długi czas.

Kilku gwardzistów parsknęło, przez co panna Spruce rozzłościła się jeszcze bardziej, o ile to możliwe. Przecisnęła się naprzód.

— Czy zaprzeczasz, że stałaś tam z pogrzebaczem i ręką w płomieniach? — spytała groźnie, czerwona jak indyk.

— Chciałabym coś powiedzieć, jeśli można — oświadczyła Tiffany. — To dosyć ważne.

Czuła już niecierpliwy ból próbujący wyrwać się na swobodę. Ręce miała wilgotne.

— Przyznaj, że uprawiałaś czarną magię!

Tiffany odetchnęła głęboko.

— Nie wiem, co to takiego. Ale wiem, że tuż nad ramieniem trzymam ostatni ból, jaki poznał baron. I muszę się go szybko pozbyć. A nie mogę tego zrobić tutaj, przy wszystkich. Proszę… Potrzebuję otwartej przestrzeni, i to już.

Odepchnęła na bok pannę Spruce, a gwardziści odsunęli się jej z drogi, co niezwykle zirytowało pielęgniarkę.

— Nie puszczajcie jej! Odleci! One zawsze tak robią!

Tiffany dobrze znała rozkład zamku — jak wszyscy. Kilka stopni w dół wiodło na korytarz prowadzący na dziedziniec i tam ruszyła szybko, czując, jak ból porusza się i rozwija. Trzeba było myśleć o nim jak o zwierzęciu zapędzonym w ślepy zaułek, lecz to działało tylko przez pewien czas. Tak długo, aż… no, właściwie do teraz.

Sierżant stanął obok niej, więc chwyciła go za ramię.

— Nie pytaj po co — zdołała wyszeptać przez zaciśnięte zęby. — Ale proszę, rzuć swój hełm do góry!

Był dostatecznie bystry, by wykonać polecenie. Hełm zakręcił się w powietrzu jak talerz i Tiffany cisnęła za nim ból, czując jego straszliwą jedwabistość, kiedy odzyskał swobodę. Hełm zatrzymał się w locie, jakby trafił w niewidzialny mur, a potem spadł na kamienie bruku w obłoku pary, cały pogięty.

Sierżant podniósł go i natychmiast upuścił.

— Jest gorący jak demony! — Wytrzeszczył oczy na Tiffany, która oparła się o ścianę i oddychała ciężko. — I ty odbierałaś mu taki ból codziennie?

Otworzyła oczy.

— Tak, tylko normalnie miałam dość czasu, żeby go gdzieś zrzucić. Woda i kamień się za bardzo nie nadają, ale na metal można liczyć. Nie pytaj dlaczego. Jeśli próbuję się zastanowić, jak to działa, to przestaje.

— Słyszałem też, że potrafisz robić różne sztuczki z ogniem — rzekł z podziwem sierżant Brian.

— Z ogniem pracuje się łatwo, jeśli człowiek się skupi, ale ból… ból walczy. Ból żyje. Ból jest wrogiem.

Sierżant ostrożnie spróbował podnieść hełm, w nadziei że już wystygł.

— Postaram się wyrównać te wgniecenia, zanim szef zobaczy. Wiesz, jak nie lubi nieporządku… Oj…

Wbił wzrok w ziemię.

— Tak — odparła Tiffany możliwie delikatnie. — Nie tak łatwo się przyzwyczaić, co?

Podała mu chusteczkę, a Brian wydmuchał nos.

— Potrafisz odbierać ból. Czy to znaczy, że potrafisz…?

Tiffany uniosła rękę.

— Przerwij w tym miejscu. Wiem, o co chcesz poprosić, i odpowiedź brzmi: nie. Gdybyś odrąbał sobie rękę, pewnie umiałabym sprawić, żebyś o tym zapomniał, dopóki nie spróbowałbyś nią jeść, ale smutek, żal? Tego nie potrafię. Nie ośmieliłabym się przy nich majstrować. Istnieje coś takiego, co nazywa się ukojeniami, i znam tylko jedną osobę na świecie, która umie je stosować, ale nie mam zamiaru nawet prosić, żeby mnie nauczyła. Sięgają zbyt głęboko.

— Tiff… — Brian zawahał się i rozejrzał, jakby w obawie, że pielęgniarka zjawi się nagle i znowu go szturchnie.

Tiffany czekała. Proszę, nie pytaj, myślała. Znasz mnie przez całe życie. Nie podejrzewasz chyba…

Brian spojrzał na nią błagalnie.

— Czy ty… coś zabrałaś?

Głos mu zamarł.

— Nie, oczywiście, że nie — oświadczyła Tiffany. — Jakiś robak wlazł ci do głowy? Jak w ogóle mogłeś coś takiego pomyśleć?

— Nie wiem. — Brian poczerwieniał z zakłopotania.

— Aha. No to w porządku.

— Chyba muszę przypilnować, żeby młody panicz się dowiedział — stwierdził Brian, kiedy już hałaśliwie wytarł nos. — Ale wiem tylko, że pojechał do wielkiego miasta razem ze swoją…

Znów urwał, zakłopotany.

— Ze swoją narzeczoną — dokończyła Tiffany spokojnie. — Możesz to powiedzieć głośno, naprawdę.

Brian odchrząknął.

— No bo rozumiesz, myśleliśmy… no, wszyscy sobie myśleliśmy, że ty i on jesteście, no wiesz…

— Zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi — oświadczyła Tiffany. — I nic więcej.

Żal jej było Briana, choć za często otwierał usta, zanim zdążyły nawiązać połączenie z mózgiem. Poklepała go po ramieniu.

— A może polecę do miasta i go odszukam?

Niemal rozpłynął się z ulgi.

— Zrobisz to?

— Oczywiście. Widzę, że macie tu dużo roboty, więc spróbuję zdjąć z was trochę obowiązków.

Oczywiście, dodam ich sobie, pomyślała, idąc po korytarzach zamku. Wieści rozchodziły się szybko. Ludzie stali pod ścianami i płakali albo zwyczajnie wyglądali na zagubionych. Kucharka podbiegła do niej przed samym wyjściem.

— Co ja mam robić? Mam na piecu obiad dla tego biedaka!

— Proszę go zdjąć i dać komuś, kto potrzebuje porządnego obiadu — odparła energicznie Tiffany.

Najważniejsze to mówić spokojnym, rzeczowym tonem. Ludzie byli w szoku. Ona także by była, gdyby miała trochę czasu, ale w tej chwili najważniejsze to wciągnąć innych z powrotem do świata tu i teraz.

— Posłuchajcie mnie wszyscy! — Jej głos odbił się echem w wielkim holu. — Owszem, wasz baron umarł, ale przecież nadal macie barona. Zjawi się niedługo ze swoją… panią, a wy powinniście wysprzątać wszystko na ich przyjazd! Znacie swoje obowiązki! Bierzcie się do pracy! Wspominajcie go dobrze i zróbcie tu porządek dla niego!

To działało. Zawsze. Głos, który brzmi tak, jakby jego właścicielka wiedziała, co robi, mógł załatwić wiele spraw, zwłaszcza jeśli właścicielka nosiła czarny szpiczasty kapelusz. Nagle wszyscy ruszyli z miejsc.

— Pewnie sobie myślisz, że ujdzie ci to na sucho, co? — odezwał się ktoś za jej plecami.

Tiffany odczekała chwilę, nim się odwróciła, ale kiedy już się odwróciła, to z uśmiechem.

— Och, panna Spruce… Wciąż pani tu jest? Może trzeba wyszorować jakieś podłogi?

Pielęgniarka była uosobieniem furii.

— Ja nie szoruję podłóg, ty arogancka mała…

— Nie, pani niczego nie szoruje, panno Spruce. Zauważyłam to. Panna Flowerdew, która pracowała tu wcześniej, ona potrafiła wyszorować podłogę. Szorowała tak, że można było potem zobaczyć na tej podłodze własną twarz, choć w pani przypadku nie wiem, czemu miałoby to być zachętą. Panna Jumper, która była tu jeszcze przed nią, szorowała nawet podłogi piaskiem, białym piaskiem! Ścigała brud, jak terier ściga lisa!

Pielęgniarka otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz Tiffany nie zostawiła jej miejsca na słowa.

— Kucharka mówiła mi, że jest pani kobietą bardzo religijną, zawsze na kolanach, i jeśli o mnie chodzi, to bardzo dobrze, nie mam nic przeciw temu, ale czy nigdy pani nie przyszło do głowy, żeby uklęknąć ze ścierką i wiadrem? Ludzie nie potrzebują modlitw, panno Spruce, potrzebują wykonania pracy, która ich czeka. A ja mam już pani dosyć, panno Spruce, zwłaszcza pani ślicznego białego fartucha. Myślę, że pani biały fartuch wywarł wielkie wrażenie na Rolandzie, ale na mnie wcale nie, panno Spruce, bo pani nigdy nie robi nic, czym mógłby się zabrudzić!

Pielęgniarka podniosła rękę.

— Mogłabym cię uderzyć!

— Nie — oświadczyła stanowczo Tiffany. — Nie mogłaby pani.

Ręka pozostała w powietrzu.

— Jeszcze nigdy w życiu nikt mnie tak nie obraził! — wrzasnęła wściekła pielęgniarka.

— Doprawdy? — zdziwiła się Tiffany. — Jestem szczerze zaskoczona. — Odwróciła się na pięcie i podeszła do młodego gwardzisty, który właśnie zjawił się w holu. — Widziałam cię już tutaj, ale cię nie znam. Jak masz na imię, jeśli wolno spytać?

Młody gwardzista powitał ją tym, co prawdopodobnie uważał za salut.

— Preston, panienko.

— Czy baron został już przeniesiony do krypty, Prestonie?

— Tak, panienko. Zniosłem też kilka latarni, trochę ręczników i wiadro ciepłej wody. — Wyszczerzył zęby, widząc jej minę. — Moja babcia zajmowała się przygotowaniem ciał, kiedy byłem mały. Mogę pomóc, jeśli sobie życzysz.

— A czy twoja babcia pozwalała ci pomagać?

— Nie, panienko. Mówiła, że mężczyzn nie dopuszcza się do takich spraw, chyba że mają certyfikat w doktrynie.

Tiffany nie zrozumiała.

— W doktrynie?

— No wiesz, panienko… Doktryna: pigułki i eliksiry, ucinanie nóg i takie rzeczy.

Błysnęło światło.

— Ach, mówisz o doktorach. Nie, nie trzeba. Tu nie chodzi o to, żeby biedak lepiej się poczuł. Poradzę sobie sama, ale dziękuję za propozycję. To zajęcie dla kobiet.

\* \* \*

Dlaczego właściwie to zajęcie dla kobiet, nie mam pojęcia, pomyślała, kiedy wkroczyła do krypty i podwinęła rękawy. Młody gwardzista był na tyle przewidujący, że przyniósł nawet miseczkę z ziemią i miseczkę z solą[[10]](#footnote-10). Jego babcia dobrze się sprawiła, uznała Tiffany. Przynajmniej nauczyła młodego człowieka czegoś użytecznego.

Płakała, kiedy starała się, by starzec nabrał „prezencji”, jak określała to babcia Weatherwax. Zawsze płakała. Płacz jest potrzebny. Ale nie należy płakać tam, gdzie ktokolwiek mógłby zobaczyć, nie wtedy, gdy jest się czarownicą. Ludzie się tego nie spodziewają. To budzi w nich niepokój.

Odstąpiła. No cóż, musiała przyznać, że staruszek wyglądał zdecydowanie lepiej niż wczoraj. Jako ostatnie pociągnięcie wyjęła jeszcze z kieszeni dwie monety i ostrożnie położyła mu je na powiekach.

Tak nakazywał stary zwyczaj, którego nauczyła ją niania Ogg. Ale był też nowy obyczaj, który znała tylko Tiffany. Oparła rękę o krawędź marmurowej płyty, a w drugą chwyciła wiadro wody. I stała tak nieruchomo, aż woda zawrzała, a na marmurze zaczął się tworzyć lód. Potem wyniosła wiadro na zewnątrz i wylała jego zawartość do ścieku.

Gdy skończyła, w zamku trwała ogólna krzątanina, więc zostawiła ludzi, żeby sami radzili sobie z sytuacją. Zawahała się, kiedy już wyszła za mury, i przystanęła, by się zastanowić. Ludzie często nie chcą przystanąć, żeby się zastanowić. Myślą po drodze. A czasami to naprawdę dobre rozwiązanie: przestać się poruszać, na wypadek gdyby człowiek poruszał się po niewłaściwej ścieżce.

Roland był jedynym synem barona i — o ile Tiffany wiedziała — jego jedynym krewnym, a przynajmniej jedynym, który miał prawo zbliżać się do zamku. Po straszliwych i kosztownych prawnych bitwach Rolandowi udało się wygnać okropne ciotki; szczerze mówiąc, nawet stary baron uważał je za najpaskudniejszą parę fretek, jaką człowiek może znaleźć w nogawkach spodni swego życia. Ale była jeszcze jedna osoba, która powinna się dowiedzieć, której z baronem nie łączyło absolutnie żadne pokrewieństwo, ale jednak o sprawach tak ważnych powinna być poinformowana jak najszybciej.

Tiffany ruszyła w górę, do kopca Feeglów, by porozmawiać z keldą.

\* \* \*

Gdy przybyła na miejsce, Amber siedziała przed kopcem i szyła coś w słońcu.

— Dzień dobry, panienko — powitała ją pogodnie. — Pójdę i powiem pani keldzie, że przyszłaś.

Po czym zniknęła w jamie, bez wysiłku — jak wąż. Kiedyś i Tiffany tak potrafiła.

Dlaczego Amber tu wróciła? — zastanowiła się Tiffany. Zaprowadziła ją na farmę Obolałych, gdzie była bezpieczna. Czemu zatem dziewczyna wróciła na wzgórza, do kopca? Jak mogła w ogóle zapamiętać drogę do niego?

— Bardzo interesujące dziecko z tej małej — zabrzmiał czyjś głos i Ropuch[[11]](#footnote-11) wysunął głowę spod liścia. — Muszę zaznaczyć, że wydajesz się niezwykle wzburzona, panienko.

— Stary baron nie żyje — poinformowała Tiffany.

— Cóż, można się było spodziewać. Niech żyje baron — odparł Ropuch.

— Nie pożyje długo — zauważyła Tiffany. — Jest martwy.

— Nie — skrzeknął Ropuch. — Tak się powinno mówić. Kiedy umiera król, trzeba natychmiast ogłosić, że przychodzi następny. To ważne. Zastanawiam się, jaki będzie ten nowy. Rob Rozbój twierdzi, że ma jeszcze mleko pod nosem i nie jest godny, żeby wylizywać ci buty. I że bardzo mocno cię uraził.

Niezależnie od przeszłych wydarzeń Tiffany nie miała zamiaru słuchać tych słów bez protestu.

— Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek cokolwiek dla mnie wylizywał, uprzejmie dziękuję. A poza tym — dodała — to przecież nie jest ich baron, prawda? Feeglowie bardzo są dumni z tego, że nie mają władcy.

— Twoje przedłożenie jest poprawne — przyznał z godnością Ropuch. — Ale musisz pamiętać, że dumni są również z tego, iż piją na umór przy najdrobniejszym możliwym pretekście, co powoduje znaczącą niepewność ich nastrojów, oraz że baron bardzo stanowczo uważał, iż jest de facto właścicielem wszystkich nieruchomości w okolicy. Ta teza daje się prawnie utrzymać, choć z przykrością stwierdzam, że ja już nie jestem w stanie jej dowieść. Ale ta dziewczyna, trzeba przyznać, jest dosyć dziwna. Zauważyłaś?

Czy zauważyłam? — myślała Tiffany. A co miałabym zauważyć? Amber to zwykły dzieciak[[12]](#footnote-12), widywała ją we wsi — nie tak cicha, żeby się o nią martwić, nie tak hałaśliwa, żeby się irytować. I to właściwie tyle… Ale potem przypomniała sobie: kury. Tak, to było dziwne.

— Mówi po feeglowemu! — oznajmił Ropuch. — I nie chodzi mi o łojzicki, to tylko gwara. Chodzi mi o poważne, stare słowa, jakich używa kelda, o język, którym mówili tam, gdzie mieszkali, zanim przybyli tu stamtąd, skąd przybyli. Przepraszam, gdybym się przygotował, potrafiłbym ułożyć lepsze zdanie. — Zastanowił się. — Osobiście nie rozumiem ani słowa po feeglowemu, a ona jakoś to chwyta. I jeszcze jedno: przysiągłbym, że próbowała rozmawiać ze mną po ropuszemu. Sam nie mówię za dobrze, ale trochę znajomości pojawiło się z… ze zmianą kształtu.

— Chcesz powiedzieć, że rozumie niezwykłe słowa?

— Nie jestem pewien. Wydaje mi się, że rozumie znaczenia.

— Poważnie? Zawsze uważałam, że jest trochę… prosta.

— Prosta? — Ropuch wyraźnie dobrze się bawił. — No więc jako prawnik mogę zapewnić, że coś, co wydaje się proste, bywa w rzeczywistości niesamowicie skomplikowane, zwłaszcza jeśli płacą mi od godziny. Słońce jest proste. Miecz jest prosty. Burza jest prosta. Za wszystkim, co proste, ciągnie się długi ogon komplikacji.

Amber wysunęła głowę z nory.

— Pani kelda mówi, że spotka się z panienką w kredowej jamie — oznajmiła podniecona.

Kiedy Tiffany zsuwała się ostrożnie przez staranne maskowanie, usłyszała z dołu przytłumione radosne okrzyki.

Lubiła kredową jamę. Wydawało się niemożliwe, by być naprawdę nieszczęśliwą, gdy obejmowały ją wilgotne białe ściany, a błękitne światło dnia kłuło przez kolczaste gałęzie. Czasami, kiedy była dużo młodsza, widywała pradawne ryby wypływające i wpływające do kredowej jamy — prehistoryczne ryby z czasów, gdy Kreda była lądem pod falami. Woda zniknęła już dawno, ale dusze widmowych ryb tego nie zauważyły. Były opancerzone jak rycerze i stare jak kreda. Teraz już ich nie widywała. Może wzrok się zmienia z wiekiem, pomyślała.

W powietrzu unosił się silny zapach czosnku, a dużą część dna jamy pokrywały ślimaki. Feeglowie chodzili ostrożnie między nimi i malowali na skorupkach numery. Amber siedziała obok keldy, obejmując rękami kolana. Oglądane z góry, wyglądało to zupełnie jak próby psów pasterskich, tyle że było mniej szczekania, a więcej śluzu.

Kelda zauważyła Tiffany i uniosła do warg mały paluszek. Szybkim ruchem głowy wskazała Amber, która była całkowicie pochłonięta spektaklem. Jeannie poklepała dłonią miejsce obok siebie, po drugiej stronie.

— Wis, oglądamy tu chłopców, jak malują nase znaki na gadzinie.

Jej głos brzmiał odrobinę dziwnie. Był to ten rodzaj głosu, jakiego używają dorośli, kiedy mówią dzieciom: „Świetnie się bawimy, prawda?”, na wypadek gdyby dzieci same jeszcze tego nie odkryły.

Lecz Amber wyglądała, jakby naprawdę dobrze się bawiła. Tiffany przyszło do głowy, że towarzystwo Feeglów wyraźnie czyni ją szczęśliwą.

Miała wrażenie, że kelda woli rozmowę na lekkie tematy, więc zapytała:

— Po co je znakować? Kto by próbował je ukraść?

— Inni Feeglowie, łocywiście. Mój Rob uwaza, wis, ze bedą w kolejce stawać, coby ukraść nase ślimaki, kiedy łostaną sie bez ochrony.

Tiffany przyglądała się zdziwiona.

— Dlaczego zostaną bez ochrony?

— Bo moje chłopaki, wis, bedą daleko stąd i bedą kraść ich gadzinę. To stara feeglowa tradycja i łoznaca, ze każdy ma do woli bijatyk, kradzenia, podprowadzania bydła, a psede syćkim zawse ulubionego pijaństwa. — Kelda mrugnęła porozumiewawczo do Tiffany. — W kazdym razie chłopcy mają swoją zabawę, a psez to się tu nie kręcą i nie wpadają nam pod nogi.

Klepnęła Amber w kolano i powiedziała do niej coś, co brzmiało jak bardzo stara wersja mowy Feeglów. Amber odpowiedziała w tym samym języku. Kelda znacząco skinęła głową na Tiffany i wskazała drugi koniec jamy.

— Co jej powiedziałaś? — spytała Tiffany, oglądając się na dziewczynę. Amber nadal przyglądała się Feeglom z tym samym radosnym zaciekawieniem.

— Pedziałam, ze ty i ja musimy poprowadzić rozmowe dla dorosłych — odparła kelda. — A łona na to, ze chłopcy są bardzo śmiesni. Nie wiem jak, ale jakoś naucyła się Matki Języków. Wis, Tiffany, uzywam jej tylko do rozmawiania z córką i z gonaglem[[13]](#footnote-13) i zem se z nim gadała na kopcu wcoraj w nocy, kiedy ona dołącyła! Naucyła się od samego słuchania! To nie powinno sie dziać! Ma ona zadki dar, trudno zapsecyć. Musi mieć w głowie syćkie znacenia, a to juz magia, moja panno, cysty dar, ni ma co!

— Jak to możliwe?

— Kto wie? To jest dar. A jeśli posłuchas mojej rady, to wyśles te dziewcyne na kstałcenie.

— Nie jest trochę za duża, żeby teraz zaczynać?

— Uc ją stuki albo sukaj jakiego inksego ujścia jej daru. Wiez mi, dziewcyno, nie kce, cobyś uwazała, ze pobicie dziewecki prawie na śmierć to cosik dobrego, ale kto wi, jak się wybierają sciezki zycia? Łona ma dar rozumienia. Cy by go nasła inacej? Dobze wis, ze sens zycia to łodkryć swój dar. Łodkryć swój dar to scęście. Nie znaleźć go, to załość. Pedziałaś, ze jest łona troske prosta. Posukaj jej naucyciela, który wydobędzie to, co w niej skomplikowanego. Dziewecka naucyła sie trudnego języka, ino go słuchając. Światu bardzo tsa takich, któzy to potrafią.

To miało sens. Wszystko, co powiedziała kelda, miało sens.

Jeannie milczała przez chwilę.

— Psykro mi, ze baron nie zyje — powiedziała w końcu.

— Przepraszam. Miałam ci powiedzieć.

Kelda się uśmiechnęła.

— Myślis, co keldzie tsa mówić takie zecy, dziewusko? To był poządny cłek, a ty dobze mu pomagałaś.

— Muszę teraz polecieć i odnaleźć nowego barona Potrzebuję chłopców, żeby pomogli mi szukać. W mieście żyją tysiące ludzi, a oni dobrze sobie radzą ze znajdowaniem różnych rzeczy[[14]](#footnote-14).

Spojrzała na niebo. Nigdy jeszcze nie leciała przez całą drogę do wielkiego miasta i nie miała ochoty na lot po ciemku.

— Wyruszę o świcie. Ale przede wszystkim, Jeannie, lepiej zabiorę Amber do domu. Chciałabyś wrócić, Amber, prawda? — spytała bez wielkiej nadziei.

\* \* \*

Trzy kwadranse później leciała na miotle w stronę wioski, a wrzaski wciąż rozlegały się jej w uszach. Amber nie chciała wracać. Swoją niechęć do opuszczenia kopca zademonstrowała bardzo wyraźnie, zapierając się rękami i nogami o ściany jamy i krzycząc ile sił w płucach za każdym razem, kiedy Tiffany próbowała ją lekko pociągnąć. Gdy zrezygnowała, dziewczyna znowu usiadła obok keldy. I tak skończyła się sprawa. Człowiek układa plany dla innych, ale oni układają swoje.

Jakkolwiek na to spojrzeć, Amber miała rodziców. Okropnych rodziców, można by powiedzieć, a potem jeszcze dodać, że to i tak delikatne określenie. Ale powinni przynajmniej wiedzieć, że jest bezpieczna… No bo jaka krzywda mogłaby spotkać Amber pod opieką keldy?

\* \* \*

Pani Petty zatrzasnęła drzwi, kiedy tylko zobaczyła na progu Tiffany, i niemal natychmiast otworzyła je znowu, zalana łzami. Wnętrze cuchnęło nie tylko zwietrzałym piwem i złą kuchnią, ale też bezradnością i zagubieniem. Kot — najbardziej wyliniały, jakiego Tiffany w życiu widziała — prawie na pewno stanowił część tego problemu.

Pani Petty z przerażenia traciła rozum — ile go tam miała. Padła na kolana, błagając o coś niezrozumiale. Tiffany zaparzyła jej kubek herbaty, co nie było zadaniem dla słabych duchem, jako że cała zastawa w domu tworzyła stos w kamiennym zlewie, wypełnionym poza tym mulistą wodą, która od czasu do czasu bulgotała cicho. Tiffany poświęciła kilka minut na solidne szorowanie, nim uzyskała kubek, z którego mogłaby się napić — a i tak coś grzechotało w imbryku.

Pani Petty usiadła na jedynym krześle mającym wszystkie cztery nogi i paplała bełkotliwie o tym, jak to jej mąż jest naprawdę dobrym człowiekiem, pod warunkiem że dostaje obiad na czas, a Amber nie jest zbyt niegrzeczna. Tiffany odwiedzała różne domy i zdążyła się przyzwyczaić do takich desperackich zapewnień. Generował je zwykle lęk — lęk przed tym, co stanie się z mówiącym, kiedy znowu zostanie sam. Babcia Weatherwax radziła sobie z tym w taki sposób, że napełniała strachem przed babcią Weatherwax absolutnie wszystkich, ale babcia Weatherwax miała wiele lat praktyki, no… w byciu babcią Weatherwax.

Ostrożne, nieagresywne pytania ujawniły, że pan Petty śpi na górze; sama Tiffany przekazała pani Petty tylko tyle, że Amber znalazła się pod opieką bardzo miłej damy i odzyskuje zdrowie. Pani Petty znowu zaczęła płakać.

Nędza tego domu również działała na nerwy. Tiffany starała się powstrzymać od irytacji, ale czy naprawdę tak trudno byłoby chlusnąć na kamienną podłogę wiadro zimnej wody i miotłą usunąć ją potem za drzwi? Tak trudno jest zrobić mydło? Całkiem porządne mydło da się przygotować z popiołu drzewnego i zwierzęcego tłuszczu. Matka Tiffany stwierdziła kiedyś: „Nikt nie jest zbyt biedny, by umyć szybę”. Ojciec, żeby tylko mamę rozzłościć, zmieniał to czasem na: „Nikt nie jest zbyt biedny, by umyć szyję”, ale to też była prawda, przynajmniej w odniesieniu do własnej szyi. Ale od czego można zacząć z tą rodziną? A to, co tkwiło w imbryku, nadal grzechotało — pewnie usiłowało się wydostać.

Większość kobiet w okolicznych wioskach uczyła się, jak być twardą. Bo musiały być twarde, żeby utrzymać rodzinę z wypłaty robotnika na farmie. Istniało miejscowe powiedzonko, będące czymś w rodzaju recepty na radzenie sobie z nieznośnym mężem. Brzmiało: „Jęzor na obiad, zimna szopa i miedziany pręt”. Oznaczało, że kłopotliwy mąż może się spodziewać awantury zamiast obiadu, będzie musiał spać w szopie, a jeśli zamachnie się na żonę, może solidnie oberwać długim prętem, który w każdym domu służył do mieszania prania w balii. Zwykle więc pojmowali, że błądzą, zanim zagrała kocia muzyka.

— Nie chciałaby pani krótkich wakacji od pana Petty? — zaproponowała Tiffany.

Kobieta, blada jak ślimak i chuda jak patyk, spojrzała przerażona.

— Och, nie! — jęknęła. — Nie poradziłby sobie beze mnie!

A potem… potem wszystko ułożyło się źle, to znaczy jeszcze gorzej niż do tej pory. Zaczęło się niewinnie i tylko dlatego, że kobieta była taka załamana.

— Więc przynajmniej sprzątnę pani w kuchni — oświadczyła Tiffany energicznie.

Byłoby dobrze, gdyby zwyczajnie chwyciła miotłę i wzięła się do pracy, ale nie, musiała stanąć, popatrzeć na szary, pokryty pajęczynami sufit i powiedzieć:

— No dobrze, wiem, że tam jesteście, zawsze za mną chodzicie, więc może się na coś przydacie i posprzątacie w tej kuchni, ale dokładnie!

Przez kilka sekund nic się nie działo, a potem usłyszała — ponieważ nasłuchiwała — stłumioną rozmowę pod sufitem.

— Ześ to słysał? Łona wi, ześmy tu są! Jakze to jest, ze zawse umi zgadnąć?

Nieco inny głos Feegla odpowiedział:

— Dlatego ze zawse za nią łazimy, tępolu!

— Ano wim to dobze, ino ze idzie o to, ześmy jej psecie psyzekli ucciwie więcej za nią nie łazić!

— Ano, to była urocysta psysięga.

— Istowo. I nie mogę nie być ciut trosecke rozcarowany, ze wielka ciut wiedźma nie psejmuje sie nasą urocystą psysięgą! Ciut to razi nase ucucia, nie?

— Ale ześmy złamali urocystą psysięgę. Jak zwykle Feeglowie.

A trzeci głos wtrącił:

— Rusajciez sie psecie, chłystki jedne, bo mamy juz Tupanie Nogą!

Jakby wir przemknął przez brudną, ciasną kuchnię[[15]](#footnote-15). Spieniona woda plusnęła o buty Tiffany, które rzeczywiście przytupywały. Trzeba tu zaznaczyć, że nikt nie potrafi zrobić większego bałaganu niż grupa Feeglów, ale co dziwne, potrafią go również sprzątnąć, nawet bez pomocy ptaszków ani innych leśnych zwierzątek.

Zlew opróżnił się w jednej chwili i napełnił mydlinami. Drewniane talerze i cynowe kubki brzęczały w powietrzu, gdy ogień zbudził się do życia. Z głośnym stukiem wypełniła się skrzynia na drewno. Potem wszystko jeszcze przyspieszyło i nagle tuż obok ucha Tiffany zadrżał wbity w ścianę widelec. Para uniosła się jak mgła, a z jej kłębów dobiegły dziwne odgłosy; światło słońca wlało się do wnętrza przez czyste okno; miotła przesunęła się, pchając przed sobą resztki wody; zawrzała woda w czajniku; na stole pojawił się wazon z kwiatami — trzeba przyznać, że niektóre łodygą do góry — i nagle pomieszczenie było świeże i czyste, i nie pachniało już gnijącymi ziemniakami.

Tiffany spojrzała na sufit. Kot trzymał się tam belki wszystkimi czterema łapami. Rzucił jej coś, co stanowczo było Spojrzeniem. Nawet czarownica może przegrać wzrokowy pojedynek z kotem, który ma już wszystkiego powyżej uszu, a sam wciąż znajduje się zdecydowanie powyżej swych uszu.

Po chwili zlokalizowała pod stołem panią Petty osłaniającą rękami głowę. Kiedy wreszcie udało się ją przekonać, by wyszła, usiadła na wygodnym czystym stołku i napiła się herbaty z cudownie czystego kubka, bardzo gorliwie przyznała, że nastąpiła wyraźna poprawa. Chociaż później Tiffany doszła do wniosku, że pani Petty zgodziłaby się absolutnie na wszystko, byle tylko Tiffany sobie poszła.

A zatem może nie sukces, ale przynajmniej kuchnia była o wiele czyściejsza i pani Petty z pewnością będzie wdzięczna, jeśli tylko znajdzie czas, żeby się nad tym zastanowić. Warknięcie i głuchy stuk, które Tiffany usłyszała, wychodząc z zapuszczonego ogródka, prawdopodobnie spowodował kot, który porzucił towarzystwo sufitu.

W połowie drogi na farmę, z miotłą na ramieniu, pomyślała głośno:

— Może to jednak było trochę niemądre.

— Nie fesztuj sie — odpowiedział jej głos. — Byśmy mieli ciutecke casu, tobyśmy jesce chleba napiekli.

Spojrzała w dół — obok szedł Rob Rozbój i szóstka innych, znanych jako Nac Mac Feeglowie, Wolni Ciut Ludzie, a czasem też jako Oskarżeni, Podejrzani, jako osoby poszukiwane przez policję w związku z dochodzeniem, a niekiedy również jako „To ten drugi od lewej, przysięgam, że to był on!”.

— Ciągle za mną chodzicie — poskarżyła się. — Chociaż zawsze obiecujecie, że już nie.

— Ano, ino ze nie biezes pod uwage misi nam powiezonej. Jest ześ wiedźmą tych wzgóz i musimy zawse być gotowi ci pomagać i cie łochraniać, niewazne, co na to powies — oświadczył stanowczo.

Wśród pozostałych Feeglów nastąpiło powszechne i gwałtowne kiwanie głowami, co spowodowało gęsty opad kawałków ołówka, szczurzych zębów, wczorajszej kolacji, ciekawych kamieni z dziurkami, żuków, obiecujących smarków, zachowanych do późniejszego zbadania w wolnej chwili, oraz ślimaków.

— Słuchajcie — zirytowała się Tiffany. — Nie możecie tak biegać i pomagać ludziom, czy tego chcą, czy nie!

Rob Rozbój poskrobał się po głowie, odłożył na miejsce ślimaka, który wypadł, i zapytał:

— Cemu nie, panienko? Ty tak robis.

— Wcale nie! — zaprotestowała głośno, ale w głębi poczuła, jakby strzała przebiła jej serce. Nie byłam miła dla pani Petty, pomyślała. Owszem, to prawda, kobieta sprawia wrażenie, jakby miała nie tylko mózg, lecz także styl zachowania myszy, jednak choć brudny, ten cuchnący domek był domkiem pani Petty, a Tiffany wpadła nagle razem z… żeby nie określać tego zbyt dosadnie… z bandą Nac Mac Feeglów i narobiła bałaganu, choć istotnie, w końcu było go tam o wiele mniej niż na początku.

Byłam apodyktyczna, zadufana i przemądrzała. Moja matka poradziłaby sobie lepiej. Właściwie to pewnie dowolna kobieta z wioski poradziłaby sobie lepiej, ale ja jestem czarownicą, więc popełniałam błąd za błędem i przeraziłam ją śmiertelnie. Ja, smarkata dziewczyna w szpiczastym kapeluszu.

I jeszcze coś: jeśli nie położy się bardzo szybko, to chyba się przewróci. Kelda miała rację, Tiffany naprawdę nie pamiętała, kiedy ostatnio spała w porządnym łóżku, a przecież ono czekało na nią na farmie. W dodatku, przypomniała sobie nagle, ogarnięta wyrzutami sumienia, wciąż musi zawiadomić rodziców, że Amber Petty wróciła do Feeglów…

Zawsze jest coś do zrobienia, pomyślała, a potem jeszcze coś za następnym cosiem, i nie ma końca tym różnym cosiom. Nic dziwnego, że czarownice dostają miotły. Nogi na pewno by nie wystarczyły.

\* \* \*

Mama opatrywała brata Tiffany, Wentwortha, który wrócił z podbitym okiem.

— Bił się z dużymi chłopcami — poskarżyła się. — I oberwaliśmy pod oko, co, Wentworth?

— Tak, ale Billy Teller zarobił kopniaka w rozkrok.

Tiffany spróbowała powstrzymać ziewnięcie.

— A o co się biłeś, Went? Myślałam, że jesteś rozsądniejszy.

— Powiedzieli, że jesteś czarownicą, Tiff — wyjaśnił.

A matka Tiffany odwróciła się z dziwnym wyrazem twarzy.

— No bo wiesz, jestem — odparła Tiffany. — Taką mam pracę.

— No tak, ale wątpię, żebyś robiła takie rzeczy, co oni mówili, że robisz — stwierdził jej brat.

Tiffany spojrzała matce w oczy.

— To były złe rzeczy?

— Ha! Złe to mało powiedziane! — oświadczył Wentworth. Miał poplamioną koszulę z przodu, gdzie z nosa kapały krew i śluz.

— Wentworth, idź do swojego pokoju na górę — poleciła pani Obolała.

Chyba nawet babcia Weatherwax nie potrafiłaby wydać rozkazu tak błyskawicznie wykonanego. I tak pełnego ukrytej groźby zguby w przeciwnym wypadku.

Kiedy buty chłopca z ociąganiem zniknęły na schodach, mama Tiffany spojrzała na swą najmłodszą córkę i założyła ręce na piersi.

— Nie pierwszy raz bije się z chłopakami — poinformowała.

— To przez książeczki z obrazkami — tłumaczyła Tiffany. — Staram się wszystkich nauczyć, że czarownice to nie obłąkane staruchy, które chodzą i rzucają czary na ludzi!

— Kiedy wróci ojciec, powiem mu, żeby poszedł i porozmawiał z ojcem Billy’ego. Billy jest o stopę wyższy od Wentwortha, ale twój ojciec… no, ojciec jest o dwie stopy wyższy od ojca Billy’ego. Nie będzie żadnej bójki. Znasz ojca. Bardzo spokojny człowiek, musisz przyznać. Nigdy nie widziałam, żeby uderzył kogoś więcej niż dwa razy; nigdy nie musiał. Ludzie przy nim zachowują spokój. Mogą być spokojni albo… Ale coś tu jest nie w porządku, Tiff. Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni, wiesz przecież, z tego, co robisz i w ogóle, ale ludziom coś nie pasuje. Powtarzają jakieś bzdurne plotki. I mamy kłopoty ze sprzedażą serów, a przecież wszyscy wiedzą, że w serach jesteś najlepsza. No a teraz jeszcze Amber Petty. Twoim zdaniem to w porządku, że biega sobie z… z nimi?

— Mam nadzieję, mamo — odparła Tiffany. — Ale dziewczyna sama w sobie jest bardzo stanowcza, a kiedy już przyjdzie co do czego, wszystko, co mogę zrobić, to najlepsze, co potrafię.

\* \* \*

Później tej nocy Tiffany, drzemiąc w swoim pradawnym łóżku, słyszała rodziców rozmawiających cicho w pokoju na dole. I chociaż — oczywiście — czarownice nie płaczą, czuła nieprzepartą chęć, by to zrobić.



Rozdział 6

PRZYBYCIE PRZEBIEGŁEGO

Była zła na siebie, bo zaspała. Mama musiała sama przynieść jej kubek herbaty. Ale Tiffany od dawna nie wysypiała się jak należy, więc stare, lecz swojskie łóżko otuliło ją całkowicie.

A jednak mogło być gorzej, myślała, kiedy już wyruszyła. Na przykład mogłaby mieć na miotle węże. Feeglowie bardzo się cieszyli, że mogą — jak to określił Rob Rozbój — „poczuć wiatr pod kiltami”. Feeglowie byli zapewne lepsi od węży, ale tylko się tego domyślała. Zdarzało im się przebiec z jednego końca kija na drugi, żeby popatrzeć na ciekawe obiekty, nad którymi przelatywali. A raz Tiffany zerknęła przez ramię i zobaczyła ich chyba dziesięciu wiszących z końca miotły. Ściślej mówiąc, jeden wisiał, trzymając się końca miotły, następny trzymał pierwszego za pięty, trzeci trzymał drugiego i tak dalej, do ostatniego Feegla. Świetnie się bawili, śmiali na całe gardło, a ich kilty istotnie trzepotały na wietrze. Zapewne dreszczyk emocji wynagradzał im zagrożenie i brak widoków, a przynajmniej takich widoków, jakie chciałby zobaczyć ktokolwiek inny.

Jeden czy dwóch rzeczywiście wypadło spomiędzy gałązek; odlatywali coraz dalej i niżej, machając radośnie do braci, wykrzykując „juhuu!” i ogólnie traktując to jak dobrą zabawę. Feeglowie zwykle odbijają się, kiedy uderzają o ziemię, chociaż czasami nieco ją uszkadzają. Tiffany nie martwiła się o ich powrót do domu; niewątpliwie bardzo wiele niebezpiecznych stworzeń chętnie wyskoczy na małego biegnącego człowieczka, ale zanim ten człowieczek wróci do siebie, będzie ich już znacząco mniej. Właściwie Feeglowie — jak na Feeglów — zachowywali się w czasie lotu całkiem dobrze, nawet nie podpalili miotły, aż do incydentu jakieś dwadzieścia mil od miasta. Jego zwiastunem było ciche „łoj!” Tępaka Wulliego, który potem wstydliwie usiłował ukryć fakt, że podpalił gałązki miotły, stając przed płomieniami, by je zasłonić.

— Znowu podpaliłeś miotłę, prawda, Tępaku Wullie? — spytała surowo Tiffany. — Czego się nauczyliśmy ostatnim razem? Że na miotle nie palimy ognia bez ważnych powodów.

Miotła zadygotała, kiedy Tępak Wullie i jego bracia rzucili się do zadeptywania płomieni. Tiffany przeszukała wzrokiem okolicę, wypatrując czegoś miękkiego i w miarę możliwości mokrego, żeby na tym wylądować.

Ale gniewanie się na Wulliego nie miało sensu — żył we własnym, Wulliekształtnym świecie. Należało spróbować dotrzeć do niego nie wprost.

— Tak się zastanawiam, Tępaku Wullie… — powiedziała Tiffany, kiedy u miotły pojawiły się nieprzyjemne wibracje — …czy pracując wspólnie, zdołamy może ustalić, czemu moja miotła się pali. Myślisz, że ma to coś wspólnego z faktem, że trzymasz w ręku zapałkę?

Feegle przyjrzał się zapałce, jakby widział taką pierwszy raz w życiu, po czym schował ją za plecami i wbił wzrok we własne stopy, co było czynem wymagającym sporej odwagi.

— Właściwie to nie wim, panienko.

— Bo widzisz… — mówiła Tiffany, gdy wiatr świszczał wokół nich — …bez tych gałązek nie mogę porządnie sterować. I tracimy wysokość, chociaż nadal, niestety, lecimy całkiem szybko. Może zdołasz mi pomóc w rozwiązaniu tej łamigłówki, Wullie?

Tępak Wullie wcisnął mały palec do ucha i pokręcił nim, jak gdyby grzebał we własnym mózgu. Potem się rozpromienił.

— Powinni ześmy lądować, panienko.

Tiffany westchnęła.

— Chciałabym, Tępaku Wullie, ale widzisz, poruszamy się raczej szybko, a grunt wcale nie. Tym, co w takich sytuacjach następuje, jest katastrofa.

— Ja zem nie myślał, coby na ziemi lądować, panienko — zapewnił Tępak Wullie. Wyciągnął rękę w dół i dodał: — Ja zem myślał, coby lądować na tym.

Tiffany podążyła wzrokiem tam, gdzie wskazywał palec. Pod nimi biegła długa biała droga, a niezbyt daleko z przodu sunęło coś podłużnego, poruszającego się niemal tak szybko jak miotła. Patrzyła w skupieniu, słuchając obliczeń swego mózgu, po czym stwierdziła:

— Ale i tak musimy wytracić trochę prędkości…

I w taki właśnie sposób tląca się miotła — niosąca jedną wystraszoną czarownicę i ze dwa tuziny Feeglów, rozkładających kilty, żeby wyhamować — wylądowała na dachu dyliżansu pocztowego Lancre — Ankh-Morpork.

Powóz miał dobre resory, a woźnica szybko zapanował nad końmi. W milczeniu zsunął się z kozła. Wokół powoli opadał biały pył. Woźnica był mocno zbudowanym mężczyzną, krzywił się przy każdym kroku, w jednej ręce trzymał niedojedzoną kanapkę z serem, w drugiej coś, co bez żadnych wątpliwości było kawałkiem ołowianej rurki. Pociągnął nosem.

— Będę musiał zawiadomić szefa. Uszkodzenie lakieru, rozumiesz. A kiedy się uszkodzi lakier, to muszę napisać raport.

Kanapka, a co ważniejsze rurka, zniknęła pod jego bardzo obszernym płaszczem, a Tiffany ze zdumieniem odkryła, jak bardzo ją to ucieszyło.

— Naprawdę bardzo przepraszam — powiedziała, kiedy pomógł jej zejść z dachu powozu.

— Nie o mnie chodzi, rozumiesz, tylko o lakier. Mówię im, pomyślcie, tak im mówię, są przecież trolle, są krasnoludy, tak, a sami wiecie, jak oni powożą, prawie cały czas mają przymknięte oczy, bo przecież nie lubią słońca.

Tiffany siedziała nieruchomo, gdy badał uszkodzenia. Potem spojrzał na nią i zauważył szpiczasty kapelusz.

— Aha — stwierdził obojętnie. — Czarownica. Na wszystko w końcu przyjdzie pora, tak myślę. Wiesz, co tam wiozę, moja panno?

Co byłoby najgorsze? — zastanowiła się Tiffany.

— Jajka? — spytała.

— Ha, gdybyśmy mieli tyle szczęścia… — mruknął woźnica. — Lustra, moja panno. A właściwie jedno lustro. I nie jest płaskie; to kula, tak mi powiedzieli. Cała opakowana dokładnie i solidnie, mówili, ale nie wiedzieli przecież, że ktoś spadnie na nią z nieba. — Nie wyglądał na rozgniewanego, raczej znużonego, jakby stale się spodziewał, że świat spróbuje go oszukać. — Krasnoludy je zrobiły — dodał. — Mówią, że kosztowało tysiąc ankhmorporskich dolarów, a wiesz, do czego ma służyć? Mają je powiesić w sali balowej w mieście, co w niej chcą tańczyć walca, o którym dobrze wychowana młoda dama, taka jak ty, nie powinna nic wiedzieć, a to dlatego, jak napisali w azecie, że prowadzi do deprawacji i zajść.

— Coś podobnego! — powiedziała Tiffany, uznając, że czegoś takiego się od niej oczekuje.

— Lepiej pójdę zobaczyć, co tam się stało — oświadczył woźnica i zaczął otwierać tylną klapę dyliżansu. Wielka skrzynia zajmowała dużą część wnętrza. — Głównie jest zapakowana w siano — wyjaśnił. — Pomóż mi ją zdjąć. Jak coś tam brzęknie, oboje mamy kłopoty.

Okazało się, że skrzynia nie jest tak ciężka, jak Tiffany się spodziewała. Mimo to delikatnie ustawili ją na drodze, a woźnica pogrzebał wewnątrz i wyjął lustrzaną kulę. Trzymał ją w powietrzu jak niezwykły klejnot, który rzeczywiście przypominała. Wypełniała świat roziskrzonym blaskiem, oślepiającym, strzelającym dookoła jasnymi promieniami. I w tej właśnie chwili woźnica krzyknął z bólu i wypuścił kulę, która roztrzaskała się na milion odłamków i na moment wypełniła niebo milionem obrazów Tiffany. Woźnica zaś zwinął się i wylądował na drodze, wznosząc kolejny obłok białego pyłu. Jęczał przy tym boleśnie, a wokół opadały kawałki szkła.

Odrobinę szybciej niż w mgnieniu oka został otoczony pierścieniem Feeglów, uzbrojonych po zęby, jakie im jeszcze zostały, w długie miecze, więcej mieczy, pałki, topory, maczugi i co najmniej jeden dodatkowy miecz. Tiffany nie miała pojęcia, gdzie się dotąd chowali — Feegle potrafiłby się ukryć za włosem.

— Nie róbcie mu krzywdy! — krzyknęła. — Nic nie chciał mi zrobić! Jest bardzo chory! Ale moglibyście się na coś przydać i sprzątnąć to rozbite szkło! — Przykucnęła na drodze i wzięła woźnicę za rękę. — Od jak dawna cierpi pan od przeskakujących kości?

— Och, panienko, byłem ich ofiarą przez ostatnie dwadzieścia lat, prawdziwym męczennikiem — jęczał woźnica. — To te wstrząsy dyliżansu, rozumiesz. Przez zawieszenie, bo w ogóle nie działa. Nie wydaje mi się, panienko, żebym spał spokojnie częściej niż jedną noc z pięciu, taka jest prawda. Zdrzemnę się trochę, potem przewrócę na bok, jak to w łóżku, coś nagle pstryknie i zaczyna się męka, możesz mi wierzyć.

Poza kilkoma ciemnymi punktami na granicy pola widzenia dookoła nie było nikogo, naturalnie jeśli nie liczyć bandy Nac Mac Feeglów, którzy wbrew zdrowemu rozsądkowi udoskonalili sztukę chowania się za sobą nawzajem.

— No cóż… Myślę, że może będę mogła panu pomóc — oświadczyła Tiffany.

\* \* \*

Niektóre czarownice używają mobili, by zajrzeć w teraźniejszość, a jeśli szczęście będzie sprzyjać, także w przyszłość. W zadymionym półmroku pod kopcem Feeglów kelda uprawiała coś, co nazywała tajułkami — rzeczami, które się robi, które przekazuje się następcom, ale zasadniczo przekazuje się jako sekret. I była bardzo mocno świadoma faktu, że Amber obserwuje ją z wyraźnym zainteresowaniem. Dziwne dziecko, pomyślała. Widzi, słyszy i rozumie. Co byśmy dały za świat pełen takich jak ona?

Kelda ustawiła kociołek[[16]](#footnote-16) i rozpaliła mały ogieniek pod owczą skórą. Po chwili zamknęła oczy, skoncentrowała się i zajrzała we wspomnienia wszystkich keld, które były i kiedykolwiek będą. Miliony głosów unosiły się w jej głowie bez żadnego ustalonego porządku, czasem ciche, nigdy bardzo głośne, często wabiące tuż poza zasięgiem. Tworzyły cudowną bibliotekę informacji, tyle że książki w niej były ustawione nie po kolei, podobnie jak stronice wewnątrz nich, a nigdzie nie istniał żaden indeks. Musiała podążać za pasemkami dźwięku, które rozpływały się, kiedy słuchała. Wysilała się, kiedy słabe głosy, przelotne wizje, stłumione szlochy i prądy znaczeń ściągały jej uwagę w tę czy tamtą stronę… I wreszcie znalazła to przed sobą, jakby zawsze tam było, nabierające ostrości…

Otworzyła oczy, przez chwilę patrzyła na strop i powiedziała:

— Sukam wielkiej ciut wiedźmy i co takiego widze?

Spojrzała w przód, poprzez mgły wspomnień dawnych i nowych, i gwałtownie odsunęła głowę, niemal przewracając Amber, która powiedziała z zaciekawieniem:

— Człowieka bez oczu?

\* \* \*

— No więc myślę, że będę mogła panu pomóc, panie…

— Carpetlayer, panienko. William Glottal Carpetlayer.

— Carpetlayer? To chyba oznacza… człowieka, który kładzie dywany, prawda? Ale pan jest przecież woźnicą.

— Tak, owszem, i wiąże się z tym zabawna anegdotka, panienko. Widzisz, Carpetlayer to rodowe nazwisko. Nie wiemy, jak je zyskaliśmy, bo rozumiesz, nikt w mojej rodzinie nigdy nie położył żadnego dywanu!

Tiffany rzuciła mu uprzejmy uśmieszek.

— I…?

Pan Carpetlayer spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— I co? To była ta zabawna anegdotka!

Zaczął się śmiać i krzyknął znowu, kiedy przeskoczyła kość.

— A tak — zgodziła się Tiffany. — Przepraszam, trochę wolno myślę. — Zatarła ręce. — A teraz, drogi panie, zajmę się pańskimi kośćmi.

Konie w zaprzęgu obserwowały ze spokojną ciekawością, jak pomaga woźnicy zdjąć obszerny płaszcz (przy wtórze licznych stęknięć i krótkiego okrzyku bólu), a potem ustawia go tak, by rękami opierał się o ścianę dyliżansu.

Skupiła się, obmacując jego grzbiet przez cienką kamizelkę, i… tak, tu była przeskakująca kość.

Tiffany podeszła do koni i szepnęła słowo do każdego strzygącego ucha — na wszelki wypadek. Potem wróciła do pana Carpetlayera, który czekał cierpliwie, nie śmiejąc się poruszyć. Odezwał się, kiedy zaczęła podwijać rękawy.

— Ale nie zmienisz mnie w nic nienaturalnego, panienko? Nie chciałbym być pająkiem. Śmiertelnie się boję pająków, a wszystkie moje ubrania są szyte na człowieka z dwiema nogami.

— Niby dlaczego miałabym pana w coś zmieniać, panie Carpetlayer? — zdziwiła się Tiffany, delikatnie przesuwając dłoń wzdłuż jego kręgosłupa.

— No więc z całym szacunkiem, panienko, myślałem, że to właśnie robią czarownice. Różne paskudztwa, panienko, skorki i takie tam…

— Kto panu tak nagadał?

— Trudno właściwie powiedzieć — odparł woźnica. — To jakby… rozumiesz… coś, co wszyscy wiedzą.

Tiffany uważnie przyłożyła palce do grzbietu, znalazła skaczącą kość i uprzedziła:

— Może trochę zaboleć.

Po czym wepchnęła kość na miejsce. Woźnica wrzasnął znowu.

Konie próbowały uciekać, ale ich nogi nie działały jak zwykle, ponieważ w uszach wciąż dzwoniło im słowo. Tiffany było wtedy, rok temu, trochę wstyd, kiedy zdobyła wiedzę o słowie jeźdźca; ale przecież stary kowal, któremu pomogła odejść spokojnie i bez bólu, także czuł się trochę zawstydzony, że nie ma czym zapłacić za jej ciężką pracę — bo czarownicy trzeba płacić, tak samo jak trzeba płacić przewoźnikowi. Szepnął jej więc do ucha słowo jeźdźca, dające władzę nad każdym koniem, który je usłyszy. Nie można go kupić i nie można sprzedać, ale można je oddać, a mimo to zachować, i nawet gdyby było zrobione z ołowiu, jest warte swojego ciężaru w złocie. Poprzedni właściciel szepnął jej do ucha:

— Obiecałem, że nikomu nie zdradzę tego słowa, i nikomu nie zdradzam!

Śmiał się cicho, kiedy umierał — jego poczucie humoru było dość zbliżone do poczucia humoru pana Carpetlayera.

Pan Carpetlayer był też dość ciężki; zsunął się powoli po burcie dyliżansu i…

— Czemu torturujesz tego starca, zła czarownico?! Nie widzisz, że on straszliwie cierpi?!

Skąd się wziął ten człowiek? Krzyczał, twarz miał bladą z wściekłości, ubranie ciemne jak zasypana grota albo — to słowo nagle przyszło Tiffany na myśl — jak krypta. Wcześniej nikogo w pobliżu nie widziała, tego była pewna, ani nikogo po obu stronach drogi z wyjątkiem jakiegoś farmera w oddali, który właśnie pilnował wypalanego ścierniska.

Ale teraz twarz tego obcego znalazła się o kilka cali od niej. Był prawdziwym człowiekiem, nie jakimś potworem, bo potwory zwykle nie mają maleńkich kropelek śliny na klapach płaszcza.

I wtedy zauważyła coś jeszcze — on cuchnął. Nigdy jeszcze nie czuła czegoś tak okropnego. Odór był niemal materialny, jak żelazny pręt, i miała wrażenie, że dociera do niej nie przez nos, ale przez sam umysł. Wobec tej ohydy przeciętny wychodek wydawał się aromatyczny jak róża.

— Grzecznie proszę, żeby się pan odsunął — powiedziała Tiffany. — Myślę, że niewłaściwie zrozumiał pan sytuację.

— Zapewniam cię, potworna kreaturo, że zrozumiałem wszystko, co należy! A to znaczy, że należy odesłać cię do tego cuchnącego piekła, które wydało cię na ten świat!

No dobrze, znaczy — szaleniec, uznała Tiffany. Ale jeśli…

Za późno… Wymachujący palec obcego znalazł się za blisko jej nosa i nagle się okazało, że pusta droga zawiera dożywotni zapas Nac Mac Feeglów. Przybysz w czerni próbował się od nich opędzać, lecz z Feeglami nigdy się to nie udaje. Zdołał jednak, mimo ataku Feeglów, zakrzyknąć:

— Odejdźcie, nikczemne skrzaty!

Na te słowa wszyscy Feeglowie rozejrzeli się czujnie.

— Ano! — zawołał Rob Rozbój. — Jak są tu gdziesik jakieś sksaty, to my są tymi właśnie, któzy dadzą se z nimi rade! Twój ruch, panocku!

Skoczyli na niego i upadli na stos na drodze za obcym — przelecieli przez niego na wylot. Odruchowo tłukli się między sobą, ponieważ kiedy już się toczy dobra bójka, nie należy wypadać z rytmu.

Człowiek w czerni zerknął przelotnie i przestał na nich zwracać uwagę.

Tiffany przyglądała się jego butom. Błyszczały w słońcu i to było niewłaściwe. Ona sama stała w pyle drogi ledwie kilka minut i buty miała szare. Widziała także grunt, na którym stał ten człowiek, i to też było niewłaściwe. Bardzo niewłaściwe w ten gorący, bezchmurny dzień. Obejrzała się na konie. Słowo trzymało je w miejscu, ale drżały z przerażenia jak króliki pochwycone wzrokiem lisa.

W końcu zamknęła oczy i skierowała na niego Pierwsze Wejrzenie. I powiedziała:

— Nie rzucasz cienia. Wiedziałam, że coś się tu nie zgadza.

Spojrzała prosto w jego oczy, niemal całkiem ukryte pod szerokim rondem kapelusza i… on… w ogóle… nie… miał… oczu. Zrozumienie spłynęło na nią jak topniejący lód. Żadnych oczu, ani zwyczajnych, ani ślepych, ani oczodołów… jedynie dwa otwory w głowie, przez które widziała tlące się ścierniska. Tego się nie spodziewała.

Człowiek w czerni przyjrzał jej się z wściekłością.

— Ty czarownico! — syknął. — Dokądkolwiek pójdziesz, znajdę cię!

I zniknął. Zostawił tylko stos walczących w pyle Feeglów.

Tiffany poczuła coś na bucie. Spojrzała — z dołu patrzył na nią zając, który musiał uciec przed ogniem na ściernisku. Przez moment przyglądali się sobie wzajemnie, po czym zając wyskoczył w powietrze jak łosoś z rzeki i pomknął przez drogę. Świat jest pełen znaków i wróżb, a czarownica musi tylko wybrać te, które są ważne. Od czego mogłaby tu zacząć?

Pan Carpetlayer wciąż opierał się bezwładnie o powóz, nie mając pojęcia, co się stało przed chwilą. W pewnym sensie Tiffany też nie miała, ale dowie się tego.

— Może pan już wstać — powiedziała.

Uczynił to bardzo ostrożnie, krzywiąc się, gdy czekał na gwałtowne uderzenie bólu w krzyżu. Zakołysał się na próbę i podskoczył delikatnie, jakby chciał rozgnieść mrówkę. Najwyraźniej nic nie zabolało, więc spróbował kolejnego skoku, po czym szeroko rozłożył ręce, wrzasnął „juhuu!” i zakręcił się jak baletnica. Kapelusz spadł mu na ziemię, a podkute buty zatupały w pyle. Pan Carpetlayer był chyba bardzo szczęśliwym człowiekiem, kiedy tak wirował i podskakiwał, prawie że wykręcił gwiazdę, a kiedy okazało się, że to tylko połówka gwiazdy, podniósł się na nogi, chwycił zdumioną Tiffany na ręce i zatańczył z nią na drodze, wykrzykując „Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy!”, aż ze śmiechem zdołała się wyrwać.

— Moja żona i ja wyjdziemy dziś wieczorem na miasto, moja panno, i będziemy tańczyć walca!

— Zdawało mi się, że prowadzi to do deprawacji i zajść… — przypomniała Tiffany.

Woźnica mrugnął porozumiewawczo.

— No cóż, możemy tylko mieć nadzieję.

— Lepiej niech pan nie przesadza, panie Carpetlayer — ostrzegła.

— Prawdę mówiąc, panienko, chyba jednak spróbuję, jeśli nie masz nic przeciw temu. Po tych mękach, po bezsennych nocach chyba mam ochotę, żeby trochę przesadzić, a nawet bardzo, jeśli tylko się uda! O, porządna z ciebie dziewczyna, pomyślałaś o koniach — dodał. — To pokazuje dobry charakter.

— Cieszę się, że nastrój się panu poprawił, panie Carpetlayer.

Woźnica wykonał szybki obrót na środku drogi.

— Czuję się dwadzieścia lat młodszy — zapewnił. Uśmiechnął się promiennie, a potem odrobinę spoważniał. — Ehm… Ile ci jestem winien?

— A ile będzie mnie kosztowało zarysowanie lakieru?

Spojrzeli po sobie. Pan Carpetlayer westchnął.

— Wiesz, nie mogę żądać od ciebie pieniędzy, bo przecież to ja rozbiłem lustrzaną kulę.

Cichy brzęk kazał Tiffany się obejrzeć. Lustrzana kula, najwyraźniej cała i nieuszkodzona, wirowała powoli i — jeśli człowiek dobrze się przyjrzał — tuż nad ziemią.

Dziewczyna przyklęknęła na drodze, na której w ogóle nie było rozbitego szkła, i powiedziała, zwracając się pozornie do całkiem niczego.

— Poskładaliście ją z powrotem?

— Ano — odparł z zadowoleniem schowany za kulą Rob Rozbój.

— Przecież rozbiła się na drobniutkie kawałeczki!

— Ano, ino ze wis, te naprawde drobniuśkie kawałecki są najłatwiejse. Bo im są mniejse, tym bardziej mozna je dopasować. Tsa je ino pchnąć leciuśko i te ciut mołe kule se psypominają, gdzie mają trafić, a potem scepiają się razem, no problemo. I nie musis tak sie dziwić, psecie my nie tylko rozbijamy rózne zecy.

Pan Carpetlayer przyglądał się zdumiony.

— Ty to zrobiłaś, panienko?

— No, tak jakby…

— A niech mnie! — Pan Carpetlayer uśmiechnął się szeroko. — Powiem tyle, że quid pro quo, kto daje, to bierze, cios za cios, to za owo, oko za oko, jedno za drugie i ja za ciebie. — Mrugnął porozumiewawczo. — Powiem, że jesteśmy na czysto, a firma może sobie wsadzić swoje papiery tam, gdzie małpa wsadziła majzel. Co na to powiesz?

Splunął na dłoń i wyciągnął rękę.

Ojoj, pomyślała Tiffany, uścisk dłoni ze śliną pieczętuje umowę nie do złamania. Dzięki niebiosom, że mam w miarę czystą chusteczkę.

Bez słowa kiwnęła głową. Rozbita kula na pozór sama się naprawiła. Dzień był gorący, a człowiek z otworami zamiast oczu rozwiał się w nicość… Od czego można zacząć? Są takie dni, kiedy tylko obcina się paznokcie, wyciąga drzazgi i zszywa nogi, ale inne są właśnie takie jak ten.

Podali sobie ręce, dość wilgotne, po czym miotła trafiła między pakunki za woźnicą, Tiffany wspięła się na kozioł obok niego i wyruszyli w dalszą drogę. Pył unosił się za nimi i tworzył w powietrzu dziwnie nieprzyjemne kształty, nim znowu opadł.

Po chwili pan Carpetlayer odezwał się niepewnie:

— Ehm… Ten czarny kapelusz, co go masz na głowie… Chcesz go dalej nosić?

— Zgadza się.

— Tylko wiesz, masz taką ładną zieloną sukienkę, i jeśli wolno mi zauważyć, śliczne białe zęby.

Zdawało się, że zmaga się z jakimś problemem.

— Codziennie czyszczę je sadzą i solą — wyjaśniła Tiffany. — Polecam.

Rozmowa stawała się trudna. W końcu pan Carpetlayer wyraźnie podjął decyzję.

— Czyli tak naprawdę nie jesteś czarownicą, prawda? — spytał z nadzieją.

— Czy pan się mnie boi?

— Raczej takiego pytania bym się bał, panienko.

Właściwie słusznie, uznała Tiffany.

— Niech pan powie, o co właściwie chodzi, panie Carpetlayer…

— No więc, panienko, skoro pytasz, to ostatnio zaczęli opowiadać różne historie. O porwanych niemowlakach i takie tam. Dzieciaki uciekające z domu i w ogóle. — Poweselał trochę. — No ale sobie myślę, że to były stare i złe… no wiesz, z takimi jakby haczykowatymi nosami, kurzajkami i groźnymi czarnymi sukienkami, a nie takie ładne dziewczyny jak ty.

Rozwiązawszy ku swemu zadowoleniu tę trudną łamigłówkę, przez resztę trasy prawie się nie odzywał, chociaż sporo pogwizdywał.

Tiffany jechała w milczeniu. Po pierwsze, była teraz bardzo niespokojna, a po drugie, słyszała Feeglów ukrytych między workami z pocztą. Czytali sobie cudze listy[[17]](#footnote-17). Mogła tylko mieć nadzieję, że pochowają je do właściwych kopert.

\* \* \*

Była taka piosenka: „Ankh-Morpork! Tutaj nie zaznasz nudy! Trolle tu chodzą górą, a dołem krasnoludy! Trochę lepiej tutaj niż wśród różnej paskudy! Ankh-Morpork! Prawdziwy cud nad cuuuuudyyyyy!”.

Ale naprawdę wcale cudem nie było.

Tiffany odwiedziła je tylko raz i niezbyt jej się spodobało w wielkim mieście. Cuchnęło, żyło tu zbyt wielu ludzi i było zbyt wiele domów. Jedyną zieleń dało się dostrzec na powierzchni rzeki, którą można było nazwać błotem tylko dlatego, że dokładniejsze określenie nie nadawałoby się do druku.

Woźnica zahamował przed jedną z głównych bram miasta, mimo że była otwarta.

— Jeśli posłuchasz mojej rady, panienko, to zdejmiesz ten kapelusz i pójdziesz dalej sama. Miotła i tak wygląda teraz jak chrust na opał. — Uśmiechnął się nerwowo. — Życzę szczęścia, panienko.

— Panie Carpetlayer — odpowiedziała głośno, świadoma zaciekawionych ludzi dookoła. — Mam nadzieję, że kiedy usłyszy pan ludzi źle mówiących o czarownicach, wspomni pan, że spotkał jedną z nich i że wyleczyła panu bóle krzyża. A także, jeśli mogę podpowiedzieć, ocaliła pańskie dochody. Dziękuję za podwiezienie.

— O tak, stanowczo wszystkim opowiem, że spotkałem jedną z tych dobrych — obiecał.

Z wysoko uniesioną głową — a przynajmniej tak wysoko, jak jest odpowiednie dla kogoś, kto niesie na ramieniu uszkodzoną miotłę — Tiffany wkroczyła do miasta. Szpiczasty kapelusz ściągnął jedno czy dwa spojrzenia i może kilka zmarszczek na czołach, ale na ogół ludzie wcale na nią nie patrzyli. Na wsi każdy napotkany przechodzień jest kimś znajomym albo wartym zainteresowania obcym. Tutaj żyło tak wielu ludzi, że nawet patrzenie na nich wydawało się stratą czasu, w dodatku możliwe, że niebezpieczną.

Tiffany pochyliła się i zapytała:

— Rob, znasz Rolanda, syna barona?

— Ach, to ten ciut kleksik nijaki.

— Mniejsza z tym — rzekła Tiffany. — Wiem, że potrafisz znajdować ludzi, więc chciałabym, żebyś teraz go dla mnie znalazł. Proszę.

— A nie mas nic napseciw, cobyśmy wypili ino jedną ciut sklanecke psy posukiwaniu? — spytał Rob. — Cłek może się tu utopić z pragnienia! Nie pamiętam juz, kiedy zem nie tęsknił za ciut kropelką cy dziesięcioma.

Tiffany wiedziała, że odpowiedzi „tak” lub „nie” byłyby głupotą.

— Ale tylko jedną. Jak już go znajdziecie.

Za nią zabrzmiał najcichszy z poszumów i Feeglowie zniknęli. Mimo to nietrudno będzie ich znaleźć. Trzeba tylko nasłuchiwać odgłosów tłuczonego szkła. A tak, tłuczone szkło, które samo się naprawia… To kolejna tajemnica: bardzo dokładnie obejrzała lustrzaną kulę, kiedy wkładali ją z powrotem do skrzyni, i nie było na niej nawet śladu pęknięcia.

Zerknęła na wieże Niewidocznego Uniwersytetu, wypełnionego mądrymi ludźmi w szpiczastych kapeluszach, a w każdym razie ludźmi w szpiczastych kapeluszach… Jednak w tym mieście wszystkie czarownice znały dobrze inny adres: Centrum Żartów Boffo, ul. Dziesiątego Jajka 4. Nigdy tam nie była, ale czasami dostawała od nich katalog.

Kiedy opuściła główne ulice i kluczyła przez wąskie zaułki, ludzie zaczęli częściej ją zauważać. Czuła skierowane na siebie oczy, kiedy szła po bruku. Nie byli gniewni czy nieprzyjaźni. Po prostu… patrzyli, jakby się zastanawiali, co oznacza jej obecność. Miała nadzieję, że nie obiad.

\* \* \*

Na drzwiach Centrum Żartów Boffo nie było dzwonka. Była za to pierdząca poduszka, a dla wielu osób, które przychodziły tu na zakupy, pierdząca poduszka — być może w połączeniu z solidną porcją sztucznych wymiocin — była ostatnim słowem w dziedzinie rozrywki. Niestety, jest nim rzeczywiście.

Prawdziwe czarownice też często potrzebowały boffo. Zdarzają się sytuacje, kiedy trzeba wyglądać jak czarownica, a nie każda czarownica to potrafi, w dodatku często nie ma czasu, żeby porządnie rozczochrać sobie włosy. Sklep Boffo był miejscem, gdzie kupowało się fałszywe kurzajki i peruki, bezsensownie ciężkie kociołki i sztuczne czaszki. A przy odrobinie szczęścia można tu pewnie dostać adres krasnoluda, który pomoże zreperować miotłę.

Tiffany weszła do środka, podziwiając głęboki dźwięk bąka z pierdzącej poduszki. Przecisnęła się obok, a częściowo przez bezsensowny sztuczny szkielet ze świecącymi czerwonymi oczami, i dotarła do lady. Ktoś dmuchnął na nią z piszczałki, która zniknęła zaraz, zastąpiona przez niskiego sprzedawcę ze smętną twarzą.

— Czy może przypadkiem wydało ci się to choćby odrobinę zabawne?

Ton głosu sugerował, że właściciel oczekuje odpowiedzi „nie”, a Tiffany nie widziała powodu, by go rozczarowywać.

— Absolutnie nie.

Sprzedawca westchnął i odsunął nieśmieszną piszczałkę na bok.

— Niestety, nikogo to nie śmieszy. Jestem pewien, że gdzieś popełniam błąd. No ale czym mogę pani służyć, panno… Och! Jesteś prawdziwa, tak? Zawsze potrafię to poznać.

— No więc… — zaczęła Tiffany. — Nigdy niczego u was nie zamawiałam, ale pracowałam kiedyś z panną Spisek, która…

Sprzedawca jej nie słuchał. Krzyczał do otworu w podłodze:

— Mamo! Mamy tu prawdziwą!

Kilka sekund później jakiś głos odezwał się przy uchu Tiffany.

— Derek niekiedy się myli, a miotłę mogłaś znaleźć. Jesteś czarownicą, tak? Pokaż.

Tiffany zniknęła. Zrobiła to bez namysłu — a raczej myśląc tak szybko, że myśli nie miały nawet czasu, żeby pomachać do niej w przelocie. Dopiero kiedy sprzedawca — najwyraźniej Derek — patrzył z rozdziawionymi ustami na nic zupełnie, zdała sobie sprawę, że błyskawicznie wtopiła się w pierwszy plan, ponieważ nieposłuszeństwo wobec tego głosu z tyłu byłoby stanowczo nierozsądne. Za nią stała czarownica — bez żadnych wątpliwości czarownica, i to doświadczona.

— Bardzo dobrze — stwierdził głos z aprobatą. — Naprawdę bardzo dobrze, młoda damo. Ja ciągle cię widzę, oczywiście, ponieważ bardzo uważnie patrzyłam. Coś takiego, prawdziwa…

— Mam zamiar teraz się odwrócić — ostrzegła Tiffany.

— Nie przypominam sobie, bym mówiła, że ci nie wolno, moja droga.

Tiffany odwróciła się zatem i stanęła przed czarownicą z koszmarów: pomięty kapelusz, obrośnięty kurzajkami nos, palce jak szpony, poczerniałe zęby oraz — Tiffany zerknęła w dół — no tak, ciężkie czarne buty. Nie musiała nawet znać katalogu Boffo, by zauważyć, że właścicielka głosu ma na sobie pełen zestaw kosmetyków z działu „Wiedźma w Sekundę” („Ponieważ jesteś nic niewarta”).

— Sądzę, że powinnyśmy kontynuować rozmowę w moim warsztacie — zaproponowała straszliwa wiedźma, znikając w podłodze. — Stań tylko na klapie, kiedy wróci na miejsce. Derek, zrób nam kawę.

Kiedy Tiffany zjawiła się w piwnicy — a klapa działała cudownie płynnie — znalazła to, czego można było się spodziewać w warsztacie firmy produkującej wszystko, czego potrzebuje czarownica, kiedy potrzebuje w życiu trochę boffo. Na sznurach wisiały rzędy dość przerażających masek, na pulpitach stały butelki w jaskrawych kolorach i schły rzędy kurzajek. Różne rzeczy, które robią „glup!”, robiły je w wielkim kociołku obok paleniska. I był to porządny kociołek[[18]](#footnote-18).

Straszliwa wiedźma stała pochylona nad pulpitem, kiedy nagle zabrzmiał przerażający chichot. Odwróciła się, trzymając niewielkie, kwadratowe drewniane pudełko z wystającym na zewnątrz kawałkiem sznurka.

— Chichot pierwsza klasa, nie sądzisz? Proste mocowanie nitki z żywicą do płytki rezonansowej, ponieważ, prawdę mówiąc, od chichotu trochę boli kark, nie sądzisz? Może też działać na sprężynę. Daj znać, kiedy zauważysz żart.

— Kim pani jest? — zapytała Tiffany.

Wiedźma odłożyła pudełko.

— Och, gdzie moje maniery?

— Nie wiem — odparła Tiffany, która miała już trochę dosyć. — Może sprężyna się rozkręciła?

Wiedźma wyszczerzyła czarne zęby.

— Aha, ostry język. Lubię to u czarownic, byle nie za dużo. — Wyciągnęła szpony. — Pani Proust.

Szpony okazały się mniej wilgotne, niż Tiffany się obawiała.

— Tiffany Obolała — przedstawiła się. — Miło mi panią poznać. — A czując, że oczekuje się od niej czegoś więcej, dodała: — Pracowałam kiedyś z panną Spisek.

— O tak, świetna czarownica — przyznała pani Proust. — I dobra klientka. Bardzo dbała o swoje kurzajki i czaszki, o ile pamiętam. — Uśmiechnęła się. — A ponieważ wątpię, czy przyszłaś tu się uwiedźmić na dziewczęcy wieczorek, muszę założyć, że potrzebujesz mojej pomocy. Fakt, że twoja miotła ma mniej więcej połowę gałązek, jakich trzeba dla osiągnięcia stabilności aerodynamicznej, potwierdza moje wyjściowe przypuszczenie. A przy okazji, zrozumiałaś już żart?

Co powinna odpowiedzieć?

— Chyba tak…

— No to mów.

— Nie chcę, dopóki nie będę pewna.

— Bardzo rozsądnie — uznała pani Proust. — No dobrze, zajmiemy się twoją miotłą, zgoda? To oznacza krótki spacer i na twoim miejscu zostawiłabym tu ten czarny kapelusz.

Tiffany odruchowo chwyciła za rondo.

— Czemu?

Pani Proust skrzywiła się, wskutek czego nos niemal zahaczył o podbródek.

— Bo możesz się przekonać… Nie, czekaj! Już wiem, co zrobimy!

Poszukała chwilę na pulpicie, po czym, nie pytając o zgodę, przyczepiła coś z tyłu na kapeluszu Tiffany.

— Gotowe — powiedziała. — Teraz nikt nie zwróci na ciebie uwagi. Przykro mi, ale czarownice są chwilowo niezbyt popularne. Lepiej naprawmy tę miotłę jak najszybciej, na wypadek gdybyś musiała wynieść się stąd w pośpiechu.

Tiffany zdjęła kapelusz i sprawdziła, co pani Proust wsunęła za wstążkę. Był to jaskrawy kartonik na sznureczku, z napisem: „Kapelusz młodej czarownicy, ze złowieszczym brokatem. Rozmiar: 7. Cena: 2,50 AM$. Boffo! Magiczna marka!!!”.

— Co to takiego? — spytała. — I jeszcze posypała mnie pani złowieszczym brokatem!

— To kamuflaż — wyjaśniła pani Proust.

— Co? Myśli pani, że jakakolwiek szanująca się czarownica wyszłaby na ulicę, mając na głowie coś takiego?

— Oczywiście, że nie. Najlepszym kamuflażem dla czarownicy jest tani kostium czarownicy. Czy prawdziwa czarownica kupowałaby ubranie w sklepie, który sprzedaje sporo żartobliwych figurek niegrzecznych piesków, domowych sztucznych ogni, śmiesznych peruk i… to nasza najlepsza linia, dająca największy obrót… ogromne, nadmuchiwane różowe ptaszki, odpowiednie na wieczory panieńskie? To niewyobrażalne! To jest boffo, moja droga, czyste, klasyczne boffo! „Przebranie, wybieg, zmylenie” to nasze hasła. I jeszcze „Najlepsze ceny w mieście”, to też nasze hasło. I „Zwrotów nie przyjmujemy w żadnych okolicznościach” też są ważnym hasłem. Podobnie jak nasza zasada terminalnego zniechęcania złodziei. Ach, mamy też hasło na temat ludzi palących w sklepie, ale ono nie jest takie istotne.

— Co? — wykrztusiła Tiffany, która z powodu szoku nie słyszała całej listy haseł. Wpatrywała się w zwisające u sufitu różowe „balony”. — Myślałam, że to prosiątka!

Pani Proust poklepała ją po ręku.

— Witaj w wielkim mieście, moja droga. Pójdziemy?

— Ale dlaczego czarownice są w tej chwili niepopularne?

— To zdumiewające, jakie pomysły przychodzą czasem ludziom do głowy. Ogólnie biorąc, uważam, że najlepiej się nie wychylać i zaczekać, aż kłopoty same odejdą. Trzeba tylko zachowywać ostrożność.

A Tiffany uznała, że naprawdę musi zachować ostrożność.

— Pani Proust, wydaje mi się, że już zrozumiałam żart.

— Słucham, moja droga.

— Myślałam, że jest pani prawdziwą czarownicą, która udaje fałszywą czarownicę…

— Tak, moja droga? — Głos pani Proust był słodki jak melasa.

— Co byłoby całkiem zabawne, ale wydaje mi się, że tkwi w tym też inny żart, już nie taki zabawny.

— Och… A jakiż to żart, moja droga? — spytała pani Proust głosem, który miał w sobie całe chatki ze słodkich pierników.

Tiffany nabrała tchu.

— To naprawdę jest pani twarz, tak? Te maski, które pani sprzedaje, to maski przedstawiające panią?

— Słuszna uwaga! Świetna uwaga, moja droga! Tylko że tak naprawdę tego nie zauważyłaś, prawda? Wyczułaś to, kiedy podałaś mi rękę. I… Ale chodźmy już, zaniesiemy twoją miotłę do krasnoludów.

Kiedy wyszły na ulicę, Tiffany zobaczyła dwóch chłopców. Jeden z nich wyraźnie zamierzał cisnąć kamieniem w wystawę sklepu. Zauważył panią Proust i zapadła przerażająca cisza.

Po czym odezwała się czarownica.

— Rzuć nim, mój chłopcze.

Chłopiec spojrzał na nią jak na wariatkę.

— Powiedziałam: rzuć nim, bo zdarzy się coś gorszego.

Wyraźnie uznając, że jest obłąkana, chłopak cisnął kamieniem, a okno wystawowe chwyciło kamień, odrzuciło, trafiło chłopaka i powaliło na ziemię. Tiffany widziała to. Widziała, jak z szyby wysuwa się szklana ręka i chwyta kamień. Widziała, jak nim rzuca. Pani Proust pochyliła się nad chłopcem, którego kolega zdążył wziąć nogi za pas.

— Hm… zagoi się. Chyba że znowu cię tu zobaczę. — Zwróciła się do Tiffany. — Życie bywa bardzo trudne dla właścicieli małych sklepików… Chodźmy. Tędy.

Tiffany była trochę zdenerwowana i nie wiedziała, jak dalej poprowadzić rozmowę. Zdecydowała się więc na coś niewinnego.

— Nie wiedziałam, że w mieście są prawdziwe czarownice…

— Jest nas tu kilka — zapewniła pani Proust. — Robimy swoje, pomagamy, kiedy możemy. Jak temu chłopaczkowi przed sklepem, który nauczył się teraz, żeby pilnować własnego nosa; lżej mi na sercu, kiedy pomyślę, że wyperswadowałam mu życie wypełnione chuligaństwem i nieposzanowaniem cudzej własności, które… zapamiętaj moje słowa… zapewniłyby mu nowy kołnierz z uprzejmości pana kata.

— Nie wiedziałam, że można być czarownicą w mieście — wyjaśniła Tiffany. — Powiedziano mi kiedyś, że czarownice wyrastają tylko na solidnej skale, a wszyscy mówią, że miasto zbudowane jest na mule i błocie.

— I na kamieniach — odparła z satysfakcją pani Proust. — Granit i marmur, czert i różne osady, moja droga Tiffany. Skały, które kiedyś chlupotały i bulgotały, kiedy świat rodził się w ogniu. Widzisz te brukowce na ulicy? Z całą pewnością każdy z nich był kiedyś zalany krwią. Gdziekolwiek spojrzysz, kamienie i skała. Wszędzie, gdzie nie możesz zajrzeć, kamienie i skała. Możesz sobie wyobrazić to uczucie, kiedy sięgasz kośćmi w dół i trafiasz na żywy kamień? Pałace i zamki, mauzolea i nagrobki, piękne domy i miejskie mury, tak jest! I nie tylko w tym mieście. Miasto zbudowane jest na sobie, na wszystkich miastach stojących tu wcześniej. Możesz sobie wyobrazić to wrażenie, kiedy kładziesz się na bruku i czujesz moc skały, unoszącej cię mimo przyciągania świata? Tej mocy mogę używać całej, każdego kamienia. To tam zaczyna się czarownictwo. Te kamienie mają swoje życie, a ja jestem jego częścią.

— Tak — rzekła Tiffany. — Wiem.

I nagle twarz pani Proust znalazła się o kilka cali od niej, straszny haczykowaty nos niemal dotknął jej nosa, ciemne oczy rozjarzyły się gniewnie. Babcia Weatherwax potrafiła być przerażająca, ale babcia Weatherwax była przynajmniej, na swój sposób, ładna. Natomiast pani Proust była złą czarownicą z baśni, jej twarz była przekleństwem, jej głos odgłosem drzwiczek piekarnika zatrzaskujących się za dziećmi. Była sumą wszystkich nocnych strachów wypełniających świat.

— Aha! Wiesz, mała czarownico w swojej wesolutkiej sukieneczce, tak? A co takiego wiesz? Co wiesz naprawdę? — Pani Proust cofnęła się o krok i zamrugała. — Więcej niż sądziłam, jak się okazuje — stwierdziła już spokojniej. — Ląd pod falami… W samym sercu kredy, krzemień. Tak, rzeczywiście.

\* \* \*

Tiffany nigdy nie widziała krasnoludów w Kredzie, ale w górach zawsze jakiś był w pobliżu, zwykle na wozie. Kupowali, sprzedawali, a dla czarownic robili miotły. Bardzo drogie miotły. Tyle że czarownice rzadko je kupowały. Miotły stanowiły dziedzictwo, były przekazywane przez pokolenia od jednej czarownicy do drugiej; czasem któraś wymagała nowego kija, czasem nowych gałązek, ale oczywiście cały czas była to ta sama miotła.

Tiffany dostała swoją po pannie Spisek. Była niewygodna i niezbyt szybka, a czasem w deszczu miała skłonność, by lecieć do tyłu. Gdy zobaczył ją krasnolud kierujący hałaśliwym, gwarnym warsztatem, potrząsnął głową i syknął przez zęby, jakby ten widok naprawdę zepsuł mu cały dzień, więc miał teraz ochotę schować się gdzieś i trochę popłakać.

— No tak… To wiąz, zgadza się? — rzekł, zwracając się ogólnie do nieczułego świata. — Drewno z nizin, ten wiąz, ciężkie i powolne, no i oczywiście trzeba pamiętać o robaczkach. Bardzo podatny na robaczki jest taki wiąz. Piorun go trafił, co? Niedobre drewno do piorunów, ten wiąz. Mówią, że je przyciąga. I jeszcze ma skłonność do sów.

Tiffany kiwała głową, starając się robić mądrą minę. Wymyśliła to uderzenie pioruna, bo prawda — choć jest niewątpliwie ważna i cenna — była chyba nazbyt głupia, krępująca i niewiarygodna.

Za plecami krasnoluda zmaterializował się drugi, niemal identyczny.

— Trzeba było wziąć jesion — stwierdził.

— O tak — zgodził się ponuro pierwszy krasnolud. — Z jesionem nie można źle trafić. — Szturchnął miotłę Tiffany i znowu westchnął.

— Wygląda na to, że zalęgła się huba na głównym złączu — zasugerował drugi krasnolud.

— Nic by mnie nie zdziwiło z takim wiązem — mruknął pierwszy.

— Słuchajcie, może tylko połatacie ją jakoś, żebym mogła wrócić do domu? — zaproponowała Tiffany.

— Och, my tutaj nie łatamy — odparł krasnolud z wyższością, czy raczej z metaforyczną wyższością. — My tu robimy na miarę.

— Potrzebne jest tylko parę gałązek — przekonywała zrozpaczona Tiffany. A potem, ponieważ zapomniała, że nie chce się do tego przyznawać, dodała: — Proszę… To przecież nie moja wina, że Feeglowie podpalili mi miotłę.

Aż do tej chwili w warsztacie panował spory hałas: kilkunastu krasnoludów pracowało przy swoich stanowiskach, nie zwracając uwagi na prowadzoną dyskusję. Teraz zapadła cisza i w tej ciszy zadźwięczał upuszczony na podłogę młotek.

Po chwili odezwał się pierwszy krasnolud.

— Kiedy mówisz „Feeglowie”, nie masz chyba na myśli Nac Mac Feeglów, panienko?

— Mam…

— Takich dzikich? Czy mówią… mówią: „Łojzicku”? — zapytał bardzo powoli.

— Praktycznie bez przerwy — przyznała Tiffany. Uznała, że powinna wyjaśnić sytuację, więc dodała: — Są moimi przyjaciółmi.

— Doprawdy? A czy twoi mali przyjaciele są tutaj teraz?

— No… Powiedziałam im, żeby poszukali pewnego młodego człowieka, mojego znajomego — odparła Tiffany. — Ale prawdopodobnie są teraz w jakiejś gospodzie. Dużo ich jest w tym mieście?

Krasnoludy spojrzały po sobie.

— Ze trzysta, moim zdaniem — stwierdził ten drugi.

— Aż tyle? W takim razie nie sądzę, żeby zaczęli mnie szukać jeszcze co najmniej pół godziny.

I nagle pierwszego krasnoluda ogarnął gorączkowy dobry humor.

— Oj, co z naszymi manierami? — zawołał. — Wszystko dla przyjaciółki pani Proust! Coś ci zaproponuję: z największą przyjemnością wykonamy naprawę ekspresową gratis i za darmo, w tym bezpłatne gałązki i kreozot, bez żadnych opłat!

— Usługa ekspresowa oznacza, że wychodzisz stąd zaraz potem — poinformował chłodno drugi krasnolud.

Zdjął żelazny hełm, starł chusteczką pot z wewnętrznej powierzchni, po czym szybko wcisnął go na głowę.

— O tak, szczera prawda — zgodził się pierwszy krasnolud. — Od razu. To właśnie znaczy ekspres.

— Jesteś przyjaciółką Feeglów, tak? — spytała pani Proust, kiedy krasnoludy odeszły, by zająć się miotłą. — Jak rozumiem, nie mają ich wielu. A skoro już o przyjaciołach mowa… — dodała nagle swobodnym tonem. — Poznałaś Dereka, prawda? Wiesz, to mój syn. Jego ojca poznałam w sali tanecznej z fatalnym oświetleniem. Pan Proust był człowiekiem bardzo grzecznym i zawsze uprzejmie twierdził, że całować kobietę bez kurzajek to jak zjadać jajko bez soli. Odszedł dwadzieścia pięć lat temu, na kryzmy. Przykro mi, ale nie mogłam mu pomóc. — Poweselała. — Lecz muszę z satysfakcją stwierdzić, że młody Derek to dla mnie prawdziwa pociecha na… — zawahała się — …na wiek średni. Wspaniały chłopak, moja droga. Szczęśliwa będzie dziewczyna, która spróbuje swych szans z Derekiem, to pewne. Jest całkiem oddany swojej pracy i zwraca baczną uwagę na szczegóły. Czy wiesz, że codziennie rano osobiście dostraja wszystkie pierdzące poduszki i bardzo się irytuje, jeśli któraś brzmi niewłaściwie? A jaki skrupulatny! Kiedy opracowywaliśmy nasze „Klejnoty Krawężników”, planowaną kolekcję komicznych sztucznych psich kupek, przez całe tygodnie podążał chyba za każdą odmianą psa w tym mieście, z notatnikiem, łopatką i tabelą barw, żeby wszystko wyszło dokładnie takie, jak trzeba. Bardzo porządny chłopak, czysty, ma wszystkie własne zęby. Uważa na towarzystwo… — Spojrzała na Tiffany z pewnym zażenowaniem. — To nie działa, prawda?

— Oj, było widać? — zmartwiła się Tiffany.

— Słyszałam uronione słowa.

— A co to jest uronione słowo?

— Nie wiesz? To słowo, które ktoś prawie mówi, ale jednak nie. Przez chwilę unoszą się nad konwersacją, lecz pozostają niewypowiedziane… I muszę zaznaczyć, że w wypadku mojego syna Dereka lepiej, że nie wypowiedziałaś ich na głos.

— Naprawdę bardzo mi przykro — zapewniła Tiffany.

— No tak… W każdym razie pamiętaj — zakończyła pani Proust.

\* \* \*

Pięć minut później wyszły z warsztatu, a Tiffany holowała za sobą w pełni sprawną miotłę.

— Prawdę mówiąc — rzekła pani Proust — jeśli się chwilę zastanowić, to ci twoi Feeglowie bardzo przypominają Ciut Szalonego Artura. Twardy jak gwóźdź i mniej więcej tak samo duży. Chociaż nie słyszałam, żeby mówił „łojzicku”. Jest policjantem w straży.

— Ojoj, Feeglowie nie lubią policjantów — oświadczyła Tiffany. Uznała jednak, że powinna to jakoś uzupełnić, więc dodała: — Ale są bardzo lojalni, zwykle pomocni, łagodni, jeśli nie mają alkoholu, honorowi dla ustalonej wartości honoru, no i przede wszystkim dali światu gronostaja smażonego w głębokim oleju.

— Co to jest gronostaj? — zainteresowała się pani Proust.

— No więc… widziała pani łasicę? Jest całkiem podobny do łasicy.

Pani Proust uniosła brwi.

— Moja droga, bardzo sobie cenię swoją ignorancję w kwestii zarówno gronostajów, jak i łasic. Brzmią mi jak coś ze wsi. Nie znoszę wsi. Za dużo zieleni sprawia, że dostaję mdłości.

Niechętnym wzrokiem obrzuciła sukienkę Tiffany.

I w tej właśnie chwili, jakby na znak dany z niebios, gdzieś niedaleko rozległ się okrzyk „łojzicku!”, a po nim zawsze popularny — przynajmniej dla Feeglów — odgłos tłuczonego szkła.



Rozdział 7

TRELE WŚRÓD NOCY

Kiedy Tiffany i pani Proust dotarły do źródła hałasów, ulicę pokrywała już dość widowiskowa warstwa tłuczonego szkła oraz ponurzy ludzie w napierśnikach i tego rodzaju hełmach, z jakich można w trudnej sytuacji zjeść zupę. Jeden rozstawiał barierki, inni byli najwyraźniej niezadowoleni z tego, że stoją po niewłaściwej stronie tych barierek, zwłaszcza że właśnie w tej chwili ich niezwykle obszerny kolega wyfrunął z którejś oberży, zajmujących prawie całą jedną stronę ulicy. Szyld nad drzwiami stwierdzał, że gospoda nazywa się Pod Królewską Głową, ale zdawało się, że Królewska Głowa cierpi na migrenę.

Wypadający strażnik zabrał ze sobą resztki szkła w ramie, a kiedy wylądował na chodniku, jego hełm — który zmieściłby dość zupy, by wystarczyło na dużą rodzinę i przyjaciół — potoczył się po ulicy, brzdękając rytmicznie.

Tiffany usłyszała krzyk innego strażnika:

— Dorwali sierżanta!

Kolejni nadbiegali z obu końców ulicy. Pani Proust stuknęła Tiffany w ramię.

— Może opowiesz mi jeszcze o ich dobrych cechach, proszę — odezwała się słodko.

Przybyłam tu, żeby znaleźć pewnego chłopca i zawiadomić go o śmierci ojca, powiedziała sobie Tiffany. Nie po to, żeby wyciągać Feeglów z kolejnej awantury.

— Mają serca we właściwym miejscu — zapewniła.

— W to nie wątpię. — Pani Proust wyglądała, jakby wszystko to bardzo ją bawiło. — Aha, nadchodzą posiłki.

— Nie sądzę, żeby wiele pomogły — mruknęła Tiffany.

Ku swemu zaskoczeniu jednak się pomyliła.

Strażnicy rozstąpili się, zostawiając otwartą drogę do wejścia do gospody. Tiffany musiała wytężyć wzrok, żeby zobaczyć tam kogoś małego, ale kroczącego stanowczo. Wyglądał jak Feegle, lecz miał na sobie… Wytrzeszczyła oczy… tak, miał hełm, trochę większy niż zakrętka solniczki, choć to przecież niemożliwe. Feegle w służbie prawa? Przecież coś takiego nie istnieje!

Osobnik dotarł do drzwi i krzyknął głośno:

— Wy chłystki, aresztuję was! A teraz mozemy to załatwić albo tym trudnym sposobem, albo… — Zamilkł na moment. — Nie, to właściwie syćko — dokończył. — Nie znam innych sposobów!

Po czym skoczył do wnętrza.

Feeglowie walczyli przez cały czas. Dla nich walka była hobby, ćwiczeniem fizycznym i rozrywką połączonymi w jedno.

Tiffany przeczytała w słynnej książce profesora Chaffincha o mitologii, jak to wiele dawnych ludów wierzyło, że kiedy bohaterowie giną, trafiają do czegoś w rodzaju wielkiej hali, gdzie przez całą wieczność mogą bić się, pić i ucztować. Uważała, że cała ta sytuacja stałaby się nudna już w dniu numer trzy, ale Feeglom by się to podobało, tyle że zapewne nawet legendarni herosi wyrzuciliby ich, zanim minęłaby połowa wieczności — oczywiście wcześniej mocno nimi potrząsając, żeby odzyskać sztućce. Nac Mac Feeglowie rzeczywiście byli groźnymi i nieustraszonymi wojownikami, jednak mieli pewną drobną wadę, przynajmniej z ich punktu widzenia: po kilku sekundach walki ogarniał ich zapał tak wielki, że zaczynali atakować innych Feeglów albo najbliższe drzewa, a jeśli akurat żaden cel się nie pojawiał, to samych siebie.

Strażnicy, po ocuceniu sierżanta i odszukaniu jego hełmu, spokojnie czekali, aż ucichnie hałas. Zdawało się, że minęła ledwie minuta czy dwie, kiedy maleńki strażnik wyszedł z gospody. Ciągnął za nogę Dużego Jana, olbrzyma pośród Feeglów, który teraz wyglądał, jakby zasnął. Mały policjant zostawił go na ulicy, wrócił i wyszedł znowu, niosąc na jednym ramieniu nieprzytomnego Roba Rozbója, a na drugim Tępaka Wulliego.

Tiffany patrzyła na to z rozdziawionymi ustami. To przecież nie mogło się zdarzyć! Feeglowie zawsze wygrywają! Nic nie zdoła pokonać Feegla! Są niepowstrzymani! Ale właśnie zostali powstrzymani, i to powstrzymani przez osobnika tak małego, że wyglądał jak połówka zestawu do soli i pieprzu.

Kiedy skończyli mu się Feeglowie, pobiegł do gospody i bardzo szybko wrócił, niosąc kobietę z obwisłą szyją, która usiłowała uderzyć go parasolką — przedsięwzięcie skazane na niepowodzenie, ponieważ trzymał ją ostrożnie nad głową. Biegła za nimi roztrzęsiona pokojówka ściskająca ogromną torbę podróżną. Człowieczek delikatnie usadził kobietę obok stosu Feeglów, a kiedy ona wrzeszczała na strażników, żeby go aresztowali, pobiegł znów do gospody i wyniósł trzy ciężkie walizy oraz dwa pudła na kapelusze.

Tiffany rozpoznała kobietę, choć nie sprawiło jej to przyjemności. To była księżna, matka Letitii, osoba dość przerażająca. Czy Roland naprawdę rozumiał, w co się pakuje? Sama Letitia była w porządku, jeśli ktoś lubił ten styl, ale jej matka najwyraźniej miała w żyłach tyle błękitnej krwi, że powinna eksplodować — a w tej chwili wyglądała, jakby właśnie była tuż przed wybuchem. I jakież to odpowiednie, że Feeglowie zniszczyli akurat ten budynek, w którym zatrzymało się paskudne babsko… Ile szczęścia może mieć jedna czarownica? I co pomyśli księżna, kiedy zda sobie sprawę, że Roland i jego wyblakła, jakby malowana akwarelą przyszła żona zostali w budynku bez przyzwoitki?

Problem został rozwiązany przez małego człowieczka, który wywlókł oboje, trzymając ich za bardzo kosztowne elementy odzieży. Roland miał na sobie smoking, trochę na niego za duży, podczas gdy suknia Letitii była po prostu masą delikatnych falbanek naszytych na falbankach — w opinii Tiffany sukienka nie nadawała się dla nikogo, z kogo jest choć trochę pożytku. Ha.

Pojawiali się kolejni strażnicy, pewnie dlatego, że mieli już kiedyś do czynienia z Feeglami, a zatem rozsądek kazał im przyjść spokojnie, zamiast biec na miejsce zamieszek. Był wśród nich jeden bardzo wysoki — ponad sześć stóp wzrostu — z rudymi włosami i w pancerzu tak wypolerowanym, że aż oślepiał. Wysłuchał zeznania właściciela gospody — brzmiało jak przeciągły krzyk, sugerujący, że strażnicy nie powinni dopuścić, by zdarzały się takie koszmary.

Tiffany odwróciła się i odkryła, że patrzy wprost w twarz Rolanda.

— Ty? Tutaj? — wykrztusił.

Letitia zalewała się łzami — całkiem to do niej podobne.

— Słuchaj, muszę ci powiedzieć coś bardzo…

— Podłoga się zapadła — oświadczył Roland, nie pozwalając jej skończyć. Mówił jak ktoś pogrążony we śnie. — Nasza podłoga normalnie się zapadła!

— Posłuchaj mnie! Muszę… — zaczęła znowu, ale tym razem stanęła przed nią matka Letitii.

— Znam cię! Jesteś tą czarownicą, tak? Nie zaprzeczaj! Jak śmiałaś nas tutaj śledzić?

— Jak ci się udało zwalić podłogę? — pytał Roland z pobladłą twarzą. — Jak ci się udało zwalić podłogę? Powiedz!

I wtedy napłynął zapach. Uczucie było takie, jakby nieoczekiwanie ktoś uderzył Tiffany młotkiem. Pod oszołomieniem i grozą wyczuwała coś jeszcze: smród, fetor, ohydne i bezlitosne zbrukanie umysłu, kompost obrzydliwych idei i gnijących myśli, który budził w niej pragnienie, by wyjąć mózg i dobrze go wypłukać.

To on, człowiek w czerni i bez oczu! I ten smród! Wychodek chorych na żołądek łasic nie mógłby cuchnąć gorzej! Poprzednim razem cuchnęło okropnie, ale to był raczej różany ogród!

Rozejrzała się desperacko, licząc, choć bez nadziei, że nie zobaczy tego, czego szuka.

Szlochy Letitii rozbrzmiewały coraz głośniej; mieszały się nieprzyjemnie ze stękaniem i przekleństwami Feeglów, którzy zaczynali się budzić.

Przyszła teściowa szarpnęła Rolanda za smoking.

— Odejdź od niej natychmiast, nie jest niczym więcej niż…

— Rolandzie, twój ojciec nie żyje!

Ten krzyk uciszył wszystkich, a Tiffany znalazła się nagle w sieci spojrzeń.

Niedobrze, pomyślała; to nie powinno tak się odbyć.

— Przykro mi — powiedziała wśród oskarżycielskiego milczenia. — Nic nie mogłam poradzić.

Zauważyła, że jego twarz znowu nabiera kolorów.

— Przecież się nim opiekowałaś — powiedział, jakby próbował rozwiązać trudną zagadkę. — Dlaczego przestałaś utrzymywać go przy życiu?

— Mogłam tylko odebrać mu ból. Bardzo mi przykro, ale nic więcej nie dało się zrobić. Naprawdę.

— Przecież jesteś czarownicą! Myślałem, że umiesz sobie z tym radzić, jesteś przecież czarownicą! Dlaczego umarł?

Co ta suka mu zrobiła? Nie ufaj jej! To czarownica! Nie pozwolisz żyć czarownicy!

Tiffany nie słyszała tych słów; zdawało się, że pełzną przez jej umysł niby ślimaki, pozostawiając za sobą cuchnący śluz. Później zastanawiała się, przez ile jeszcze umysłów przeszły, ale teraz poczuła, że pani Proust ściska ją za ramię. Zobaczyła, jak twarz Rolanda wykrzywia się w grymasie wściekłości, i przypomniała sobie tę wrzeszczącą postać na drodze, postać bez cienia, choć w pełnym blasku słońca, wyrzucającą z siebie zniewagi, jakby to były wymiociny, pozostawiającą ją z obrzydliwym wrażeniem, że już nigdy nie zdoła się oczyścić.

Ludzie wokół niej byli niespokojni, zalęknieni jak króliki, które zwęszyły lisa.

I wtedy go zobaczyła: ledwie dostrzegalny, na samej granicy tłumu. I były tam, a raczej ich nie było: dwa otwory w powietrzu wpatrujące się w nią tylko przez moment, nim zniknęły. A to, że nie wiedziała, gdzie się podziały, czyniło je jeszcze groźniejszymi.

Zwróciła się do pani Proust.

— Co to jest?

Kobieta otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale wtedy zabrzmiał głos wysokiego strażnika.

— Bardzo przepraszam, panie i panowie, a właściwie jest tylko jeden pan, jak widzę. Jestem kapitan Marchewa, a jako że dziś wieczorem jestem oficerem dyżurnym, do mnie należy wątpliwa przyjemność przeprowadzenia dochodzenia w tej sprawie. A zatem… — Otworzył notatnik, wyjął ołówek i uśmiechnął się spokojnie. — Kto pierwszy mi pomoże w rozwiązaniu tej łamigłówki? Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, co banda Nac Mac Feeglów robi w moim mieście… poza odzyskiwaniem przytomności?

Jego jaśniejący pancerz raził w oczy. Silnie też pachniał mydłem, co dla Tiffany było wystarczające.

Zaczęła podnosić rękę, ale pani Proust chwyciła ją i przytrzymała mocno. Co zmusiło Tiffany, żeby tym mocniej strząsnąć jej dłoń, a potem odezwać się głosem jeszcze mocniejszym:

— Chyba ja, kapitanie.

— A panienka to…?

Ktoś, kto chce jak najszybciej się stąd wynieść, pomyślała Tiffany, ale odpowiedziała:

— Tiffany Obolała, proszę pana.

— Przyjechała pani na wieczór panieński?

— Nie! — zaprzeczyła Tiffany.

— Tak — potwierdziła szybko pani Proust.

Kapitan przekrzywił głowę.

— Czyli tylko jedna z was się wybiera? Chyba nie spodziewacie się świetnej zabawy.

Jego ołówek zawisł nad notesem.

Księżna wyraźnie miała tego dosyć. Drżącym ze złości palcem oskarżycielsko wskazała Tiffany.

— To oczywiste jak nos na pańskiej twarzy, panie oficerze! Ta… ta… ta czarownica wiedziała, że jedziemy do miasta, żeby kupić biżuterię i prezenty, i to oczywiste, powtarzam: oczywiste, że spiskowała ze swoimi chochlikami, aby nas obrabować!

— Wcale nie! — krzyknęła Tiffany.

Kapitan uniósł rękę, jak gdyby księżna była linią powozów na skrzyżowaniu.

— Panno Obolała, czy rzeczywiście sprowadziła pani Feeglów do miasta?

— No, niby tak, ale naprawdę wcale nie chciałam. To nastąpiło tak jakby pod wpływem impulsu. Nie chciałam…

Kapitan znowu uniósł dłoń.

— Niech pani nic więcej nie mówi, proszę. — Potarł nos. Potem westchnął. — Panno Obolała, aresztuję panią jako podejrzaną o… no, po prostu czuję się podejrzliwy. Poza tym zdaję sobie sprawę z faktu, że nie można zamknąć Feegla, który nie chce być zamknięty. Jeśli są pani przyjaciółmi, mam nadzieję… — rozejrzał się znacząco — …że nie zrobią niczego, co przyniosłoby pani kolejne kłopoty. Przy odrobinie szczęścia wszyscy będziemy mogli tej nocy porządnie się wyspać. Moja koleżanka, kapitan Angua, odprowadzi panią na komendę. Pani Proust, czy zechce pani im towarzyszyć i po drodze wytłumaczyć swojej młodej przyjaciółce, jak funkcjonuje świat?

Kapitan Angua podeszła do nich. Była kobietą, była piękna, była blondynką i była… dziwna.

Kapitan Marchewa zwrócił się do księżnej.

— Szanowna pani, moi ludzie z radością odprowadzą panią do dowolnego innego hotelu czy zajazdu, jaki pani wybierze. Widzę, że pani służąca trzyma dość solidnie wyglądającą torbę. Czy może zawiera ona tę biżuterię, o której pani wspomniała? W takim wypadku czy moglibyśmy potwierdzić, że nie została skradziona?

Księżna nie była tym zachwycona, ale kapitan bardzo grzecznie tego nie zauważył w ten niezwykle profesjonalny sposób, w jaki policjanci nie widzą nic, czego nie chcą widzieć. Zresztą sprawiał wrażenie, że i tak by się nie przejął.

Roland otworzył torbę i podniósł zakup do światła. Bibułka została ostrożnie odwinięta i w blasku lamp coś roziskrzyło się tak jaskrawo, jakby nie tylko odbijało światło, ale też promieniowało nim z wnętrza lśniących kamieni. To był diadem. Kilku strażników syknęło. Roland był wyraźnie zadowolony z efektu. Letitia wyglądała niestosownie uroczo. Pani Proust westchnęła. A Tiffany… cofnęła się w czasie. Tylko na sekundę, ale w ciągu tej sekundy znów była małą dziewczynką czytającą wytartą książkę z bajkami, którą czytały wcześniej wszystkie jej siostry.

Ona jednak widziała to, czego one nie dostrzegały — przejrzała ją na wylot. Książka kłamała. No, może nie tak dokładnie kłamała, ale przekazywała prawdy, których człowiek wolał nie znać: tylko błękitnookie blondynki mogą zdobyć księcia i nosić skrzącą się koronę. To jest wbudowane w świat. Gorzej: jest wbudowane w kolor włosów. Rude i brunetki w krainie opowieści niekiedy dostają poważniejsze role, ale jeśli ktoś ma włosy takie brązowe w takim raczej mysim odcieniu, może być tylko służącą.

Albo może być czarownicą. Tak! Nie musi utknąć w opowieści. Może ją zmieniać, nie tylko dla siebie, ale też dla innych osób. Jednym machnięciem dłoni może zmienić całą historię.

Westchnęła jednak, gdyż wysadzany klejnotami diadem wyglądał naprawdę cudownie. Ale ta rozsądna, czarownicza jej część zapytała: „A jak często będziesz to nosić, moja panno? Raz na rok czy rzadziej? Coś tak kosztownego cały czas będzie leżało w skarbcu!”.

— Czyli nie było kradzieży — stwierdził z satysfakcją kapitan Marchewa. — To dobrze, nieprawdaż… Panno Obolała, mam taką sugestię: niech pani powie swoim małym znajomym, żeby poszli za panią bez oporu. Tak?

Tiffany spojrzała z góry na Nac Mac Feeglów, którzy milczeli, jakby doznali szoku. Oczywiście, kiedy około trzydziestu zajadłych wojowników odkrywa, że pokonał ich jeden mały człowieczek, potrzebują czasu, by wymyślić jakieś ratujące twarz wytłumaczenie.

Rob Rozbój popatrzył na Tiffany z bardzo rzadkim u niego wyrazem zawstydzenia.

— Pseprasam, panienko. Pseprasamy — powiedział. — Ześmy wypili duzo za duzo gozałki. Ale wis, im więcej pijes gozałki, tym więcej kces wypić gozałki, az padas na ziemie, co znacy, ześ wypił dość gozałki. A psy łokazji, co to jest crème de menthe? Wis, ma taki ładniuśki zielony kolor. Chyba zem wypił całe wiadro tego cegoś! Pewnie nie warto nawet mówić, ze nam barrrdzo psykro? Ale wis, ześmy ci nasli ten bezuzytecny stos śmiecia.

Tiffany obejrzała się na to, co pozostało z Królewskiej Głowy. W blasku pochodni gospoda przypominała jakby szkielet budynku. Duża belka dachowa zatrzeszczała przepraszająco i runęła na stos połamanych mebli.

— Prosiłam, żebyście go znaleźli. Nie mówiłam, że macie przy tym wyrywać drzwi.

Założyła ręce na piersi, a mali ludzie zbili się w jeszcze ciaśniejszą grupkę; następnym etapem żeńskiego gniewu było tupanie nogą, które zwykle sprawiało, że wybuchali płaczem i zderzali się z drzewami. Teraz jednak ustawili się równo za nią, panią Proust i kapitan Anguą.

Kapitan skinęła głową pani Proust.

— Zgodzimy się z pewnością, że kajdanki nie będą potrzebne — powiedziała. — Prawda, moje panie?

— Och, przecież zna mnie pani, kapitanie — odparła pani Proust.

Kapitan Angua zmrużyła oczy.

— Tak, ale nic nie wiem o pani młodej przyjaciółce. Wolałabym, żeby to pani niosła miotłę, pani Proust.

Tiffany wiedziała, że nie warto się spierać, i bez słowa wręczyła miotłę starszej czarownicy. Ruszyły w milczeniu; słychać było tylko ściszone mamrotanie Nac Mac Feeglów.

Po chwili odezwała się kapitan.

— To nie jest najlepszy czas, żeby nosić szpiczasty kapelusz, pani Proust. Było jeszcze jedno zajście, na równinach. W jakiejś zakazanej dziurze, do której nikt by się nie wybrał. Pobili staruszkę, bo miała księgę czarów.

— Nie!

Odwróciły się, by spojrzeć na Tiffany, a Feeglowie wpadli jej na kostki.

Kapitan Angua pokręciła głową.

— Przykro mi, panienko, ale to prawda. Zresztą okazało się potem, że to tomik klatchiańskiej poezji. Całe to kręte pismo… Przypuszczam, że mógł wyglądać jak księga zaklęć dla kogoś, kto ma skłonności do takiego myślenia. Ona zmarła.

— Uważam, że to przez „Puls” — oświadczyła pani Proust. — Kiedy drukują takie rzeczy na papierze, ludziom wpadają do głowy głupie myśli.

Angua wzruszyła ramionami.

— Z tego, co słyszałam, ludzie, którzy to zrobili, nie zajmowali się raczej czytaniem.

— Musicie to powstrzymać! — stwierdziła Tiffany.

— A w jaki sposób, panienko? Jesteśmy Strażą Miejską. Miejską! Poza murami nie mamy właściwie żadnej jurysdykcji. Gdzieś tam w lasach są takie miejsca, o jakich pewnie w ogóle nie słyszeliśmy. I nie wiem, skąd się to wszystko wzięło. Całkiem jakby jakaś obłąkana idea spadła z nieba. — Kapitan zatarła ręce. — Oczywiście, nie mamy w mieście żadnych czarownic — dodała. — Chociaż często trafiają się wieczory panieńskie, mam rację, pani Proust?

Po czym kapitan mrugnęła. Naprawdę mrugnęła. Tiffany była tego pewna, tak samo jak tego, że kapitan Marchewa naprawdę niezbyt lubił księżną.

— No więc uważam, że prawdziwe czarownice szybko by z tym skończyły — uznała Tiffany. — A już w górach na pewno, pani Proust.

— Och, ale my w mieście nie mamy prawdziwych czarownic. Słyszałaś panią kapitan. — Pani Proust rzuciła Tiffany groźne spojrzenie i syknęła: — Nie kłócimy się przy normalnych ludziach. To ich denerwuje.

Zatrzymały się przy sporym budynku z niebieskimi lampami po obu stronach drzwi.

— Witam na komendzie, moje panie — powiedziała kapitan Angua. — Teraz, panno Obolała, muszę zamknąć panią w celi, ale jest czysta… bez myszy, prawie wcale… a jeśli pani Proust dotrzyma pani towarzystwa, to… powiedzmy… mogę się okazać nieco roztargniona i zostawię klucz w zamku. Rozumiemy się? Proszę, by nie opuszczała pani budynku, ponieważ będzie pani ścigana. — Spojrzała Tiffany prosto w oczy. — A nikt nie powinien być ścigany. To straszna rzecz być ściganą.

Poprowadziła je przez budynek i wzdłuż rzędu zaskakująco przytulnych cel, po czym gestem nakazała im wejść do jednej z nich. Drzwi zatrzasnęły się za nią i usłyszały stukot jej butów, kiedy szła z powrotem kamiennym korytarzem.

Pani Proust podeszła do drzwi, sięgnęła przez kratę i kiedy cofnęła rękę, trzymała w niej klucz. Wsunęła go do dziurki od wewnętrznej strony i przekręciła.

— Gotowe — stwierdziła. — Teraz jesteśmy podwójnie zabezpieczone.

— Ach, łojzicku! — odezwał się Rob Rozbój. — Cy teraz na nas popatsys? Zatsaśnięci we więźniu!

— Znowu! — dodał Tępak Wullie. — Sam nie wim, cy jesce kiedy sam sobie w łocy spojze!

Pani Proust usiadła i spojrzała na Tiffany.

— No dobrze, dziewczyno. Co to było, co widziałyśmy? Bez oczu, jak zauważyłam. Nie ma okien duszy. Może nie ma duszy?

Tiffany była załamana.

— Nie wiem! Raz go spotkałam po drodze tutaj! Feeglowie przez niego przechodzili! Wydaje się, że to duch. I w dodatku śmierdzi. Czuła go pani? A cały tłum zwracał się przeciw nam! Co złego zrobiłyśmy?

— Nie mam pewności co do niego — odparła pani Proust. — To zresztą nie musi być ktoś, ale coś. Przypuszczam, że może jakiś demon… ale nie znam się na nich. Moja specjalność to drobny handel detaliczny. Co nie znaczy, że czasem nie bywa demoniczny.

— Ale nawet Roland stanął przeciwko mnie! A zawsze byliśmy… przyjaciółmi.

— Aha… — mruknęła pani Proust.

— Niech sobie pani daruje to ahowanie — oburzyła się Tiffany. — Jak pani śmie tak do mnie ahować? Ja przynajmniej nie biegam po mieście i nie staram się, żeby czarownice wyglądały śmiesznie!

Pani Proust uderzyła ją w twarz. Uczucie było takie, jakby Tiffany trafił gumowy ołówek.

— Jesteś niegrzeczną dziewuchą, moja mała awanturnico. A ja biegam po mieście i staram się, żeby czarownice były bezpieczne.

W mroku pod sufitem Tępak Wullie szturchnął Roba Rozbója.

— Nie mozemy tak patseć, jak ktoś bije nasą wielką ciut wiedźmę, Rob.

Rob Rozbój przytknął palec do warg.

— No wis, to moze być ciut trudne, kiedy kobiety sie kłócą. Lepiej sie tsymać z daleka, tako ci radze jako cłek zonaty. Kazdy chłopecek, co sie wtrąci w taką babską kłótnię, sybko sie psekona, ze juz po paru sekundeckach obie skacą na niego. I nie mówie tu o Zakładaniu Rąk, Zaciskaniu Warg cy Tupaniu Nogą. Mówie o łoberwaniu miedzianym kijaskiem z kotła.

Czarownice patrzyły na siebie. Tiffany poczuła się nagle zdezorientowana, jakby właśnie przeskoczyła od A do Z, nie mijając po drodze reszty alfabetu.

— Czy to się właśnie stało, moja droga? — zapytała pani Proust.

— Tak, stało się — odparła ostro Tiffany. — Jeszcze piecze.

— Ale dlaczego to zrobiłyśmy?

— Prawdę mówiąc, nienawidziłam pani. Przez jedną chwilę. To mnie przeraziło. Chciałam się pani pozbyć. Bo pani…

— We wszystkim się myliłam?

— Tak jest!

— Aha… — mruknęła pani Proust. — Niezgoda. Zwracanie się przeciwko czarownicy. Gdzie się zaczyna? Może właśnie to odkryłyśmy. — Oczy na brzydkiej twarzy wpatrywały się w Tiffany z uwagą. — Kiedy zostałaś czarownicą, moja mała?

— Myślę, że kiedy miałam z osiem lat — stwierdziła Tiffany i opowiedziała pani Proust historię pani Snapperly, czarownicy z leszczynowego gaju.

Kobieta wysłuchała jej uważnie, po czym usiadła wygodnie na słomie.

— Wiemy, że tak się czasem zdarza — przyznała. — Co parę setek lat, mniej więcej, ktoś nagle wpada na pomysł, że czarownice są złe. Nikt nie wie czemu. Czy robiłaś ostatnio coś, co mogłoby zwrócić uwagę? Jakieś wyjątkowo istotne działanie magiczne albo coś takiego?

Tiffany się zastanowiła.

— No, był ulnik, ale wcale nie taki zły. A wcześniej królowa elfów, ale wieki temu. Było dość strasznie, choć tylko w ogólnym sensie. Myślę, że przyłożenie jej w głowę patelnią to najlepsze, co wtedy mogłam zrobić. No i jeszcze… chyba lepiej od razu powiem, że jakieś dwa lata temu pocałowałam zimistrza…

Pani Proust słuchała z otwartymi ustami.

— To byłaś ty?

— Tak — potwierdziła Tiffany.

— Jesteś pewna?

— Tak, to ja. Byłam przy tym.

— I jak było?

— Chłodno, a potem wilgotnie. Nie chciałam, ale musiałam to zrobić. Przykro mi. Wystarczy?

— Jakieś dwa lata temu? — zastanowiła się pani Proust. — To ciekawe. Wiesz, mniej więcej wtedy zaczęły się kłopoty. Nic szczególnie dramatycznego, po prostu zdawało się, że ludzie przestawali nas szanować. Coś krążyło w powietrzu, można powiedzieć. Na przykład ten dzieciak dzisiaj rano… No więc dawniej nie ośmieliłby się nawet spróbować. Wtedy ludzie kiwali mi głową na powitanie, kiedy przechodziłam. Dzisiaj marszczą brwi albo wykonują ręką jakiś znak, na wypadek gdybym przynosiła pecha. Inne też mi o tym wspominały. Jak to wyglądało u ciebie?

— Trudno powiedzieć — odparła Tiffany. — Ludzie trochę się przy mnie denerwują, ale z bardzo wieloma jestem spokrewniona. Jednak wszystko wydawało się takie dziwne. Myślałam, że takie powinno się wydawać. Pocałowałam zimę i wszyscy o tym wiedzieli. Naprawdę, ciągle o tym plotkują. A przecież to był tylko jeden raz.

— No cóż, tutaj ludzie są upchnięci o wiele gęściej. A czarownice mają długą pamięć. To znaczy nie pojedyncze czarownice, ale wszystkie czarownice razem. Pamiętają bardzo złe czasy. Czasy, kiedy wyjście w szpiczastym kapeluszu oznaczało, że ktoś rzuci w ciebie kamieniem, jeśli nie czymś gorszym. A kiedy cofniemy się dalej… To jest jak choroba — tłumaczyła pani Proust. — Tak jakby przekrada się coraz dalej. Unosi się z wiatrem, przeskakuje od jednej osoby do drugiej… Trucizna trafia tam, gdzie trucizna jest przyjmowana. I zawsze znajdzie się jakiś pretekst, żeby cisnąć kamieniem w staruszkę, która dziwacznie wygląda. Zawsze łatwiej jest zrzucić winę na kogoś. A kiedy już nazwiesz kogoś czarownicą, sama się zdziwisz, o jak wiele spraw możesz ją obwiniać.

— Jej kota zabili kamieniami… — powiedziała Tiffany jakby do siebie.

— A teraz podąża za tobą jakiś człowiek bez duszy. A jego fetor nawet czarownice zmusza, by nienawidziły czarownic. Czy przypadkiem nie czujesz chęci, żeby podłożyć pode mnie ogień, panno Tiffany Obolała?

— Nie, oczywiście, że nie — zapewniła Tiffany.

— Albo rozciągnąć mnie płasko na ziemi i przycisnąć masą kamieni?

— O czym pani mówi?

— Oni nie tylko rzucali kamieniami — rzekła pani Proust. — Ludzie opowiadają o paleniu czarownic, ale nie wydaje mi się, żeby wiele prawdziwych czarownic spłonęło, chyba że użyli jakiejś sztuczki. Myślę, że na ogół były to biedne stare kobiety. Czarownice są zwykle zbyt namoknięte, więc pewnie marnowaliby tylko dobre drewno. Ale bardzo łatwo jest pchnąć starszą panią na ziemię, przycisnąć ją skrzydłem wrót od stodoły, a potem sypać na nie kamienie, aż nie będzie mogła oddychać. I wtedy całe zło odpłynie. Tylko że nie. Ponieważ dzieje się coś innego złego i są inne stare kobiety. A kiedy już się skończą, zawsze są starzy mężczyźni. Zawsze są obcy. Zawsze są przybysze. A potem, może, pewnego dnia jesteś ty. Wtedy kończy się szaleństwo. Kiedy nie został już nikt, kto mógłby oszaleć. Czy wiesz, Tiffany Obolała, że czułam, kiedy pocałowałaś zimę? Każdy coś wtedy poczuł, kto miał choć odrobinę magicznego talentu. — Urwała i zmrużyła oczy. Wpatrywała się w Tiffany. — Co obudziłaś, Tiffany Obolała? Jaki paskudny stwór otworzył oczy, których nie ma, i zastanowił się, kim jesteś? Co do nas sprowadziłaś, panno Tiffany Obolała? Coś ty zrobiła?

— Myśli pani, że… — Tiffany chwilę się zawahała, nim dokończyła: — …Że jemu chodzi o mnie?

Zamknęła oczy, by uciec przed tym oskarżycielskim spojrzeniem, i wróciła pamięcią do dnia, kiedy pocałowała zimę. Była groza, obezwładniający lęk i dziwne wrażenie, że jest ciepła, ale otoczona lodem i śniegiem. Co do samego pocałunku, to okazał się delikatny jak opadająca na dywan jedwabna chusteczka — do chwili, kiedy przelała żar słońca w wargi zimistrza i roztopiła go w wodę. Mróz w ogień. Ogień w mróz. Zawsze dobrze sobie radziła z ogniem. Ogień zawsze był jej przyjacielem. I nie o to chodzi, że zima umarła — od tego czasu przychodziły kolejne zimy, ale już nie takie srogie. I przecież nie szło o jakieś pieszczoty. Postąpiła właściwie we właściwej chwili. Bo tak się robi. A dlaczego musiała? Bo to była jej wina; bo nie posłuchała panny Spisek i dołączyła do tańca, który nie był tylko tańcem, ale przełomem pór roku.

A teraz myślała ze zgrozą: Kiedy to się skończy? Człowiek robi jedno coś głupiego, potem drugie, żeby wszystko naprawić, a kiedy już się uda, psuje się coś innego. Czy to w ogóle ma jakiś koniec?

Pani Proust przyglądała się jej jak zafascynowana.

— Ja tylko zatańczyłam — szepnęła Tiffany.

— Myślę, moja droga, że znów będziesz musiała zatańczyć. — Pani Proust położyła jej dłoń na ramieniu. — Ale czy mogę zasugerować, żebyś w tej chwili zrobiła coś bardzo rozsądnego?

— Tak.

— Posłuchaj mojej rady. Zwykle niczego nie daję darmo, ale humor mi się poprawił, kiedy złapałam tego chłopaka, który ciągle wybijał mi szyby. Mam zatem nastrój na dobry nastrój. Otóż jest pewna dama, której z pewnością bardzo zależy, by z tobą porozmawiać. Mieszka w mieście, ale nigdy jej nie znajdziesz, choćbyś nie wiem jak próbowała. Ona jednak znajdzie cię w mgnieniu oka. Moja rada jest taka, że kiedy to już się stanie, wysłuchaj pilnie wszystkiego, co ci powie.

— A jak mam ją znaleźć? — spytała Tiffany.

— Użalasz się nad sobą i nie słuchasz. To ona cię znajdzie. A kiedy już cię znajdzie, będziesz wiedzieć. Słowo daję, będziesz wiedzieć…

Wyjęła z kieszeni małe, okrągłe metalowe pudełko i czarnym paznokciem otworzyła pokrywkę. W powietrzu rozszedł się ostry zapach.

— Tabaki? — podsunęła pudełko Tiffany. — Paskudny nałóg, oczywiście, ale czyści zatoki i pomaga mi myśleć.

Chwyciła szczyptę brązowego proszku, wysypała na grzbiet dłoni i wciągnęła do nosa z dźwiękiem przypominającym trąbienie od tyłu. Zakaszlała. Raz czy dwa mrugnęła.

— Oczywiście, nie każdy lubi brązowe smarki, ale myślę, że poprawiają ten straszny wygląd czarownicy. Poza tym chyba niedługo podadzą nam kolację.

— Nakarmią nas? — zdumiała się Tiffany.

— Pewnie. To porządni goście, choć ostatnim razem wino było trochę cienkie, moim zdaniem.

— Przecież jesteśmy w więzieniu!

— Nie, moja droga, jesteśmy w policyjnym areszcie. I chociaż nikt tego nie mówi, zamknęli nas tu dla naszego bezpieczeństwa. Widzisz, wszyscy inni są zamknięci na zewnątrz. Bo chociaż policjanci czasem zachowują się głupio, muszą być sprytni, nie ma na to rady. Wiedzą, że ludzie potrzebują czarownic; oni sami potrzebują osób nieoficjalnych, które rozumieją różnicę między dobrem i złem, i kiedy dobro jest złem, a zło dobrem. Świat potrzebuje takich, którzy działają na granicach. Potrzebuje ludzi, którzy poradzą sobie z drobnymi wybojami i niedogodnościami. I niewielkimi problemami. W końcu prawie wszyscy jesteśmy ludźmi. Prawie przez cały czas. A w czasie prawie każdej pełni kapitan Angua przychodzi do mnie, żebym przygotowała lek na jej stwardnienie łapy.

Tabakierka pojawiła się znowu.

— Stwardnienie łapy to choroba psów — zauważyła Tiffany po chwili.

— I wilkołaków — dodała pani Proust.

— Och… Tak myślałam, że jest w niej coś dziwnego.

— Ale panuje nad tym, muszę zaznaczyć. Mieszka razem z kapitanem Marchewą i nikogo nie gryzie… Chociaż, jeśli się zastanowić, możliwe, że gryzie kapitana Marchewę, ale im mniej się o czymś gada, tym lepiej, z pewnością przyznasz mi rację. Czasami to, co legalne, nie jest tym, co słuszne, a czasami potrzeba czarownicy, żeby dostrzec różnicę. Niekiedy też policjanta, jeśli to odpowiedni policjant. Sprytni ludzie to wiedzą. Głupi nie. Problem polega na tym, że głupi ludzie potrafią być och, jacy sprytni. A przy okazji, moja panno, twoi hałaśliwi przyjaciele uciekli.

— Tak, wiem.

— Czy to nie przykre? A przecież uczciwie obiecali straży, że zostaną… — Pani Proust najwyraźniej chciała zachować reputację osoby złośliwej.

— No tak… Rob Rozbój powiedziałby pewnie, że są sytuacje, kiedy obietnice winny być dotrzymywane, i sytuacje, kiedy obietnice należy łamać, i potrzebny jest Feegle, żeby je odróżnić.

Pani Proust uśmiechnęła się szeroko.

— Mogłabyś prawie być z miasta, panno Tiffany Obolała.

\* \* \*

Jeśli trzeba pilnować czegoś, co nie potrzebuje pilnowania, ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie spróbowałby tego ukraść, to kapral Nobbs ze Straży Miejskiej jest — z braku lepszych sposobów opisania go i braku twardych dowodów biologicznych świadczących o czymś innym — odpowiednim człowiekiem. W tej chwili stał w ciemnych, chrzęszczących ruinach Królewskiej Głowy. Palił okropnego papierosa, zrobionego metodą skręcenia w świeżej bibułce cuchnących niedopałków wcześniej wypalonych papierosów, a potem ssanie tej potwornej mieszaniny, aż ukaże się jakiś dym.

Nie zauważył ręki, która uniosła jego hełm, prawie w ogóle nie poczuł chirurgicznego uderzenia w głowę, a już na pewno nie poczuł stwardniałych małych dłoni, które umieściły mu hełm z powrotem na głowie, a jego samego delikatnie opuściły na ziemię.

— Dobra! — rzucił chrapliwym szeptem Rob Rozbój. — Ni ma duzo cosu, wicie, no to…

— No, no… Wiedziałem, ze wrócicie tutaj, chłystki, jak ino dość długo pocekam — dał się słyszeć głos z ciemności. — Jak pies wraca do tego, co nazygał, a głupiec do swojej głupoty, tak psestępca wraca na miejsce zbrodni.

Strażnik znany jako Ciut Szalony Artur zapalił zapałkę, która dla Feegla stanowiła całkiem dobrą pochodnię. Brzdęknęło, kiedy coś, co dla Feegla miało rozmiar tarczy, ale dla ludzkiego policjanta byłoby odznaką, wylądowało przed nim na podłodze.

— To zeby wam pokazać, ciut durnie, że nie jestem na słuzbie. Jasne? Nie mozna być policjantem bez łodznaki. Zgadza sie? Bo zem chciał sprawdzić, cemu wy, łosusty jedne, gadacie jak nalezy, jak ja normalnie. Bo wicie, ja nie jestem Feeglem.

Feeglowie spojrzeli na Roba Rozbója, który wzruszył ramionami.

— No a myślis, ze cym jesteś, do licha?

Ciut Szalony Artur przeczesał palcami włosy i nic z nich nie wypadło.

— No, mój tatko mi mówił, zem jest gnomem, jak on…

Przerwał, ponieważ Feeglowie pohukiwali i klepali się po udach z uciechy, a to zwykle trwa przez dłuższy czas. Ciut Szalony Artur przyglądał im się przez chwilę.

— Nie uwazam tego za śmiesne! — krzyknął.

— To sam se siebie posłuchaj! — poradził Rob Rozbój, ocierając łzy z oczu. — Mówis feeglowym, to jasne! Cy twoja mama i tatko ci nie mówili? My, Feeglowie, rodzimy sie juz z wiedzą o mówieniu, tak samo jako pies wie, jak ma scekać. Nie psekonas mie, ześ jest gnomem! Następnym razem powies, ześ jest sksatem!

Ciut Szalony Artur popatrzył na swoje buty.

— Mój tata zrobił mi te buty. Nijak zem nie mógł sie zmusić, coby mu pedzieć, ze nie lubie butów na stopeckach. Łod setek lat, wicie, cała rodzina syła i naprawiała buty, a ja zem nie był dobry w sewstwie. Az pewnego dnia starsi plemienia wezwali mnie syćkie i pedzieli, zem jest znajd. Psenosili sie do nowego łobozowiska i mnie nasli, zaraz łobok krogulca, którego zem zadusił na śmierć, kiedy łon porwał mnie z kołyski. Uwazali, że kciał mie zabrać do domu i nakarmić mną pisklaki. I te stare gnomy skupiły razem swoje kapeluse i pedziały, ze chociaz byliby scęśliwi, jakbym tak sie łostał, bo psecie umiem lisy na śmierć zagryzać i w ogóle, to moze jednak psysed cas, cobym rusył w świat i posukał mojego ludu.

— No to, chłopecku, właśnie ześ go naseł! — zawołał Rob Rozbój i z rozmachem klepnął go w ramię. — Dobze ześ zrobił, jak ześ posłuchał tych starych sewców. Cystą mądrość ci mówili, ni ma co!

Zawahał się, ale zaraz podjął.

— Jednak to jest taka ciut troske trudna sytuacja, bo ześ jest… ino bez urazy… policjantem. — Odskoczył w tył, na wszelki wypadek.

— Istowo — zgodził się z satysfakcją Ciut Szalony Artur. — A wy za to jesteście bandą złodziejskich pijanych nikcemników i łoprysków, bez zadnego zupełnie sacunku dla prawa.

Feeglowie z satysfakcją kiwali głowami, chociaż Rob Rozbój wtrącił:

— A nie pseskadzałoby ci, coby do słowa „pijani” dodać „agresywni”? Nie chcielibyśmy, coby sie za tanio spsedać.

— A co z kradzeniem ślimaków, Rob? — podpowiedział Tępak Wullie.

— No wis… tak po faktycnej prawdzie to kradzenie ślimaków jest na razie na wcesnych etapach rozwoju.

— Cy nie macie jakichś zalet? — zapytał zrozpaczony Artur.

Rob Rozbój się zdziwił.

— My ześmy tak jakby to właśnie uwazali za nase zalety. Ale jak juz kces wybzydzać, to nigdy nie łokradamy tych, co nie mają piniędzy, mamy złote serca, choć mozliwe… no dobra, na ogół… to cudze złoto, no i ześmy wymyślili gronostaja w głębokim oleju. To musi sie licyć.

— Jaka to moze być zaleta? — zdumiał się strażnik.

— Widzis, dzięki nam jakisik inny bidok juz nie musi. To takie coś, co byś nazwał eksplozją smaku: biezes kąsek do ust, smakujes, a potem jest eksplozja.

Ciut Szalony Artur odkrył, że wbrew sobie się uśmiecha.

— Wy, chłopcy, nie macie wstydu?

Rob Rozbój uśmiechnął się równie szeroko.

— Cięzko pedzieć. Ale jakbyśmy tak mieli, to pewnie wceśniej nalezał do kogosik innego.

— A co z tą bidną ciut wielką dziewuską zamkniętą na nocke na komendzie?

— Do rana jakosik wytsyma — odparł Rob Rozbój z taką godnością, jaka była możliwa w tych okolicznościach. — Jest psecie wiedźmą o znacącej mocy.

— Tak se myślis? A teroz godojcie, ciut chłystki. Zeście stłukli na śmierć całą gospodę! Jak mozna sie z cegosik takiego wytłumacyć?

Tym razem Rob Rozbój obrzucił go dłuższym, bardziej znaczącym spojrzeniem.

— No więc, panie policjancie, wydaje sie, ześ jest i Feeglem, i gliną. No trudno, tak juz tocy sie świat. Ale najwazniejse pytanie dla was łobu bzmi: cy ześ jest skarzypyta i donosiciel?

\* \* \*

Na komendzie zmieniały się dyżury. Ktoś przyszedł i dość nieśmiało wręczył pani Proust spory talerz z zimnym mięsem i marynatami, a także butelkę wina i dwie szklaneczki. Nerwowo zerkał na Tiffany, szepcząc coś do starej czarownicy, a ona płynnym ruchem wyjęła z kieszeni płaski przedmiot i wsunęła mu w dłoń. Potem wróciła i znowu usiadła na słomie.

— Widzę, że był dość przyzwoity i otworzył flaszkę, żeby wino mogło chwilę pooddychać. — Dostrzegła zdumienie Tiffany. — Młodszy funkcjonariusz Hopkins ma drobny kłopot i wolałby, żeby jego matka się o nim nie dowiedziała. Przygotowałam dla niego całkiem dobrze działającą maść. Nie pobieram opłat, oczywiście. Ręka rękę myje, choć w wypadku młodego Hopkinsa mam nadzieję, że najpierw ją wyszoruje.

Tiffany nigdy jeszcze nie piła wina. W domu dostawało się małe piwo albo cydr, które miały akurat tyle alkoholu, żeby pozabijać te paskudne, niewidzialne, malutkie i kąsające stworki, ale nie dosyć, by człowiek stał się bardziej niż odrobinę ogłupiały.

— Wie pani — powiedziała — nigdy bym nie pomyślała, że tak wygląda więzienie.

— Więzienie? Tłumaczyłam ci już, moja mała, że to nie jest więzienie! Jeśli chcesz zobaczyć więzienie, obejrzyj sobie Tanty! To jest ponure miejsce, naprawdę. Tutaj strażnicy nie plują ci do jedzenia, przynajmniej kiedy patrzysz, a już na pewno nie do mojego. Tanty są ciężkie. Uważają tam, że każdy, kto do nich trafił, dwa razy się zastanowi, zanim zrobi coś, co mogłoby znowu go tam wpakować. Uporządkowali sprawy ostatnio, więc nie każdy, kto trafia na Tanty, wychodzi w sosnowej skrzynce, ale ściany wciąż krzyczą do tych, którzy potrafią je usłyszeć. Ja słyszę.

Z trzaskiem otworzyła tabakierę.

— A gorsze od tego krzyku są ćwierkania kanarków w skrzydle D, gdzie zamykają ludzi, których boją się powiesić. Każdego wsadzają samego do małej celi i dają kanarka do towarzystwa.

W tym momencie pani Proust zażyła tabaki — tak dużo i szybko, że Tiffany zdumiała się, czemu nie wyleciała jej uszami.

Stuknęło zamykane wieczko.

— Ci ludzie, trzeba pamiętać, to nie są jacyś przeciętni mordercy. Nie, to ci, którzy zabijali ludzi w ramach hobby, dla jakiegoś boga, z nudów albo dlatego, że dzień nie był udany. Robili też gorsze rzeczy niż morderstwo, ale morderstwem zawsze się to kończyło. Widzę, że nie ruszyłaś swojej wołowiny…? No wiesz, jeśli jesteś pewna…

Pani Proust przerwała, by nabić na nóż spory kawałek mocno marynowanego mięsa.

— Co zabawne, ci okrutni ludzie opiekują się kanarkami i płaczą, kiedy ptaszek zdechnie. Dozorcy uważają, że tylko udają; mówią, że dostają od tego dreszczy. Ale ja nie jestem pewna. Kiedy byłam mała, biegałam załatwiać dozorcom różne rzeczy; patrzyłam na te ciężkie drzwi, słuchałam ptaszków i zastanawiałam się, co stanowi różnicę między dobrym człowiekiem i człowiekiem tak złym, że żaden kat w mieście… nawet mój tato, który w siedem i ćwierć sekundy potrafił załatwić wszystko, od wyciągnięcia skazańca z celi do chwili, kiedy był martwy jak kamień… więc nawet mój tato nie ośmielił się założyć mu pętli na szyję, bo skazaniec mógłby uciec z ogni piekielnych i wrócić, by dokonać zemsty.

Pani Proust zadrżała, jakby chciała strząsnąć z siebie wspomnienia.

— Takie jest życie w wielkim mieście, moja mała — westchnęła. — To nie łąka słodkich pierwiosnków, jak życie na wsi.

Tiffany wcale się nie podobało, że znowu ktoś uważa ją za małą, ale to jeszcze nie było najgorsze.

— Słodkie pierwiosnki? — powtórzyła. — Wcale nie było mi słodko dwa dni temu, kiedy odcinałam wisielca.

I musiała pani Proust opowiedzieć o panu Petty i Amber. I o wiązance z pokrzyw.

— I twój tato opowiedział ci o biciu? — spytała pani Proust. — Wcześniej czy później chodzi przede wszystkim o duszę.

Posiłek był smaczny, a wino zaskakująco mocne. Słoma okazała się o wiele czyściejsza, niż można by się spodziewać. A Tiffany miała za sobą ciężki dzień, na końcu długiego ciągu innych ciężkich dni.

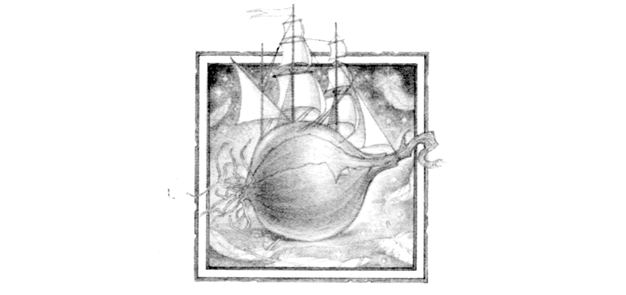
— Czy mogłybyśmy się przespać? — zaproponowała. — Tato zawsze powtarza, że rankiem wszystko lepiej wygląda.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Wkrótce się okaże, jak sądzę — odrzekła pani Proust — że twój ojciec nie miał racji.

Tiffany pozwoliła, by ogarnęły ją chmury przemęczenia. Śniła o śpiewających w ciemności kanarkach. I może sobie to wyobraziła, ale zdawało jej się, że na chwilę się obudziła i zobaczyła patrzącą na siebie starszą panią. Z pewnością nie była to pani Proust, która obok chrapała przerażająco.

Postać była widoczna przez chwilę, a potem się rozwiała. Tiffany przypomniała sobie: świat jest pełen wróżb. Trzeba wybierać te, które nam się podobają.



Rozdział 8

KRÓLEWSKA SZYJA

Zgrzytnęły otwierane drzwi celi i Tiffany się obudziła. Pani Proust spała jeszcze, chrapała tak mocno, że aż nos jej się trząsł. Poprawka: pani Proust zdawała się spać. Tiffany ją dosyć lubiła, choć zachowywała pewną ostrożność, ale czy mogła jej zaufać? Czasami miała wrażenie, jakby stara czarownica czytała jej w myślach.

— Nie czytam w myślach — oświadczyła pani Proust i przewróciła się na bok.

— Pani Proust!

Pani Proust usiadła i zaczęła strzepywać z sukienki resztki słomy.

— Nie czytam w myślach — powtórzyła i pstryknięciem strąciła źdźbło na podłogę. — Istotnie posiadam niezwykłe, choć nie nadprzyrodzone talenty, które wyćwiczyłam do poziomu doskonałości. Nie zapominaj o tym, proszę. Wielkie nieba, mam nadzieję, że podadzą nam coś ciepłego na śniadanie.

— Zaden kłopot… Kcecie, cobyśmy psynieśli?

Obie podniosły głowy i zobaczyły Feeglów siedzących na belce pod sufitem, beztrosko machających nogami.

Tiffany westchnęła.

— Jeśli zapytam, co robiliście w nocy, okłamiecie mnie?

— Absolutnie nie, na honor Feeglów — zapewnił Rob Rozbój, kładąc dłoń w miejscu, gdzie sądził, że ma serce.

— To chyba rozstrzygające — uznała pani Proust, wstając.

Tiffany pokręciła głową i westchnęła znowu.

— Nie, to nie takie proste. — Spojrzała na belkę. — Robie Rozbóju, czy odpowiedź, jakiej mi właśnie udzieliłeś, była prawdziwa? Pytam cię jako wiedźma wzgórz.

— Ano tak.

— A ta?

— Ano tak.

— A ta?

— Ano tak.

— A ta?

— Ha… niby było tam takie maluśkie ciut kłamstewko, no wis, właściwie to nie kłamstwo, ino coś, o cym lepiej, cobyś nie wiedziała.

Tiffany zwróciła się do pani Proust.

— Nac Mac Feeglowie uważają prawdę za coś bardzo cennego, czym nie należy za bardzo wymachiwać — wyjaśniła przepraszającym tonem.

— Ach, tacy szybko trafiają mi do serca — stwierdziła radośnie pani Proust, po czym opanowała się i dodała szybko: — To znaczy trafialiby, gdybym je miała.

Zastukały ciężkie buty, które zbliżały się równie ciężkim, ale niezbyt szybkim krokiem. Okazało się, że należą do wysokiego i chudego strażnika, który uprzejmie dotknął palcami hełmu przed panią Proust i skinął głową Tiffany.

— Dzień dobry, moje panie! Jestem funkcjonariusz Haddock i polecono mi wypuścić panie, po pouczeniu. Chociaż muszę przyznać, że nie wiem, o czym miałbym was pouczać, więc na waszym miejscu uważałbym się za osoby w sytuacji pouczonych w sposób ogólny i mało konkretny, a także, mamy nadzieję, nieco poruszone tym doświadczeniem, bez urazy oczywiście. — Odkaszlnął i mówił dalej, nerwowo zerkając na panią Proust. — Ponadto komendant Vimes prosił, by wyraźnie zaznaczyć, iż osobnicy znani wspólnie jako Nac Mac Feeglowie mają zniknąć z miasta przed zachodem słońca.

Wśród Feeglów na belce zabrzmiały chóralne skargi — zdaniem Tiffany Feeglom równie dobrze jak pijaństwo i kradzieże wychodziła oburzona niewinność:

— Ha, nie cepiałby się nas, jakbyśmy tak byli więksi!

— To nie my! Taki duzy gość to zrobił i uciekł!

— Nie było mnie tam! Mozecie ich zapytać, ich tez nie było!

I wszystkie inne usprawiedliwienia w tym stylu, no wicie…

Tiffany tłukła blaszanym talerzem o kratę, aż umilkli.

— Bardzo przepraszam, funkcjonariuszu Haddock — powiedziała. — Jestem pewna, że bardzo im przykro z powodu tej gospody… — zaczęła, ale on tylko machnął ręką.

— Jeśli posłucha panienka mojej rady, to wyniesiecie się stąd po cichu i nikomu nie będziecie opowiadać o gospodach.

— Ale… wszyscy wiemy, że rozwalili Królewską Głowę…

Strażnik przerwał jej znowu.

— Przechodziłem dziś rano obok Królewskiej Głowy i bardzo zdecydowanie nie jest rozwalona. Co więcej, są tam tłumy ludzi. Chyba wszyscy w mieście chcą ją obejrzeć. Królewska Głowa jest dokładnie taka, jaka zawsze była, o ile mogłem zauważyć, oprócz jednego drobnego szczegółu, to znaczy, że stoi teraz tyłem do przodu.

— Co to znaczy „tyłem do przodu”? — zdziwiła się pani Proust.

— To, że jest odwrócona — tłumaczył cierpliwie policjant. — A z tego, co słyszałem, kiedy tam byłem niedawno, można się założyć, że nie będą jej dłużej nazywać Królewską Głową.

Tiffany zmarszczyła czoło.

— Czyli… nazwą gospodę Królewskim Karkiem?

Haddock uśmiechnął się lekko.

— No tak… Widzę, panienko, że zostałaś dobrze wychowana, bo większość ludzi, którzy tam przychodzą, nazywa ją Królewską…

— Nie znoszę wulgarności — ostrzegła surowo pani Proust.

Naprawdę? — zdziwiła się w duchu Tiffany. Ze sklepową wystawą pełną różowych nadmuchiwanych jakimtam i innych tajemniczych przedmiotów, którym nie miałam okazji się przyjrzeć? Ale pewnie świat byłby dziwny, gdybyśmy wszystkie były takie same, a zwłaszcza gdybyśmy były takie same jak pani Proust.

Nad głową słyszała szemrania Nac Mac Feeglów i Tępaka Wulliego, który robił więcej hałasu niż zwykle:

— Zem wam mówił, tak, zem mówił! Pedziałem: stoi tyłem do psodka, tak pedziałem, ale nie, zeście w ogóle nie słuchali! Moze i zem jest tępy, ale nie gupi!

\* \* \*

Gospoda Pod Królewską Głową — czy jakąkolwiek inną częścią królewskiego ciała była teraz określana — stała niedaleko, ale ostatnie pięćdziesiąt sążni czarownice musiały przeciskać się przez tłum; wielu ludzi go tworzących trzymało w rękach duże kufle piwa. Pani Proust i Tiffany obie nosiły podkute buty — prawdziwe dobrodziejstwo dla każdego, kto musi przebić się szybko przez stłoczoną grupę. I oto zobaczyły przed sobą, z braku lepszego określenia — choć Feeglowie pewnie użyliby innego słowa, co więcej, Feeglowie nawet by się nie zawahali przed użyciem innego słowa — to, co stało się teraz Królewskimi Plecami, co Tiffany przyjęła z pewną ulgą. Przed kuchennymi drzwiami, pełniącymi teraz obowiązki wykonywane dotąd przez drzwi frontowe, stał pan Wilkins, oberżysta. Jedną ręką podawał kufle piwa, drugą inkasował pieniądze i miał minę jak kot w dniu, kiedy spadł deszcz myszy.

Raz na jakiś czas znajdował w tej heroicznej działalności wolną chwilę, by rzucić kilka słów do szczupłej i rzeczowej z wyglądu młodej kobiety, która zapisywała wszystko w notesie.

Pani Proust szturchnęła Tiffany.

— Widzisz ją? To panna Cripslock z „Pulsu”, a tam… — Wskazała wysokiego mężczyznę w mundurze straży. — Widzisz tego człowieka, z którym rozmawia? To komendant Vimes ze Straży Miejskiej. Porządny gość, zawsze zrzędliwy, nie toleruje głupot. Będzie ciekawie, bo nie lubi żadnych królów; jeden z jego przodków ściął głowę ostatniemu naszemu królowi.

— To okropne! Czy król zasługiwał na to?

Pani Proust się zastanowiła.

— Wiesz, jeśli prawdę mówią, co znaleźli w jego prywatnym lochu, to odpowiedź brzmi „tak” wielkimi drukowanymi literami. Ale i tak postawili przodka komendanta przed sądem, ponieważ wydaje się, że ścinanie królom głów zawsze wzbudza komentarze. Kiedy stanął przed trybunałem, powiedział: „Gdyby bestia miała i tysiąc głów, nie spocząłbym, póki bym nie odrąbał ostatniej”, co uznano za przyznanie się do winy. Powiesili go, a wiele lat później wystawili mu pomnik, co mówi o ludziach więcej, niż pewnie chciałabyś wiedzieć. Nazywali go Kamienną Gębą, a jak widzisz, to u nich cecha rodzinna.

Tiffany widziała, przede wszystkim dlatego, że komendant zbliżył się do nich stanowczym krokiem, z wyrazem twarzy człowieka, który ma wiele spraw, a wszystkie ważniejsze od tego, co musi robić teraz. Z szacunkiem skinął głową pani Proust i bezskutecznie starał się nie patrzeć gniewnie na Tiffany.

— Ty to zrobiłaś?

— Nie, proszę pana.

— A wiesz kto?

— Nie, proszę pana.

Zmarszczył brwi.

— Moja panno, jeśli złodziej włamuje się do domu, a potem wraca i odkłada wszystko tam, skąd zabrał, to i tak doszło do przestępstwa. Rozumiesz? I jeśli budynek, który razem z zawartością został mocno uszkodzony, następnego ranka stoi na miejscu, nowy i błyszczący, mamy podobną sytuację, a wszyscy zamieszani w tę sprawę i tak są przestępcami. Tyle że nie mam pojęcia, jak to określić, i szczerze mówiąc, wolałbym nie mieć nic wspólnego z tą przeklętą sprawą.

Tiffany zamrugała. Nie słyszała ostatniego zdania, nie tak całkiem, ale pamiętała je mimo to. To na pewno uronione słowa… Zerknęła na panią Proust, która z satysfakcją pokiwała głową, a w głowie Tiffany pojawiło się uronione krótkie: Tak.

— Komendancie — powiedziała pani Proust — wydaje mi się, że nikt nie doznał szkody. Jeśli mogę to osądzić, Pod Plecami Króla interes rozwija się jak lawina i pan Wilkins pewnie by nie chciał, żeby gospoda znowu stała się Królewską Głową.

— Szczera prawda! — zapewnił oberżysta, ładując pieniądze do worka.

Komendant Vimes zmarszczył czoło, a Tiffany pochwyciła słowa prawie że, ale jednak niewypowiedziane: Żaden król nie wróci, dopóki ja tu jestem.

Pani Proust znowu ruszyła do natarcia.

— A może by tak nazwać ją Królewską Szyją? — zaproponowała. — Zwłaszcza że wyraźnie ma łupież, tłuste włosy i wielkiego, dojrzałego czyraka?

Ku zachwytowi Tiffany twarz komendanta pozostała nieruchoma jak zwykle, ale wyczuła drżenie uronionego słowa, które było tryumfalnym: Tak. W tym momencie pani Proust, która uważała, że zwycięstwo należy utrwalać wszystkimi dostępnymi środkami, podjęła znowu:

— To jest Ankh-Morpork, panie Vimes. Latem rzeka staje w ogniu, zdarzały się deszcze ryb i łóżek, więc w generalnym planie świata, kiedy się chwilę zastanowić, co jest takiego dziwnego w gospodzie, która obróciła się wokół osi? Większość jej klientów zachowuje się tak samo! A przy okazji, jak pański syn?

To niewinne pytanie najwyraźniej komendanta oszołomiło.

— Och! On… och, ja… jest zdrowy. O tak, całkiem zdrowy. Miała pani rację. Wystarczyło dać jakiś gazowany napój, porządnie mu się odbiło i po wszystkim. Możemy zamienić słówko na osobności, pani Proust?

Spojrzenie, jakie rzucił Tiffany, wyraźnie mówiło, że „na osobności” jej nie obejmuje. Ostrożnie przecisnęła się więc przez tłumy wesołych, niekiedy zbyt wesołych ludzi czekających, żeby zrobić sobie obrazek Pod Królewską Szyją. Potem wtopiła się w pierwszy plan i słuchała, jak Rob Rozbój przemawia do swych ludzi, którzy słuchali go, jeśli nie mieli nic lepszego do roboty.

— Który z was, chłystki, wziął i namalował na syldzie prawdziwą syje? Zem jest pewien, ze normalnie tak sie nie robi.

— To był Wullie — odparł Duży Jan. — Syćkie tu pomyślą, tak pedział, ze zawse taka była. Tępy jest, wis.

— Czasami tępota działa — stwierdziła Tiffany.

Rozejrzała się… I tam był on, człowiek bez oczu, idący przez tłum… Szedł między ludźmi, jakby to były duchy, ale widziała, że w jakiś sposób wyczuwają jego obecność; ktoś przesunął dłonią po twarzy, jakby usiadła mu tam mucha, inny uderzył się w ucho. Jednak potem byli… odmienieni. Mrużyli z niechęcią oczy, kiedy dostrzegali Tiffany. Upiorny przybysz zmierzał w jej stronę, a cały tłum stał się jednym wielkim zmarszczonym czołem. Nadciągnął smród, wlokący się za nim i wypełniający jasny dzień szarością. Był jak fetor dna stawu, gdzie wszystko umierało i gniło od stuleci.

Tiffany rozejrzała się rozpaczliwie. Obrót Królewskiej Głowy wypełnił ulicę ciekawskimi i spragnionymi. Ludzie próbowali zajmować się swoimi sprawami, ale byli zatrzymywani przez tłum przed nimi i tłum za nimi, i naturalnie przez ludzi z tacami i małymi wózkami, którzy roili się w całym mieście, próbując coś sprzedać każdemu, kto stanął w miejscu na dłużej niż dwie sekundy. Tiffany czuła w powietrzu zagrożenie, ale tak naprawdę było to coś więcej niż zagrożenie — to była nienawiść rosnąca jak liście po deszczu. A człowiek w czerni podchodził coraz bliżej. Przerażał ją. Oczywiście, miała przy sobie Feeglów, ale Feeglowie zwykle wyciągali człowieka z kłopotów, pakując go w całkiem inne kłopoty.

Nagle grunt poruszył się jej pod nogami. Zabrzmiał metaliczny zgrzyt, a potem zapadło się dno świata, choć tylko na jakieś sześć stóp. Kiedy zatoczyła się w mroku, ktoś przecisnął się obok z uprzejmym „Przepraszam”. Znowu rozległy się tajemnicze metaliczne zgrzyty i jaśniejący w górze okrągły otwór zniknął w ciemności.

— Naprawdę szczęśliwy traf — stwierdził ktoś grzecznie. — Chyba jedyny, na jaki możemy dziś liczyć. Proszę, staraj się nie panikować, dopóki nie zapalę lampy bezpieczeństwa. Jeśli zechcesz potem wpaść w panikę, decyzja należy wyłącznie do ciebie. Trzymaj się blisko mnie i kiedy powiem „Idź najszybciej, jak potrafisz, wstrzymując przy tym oddech”, tak zrób, dla własnego zdrowia psychicznego, własnej krtani, a być może i życia. Nie obchodzi mnie, czy rozumiesz, po prostu zrób to, bo możliwe, że nie mamy wiele czasu.

Zapłonęła zapałka. Coś puknęło cicho i tuż przed Tiffany pojawiło się w powietrzu zielononiebieskie lśnienie.

— To tylko trochę gazu bagiennego — wyjaśnił niewidzialny informator. — Nic bardzo złego, na razie nie ma się czym martwić, ale pamiętaj, trzymaj się blisko!

Zielononiebieskie światełko ruszyło bardzo szybko i Tiffany musiała solidnie wyciągać nogi, żeby nie zostać w tyle. Nie było to łatwe, ponieważ grunt pod podeszwami butów był kolejno czymś w rodzaju żwiru, błotem, a niekiedy jakąś cieczą, ale prawdopodobnie nie taką, o której chciałaby cokolwiek wiedzieć. Tu i tam w oddali słabo lśniły inne tajemnicze światełka, jak błędne ogniki pojawiające się czasem na bagnach.

— Nie zostawaj z tyłu — usłyszała.

Po chwili straciła wszelkie wyczucie kierunku, a także czasu. Potem coś pstryknęło i jakaś sylwetka ukazała się na tle czegoś, co wyglądało jak całkiem zwyczajne drzwi, tyle że futryna była w formie łuku, więc same drzwi kończyły się ostrym czubkiem.

— Bądź tak miła i bardzo dokładnie wytrzyj nogi na wycieraczce za progiem; ostrożność tutaj zwykle popłaca.

Za wciąż ciemną postacią świece zapalały się same i po chwili oświetliły kogoś w ciężkim, sztywnym ubraniu, wielkich butach i w hełmie — chociaż właśnie w tej chwili postać zdjęła go z głowy. Potrząsnęła końskim ogonem, co mogło sugerować, że jest młoda, ale włosy miała białe, co sugerowało, że jest stara. Tiffany uznała, że jest zapewne jedną z tych osób, które wybierają sobie wygląd, jaki im odpowiada i zbytnio nie przeszkadza, po czym nie zmieniają go aż do śmierci. Przewodniczka Tiffany miała też zmarszczki na twarzy i zaabsorbowaną minę kogoś, kto próbuje myśleć o kilku sprawach równocześnie — chociaż próbowała chyba myśleć o wszystkim. W pokoju stał nieduży stolik, a na nim imbryk, filiżanki i stosik małych babeczek.

— Wejdź, proszę. Witaj. Ale gdzie są moje maniery… Nazywam się panna… Smith, w tej chwili. Sądzę, że pani Proust o mnie wspomniała. Znajdujemy się w Nierealnej Nieruchomości; całkiem możliwe, że to najbardziej niestabilne miejsce na świecie. Masz ochotę na herbatę?

\* \* \*

Sprawy zwykle wyglądają lepiej, kiedy świat przestanie się kręcić, a człowiek ma przed sobą jakiś gorący napój, nawet jeśli filiżanka stoi na starej skrzynce.

— Przykro mi, że to nie pałac — rzekła panna Smith. — Nigdy nie zostaję tutaj dłużej niż kilka dni, ale muszę być blisko uniwersytetu, a potrzebuję absolutnego spokoju. Widzisz, tuż za murami uniwersytetu stał kiedyś mały domek, magowie zaś zwykle wszystkie odpadki przerzucali za mur. Po pewnym czasie kawałki magicznego śmiecia zaczęły ze sobą reagować w sposób, który mogę nazwać tylko nieprzewidywalnym. No cóż, wobec gadających szczurów, brwi rosnących ludziom na długość sześciu stóp i butów biegających całkiem samodzielnie, mieszkający w pobliżu ludzie uciekli stąd, tak samo jak ich buty. A że nikt się już nie skarżył, uniwersytet zaczął przerzucać za mur jeszcze więcej. Magowie przypominają pod tym względem koty chodzące do toalety — kiedy już od niej odejdą, jej tam nie ma. Oczywiście, miejsce stało się ogólnodostępne; każdy wyrzucał pod mur praktycznie wszystko, a potem uciekał, często ścigany przez buty, nie zawsze skutecznie. Zjesz może babeczkę? Nie martw się, kupiłam je jutro od całkiem porządnego piekarza, więc wiem, że są świeże. A mniej więcej rok temu opanowałam magię w tym miejscu. To nie było zbyt trudne; magia to przede wszystkim kwestia równowagi, ale oczywiście wiesz o tym. Poza tym to miejsce ma ważną zaletę: unosi się nad nim tyle magicznej mgły, że wątpię, czy nawet bóg zdołałby ją przejrzeć.

Panna Smith delikatnie zjadła połowę babeczki, drugą połowę ustawiła na talerzyku. Pochyliła się do Tiffany.

— Jakie to było uczucie, panno Tiffany Obolała, kiedy pocałowałaś zimę?

Tiffany przyglądała się jej przez chwilę.

— To było tylko takie cmoknięcie, jasne? Absolutnie żadnych języczków! — Po czym dodała: — Pani jest tą osobą, o której pani Proust mówiła, że mnie znajdzie, tak?

— Tak — odparła panna Smith. — Mam nadzieję, że to oczywiste. Mogłabym wygłosić dla ciebie długi i skomplikowany wykład — stwierdziła energicznie. — Lecz chyba będzie lepiej, jeśli opowiem ci pewną historię. Wiem, że uczyła cię babcia Weatherwax i powie ci, że świat zbudowany jest z opowieści. Lepiej od razu uprzedzę, że ta należy do tych przykrych.

— Jestem czarownicą — przypomniała Tiffany. — Wiele widziałam.

— Tak może ci się wydawać. Ale w tej chwili chciałabym, żebyś wyobraziła sobie scenę sprzed ponad tysiąca lat. Wyobraź sobie mężczyznę, wciąż całkiem młodego; poluje na czarownice, pali książki i torturuje, ponieważ ludzie starsi od niego i o wiele nikczemniejsi powiedzieli mu, że tego właśnie chce Wielki Bóg Om. A tego dnia schwytał kobietę, która jest czarownicą, ale jest też piękna, olśniewająco piękna, co wśród czarownic nie zdarza się często, a przynajmniej nie zdarzało się w tamtych czasach…

— I zakochał się w niej, prawda? — domyśliła się Tiffany.

— Oczywiście — przyznała panna Smith. — Chłopiec spotyka dziewczynę… to jeden z najpotężniejszych motywów przyczynowości narracyjnej we wszechświecie, czy też, jak niektórzy mogliby to ująć, „to się musiało stać”. Chciałabym kontynuować swoją wypowiedź bez przerywania, jeśli pozwolisz.

— Ale przecież będzie musiał ją zabić, tak?

Panna Smith westchnęła.

— Skoro już pytasz, to niekoniecznie. Sądzi, że jeśli ją uratuje i dotrą do rzeki, mogą mieć szansę. Jest oszołomiony i zagubiony. Nigdy wcześniej nie doznawał takich uczuć jak w tej chwili. Po raz pierwszy w życiu naprawdę musi myśleć samodzielnie. Konie stoją niedaleko. Jest kilku strażników i kilku innych więźniów, a powietrze wypełnia dym, ponieważ obok płonie stos książek, więc ludziom łzawią oczy.

Tiffany słuchała uważnie, szukała wskazówek i próbowała odgadnąć zakończenie.

— Jest kilku uczniów, których szkoli, a także kilku wysoko postawionych przedstawicieli omniańskiego kościoła, którzy przybyli, by obserwować i błogosławić jego działania. Zebrała się też grupa mieszkańców pobliskiej wioski, którzy wiwatują głośno, ponieważ to nie oni mają spłonąć i w ogóle mają za mało rozrywek. Prawdę mówiąc, to zwykły, kolejny dzień pracy, tyle że dziewczyna, którą uczniowie właśnie przywiązują do pala, wpadła mu w oko, a teraz przygląda mu się uważnie i nie mówi ani słowa, nawet nie wywrzaskuje ani słowa. Jeszcze nie.

— Czy on ma miecz? — spytała Tiffany.

— Tak, ma. Mogę kontynuować? Dobrze. No więc teraz idzie w jej stronę. Ona patrzy na niego, nie krzyczy, tylko patrzy, a on myśli… co takiego myśli? Myśli: „Czy zdołam usunąć obu strażników? Czy uczniowie mnie posłuchają?”. Potem, kiedy jest bliżej, zastanawia się, czy w tym dymie dobiegną do koni. I ten właśnie moment jest na wieczność zastygły w czasie. Ważne wydarzenia czekają na jego decyzję. Jeden prosty uczynek, taki czy taki, a historia potoczy się inaczej i wydaje ci się, że zależy to od tego, co za chwilę zrobi ten mężczyzna. Ale widzisz, to, co on myśli, nie ma znaczenia, ponieważ ona wie, kto to taki i co robił, wie, co uczynił złego i z czego jest słynny, więc kiedy idzie ku niej niepewny, ona wie, kim on jest, nawet jeśli wolałby nie być, więc zręcznie sięga oburącz przez wiklinową plecionkę, którą ją owinęli, żeby stała pionowo, i chwyta go, i trzyma mocno, kiedy żagiew spada na polane oliwą drewno i wybuchają płomienie. Nie spuszcza z niego wzroku, nie rozluźnia chwytu… Chcesz jeszcze herbaty?

Tiffany zamrugała, by odpędzić płomienie i dym, i szok.

— A skąd pani to wszystko wie, jeśli wolno zapytać?

— Byłam tam.

— Tysiąc lat temu?

— Tak.

— Jak się pani tam dostała?

— Piechotą — odparła panna Smith. — Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że wtedy nastąpiła śmierć… i narodziny… czegoś, co nazywamy Przebiegłym. Nadal był mężczyzną, z początku. Straszliwie poranionym, oczywiście. Przez dość długi czas. A polowania na czarownice trwały nadal, daję słowo, trwały… Trudno powiedzieć, czego inni poszukiwacze bali się bardziej: samych czarownic czy gniewu Przebiegłego, jeśli nie znajdą mu tych czarownic, których żądał. I uwierz mi, kiedy Przebiegły następuje ci na pięty, znajdziesz tyle czarownic, ile on zechce. O tak… Sam Przebiegły zawsze potrafił jakąś znaleźć. To zadziwiające. Była sobie jakaś mała, cicha wioska, gdzie wszyscy żyli ze sobą mniej więcej w zgodzie i nikt nie widział żadnych czarownic. A kiedy przybywał Przebiegły, nagle czarownice były wszędzie, chociaż niestety niedługo. Wierzył, że czarownice są przyczyną właściwie całego zła, jakie się zdarza: porywają dzieci, skłaniają kobiety do zdradzania mężów i przez nie kwaśnieje mleko. Moja ulubiona historia to chyba ta, że czarownice wypływają na morze w skorupkach jaj, żeby topić uczciwych żeglarzy.

W tym miejscu panna Smith podniosła rękę.

— Nie, nie. Nie tłumacz, że to niemożliwe, żeby nawet mała czarownica wsiadła do skorupki jaja, nie zgniatając jej. Coś takiego w naszym fachu nazywamy „logicznym argumentem”, a zatem ktoś, kto chce wierzyć, że czarownice zatapiają statki, nie zwróci na niego najmniejszej uwagi.

Po chwili wróciła do opowieści.

— To nie mogło trwać długo, oczywiście. Ludzie potrafią być bardzo głupi i potrafią łatwo dać się zastraszyć, lecz czasami zdarzają się tacy, którzy nie są aż tak głupi ani aż tak strachliwi. Przebiegły zostaje więc usunięty z tego świata. Wyrzucony jak śmieć, którym był. Ale to jeszcze nie koniec. Tak wielka, tak straszna była jego nienawiść do wszystkiego, co uważał za czarownictwo, że zdołał jakoś przeżyć, mimo że nie miał już ciała. Choć nie istniała już skóra ani kości, wściekłość płonęła taka, że nadal żył. I żyje. Być może jako duch. I co pewien czas znajduje kogoś, kto go wpuszcza. Na świecie nie brakuje ludzi, których zatrute umysły otworzą się dla niego. Są też tacy, którzy wolą raczej znaleźć się za plecami zła niż przed nim; jeden z nich napisał dla niego książkę znaną jako „Stos na czarownice”. Kiedy jednak przejmuje ciało… a uwierz mi, istnieją niemili ludzie, którzy wierzą, że pozwalając mu na to, zrealizują swe straszliwe ambicje… wtedy właściciel owego ciała szybko odkrywa, że stał się niewolnikiem. I dopiero kiedy jest już za późno, zdaje sobie sprawę, że nie ma ucieczki, nie ma uwolnienia. Tylko przez śmierć…

— Trucizna trafia tam, gdzie trucizna jest przyjmowana — stwierdziła Tiffany. — Ale wygląda na to, że on potrafi się wcisnąć niezależnie od tego, czy będzie przyjęty, czy nie.

— Wybacz — rzekła panna Smith — ale powiem „brawo”. Rzeczywiście jesteś tak dobra, jak mówią. Obecnie nie ma w Przebiegłym nic fizycznego. Nic, co mogłabyś zobaczyć. Nic, nad czym mogłabyś zapanować. I chociaż często zabija tych, którzy tak łaskawie okazali mu gościnność, wydaje się dobrze prosperować. Bez własnego ciała, unosi się na wietrze i przypuszczam, że śpi, w jakimś sensie. A jeśli tak, to wiem, o czym śni: o pięknej młodej czarownicy, najpotężniejszej ze wszystkich. Myśli o niej z taką nienawiścią, że zgodnie z teorią gumowych strun przebiega ona dookoła całego wszechświata i wraca z przeciwnej strony, więc wydaje się rodzajem miłości. On chce zobaczyć tę dziewczynę znowu. A wtedy ona niemal na pewno zginie. Niektóre czarownice, te prawdziwe, z krwi i kości, próbowały z nim walczyć i wygrywały. A czasem próbowały i ginęły. Aż pewnego dnia pewna dziewczyna, niejaka Tiffany Obolała, wskutek swego nieposłuszeństwa pocałowała zimę. Muszę przy tym zaznaczyć, że nikt jeszcze nigdy tego nie zrobił. I Przebiegły się zbudził. — Panna Smith odstawiła filiżankę. — Jako czarownica wiesz zapewne, że nie wolno ci odczuwać strachu?

Tiffany przytaknęła.

— No więc, Tiffany, musisz znaleźć w sobie miejsce dla strachu, strachu pod kontrolą. Zwykle sądzimy, że najważniejsza jest głowa, że mózg siedzi niczym monarcha na tronie ciała. Ale ciało też jest potężne i mózg by bez niego nie przeżył. Jeśli Przebiegły zapanuje nad twoim ciałem, nie sądzę, byś była w stanie z nim walczyć. Nie będzie podobny do niczego, z czym się w życiu spotkałaś. Dać mu się złapać będzie w efekcie oznaczało śmierć. Co gorsze, będzie oznaczało, że staniesz się jego kreaturą. A wtedy śmierć okaże się długo oczekiwanym wyzwoleniem. Tak to wygląda, panno Tiffany Obolała. Przebiegły budzi się, szuka jej… Szuka ciebie.

\* \* \*

— No to psynajmiej ześmy ją nasli — stwierdził Rob Rozbój. — Jest gdziesik w tym gnijącym stosicku śmieci.

Feeglowie stali, rozdziawiając usta, przed bulgoczącą, ropiejącą masą, która była Nierealną Nieruchomością. Tajemnicze rzeczy pluskały, wirowały i wybuchały pod odpadkami.

— Wchodzić tam to pewna śmierć — ostrzegł Ciut Szalony Artur. — Pewna śmierć. Syćkie zginiemy!

— Ano tak, ino ze syćkie zginiemy i tak, prędzej albo później — odparł wesoło Rob Rozbój. Pociągnął nosem. — Co to za smród, u licha?

— Wybac, Rob, to zem był ja — wyznał Tępak Wullie.

— Nie, wim, jaki mas zapach — odparł Rob. — Ale i wim, ze ten tez juz kiedysik cułem. To był ten łazący gamoń, cośmy go na drodze spotkali. No wicie, cały na carno. Duze braki w dziale łocnym. I pamiętam, ze uzywał bardzo złych słów o nasej wielkiej ciut wiedźmie. Moja Jeannie pedziała, co musimy sie tsymać blisko wielkiej ciut wiedźmy. I coś mi sie zdaje, co chłystkowi tsa kąpieli.

Ciut Szalony Artur przyspieszył decyzję.

— No ale, Rob, jakbyś tak chciał tam wejść, to bedzie wbrew prawu. Wis?

Wskazał starą, na wpół stopioną tabliczkę, na której ledwie widoczny napis głosił: WSTĘP BARDZO SUROWO WZBRONIONY. Z ROZKAZU.

— Ach, terozki nie zostawias mi zadnego wyboru — stwierdził Rob Rozbój. — I jesce ześ mi psypomniał, ze i tak syćkie juz jesteśmy martwe[[19]](#footnote-19). Napsód!

\* \* \*

Tiffany chciałaby zadać dziesiątki pytań, ale to jedno, które przecisnęło się na sam szczyt, brzmiało:

— Co się stanie, jeśli Przebiegły mnie doścignie?

Przez chwilę panna Smith wpatrywała się w sufit.

— No cóż, przypuszczam, że z jego punktu widzenia będzie to trochę jak zaślubiny. Z twojego punktu widzenia będzie to całkiem jak śmierć. Nie, gorzej, ponieważ będziesz uwięziona wewnątrz i będziesz widziała, co on może zrobić z całą twoją mocą i twoimi umiejętnościami ludziom, których znasz. Czy zjadłyśmy już ostatnią babeczkę?

Nie okażę lęku, obiecała sobie w duchu Tiffany.

— Miło mi to słyszeć — odpowiedziała panna Smith.

Tiffany poderwała się rozzłoszczona.

— Jak pani śmiała, panno Smith!

— Jestem pewna, że była tu jeszcze jedna babeczka — mruknęła panna Smith. Po czym dodała: — Wspaniały duch bojowy, panno Tiffany Obolała.

— Wie pani, że pokonałam kiedyś ulnika. Potrafię się bronić.

— I swoją rodzinę? I wszystkich, których znasz? Przed atakiem, o którym nie wiedzą nawet, że nastąpił? Nie rozumiesz. Przebiegły nie jest człowiekiem, chociaż był nim kiedyś. Teraz nie jest nawet duchem. Jest ideą. Niestety, jest ideą, której czas nadszedł.

— Przynajmniej wiem, kiedy się do mnie zbliża — stwierdziła zamyślona Tiffany. — Czuję taki ohydny smród, gorszy nawet niż Feeglów.

Panna Smith kiwnęła głową.

— Tak, unosi się z jego umysłu. To zapach zepsucia. Zepsucia myśli i działań. Twój umysł wyczuwa go i nie wie, co z tym zrobić, więc kwalifikuje jako smród. Wszyscy o zdolnościach magicznych potrafią go wyczuć, ale kiedy ludzie się z nim spotykają, to ich zmienia, stają się trochę podobni do Przebiegłego. A gdziekolwiek on pójdzie, tam zaczynają się kłopoty.

Tiffany dobrze wiedziała, o jakich kłopotach mowa, chociaż pamięć cofnęła ją do zdarzeń sprzed rozbudzenia Przebiegłego.

Zobaczyła przypalone kawałki papieru niesione tu i tam późnojesiennym wiatrem, który wzdychał rozpaczliwie w uszach jej duszy. A najgorsze ze wszystkiego, tak jest, najgorsze, że nozdrzami duszy wyczuwała ostry, gryzący zapach starego, na wpół spalonego papieru. W jej wspomnieniach niektóre skrawki trzepotały na bezlitosnym wietrze jak ćmy — poranione, połamane, ale wciąż desperacko usiłujące pofrunąć.

I były na nich gwiazdy.

Ludzie szli w rytm kociej muzyki i brutalnie wywlekli na dwór starą kobietę, której jedyną winą — o ile Tiffany mogła ocenić — było to, że nie miała już zębów i trochę pachniała moczem. Ludzie rzucali kamieniami, wybili jej szyby, zabili kota, a wszystko to byli dobrzy ludzie, mili ludzie, ludzie, których znała i spotykała codziennie, i oni zrobili to, o czym nawet teraz nigdy nie rozmawiali. Tamten dzień w jakiś sposób zniknął z kalendarza. Ale tego właśnie dnia, z kieszenią pełną zwęglonych gwiazd, nie wiedząc, co właściwie robi, lecz zdecydowana to zrobić — stała się czarownicą.

— Mówiła pani, że inne z nim walczyły — zwróciła się do panny Smith. — Jak im się to udało?

— W torbie z nazwiskiem piekarza była jeszcze ostatnia babeczka, jestem tego pewna. Nie siedzisz na niej chyba? — Panna Smith odkaszlnęła. — Dzięki temu, że były potężnymi czarownicami, dzięki temu, że rozumiały, co to znaczy być potężną czarownicą, i dzięki temu, że wykorzystywały każdą szansę, używały każdej sztuczki oraz, jak podejrzewam, zrozumiały umysł Przebiegłego, zanim on zrozumiał ich. Przewędrowałam długi czas, żeby dowiedzieć się wszystkiego o Przebiegłym, i jedyne, co mogę ci powiedzieć na pewno, to że można go zabić jedynie przebiegłością. Musisz być bardziej przebiegła od niego.

— Chyba nie jest aż taki przebiegły, skoro tyle czasu potrzebował, by mnie znaleźć — zauważyła Tiffany.

— Tak, to mnie trochę dziwi — przyznała panna Smith. — I ciebie też powinno dziwić. Spodziewałabym się, że potrwa to dłużej. W każdym razie dłużej niż dwa lata. Albo jest bardzo mądry… a przecież nie ma niczego, czym mógłby być mądry… albo coś jeszcze ściągnęło go do ciebie. Ktoś magiczny, podejrzewam. Może znasz jakąś czarownicę, która nie jest twoją przyjaciółką?

— Na pewno nie — zapewniła Tiffany. — Czy któraś z czarownic, które go pokonały, jeszcze żyje?

— Tak.

— Pomyślałam sobie, że gdybym którąś odnalazła… może by mi powiedziała, jak mogę zwyciężyć.

— Już ci mówiłam. On jest Przebiegłym. Czemu miałby się drugi raz dać złapać na tę samą sztuczkę? Musisz znaleźć własny sposób. Te, które cię uczyły, niczego mniej się nie spodziewają.

— To nie jest chyba jakiś test? — spytała Tiffany i sama się zawstydziła, tak niezręcznie to zabrzmiało.

— Pamiętasz, co zawsze powtarza babcia Weatherwax?

— Wszystko jest testem.

Powiedziały to chórem, równocześnie. A potem wybuchnęły śmiechem.

W tym momencie coś zapiszczało. Panna Smith otworzyła drzwi, do wnętrza wszedł mały biały kurczak, rozejrzał się z ciekawością i eksplodował. W miejscu, gdzie stał, leżała teraz cebula w pełnym takielunku, z masztem i żaglami.

— Przepraszam, że musiałaś to oglądać. — Panna Smith westchnęła. — Cały czas zdarza się coś takiego. Widzisz, Nierealna Nieruchomość nigdy nie jest statyczna. Cała ta magia zderza się ze sobą, fragmenty zaklęć owijają się wokół innych, następuje kreacja nowych zaklęć, o których nikt nigdy nie pomyślał… istny chaos. Pewne zjawiska generują się całkiem losowo. Wczoraj znalazłam książkę o hodowli chryzantem, drukowaną miedzią na wodzie. Można by sądzić, że będzie trochę chlupać, ale wszystko jakoś się trzymało, dopóki nie wyczerpała się magia.

— Ten kurczak miał pecha — stwierdziła Tiffany nerwowo.

— Mogę ci zagwarantować, że jeszcze dwie minuty temu nie był kurczakiem. A teraz chyba się cieszy, że został pełnomorskim warzywem. Pewnie rozumiesz, czemu staram się nie przebywać tu za długo. Kiedyś miałam wypadek ze szczoteczką do zębów i szybko o nim nie zapomnę.

Pchnęła drzwi dalej i Tiffany zobaczyła mobil.

Mobil trudno było z czymś pomylić[[20]](#footnote-20). Jej się udało i z początku wzięła go za stos śmieci.

— Niesamowite, co możesz znaleźć w kieszeniach, jeśli jesteś na magicznym wysypisku śmieci — oświadczyła spokojnie panna Smith.

Tiffany raz jeszcze przyjrzała się gigantycznemu mobilowi.

— Czy to końska czaszka[[21]](#footnote-21)? A to wiadro kijanek?

— Tak. Coś żywego zawsze pomaga, jak sama pewnie odkryłaś.

Tiffany zmrużyła oczy.

— Ale to… to przecież laska maga! Myślałam, że przestają działać, kiedy dotknie ich kobieta!

Panna Smith uśmiechnęła się lekko.

— No cóż, mam swoją od czasu, kiedy byłam jeszcze w kołysce. Jeśli ktoś wie, gdzie szukać, znajdzie na niej znaki, które zrobiłam, kiedy ząbkowałam. To moja laska i działa, choć muszę przyznać, że zaczęła działać lepiej, kiedy zdjęłam z czubka gałkę. Nie robiła niczego sensownego, a zakłócała równowagę. A teraz może przestaniesz tak stać z rozdziawionymi ustami?

Tiffany zamknęła usta i natychmiast otworzyła je znowu. Zrozumienie spadło na nią jak grom z jasnego nieba.

— Pani jest nią, prawda? Musi pani być nią! Eskarina Smith, zgadza się? Jedyna kobieta, która została magiem!

— Gdzieś we wnętrzu zapewne tak, rzeczywiście, ale wydaje się, że to było tak dawno… Wiesz, nigdy naprawdę nie czułam się magiem, więc też nie przejmowałam się tym, co mówią. Zresztą miałam laskę i nikt nie mógł mi jej odebrać. — Eskarina zawahała się, nim podjęła: — Tego właśnie nauczyłam się na uniwersytecie: być sobą, taką, jaka jestem. I się tym nie martwić. Ta wiedza sama w sobie jest jak niewidzialna magiczna laska. Ale wolałabym o tym nie mówić. To budzi złe wspomnienia.

— Proszę wybaczyć. Zwyczajnie nie mogłam się powstrzymać. Bardzo mi przykro, że wykopałam z pani pamięci straszne wydarzenia.

— Och, te straszne nigdy nie są problemem — powiedziała Eskarina z uśmiechem. — Natomiast z przyjemnymi trudno sobie poradzić.

W mobilu coś pstryknęło. Eskarina wstała.

— Oj, oczywiście, tylko czarownica, która go zbudowała, potrafi czytać własny mobil, ale możesz mi wierzyć, że to, jak obróciła się czaszka, oraz pozycja poduszki na szpilki względem osi kołowrotka oznaczają, że on jest bardzo blisko. Praktycznie wprost nad nami. Ale losowa magia w tym miejscu może go mylić, a ty wydajesz się przebywać wszędzie i nigdzie, więc niedługo sobie pójdzie i spróbuje podjąć trop gdzie indziej. Jak wspomniałam, gdzieś na szlaku się pożywi. Wejdzie do głowy jakiegoś durnia, a jakaś staruszka albo dziewczyna, która nosi niebezpieczne symbole okultystyczne, nie mając pojęcia, co właściwie znaczą, nagle odkryje, że jest ścigana. Miejmy nadzieję, że potrafi szybko biegać.

Tiffany rozejrzała się oszołomiona.

— A to, co się stanie, będzie moją winą, tak?

— Czy to sarkastyczne marudzenie małej dziewczynki, czy retoryczne pytanie czarownicy z własnym gospodarstwem?

Tiffany zaczęła już odpowiadać, ale urwała.

— Może pani podróżować w czasie, tak?

— Tak.

— Czyli wie pani, co odpowiem?

— To nie jest takie proste. — Eskarina przez chwilę wydawała się trochę zakłopotana, ku zaskoczeniu Tiffany i trzeba przyznać, że także jej radości. — Znam, niech policzę, piętnaście różnych odpowiedzi, jakich możesz udzielić, ale nie wiem, która to będzie, dopóki jej nie udzielisz, z powodu teorii gumowych strun.

— A zatem powiem tylko tyle: bardzo pani dziękuję. Przepraszam, że zajęłam pani tyle czasu. Ale muszę już ruszać, mam wiele do zrobienia. A właśnie, co z czasem?

— Jest metodą opisu jednego z percepcyjnych wymiarów przestrzeni czterowymiarowej. Dla twoich celów wystarczy tyle, że jest mniej więcej dziesiąta czterdzieści pięć.

Tiffany uznała to za szokująco skomplikowany sposób udzielania odpowiedzi. Już miała to powiedzieć, lecz w tym momencie mobil się rozpadł, a drzwi się otworzyły i wpadło przez nie stado przerażonych kurczaków — które jednak nie eksplodowały.

Eskarina chwyciła ją za rękę.

— Znalazł cię! — krzyknęła. — Nie wiem jak!

Kurczak na wpół skoczył, na wpół podfrunął, na wpół wtoczył się na szczątki mobilu i zapiał: „Kukuryku łojzicku!”.

Dopiero wtedy kurczaki eksplodowały. Eksplodowały w Feeglów.

Ogólnie biorąc, różnica między kurczakami i Feeglami nie była wielka, ponieważ tak jak kurczaki, Feeglowie biegali w kółko i hałasowali. Istotne rozróżnienie polega jednak na tym, że kurczaki rzadko są uzbrojone. Z drugiej strony Feeglowie są uzbrojeni przez cały czas i kiedy tylko strzepnęli z siebie resztki piór, zaczęli walczyć między sobą z samego zakłopotania — i żeby mieć jakieś zajęcie.

Eskarina kopnęła ścianę, odsłaniając otwór, przez który Tiffany mogłaby chyba się przeczołgać.

— Uciekaj! — rzuciła. — Odciągnij go stąd! Wskakuj na miotłę, kiedy tylko zdołasz, i leć! Nie martw się o mnie! Nie bój się, nic ci się nie stanie! Musisz tylko sobie pomóc!

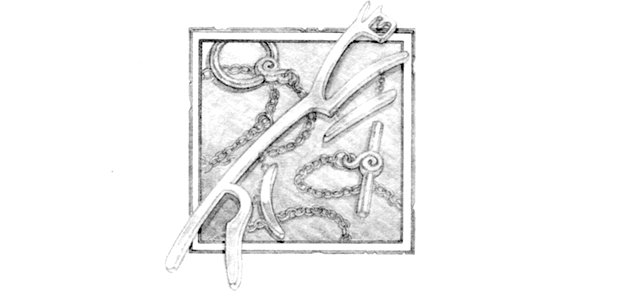
Ciężki, paskudny dym wypełnił pokój.

— O czym pani mówi? — spytała jeszcze Tiffany, zmagając się z miotłą.

— Uciekaj!

Nawet babcia Weatherwax nie mogłaby tak całkowicie zapanować nad nogami Tiffany.

Która uciekła.



Rozdział 9

KSIĘŻNA I KUCHARKA

Tiffany lubiła latać. Nie podobało jej się tylko przebywanie w powietrzu na wysokości większej niż poziom czubka jej głowy. Robiła to jednak, gdyż dla czarownictwa byłoby śmieszne i krępujące, gdyby ludzie widzieli ją w locie tak niskim, że czubkami butów zaczepiała o mrowiska. Ludzie śmiali się, a niekiedy wytykali palcami. Teraz jednak, nawigując miotłą wśród zrujnowanych domów i posępnie bulgoczących kałuż, tęskniła za otwartym niebem. Z prawdziwą ulgą wyminęła stos rozbitych luster i zobaczyła porządne, czyste światło dnia — mimo że musiała przelecieć obok tablicy z napisem: JEŚLI JESTEŚ DOŚĆ BLISKO, BY TO PRZECZYTAĆ, TO NAPRAWDĘ, NAPRAWDĘ NIE POWINIENEŚ.

To była kropla, która przepełniła czarę. Przechylona miotła wyryła rowek w błocie i wzniosła się jak rakieta. Tiffany rozpaczliwie ściskała skrzypiący pas, by się nie ześliznąć.

Usłyszała cichy głos:

— Właśnie doświadcamy pewnych turbulencji, wicie. Jak popatsycie w lewo i prawo, łobacycie, ze nie ma zadnych wyjść awaryjnych…

Mówiącemu przerwał inny głos:

— Tak po prawdzie, Rob, miotła ma wyjścia awaryjne dokoluśka.

— Ano niby — zgodził się Rob Rozbój. — Ale tsa dbać tez o styl, nie? Jak se tak bedziemy cekać, az juz prawie walniemy o ziemie i dopiero wtedy wyskocymy, to istowo wyjdziemy na guptaków.

Tiffany trzymała się mocno i usiłowała nie słuchać, a także nie kopać Feeglów, którzy w ogóle nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Uważali — jak zwykle — że sami są bardziej niebezpieczni niż cokolwiek innego.

W końcu udało jej się ustawić miotłę w poziomie i zaryzykowała spojrzenie w dół. Wydawało się, że przed tym, czego nową nazwę mieli dopiero wybrać, a co dotąd było Królewską Głową, toczy się bójka. Nie zauważyła jednak nawet śladu pani Proust. Czarownica z miasta jest kobietą zaradną, prawda? No więc pani Proust może sama o siebie zadbać.

\* \* \*

Pani Proust dbała o siebie, biegnąc ile sił w nogach. Kiedy wyczuła zagrożenie, nie zwlekała ani sekundy, ale pobiegła do najbliższego zaułka. Smog wznosił się wokół niej. Miasto zawsze było przesłonięte dymami, smogiem i oparami — łatwa robota dla czarownicy, która ma do tego talent. Były oddechem miasta, i to raczej nieświeżym oddechem, a ona potrafiła grać na nim jak na fortepianie mgły.

Po chwili stanęła oparta o mur, by odzyskać własny oddech.

Czuła, że atmosfera gęstnieje jak przed burzą — w mieście, które normalnie było zadziwiająco spokojne i wyrozumiałe. Celem stawała się każda kobieta, która choćby przypominała czarownicę. Pani Proust miała tylko nadzieję, że inne stare i brzydkie kobiety są równie bezpieczne jak ona.

Chwilę później dwóch mężczyzn wynurzyło się z kłębów smogu. Jeden ściskał solidny kij. Drugi był potężnie zbudowany, a zatem sam dla siebie był kijem.

Kiedy ten z kijem rzucił się w jej stronę, pani Proust stuknęła butem o chodnik i kamień pod stopami mężczyzny przechylił się nagle, a biegnący potknął się i wylądował bezpiecznie na podbródku przy akompaniamencie głośnego trzasku. Kij odtoczył się na bok.

Pani Proust założyła ręce na piersi i przyjrzała się groźnie temu potężnemu. Nie był tak głupi jak jego kolega, ale prostował i zaciskał pięści; wiedziała, że atak to tylko kwestia czasu. Znowu stuknęła butem o kamienie, nie czekając, aż napastnik zbierze się na odwagę.

Potężny mężczyzna usiłował przewidzieć, co może się zdarzyć, ale trudno było przewidzieć, że konny posąg[[22]](#footnote-22) lorda Alfreda Rusta — słynnego z tego, że mężnie i walecznie przegrał wszelkie militarne starcia, w jakich kiedykolwiek uczestniczył — na spiżowych kopytach wybiegnie galopem ze smogu i tak mocno kopnie go między nogi, że napastnik odleci w tył i stuknie głową o latarnię, a potem osunie się na ziemię.

Dopiero wtedy pani Proust rozpoznała w nim klienta, który czasami kupował od Dereka proszek na swędzenie albo wybuchające cygara. Zabijanie klientów nie jest rozsądne, więc uniosła jęczącego za włosy i szepnęła do ucha:

— Nie było cię tutaj. Ani mnie. Nic się nie wydarzyło, a ty tego nie widziałeś.

Zastanowiła się jeszcze i, ponieważ należy dbać o interesy, dodała:

— A kiedy następnym razem będziesz przechodził obok Centrum Żartów Boffo, zachwyci cię ich szeroki asortyment wyjątkowo komicznych praktycznych żartów dla całej rodziny; nowość tygodnia to Perły Krawężników z serii żartów niegrzecznego pieska, idealne dla konesera, który traktuje dowcipy poważnie. Czekamy na twoją wizytę. PS — nasza nowa seria „piorunowych” wybuchających cygar gwarantuje wybuch śmiechu co minutę, warto też spróbować niewymownie śmiesznej gumowej czekolady. Poświęć chwilkę, by przejrzeć dział niezbędników prawdziwego dżentelmena. Najlepsze pomady do wąsów, ochraniacze na wąsy, ostre jak brzytwa brzytwy, wybór znakomitych tabak, oprawne w heban szczypczyki do włosów w nosie i zawsze popularne jądrowe spodnie, pakowane w gładki brązowy papier, sprzedaż ograniczona do jednej sztuki na klienta.

Zadowolona opuściła głowę mężczyzny i była zmuszona pogodzić się z faktem, że ludzie nieprzytomni niczego nie kupują. Zwróciła się więc do niedawnego posiadacza kija, który jęczał głośno. Owszem, wszystko to było winą człowieka bez oczu, i może jest to jakieś usprawiedliwienie, ale pani Proust nie słynęła ze skłonności do wybaczania.

— Trucizna trafia tam, gdzie trucizna jest przyjmowana — powiedziała do siebie.

Pstryknęła palcami, po czym wspięła się na konia i zajęła zimne, ale wygodne miejsce na kolanach lorda Rusta. Brzęcząc i zgrzytając, spiżowy koń zanurzył się w ścianie smogu, który towarzyszył pani Proust aż do jej sklepu.

Za to w zaułku wydawało się, że pada śnieg — dopóki człowiek nie uświadomił sobie, że to, co spada z nieba na bezwładne ciała, jeszcze przed momentem znajdowało się w żołądkach gołębi, które na rozkaz pani Proust zlatywały się z całego miasta. Słyszała je, więc uśmiechnęła się z satysfakcją.

— W tym sąsiedztwie nie tylko strzeżemy — mruknęła.

\* \* \*

Tiffany poczuła się lepiej, kiedy zostawiła za sobą smród i dymy miasta. Jak oni mogą żyć z tym zapachem? — zastanawiała się. To gorsze niż feeglowy spog[[23]](#footnote-23).

Teraz rozciągały się pod nią pola, a chociaż dym wypalanych ściernisk wznosił się wysoko, był niczym aromat w porównaniu ze światem w obrębie miejskich murów.

A Eskarina Smith tam mieszkała… no, czasami mieszkała!

Eskarina Smith! Była prawdziwa! Myśli Tiffany pędziły niemal tak szybko jak miotła. Eskarina Smith! Każda czarownica o niej słyszała, a żadne dwie się nie zgadzały.

Panna Tyk mówiła, że Eskarina była dziewczyną, która przez pomyłkę dostała laskę maga.

Pierwsza czarownica, która uczyła się u babci Weatherwax… A babcia wprowadziła ją na Niewidoczny Uniwersytet, pokazując magom część jej… to znaczy babci Weatherwax… możliwości. Sporą część, jeśli wierzyć niektórym opowieściom obejmującym relacje z magicznych bitew.

Panna Plask zapewniła Tiffany, że to wszystko to tylko bajki.

Panna Spisek zmieniła temat.

Niania Ogg z konspiracyjną miną stuknęła palcem w nos i powiedziała: „Im mniej się o tym gada, tym lepiej”.

Natomiast Annagramma z wyższością zapewniła wszystkie młode czarownice, że Eskarina naprawdę istniała, ale już nie żyje.

Ale jedna opowieść nie dawała się zapomnieć; owijała się wokół kłamstw i prawd jak powój. Głosiła światu, że młoda Eskarina spotkała na uniwersytecie młodego człowieka o imieniu Simon, który — tak się przynajmniej wydawało — został przeklęty przez bogów niemal wszystkimi możliwymi dolegliwościami, jakie trapią ludzkość. Jednakże — ponieważ bogowie mają poczucie humoru, chociaż dosyć dziwaczne — obdarzyli go mocą rozumienia… no, wszystkiego. Ledwie potrafił chodzić bez pomocy, ale potrafił zamknąć w głowie cały wszechświat.

Magowie z brodami do samej ziemi ustawiali się w kolejkach, żeby posłuchać, jak mówi o przestrzeni, czasie i magii, jakby wszystkie były częściami tego samego. A młoda Eskarina karmiła go, myła, pomagała w każdej potrzebie i uczyła się od niego… no, wszystkiego.

Jak głosiła opowieść, poznała sekrety, wobec których najpotężniejsza magia wyglądała jak zwykłe sztuczki. I ta opowieść była prawdą! Tiffany rozmawiała z tą kobietą, jadła z nią ciasteczka… Rzeczywiście istniała kobieta, która mogła chodzić przez czas i wydawać mu polecenia. O rany!

Tak; i było też w Eskarinie coś niezwykłego, jakieś wrażenie… nie takie, że nie całkiem jest tutaj, ale raczej takie, że jest równocześnie wszędzie indziej.

I w końcu Tiffany zobaczyła na horyzoncie Kredę, tajemniczą jak wyrzucony na plażę wieloryb. To był jej teren, znała każdą piędź tej ziemi, jakaś jej cząstka zawsze tu pozostanie. Tutaj mogła się zmierzyć ze wszystkim. Jak mógłby Przebiegły, jakiś zapomniany upiór, pokonać ją na jej terenie? Tutaj miała krewnych — więcej niż potrafiła zliczyć; tutaj miała przyjaciół, więcej… no, może już nie tak wielu, odkąd została czarownicą, ale tak kręci się świat.

Zauważyła, że ktoś wspina się po jej sukience. Nie był to taki problem, jakim mógł być; czarownica oczywiście nawet by nie pomyślała o wyjściu bez sukienki, ale jeśli planowała latać na miotle, zaopatrywała się również w naprawdę grube spodnie, w miarę możliwości watowane. Siedzenie wyglądało w nich na większe, ale też jest w nie cieplej, a na stu stopach nad ziemią moda musi ustąpić wygodzie. Tiffany spokojnie spojrzała więc w dół i zobaczyła Feegla — nosił hełm strażnika, który wyglądał jak zrobiony z przekutego wieczka starej solniczki, równie mały napierśnik oraz — co zdumiewające — spodnie i buty. Normalnie Feeglowie nie używają butów.

— Jesteś Ciut Szalony Artur, prawda? Widziałam cię Pod Królewską Głową. Jesteś policjantem!

— Ano — potwierdził Ciut Szalony Artur i wyszczerzył zęby w czysto feeglowym uśmiechu. — Pikne jest zycie w strazy i całkiem nieźle płacą. Pens jest duzo wart, jeśli za pensa mozna kupić jedzenie na tydzień.

— Czyli lecisz z nami, żeby utrzymywać porządek w naszej krainie? Chcesz zostać?

— Nie, jakoś mnie sie nie wydaje. Bo wis, ja tam lubie miasto. Lubie kawe, co sie jej nie robi z takich ciut żołędzi. Chodze se do teatru, na łopery i balet.

Miotła zakołysała się lekko. Tiffany słyszała o balecie, a nawet widziała jego obrazki w książce, jednak słowo to jakoś nie pasowało do żadnego zdania zawierającego też słowo „Feegle”.

— Balet? — powtórzyła z niedowierzaniem.

— Ano! Wspaniały jest! W zesłym tydniu zem widział „Łabędzia na rozpalonym blasanym jezioze”, tradycyjny motyw łopracowany na nowo psez jednego z nasych łobiecujących młodych artystów; następnego dnia, łocywiście, wystawiali w łopeze nową interpretacje „Die Flabbergast”. A wis, ześmy tez mieli cały tydzień porcelany w Królewskim Muzeum Stuki, z darmowym naparsteckiem sherry. O tak, to jest miasto kultury, ni ma co.

— Na pewno jesteś Feeglem? — upewniła się zafascynowana Tiffany.

— Tak mnie psekonują, panienko. Ale psecie zadne prawo nie mówi, co nie moge sie interesować kulturą, prawda? Łobiecałem chłopeckom, ze jak wróce, zabiore ich na balet, coby sami łobacyli.

Przez chwilę miotła leciała samodzielnie, a Tiffany wpatrywała się w pustkę — a raczej w myślowy obraz Feeglów w teatrze. Sama nigdy w nim nie była, ale oglądała go na rysunkach i sama myśl o Feeglach między balerinami była tak niewyobrażalna, że lepiej było pozwolić, by umysł wzdrygnął się tylko i zapomniał o wizji. Na czas przypomniała sobie, że musi wylądować, i płynnie sprowadziła miotłę na ziemię w pobliżu kopca.

Ku swemu zdumieniu zobaczyła obok straże. Ludzkie straże.

Patrzyła z niedowierzaniem. Przecież gwardziści barona nigdy nie wchodzili na wzgórza. Nigdy! Kto o tym słyszał? I jeszcze… poczuła wzbierający gniew… jeden z nich trzymał łopatę!

Zeskoczyła tak szybko, że miotła sunęła jeszcze nad murawą, rozrzucając po drodze Feeglów, aż uderzyła o jakąś przeszkodę i strąciła ostatnich, którzy jakoś się jeszcze trzymali.

— Lepiej pilnuj tej łopaty, Brianie Roberts! — wrzasnęła na sierżanta straży. — Bo jak pozwolisz jej naruszyć tu murawę, nastąpi rozliczenie! Jak śmieliście? Co tu robicie? I nikomu nie wolno rozrąbywać nikogo na kawałki, zrozumiano?

Ostatnie zdanie skierowane było do Feeglów, którzy otoczyli gwardzistów kręgiem małych, ale bardzo groźnych mieczy. Feeglowy pałasz jest tak ostry, że człowiek może nie wiedzieć, że stracił nogę, dopóki nie spróbuje chodzić. Sami gwardziści wyglądali w tej chwili na ludzi, którzy wiedzą, że powinni być duzi i silni, ale nagle dociera do nich, że „duży” albo „silny” wcale nie wystarczy. Oczywiście, słyszeli różne historie, chyba każdy w Kredzie znał opowieści o Tiffany i jej małych… pomocnikach. Ale to przecież były tylko takie bajki, prawda? Aż do teraz. Teraz ci mali… pomocnicy grozili chyba, że wbiegną po nogawkach w górę…

Nastała cisza. Tiffany rozejrzała się zdyszana. Wszyscy patrzyli teraz na nią, co było lepsze, niż gdyby walczyli, prawda?

— No dobrze — powiedziała tonem nauczycielki, która dopiero co uspokoiła rozbrykaną klasę. Pociągnęła nosem, co zwykle tłumaczy się na „Nie jestem jeszcze całkiem z was zadowolona, przypominam”. Potem pociągnęła nosem jeszcze raz. — No dobrze. Czy ktoś mi wytłumaczy, co się tutaj dzieje?

Sierżant naprawdę podniósł rękę.

— Czy możemy zamienić słówko na osobności, panienko?

Tiffany zaimponowało, że w ogóle jest w stanie mówić, skoro jego umysł usiłował zrozumieć to, co mówiły mu oczy.

— Chodź za mną. — Odwróciła się gwałtownie, aż gwardziści i Feeglowie podskoczyli. — I nikt, ale to nikt ma nie rozkopywać niczyjego domu ani odrąbywać nikomu nóg, póki nie wrócimy. Zrozumieliście? Pytałam, czy zrozumieliście!

Odpowiedział jej niewyraźny chór „tak” i „ano”, choć nie uczestniczył w nim ten, na czyją twarz patrzyła teraz z góry. Rob Rozbój trząsł się z wściekłości. Przykucnął, gotów do skoku.

— Słyszałeś, Robie Rozbóju?

Popatrzył na nią, a oczy mu płonęły.

— Nie złoze ci łobietnicy w tej sprawie, moja panno, choć ześ jest wiedźmą! Gdzie moja Jeannie? Gdzie resta? Te chłystki mają miece! Co kcieli nimi robić? Ządam łodpowiedzi!

— Posłuchaj mnie, Rob… — zaczęła Tiffany, ale urwała.

Twarz Roba Rozbója była mokra od łez; rozpaczliwie szarpał się za brodę, walcząc z upiorami własnej wyobraźni. Tiffany uznała, że znaleźli się o włos od wojny.

— Robie Rozbóju! Jestem wiedźmą tych wzgórz i nakładam na ciebie klątwę, byś nie zabijał tych ludzi, dopóki ci nie powiem! Zrozumiałeś?

Usłyszała tępe uderzenie — to któryś gwardzista zemdlał i padł na plecy. Dziewczyna przemawiała do tych stworów! I mówiła o zabijaniu ich, gwardzistów! Nie byli do tego przyzwyczajeni. Zwykle najbardziej ekscytującym dla nich zdarzeniem było to, że świnie wdarły się do ogródka.

Wielki Gość Feeglów się wahał; w oszołomionym mózgu usiłował przetrawić rozkaz Tiffany. Owszem, nie był to rozkaz, by kogoś od razu zabić, ale przynajmniej sugerował możliwość, że bardzo niedługo… Mógł więc uwolnić głowę od strasznych wizji.

Dla Tiffany przypominało to trzymanie głodnego psa na smyczy z pajęczyny, ale przynajmniej zyskała trochę czasu.

— Sam widzisz, że kopiec jest nietknięty — powiedziała. — Cokolwiek tu planowano, nie zostało wykonane. — Odwróciła się do sierżanta, który zbladł. — Brian, jeśli chcesz, żeby twoi ludzie nadal mieli wszystkie ręce i nogi, polecisz im, żeby natychmiast, ale bardzo powoli odłożyli broń. Wasze życie zależy od honoru jednego Feegla, a on wpada w obłęd ze zgrozy! Zrób to!

Ku jej uldze wydał rozkaz, a gwardziści — zadowoleni, że sierżant każe im zrobić coś, o czym każdy atom ich ciał krzyczał, że właśnie to zrobić powinni — wypuścili z drżących dłoni miecze. Jeden nawet podniósł ręce w uniwersalnym geście kapitulacji.

Tiffany odciągnęła sierżanta trochę dalej od patrzących wrogo Feeglów.

— Niby co wy tu wyprawiacie, ty tępy idioto?

— Rozkazy barona, Tiff.

— Barona? Przecież baron nie…

— Żyje, Tiff. Wrócił trzy godziny temu. Jechał przez całą noc, podobno. A ludzie gadali… — Spojrzał na swoje buty. — No i my… my… znaczy, wysłał nas tutaj, żebyśmy odnaleźli dziewczynę, którą oddałaś elfom. Przykro mi, Tiff.

— Oddałam? Ja oddałam?

— To nie ja powiedziałem, Tiff. — Sierżant cofnął się o krok. — Ale wiesz, sama znasz te historie. I, tego… nie ma dymu bez ognia, prawda?

Historie, myślała Tiffany. No tak… Dawno, dawno temu żyła sobie stara zła czarownica…

— I uważasz, że stosują się do mnie, tak? Już jestem w ogniu, czy tylko dymię?

Sierżant nerwowo przestąpił z nogi na nogę, a potem usiadł.

— Jestem sierżantem, nikim więcej, tak? Młody baron wydał mi rozkaz, tak? A jego słowo jest tu prawem, zgadza się?

— Może sobie być prawem na dole. Tutaj, na wzgórzach, jestem ja. Popatrz tam. Tak, tam! Co widzisz?

Sierżant spojrzał, gdzie mu kazała, i zbladł jeszcze bardziej. Stare żelazne koła i piecyk z krótkim kominem były wyraźnie widoczne, a stadko owiec skubało trawę wokół nich, jak zwykle. Poderwał się na nogi, jakby usiadł na mrowisku.

— Tak — rzekła Tiffany z pewną satysfakcją. — To grób babci Obolałej. Pamiętasz ją? Ludzie opowiadali, że jest mądrą kobietą, ale mieli przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby wymyślać o niej lepsze historie! Chcecie rozkopać tu murawę? Dziwię się, że babcia nie powstanie z ziemi i nie ugryzie cię w tyłek! Zabieraj swoich ludzi trochę niżej, a ja to wszystko jakoś rozplączę. Rozumiesz? Nie chcemy, żeby ktoś pochopnie zareagował.

Sierżant kiwnął głową. Zresztą nie miał innych możliwości.

Gwardziści odeszli, ciągnąc za sobą omdlałego kolegę. Starali się nie wyglądać jak, no… jak gwardziści, którzy spokojne odejście zmieniają w coś możliwie bliskiego ucieczki.

Tiffany uklękła obok Roba Rozbója i ściszyła głos.

— Słuchaj, Rob, ja wiem o ukrytych tunelach.

— Jaki chłystek ci pedział o sekretnych tunelach?

— Jestem wiedźmą tych wzgórz, Rob — odparła spokojnie. — Czy nie powinnam wiedzieć o tunelach? Jesteście Feeglami, a żaden Feegle nie zasnąłby w domu z tylko jednym wyjściem. Mam rację?

Feegle powoli odzyskiwał panowanie nad sobą.

— Ano, mas tu ciut racje.

— Więc czy mogę prosić, żebyś poszedł i sprowadził tu Amber? Nikt nie tknie waszego kopca.

Po sekundzie wahania Rob wskoczył do otworu wejścia i zniknął. Wrócił po dłuższym czasie, który Tiffany z wdzięcznością wykorzystała, sprowadzając z powrotem sierżanta, by pomógł zbierać porzuconą broń. A kiedy Rob znów stanął przed kopcem, towarzyszyła mu o wiele liczniejsza grupa Feeglów, kelda i dość niechętna Amber. Dziewczyna zamrugała w jasnym świetle dnia i mruknęła:

— Oj, łojzicku!

Tiffany dobrze wiedziała, że uśmiecha się fałszywie, gdy powiedziała:

— Przyszłam zabrać cię do domu, Amber.

Przynajmniej nie jestem taka głupia, pomyślała, żeby dodać coś w stylu „Cieszysz się, prawda?”.

Amber rzuciła jej niechętne spojrzenie.

— Nie zabiezes mnie! — oznajmiła. — I mozes tamten dom se wsadzić tam, gdzie małpa majzel!

Trudno ci się dziwić, uznała Tiffany. Ale teraz, kiedy mogę uchodzić za dorosłą, muszę wypowiadać jakieś głupie, dorosłe zdania…

— Przecież masz matkę i ojca, Amber. Na pewno za tobą tęsknią.

Skrzywiła się, widząc twarz dziewczyny.

— Ano, ten stary paskud tęskni, coby znowu mi psywalić!

— Może pójdziemy tam razem i pomożemy mu się zmienić? — zaproponowała Tiffany, gardząc sobą… Ale wizja pokłutych pokrzywami grubych palców nie chciała jej opuścić.

Tym razem Amber szczerze się roześmiała.

— Wybac, panienko, ale Jeannie mówiła, ześ jest mądra.

Co takiego mówiła kiedyś babcia Weatherwax? „Zło zdarza się wtedy, kiedy zaczynasz traktować ludzi jak rzeczy”. I teraz się zdarzy, jeśli Tiffany uzna, że istnieje taka rzecz jak ojciec, taka rzecz jak matka, taka rzecz jak córka i taka rzecz jak domek, i kiedy złoży się je razem, powstanie rzecz zwana szczęśliwą rodziną.

— Amber, chcę, żebyś ze mną poszła do barona — powiedziała głośno. — Będzie mógł się przekonać, że jesteś bezpieczna. Potem zrobisz, co zechcesz. Obiecuję.

Poczuła, że ktoś stuka w jej but; spojrzała w dół, w zmartwioną twarz keldy.

— Mozemy zamienić słówecko?

Amber przykucnęła obok, żeby trzymać keldę za drugą rękę.

Potem Jeannie przemówiła znowu, o ile to była mowa, a nie pieśń. Ale co innego można śpiewać, co zostawało w powietrzu tak, że kolejna nuta owijała się wokół? Co można śpiewać, co wydaje się żywym dźwiękiem, który sam siebie śpiewa w odpowiedzi?

A kiedy pieśń się skończyła, pozostawiła tylko pustkę i poczucie straty.

— To pieśń keldy — wyjaśniła Jeannie. — Amber słysała, jak ją śpiewam maluchom. To cęść ukojeń, a ona zrozumiała, Tiffany. Nie pomagałam jej nic, a ona zrozumiała! Wiem, ze Ropuch ci o tym mówił. Ale wis, co ja teraz chce ci pedzieć? Ona rozpoznaje znacenia i ucy sie ich. Jest tak bliska bycia keldą, jak tylko moze być cłowiek. Jest skarbem i nie wolno go łodzucać.

Słowa padły z niezwykłą mocą jak na keldę, która zwykle przemawiała bardzo delikatnie. I Tiffany rozpoznała w nich przydatną informację, która także, w bardzo grzecznym stylu, była rodzajem groźby.

\* \* \*

Nawet podróż ze wzgórza do wioski była kłopotliwa. Tiffany, trzymając Amber za rękę, przeszła obok czekających gwardzistów i maszerowała dalej, ku zakłopotaniu sierżanta. Przecież jeśli człowiek został wysłany, żeby kogoś sprowadzić, będzie wyglądał głupio, jeśli ten ktoś tak sobie sam przyjdzie i sam się sprowadzi. Z drugiej strony, gdyby Tiffany i Amber szły za gwardzistami, wyglądaliby, jakby ich zaganiały. Była to przecież kraina owiec i wszyscy wiedzieli, że owce idą przodem, a pasterz z tyłu.

Wreszcie zdecydował się na kompromisową i dość niewygodną metodę, gdzie wszyscy szli naprzód, jakby trochę krążąc dookoła i przestępując z nogi na nogę, przez co wyglądali, jakby w marszu tańczyli kadryla. Tiffany musiała co chwila powstrzymywać Amber od chichotania.

To była ta zabawna część drogi. I byłoby miło, gdyby mogła potrwać dłużej.

— Słuchaj, miałem tylko sprowadzić dziewczynę — tłumaczył rozpaczliwie sierżant, kiedy mijali bramę zamku. — Nie musisz tam iść.

Powiedział to tonem, który oznaczał: „Proszę, proszę, nie pakuj się tam i nie ośmieszaj mnie przed nowym szefem!”. Ale to nie poskutkowało.

W zamku panowało coś tradycyjnie nazywanego krzątaniną, co oznaczało, że różni ludzie wchodzili sobie w drogę, biegając z różnymi zadaniami we wszystkich kierunkach z wyjątkiem tego na wprost. Wkrótce miał nastąpić pogrzeb, a po nim ślub, a dwie tak ważne uroczystości w tak krótkim czasie mogą całkowicie wyczerpać możliwości niewielkiego zamku. Zwłaszcza że ludzie, którzy z daleka przyjadą na pierwszą, zapewne zostaną na drugą, co pozwoli im zaoszczędzić czasu, ale zmusi wszystkich do dodatkowej pracy.

Tiffany z zadowoleniem odnotowała nieobecność panny Spruce, która była ogólnie dość niemiła i nie lubiła brudzić sobie rąk.

Zawsze też pojawiał się problem z usadzaniem gości. Większość będzie arystokratami, więc stawało się kluczowe, by nikt nie siedział obok kogoś, kto jest spokrewniony z kimś, kto w dalszej czy bliższej przeszłości zabił któregoś z jego przodków. Ponieważ przeszłość jest bardzo obszerna, a przodkowie każdego starali się na ogół pozabijać przodków wszystkich pozostałych — dla ziemi, dla pieniędzy albo z nudów — potrzebna była bardzo staranna trygonometria, by nie zaczęła się kolejna masakra, jeszcze zanim goście zjedzą zupę.

Nikt ze służby nie zwracał szczególnej uwagi na dziewczyny ani gwardzistów, choć raz Tiffany się zdawało, że zauważyła u kogoś jeden z tych drobnych gestów, które ludzie wykonują, jeśli sądzą, że potrzebują ochrony przed złem — tutaj, na jej terenie! Odnosiła też silne wrażenie, że nie zwracają na nich uwagi bardzo stanowczo, jakby samo spojrzenie na Tiffany mogło się okazać groźne dla zdrowia. Kiedy wprowadzono je obie do gabinetu barona, zdawało się, że on także ich nie zauważył. Stał pochylony nad zakrywającą całe biurko płachtą papieru, w dłoni trzymał pęk kolorowych kredek.

Sierżant zakaszlał, ale nawet gdyby zadławił się na śmierć, nie zdołałby naruszyć koncentracji barona. Wreszcie Tiffany krzyknęła głośno:

— Rolandzie!

Wtedy odwrócił się gwałtownie, z twarzą czerwoną z zakłopotania, z lekkim dodatkiem gniewu.

— Wolałbym „jaśnie panie”, panno Obolała — oświadczył ostrym tonem.

— A ja wolałabym „Tiffany”, Rolandzie — odparła Tiffany ze spokojem, jaki zawsze wyprowadzał go z równowagi.

Gwałtownie odłożył kredki.

— Przeszłość minęła, panno Obolała, i jesteśmy już innymi ludźmi. Lepiej o tym pamiętajmy. Nie sądzi pani?

— Przeszłość była ledwie wczoraj — odparła Tiffany. — I byłoby równie dobrze, gdybyśmy pamiętali, że był kiedyś czas, gdy nazywałam cię Rolandem, a ty mnie Tiffany. Nie sądzisz?

Sięgnęła do szyi i zdjęła naszyjnik ze srebrnym koniem, który od niego dostała. Zdawało się, że minęło już ze sto lat, ale ten naszyjnik był ważny. Dla tego naszyjnika sprzeciwiła się nawet babci Weatherwax! A teraz trzymała go przed sobą jak oskarżenie.

— Przeszłość trzeba pamiętać. Jeśli nie wiesz, skąd przychodzisz, to nie wiesz, gdzie jesteś, a jeśli nie wiesz, gdzie jesteś, to nie wiesz, dokąd zmierzasz.

Sierżant spoglądał to na jedno, to na drugie; po chwili instynkt samozachowawczy — który wyrabia u siebie każdy żołnierz już na długo przed awansem do stopnia sierżanta — kazał mu opuścić pokój, zanim w powietrzu zaczną latać różne przedmioty.

— To ja pójdę dopilnować… eee… spraw, które wymagają dopilnowania, jeśli nie jestem potrzebny — powiedział. Otworzył i zamknął drzwi tak szybko, że zatrzasnęły się równo z ostatnią sylabą.

Roland popatrzył na nie i odwrócił się.

— Wiem, gdzie jestem, panno Obolała. Zajmuję miejsce mojego ojca, który nie żyje. Od lat kierowałem tą posiadłością, ale wszystko, co robiłem, robiłem w jego imieniu. Dlaczego umarł, panno Obolała? Nie był aż tak stary. Myślałem, że zna się pani na magii!

Tiffany zerknęła na Amber, która przysłuchiwała się temu z zaciekawieniem.

— Może lepiej będzie omówić to później? — zaproponowała. — Chciałeś, żeby twoi ludzie sprowadzili tę dziewczynę, więc jest tutaj, zdrowa na ciele i umyśle. A wbrew temu, co twierdziłeś, nie oddałam jej elfom. Była gościem Nac Mac Feeglów, z których pomocy korzystałeś przy niejednej okazji. I poszła tam z własnej nieprzymuszonej woli. — Przyjrzała się uważnie twarzy Rolanda. — Nie pamiętasz ich, co? — spytała.

Widziała, że nie, ale jego umysł zmagał się z przekonaniem, że coś jednak powinien pamiętać. Był więźniem królowej elfów, przypomniała sobie Tiffany. Zapomnienie może być błogosławieństwem, ale ciekawe, jakie przerażające wizje pojawiły się w jego głowie, kiedy Petty’owie powiedzieli, że zabrała ich córkę do Feeglów. Do elfów…

Czy potrafię sobie wyobrazić, co czuł?

— Masz jakieś mgliste wspomnienia o elfach, prawda? — spytała łagodniejszym tonem. — Nic złego, mam nadzieję, ale też nic wyraźnego, jakby to było coś, co znasz z książki albo z jakiejś bajki, którą ktoś ci opowiadał, kiedy byłeś mały. Mam rację?

Rzucił jej niechętne spojrzenie, ale uronione słowo, które zdusił na wargach, zdradziło jej, że się nie pomyliła.

— Nazywają to ostatnim darem — wyjaśniła. — To część ukojeń. Stosują je wtedy, kiedy dla wszystkich będzie lepiej, jeśli zapomnisz o przeżyciach zbyt okropnych, a także o tych zbyt cudownych. Mówię ci to, jaśnie panie, bo wiem, że Roland nadal gdzieś tam jest. Do jutra zapomnisz nawet to, co teraz powiedziałam. Nie wiem, jak to działa, ale działa prawie na każdego.

— Zabrałaś dziecko rodzicom! Przyszli do mnie, jak tylko dotarłem tutaj dziś rano! Wszyscy do mnie przyszli dziś rano! Zabiłaś mojego ojca? Ukradłaś jego pieniądze? Próbowałaś udusić starego Petty’ego? Wychłostałaś go pokrzywami? Sprowadziłaś mu do domu demony? Sam nie wierzę, że zadałem ci to pytanie, ale pani Petty wyraźnie jest o tym przekonana. Osobiście nie wiem, co o tym myśleć, tym bardziej że jakaś kobieta elfów może grzebać w moich myślach! Rozumiesz mnie?

Kiedy Tiffany próbowała ułożyć jakąś sensowną odpowiedź, Roland opadł na stary fotel za biurkiem i westchnął.

— Powiedziano mi, że stałaś nad moim ojcem z pogrzebaczem w ręku i żądałaś pieniędzy — oświadczył ze smutkiem.

— To nieprawda!

— A powiedziałabyś mi, gdyby to była prawda?

— Nie! Bo nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła! No, może rzeczywiście nad nim stałam…

— Aha!

— Jak śmiesz mnie ahować, Rolandzie! Posłuchaj, wiem, że ludzie opowiadali ci różne rzeczy, ale to nieprawda!

— Przecież właśnie się przyznałaś, że stałaś nad moim ojcem! Tak?

— Bo chciał, żebym mu pokazała, jak dbam o czystość rąk!

Pożałowała tych słów już w chwili, gdy je wypowiedziała. Były prawdą, ale czy to ważne? Nie brzmiały prawdziwie!

— Słuchaj, ja rozumiem…

— I nie ukradłaś worka pieniędzy?

— Nie!

— I nic nie wiesz o worku pieniędzy?

— Tak, twój ojciec prosił mnie, żebym wzięła z tej metalowej skrzyni jeden mieszek. Chciał…

— Gdzie są teraz te pieniądze? — przerwał jej Roland spokojnym, obojętnym tonem.

— Nie mam pojęcia — odparła Tiffany. A kiedy otwierał usta, krzyknęła: — Nie! Wysłuchasz mnie, jasne? Siedź tam i słuchaj! Opiekowałam się twoim ojcem przez prawie dwa lata. Lubiłam go i nie zrobiłabym nic, co mogłoby mu zaszkodzić. Umarł, bo nadszedł jego czas. Kiedy ten czas przychodzi, nic już nie można zrobić.

— Więc po co jest magia?

Pokręciła głową.

— Magia, jak to nazywasz, nie dopuszczała bólu, i nie myśl nawet, że nie trzeba za to płacić. Widziałam, jak umierają ludzie, i mogę cię zapewnić, że twój ojciec odszedł w spokoju, myśląc o szczęśliwych dniach.

Roland płakał i wyczuwała jego gniew. Jakby uważał, że przez te łzy mniej jest mężczyzną i mniej baronem.

— A czy możesz zabrać mój żal? — szepnął.

— Przykro mi — odpowiedziała cicho. — Wszyscy mnie o to pytają, ale nie zrobiłabym tego, gdybym nawet wiedziała jak. Ten żal należy do ciebie. Tylko czas i łzy mogą go ukoić; do tego służą.

Wzięła Amber za rękę. Dziewczyna obserwowała barona w skupieniu.

— Zabieram Amber ze sobą do domu — oznajmiła Tiffany. — A ty wyglądasz, jakbyś musiał się porządnie wyspać.

Nie odpowiedział. Siedział wpatrzony w swoje papiery, jakby go hipnotyzowały. Ta przeklęta pielęgniarka, pomyślała Tiffany. Powinnam przewidzieć, że narobi kłopotów. Trucizna trafia tam, gdzie trucizna jest przyjmowana, a w wypadku panny Spruce była pewnie przyjmowana przez wiwatujące tłumy i może niewielką orkiestrę dętą. Tak, pielęgniarka zaprosiłaby Przebiegłego. Była właśnie taką osobą, która by go wpuściła i dała mu moc, wrogą moc, moc zazdrosną, moc arogancką. A przecież ja wiem, że nie zrobiłam nic złego. Ale… czy naprawdę? Oglądam swoje życie tylko od wewnątrz, a przypuszczam, że wewnątrz siebie nikt nigdy nie robi nic złego. Niech to! Wszyscy przychodzą ze swoimi kłopotami do czarownicy! Nie mogę winić Przebiegłego za wszystko, co opowiadają. Chciałabym tylko mieć kogoś — poza Jeannie — z kim mogłabym porozmawiać, a kto nie zwracałby uwagi na szpiczasty kapelusz. Więc co powinnam teraz zrobić? Tak, co mam teraz robić, panno Obolała? Co mi pani poradzi, panno Obolała, która tak dobrze umie podejmować decyzje za innych? No cóż, radzę, żebyś też się trochę przespała. Nie spałaś za dobrze wczoraj w nocy, bo pani Proust chrapała na poziomie mistrzowskim, a od tego czasu wiele się wydarzyło. Zresztą nie pamiętam już, kiedy ostatni raz zjadłaś solidny posiłek i jeśli wolno, chcę też zauważyć, że rozmawiasz sama ze sobą.

Spojrzała na Rolanda. Siedział przygarbiony w fotelu i patrzył w pustkę.

— Mówiłam, że zabieram Amber ze sobą do domu.

Roland wzruszył ramionami.

— Chyba nie mogę cię powstrzymać, prawda? — rzucił sarkastycznie. — Przecież jesteś czarownicą.

\* \* \*

Matka Tiffany bez słowa skargi przygotowała łóżko dla Amber, a Tiffany zapadła w sen we własnym, po drugiej stronie wielkiej sypialni.

Zbudziła się w ogniu. Płomienie wypełniały cały pokój — migotliwe, czerwone i pomarańczowe, ale palące się łagodnie jak w kuchennym palenisku. Nie było dymu i nic się naprawdę nie paliło. Całkiem jakby ten ogień wpadł tu z przyjacielską wizytą, nie w interesach. Płomienie szeleściły.

Tiffany była oczarowana. Wsunęła palec w ogień i uniosła mały płomyk, jakby był nieszkodliwy niczym pisklę. Zdawało się, że jest teraz zimniejszy, ale i tak na niego dmuchnęła, aż z cichym puknięciem wrócił na miejsce.

Podniosła się ostrożnie z płonącej pościeli, a jeśli to był sen, bardzo dobrze udawał wszystkie skrzypnięcia i zgrzyty, jakie tradycyjnie wydawało stare łóżko. Amber leżała spokojnie na drugim łóżku, pokryta ogniem. Tiffany patrzyła, jak dziewczyna przewraca się na drugi bok; płomienie przesunęły się wraz z nią.

Jeśli ktoś jest czarownicą, nie biega w kółko z wrzaskiem tylko dlatego, że łóżko mu się pali. W końcu to niezwyczajny ogień — ogień, który nie robi krzywdy. Czyli jest w mojej głowie, pomyślała. Ogień nie robi krzywdy. Zając do ognia bieży… Ktoś próbuje mi coś przekazać.

Nagle płomienie zgasły. Coś poruszyło się na oknie, niemal niedostrzegalnie, i Tiffany westchnęła. Feeglowie nigdy nie rezygnowali. Już jako dziewięciolatka wiedziała, że pilnują jej nocami. Nadal to robili, co było powodem, że kąpała się w głębokiej balii, za zasłoną. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie miała niczego, czego widok interesowałby Nac Mac Feeglów, ale lepiej się z tym czuła.

Zając do ognia bieży… Z pewnością wyglądało to na wiadomość, którą musiała jeszcze przemyśleć, ale od kogo? Może od tej tajemniczej czarownicy, która jej pilnuje? Wróżby i znaki są bardzo dobre, oczywiście, lecz czasem naprawdę by pomogło, gdyby ludzie zwyczajnie coś napisali. Nigdy jednak nie opłaca się ignorowanie tych przelotnych myśli i przypadków, nieoczekiwanych wspomnień i drobnych zachcianek. Całkiem często to jakaś inna część umysłu, usilnie próbująca przekazać jakąś wiadomość — taką, której człowiek nie zauważył, bo był zbyt zajęty.

Ale za oknem wstawał już jasny dzień i zagadki mogły zaczekać. Inne sprawy nie. Trzeba zacząć od zamku.

— Tata mnie pobił, prawda? — spytała rzeczowym tonem Amber, kiedy szły razem w stronę szarych wież. — Moje dziecko umarło?

— Tak. Przykro mi.

— Coś jakby pamiętam, ale niedokładnie — rzekła Amber tym samym obojętnym tonem. — Wszystko jest takie… zamglone.

— To działają ukojenia. Jeannie ci pomagała.

— Rozumiem.

— Na pewno?

— Tak — zapewniła Amber. — Ale mój tato… będzie miał kłopoty?

Miałby, gdybym opowiedziała, jak cię znalazłam, pomyślała Tiffany. Kobiety by tego dopilnowały. Ludzie we wsi mieli dość tradycyjne podejście do karcenia chłopców, którzy niemal z definicji są złośliwymi łobuzami, więc trzeba ich poskromić. Ale tak mocno pobić dziewczynkę? O nie…

— Opowiedz mi o swoim młodym człowieku — poprosiła więc. — Jest krawcem, tak?

Amber się rozpromieniła — jednym uśmiechem potrafiła rozjaśnić świat.

— O tak. Dużo się nauczył od dziadka i teraz potrafi zrobić z materiału prawie wszystko. Wszyscy dookoła powtarzają, że trzeba go posłać na naukę, a po paru latach sam będzie mistrzem. — Wzruszyła ramionami. — Ale mistrzowie chcą pieniędzy za uczenie tego, co umieją, a matka Williama nigdy nie odłoży tyle, żeby go posłać do terminu. No ale mój William ma cudownie zgrabne palce, pomaga mamie szyć gorsety i piękne ślubne suknie. To znaczy, że pracuje z atłasami i podobnymi materiałami. A mamę Williama wszyscy bardzo chwalą za jej równiutkie ściegi!

Amber promieniała dumą z drugiej ręki. Tiffany spojrzała na jej rozjaśnioną buzię, gdzie sińce — mimo kojącego dotyku keldy — wciąż były wyraźnie widoczne.

Czyli jej chłopak jest krawcem, pomyślała Tiffany. Dla zwalistych mężczyzn, takich jak pan Petty, krawiec właściwie nie jest mężczyzną, z takimi delikatnymi palcami i robotą pod dachem. A jeśli szyje też suknie dla dam, to tym większy wstyd przyniesie córka nieszczęsnej rodzinie.

— Co chcesz teraz zrobić, Amber?

— Chciałabym zobaczyć mamę — odparła natychmiast dziewczyna.

— A jeśli spotkasz ojca?

Amber spojrzała na nią.

— To zrozumiem… Proszę, nie rób mu niczego okropnego, nie zamieniaj w świnię ani nic…

Dzień jako świnia pomógłby mu się poprawić, pomyślała Tiffany. Ale było coś z keldy w tym, jak Amber powiedziała „Zrozumiem”. Jaśniejące światełko w świecie mroku.

\* \* \*

Tiffany nigdy jeszcze nie widziała zamkniętej bramy zamku, chyba że nocą. Za dnia zamek stanowił połączenie miejsca spotkań, rynku, gdzie kowal i stolarz rozkładali swoje stragany, miejsca zabaw dla dzieci w czasie deszczu, a w razie potrzeby tworzył też prowizoryczny skład dla siana i zboża, kiedy same stodoły nie wystarczały. Nawet w największej chacie nie było zbyt wiele miejsca; jeśli ktoś szukał ciszy i spokoju, chciał nad czymś się zastanowić albo z kimś porozmawiać, szedł do zamku. I zawsze to znajdował.

Szok po przybyciu nowego barona już częściowo minął, ale w zamku nadal trwała krzątanina, choć nieco przyciszona. Ludzie prawie się nie odzywali. Powodem mogła być księżna, przyszła teściowa Rolanda, która krążyła po wielkim holu i od czasu do czasu szturchała służących laską. Z początku Tiffany nie uwierzyła własnym oczom, ale po chwili zobaczyła to znowu: lśniącą czarną laseczkę ze srebrną gałką na końcu, którą księżna szturchnęła służącą niosącą pranie. Dopiero teraz zauważyła również przyszłą pannę młodą, która wlokła się za matką, jakby zbyt zawstydzona, by podejść bliżej do kogoś, kto szturcha ludzi laską.

Tiffany już chciała zaprotestować, ale kiedy się rozejrzała, ogarnęła ją ciekawość. Cofnęła się o kilka kroków i zniknęła. Tę umiejętność dobrze opanowała. Nie stała się niewidzialna — po prostu ludzie przestali ją zauważać. I niezauważona przesunęła się bliżej, by słyszeć, o czym obie mówią, a raczej co mówi matka, a czego słucha córka.

Księżna narzekała.

— Dopuścili, żeby zapanował tu totalny chaos. Naprawdę, trzeba wszystko zmienić! Nie możesz sobie pozwolić na niedbałość. Stanowczość jest najważniejsza! Nieba tylko wiedzą, co ta rodzina tu wyczyniała!

Jej przemowę przerwało uderzenie laski o grzbiet kolejnej służącej, która przebiegała — ale najwyraźniej nie dość szybko — zgarbiona pod koszem mokrej bielizny.

— Musisz być rygorystyczna w obowiązkach, by oni w swoich byli równie rygorystyczni — ciągnęła księżna, rozglądając się po holu w poszukiwaniu kolejnego celu. — Niedbalstwo musi się skończyć! Widzisz? Widzisz? Jednak się uczą. Nie wolno ci zmniejszać czujności w zwalczaniu niedbalstwa, zarówno w czynach, jak w zachowaniu. Nie pozwalaj na zbytnią familiarność! A to, oczywiście, dotyczy również uśmiechów. Och, możesz pomyśleć, co jest złego w uśmiechu? Ale niewinny uśmiech może łatwo się zmienić w chytry grymas, a może też sugerować jakiś żart. Słuchasz, co do ciebie mówię?

Tiffany była zdumiona. Księżna jednoosobowo skłoniła ją do czegoś, w co nie wierzyła, że kiedykolwiek nastąpi: do współczucia dla przyszłej panny młodej, która w tej chwili stała przed matką jak niegrzeczne dziecko.

Jej hobby, a może jedynym zainteresowaniem, było malowanie akwareli. I chociaż Tiffany starała się — wbrew swym najgorszym instynktom — być dla niej łaskawa, nie dało się zaprzeczyć, że dziewczyna sama wyglądała jak akwarela — i nie taka normalna akwarela, ale namalowana przez kogoś, kto miał niewiele farby, a bardzo dużo wody; sprawiało to wrażenie, że jest nie tylko bezbarwna, ale też dość wilgotna. Należy dodać, że było jej bardzo niewiele i podczas burzy całkiem możliwe, że by się połamała.

Choć niewidoczna, Tiffany poczuła jednak najdelikatniejsze ukłucie wyrzutów sumienia i przestała wynajdywać inne niemiłe tematy do pomyślenia. Poza tym współczucie stawało się coraz silniejsze. A niech to!

— A teraz, Letitio, wyrecytuj jeszcze raz ten wiersz, którego cię nauczyłam — poleciła księżna.

Przyszła panna młoda nie tylko się czerwieniła, ale wręcz rozpływała ze wstydu i zakłopotania. Rozglądała się jak zagubiona myszka na rozległej szerokiej podłodze, niepewna, w którą stronę uciekać.

— „Jeśli…” — podpowiedziała z irytacją matka i szturchnęła ją laską.

— „Jeśli…” — wykrztusiła dziewczyna. — „Jeśli pokrzywę lekko złapiesz, poparzy cię wszędzie, ale jeśli ściśniesz śmiało, to jak jedwab będzie. Tak i z ludźmi: gdyś łagodna, buntu wnet spodziewaj się, ale gdy garść mocno ściśniesz, to rozkazy spełnią twe”.

Kiedy ten wilgotny głos ucichł, Tiffany spostrzegła, że w całym holu zapadła absolutna cisza. Miała nadzieję, że ktoś zapomni się dostatecznie, by zacząć klaskać, choć zapewne oznaczałoby to koniec świata. Tymczasem przyszła panna młoda spojrzała na pootwierane usta i z płaczem uciekła tak szybko, jak tylko zdołały ją nieść bardzo kosztowne, ale wybitnie niepraktyczne pantofelki. Szaleńczo stukały na schodach; po chwili trzasnęły drzwi.

Tiffany oddaliła się wolno — zaledwie cień w powietrzu dla każdego, kto nie obserwował bardzo uważnie. Pokręciła głową. Dlaczego on to zrobił? Z jakiego powodu Roland zdecydował się na coś takiego? Roland mógł się przecież ożenić z każdą. Nie z samą Tiffany, oczywiście, ale czemu wybrał akurat tę… — żeby nie być nieuprzejmą — tę chudą dziewczynę?

Jej ojciec był diukiem, czyli księciem, więc jej matka księżną, a ona sama książczyną, i to raczej cienką. W dodatku, choćby bardzo się starać być uprzejmym, trudno nie zauważyć, że chodzi jak kaczka. No naprawdę! Jeśli uważnie się przyjrzeć, to widać, jak rozstawia stopy.

A jeśli ktoś dbał o takie sprawy, ta straszliwa matka i mazgajowata córka przewyższały Rolanda rangą! Mogły go oficjalnie tyranizować.

Stary baron, cóż, był zupełnie innym człowiekiem. Pewnie, lubił, gdy dzieci kłaniały mu się albo dygały lekko, kiedy je mijał na drodze, ale znał wszystkich z imienia, zwykle wiedział, kiedy kto ma urodziny, i zawsze był uprzejmy. Tiffany pamiętała, że zatrzymał ją kiedyś i powiedział: „Czy byłabyś taka miła i poprosiła swojego ojca, żeby kiedyś do mnie zajrzał? Proszę”. Bardzo grzeczne zdanie jak na człowieka o takiej władzy.

Jej matka i ojciec rozmawiali czasem o baronie, kiedy sądzili, że Tiffany już śpi. Wśród symfonii łóżkowych sprężyn często słyszała, jak prawie, ale nie całkiem się kłócą. Ojciec mówił coś w rodzaju: „Może i jest taki wielkoduszny, jak mówisz, ale nie powiesz mi chyba, że jego przodkowie nie zdobyli pieniędzy, uciskając ubogich”. A matka odpierała: „Nie widziałam nigdy, żeby cokolwiek uciskał! Zresztą to było w dawnych czasach. Musimy mieć kogoś, kto by nas bronił. To rozsądne!”. Ojciec natychmiast reagował czymś w rodzaju: „Bronić nas? Przed kim? Innym człowiekiem z mieczem? Moim zdaniem poradzilibyśmy sobie sami!”.

Mniej więcej na tym etapie dyskusja wygasała, ponieważ jej rodzice wciąż się kochali w spokojny, stabilny sposób i żadne z nich tak naprawdę nie chciało, żeby cokolwiek się zmieniło.

Osobiście sądziła, spoglądając na ludzi w holu, że nie trzeba koniecznie uciskać ubogich, jeśli się ich nauczy, żeby sami zajmowali się swoim uciskaniem.

Ta myśl wstrząsnęła nią, ale utkwiła w głowie. Wszyscy gwardziści byli miejscowymi chłopakami albo mężami miejscowych dziewcząt. Co by się stało, gdyby wszyscy w wiosce zebrali się razem i powiedzieli nowemu baronowi: „Pozwolimy ci tu zostać i możesz nawet spać w wielkiej sypialni, oczywiście dostarczymy ci wszystkie posiłki i od czasu do czasu machniemy tu szczotką, ale poza tym ta ziemia należy do nas, rozumiesz?”. Czy coś by z tego wyszło?

Pewnie nie. Ale pamiętała, że poprosiła ojca o zrobienie porządku w starej kamiennej szopie. To będzie początek. Miała plany wobec tej szopy.

— Ty tam! Tak! Ty w cieniu! Wałęsasz się?

Tym razem zauważyła. Całe to myślenie oznaczało, że Tiffany nie pilnowała odpowiednio swojej sztuczki z niewidzeniem. Teraz więc wyszła z cienia, a to z kolei oznaczało, że cieniem przestał być także jej szpiczasty kapelusz. Księżna przyjrzała mu się niechętnie.

Nadszedł czas, by przełamać lody, uznała Tiffany, nawet jeśli są tak grube, że wymaga to siekiery.

— Nie wiem, jak należy się wałęsać, proszę pani, ale postaram się jak najlepiej.

— Co? Co takiego?! Jak mnie nazwałaś?!

Ludzie obecni w holu uczyli się szybko i teraz jak najprędzej starali się opuścić to miejsce, ponieważ ton głosu księżnej był jak ostrzeżenie przed burzą, a nikt nie lubi stać na deszczu.

Nagły wybuch gniewu zaskoczył Tiffany. Przecież nie zrobiła nic takiego, czym zasłużyłaby na takie krzyki.

— Przepraszam, proszę pani. Nijak pani nie nazwałam, o ile mi wiadomo.

To w żaden sposób nie pomogło. Księżna zmrużyła oczy.

— Aha… Znam cię. Czarownica… ta dziewczyna, która ścigała nas w mieście, nie wiadomo z jakim mrocznym zamiarem. Tam, skąd pochodzę, znamy się na czarownicach! Wścibskie, sieją zwątpienie, mnożą buntownicze nastroje, nie mają żadnej moralności, a do tego są szarlatankami!

Księżna wyprostowała się i spojrzała na Tiffany z dumą, jakby właśnie odniosła decydujące zwycięstwo. Stuknęła laską o posadzkę.

Tiffany milczała, choć milczenie było trudne. Wyczuwała, że służące obserwują ją zza kotar i filarów albo wyglądają przez uchylone drzwi. Kobieta uśmiechała się z wyższością i naprawdę warto by zetrzeć jej z twarzy ten uśmieszek, gdyż Tiffany była to winna wszystkim czarownicom tego świata; powinna pokazać, że nie można tak traktować żadnej z nich. Z drugiej strony jeśli powie, co o tym myśli, księżna z pewnością wyładuje się na służących. Niezbędny był staranny dobór słów…

Ale nie nastąpił, ponieważ stara ropucha zachichotała złośliwie.

— I co, dziecinko? Nie spróbujesz mnie zmienić w jakąś straszną kreaturę?

Tiffany próbowała. Naprawdę się starała. Ale są sytuacje, kiedy nie można się powstrzymać. Nabrała tchu.

— Nie sądzę, żebym musiała, proszę pani, skoro sama pani sobie z tym świetnie radzi!

W nagle zapadłej ciszy dały się jednak słyszeć ciche odgłosy. Na przykład szelest, gdy gwardzista za kolumną zakrywał sobie usta dłonią, by nikt nie słyszał wybuchu śmiechu, czy prychnięcie z drugiej strony kotary, gdzie pokojówce prawie udało się osiągnąć to samo. Ale uwagę Tiffany zwróciło krótkie trzaśnięcie drzwi na górze. Czyżby Letitia? Słyszała to wszystko? To zresztą bez znaczenia — księżna napawała się satysfakcją, że teraz już ma Tiffany w garści.

Nie powinna reagować na te głupie zniewagi, nieważne, kto jeszcze je słyszał. Teraz ta kobieta z przerażającą rozkoszą postara się narobić kłopotów Tiffany, wszystkim jej bliskim i prawdopodobnie każdemu znajomemu.

Poczuła na plecach strużkę zimnego potu. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie przeżyła — nawet z zimistrzem; nawet z Annagrammą, kiedy miała zły dzień i była złośliwa; nawet z królową elfów, która złośliwość opanowała doskonale. Księżna poradziłaby sobie z nimi bez trudu. Była dręczycielką tego rodzaju, który zmusza ofiarę do prób odwetu, a te próby stają się usprawiedliwieniem dla dalszego, jeszcze gorszego dręczenia, w którym przypadkowe ofiary są przez dręczycielkę zachęcane, by o swoje nieszczęście obwiniały główny cel.

Księżna rozejrzała się po mrocznym holu.

— Czy jest tu jakiś gwardzista? — Czekała z radosną mściwością. — Wiem, że gdzieś tu jest gwardzista!

Zabrzmiały powolne kroki i z cienia wynurzył się młodszy gwardzista Preston. Nerwowo podszedł do Tiffany i księżnej. Oczywiście, to musiał być Preston, pomyślała Tiffany. Inni są zbyt doświadczeni, by narażać się na solidną dawkę gniewu księżnej. Uśmiechał się nerwowo, co nie jest rozsądne w kontaktach z takimi ludźmi. Pamiętał przynajmniej, by zasalutować, kiedy stanął przed nimi. Jak na kogoś, komu nikt nie tłumaczył, jak się porządnie salutuje, a nawet jeśli, to bardzo rzadko, salut udał się całkiem nieźle.

Księżna się skrzywiła.

— Czemu się tak szczerzysz, młody człowieku?

Preston zastanowił się przez chwilę, nim odpowiedział:

— Słonko świeci, proszę pani, i jestem zadowolony z bycia gwardzistą.

— Przestań się do mnie szczerzyć. Uśmiechy prowadzą do familiarności, której w żadnym wypadku nie będę tolerować. Gdzie jest baron?

Preston przestąpił z nogi na nogę.

— W krypcie, proszę pani. Żegna się z ojcem.

— Nie mów do mnie „proszę pani”! „Proszę pani” to forma odpowiednia dla żon sklepikarzy! Ani też „jaśnie pani”, co nadaje się dla żon rycerzy i innej hałastry. Jestem żoną diuka i należy mnie tytułować „wasza łaskawość”! Rozumiesz?

— Tak, pro… wasza łaskawość. — W geście samoobrony Preston dorzucił kolejny salut.

Przez jedną chwilę księżna wydawała się zadowolona, jednak była to chwila należąca do odmiany tych krótszych.

— Doskonale. A teraz odprowadzisz tę kreaturę… — machnęła ręką na Tiffany — …i zamkniesz ją w waszym lochu. Zrozumiałeś?

Zaskoczony Preston zerknął na Tiffany, szukając pomocy. Mrugnęła do niego, by dodać mu otuchy.

Znów zwrócił się do księżnej.

— Zamknąć ją w lochu?

— To właśnie powiedziałam. — Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

Preston zmarszczył czoło.

— Wasza łaskawość jest tego pewna? Bo trzeba wtedy wyprowadzić kozy!

— Młody człowieku, to nie moja sprawa, co zrobicie z kozami. Rozkazuję ci, żeby natychmiast wtrącić tę czarownicę do lochu! A teraz bierz się do roboty, bo dopilnuję, żebyś stracił stanowisko.

Preston zdążył już zaimponować Tiffany, ale teraz zdobył medal.

— Nie mogę tego zrobić — oświadczył. — Z powodu chyba asa. Sierżant mi o tym mówił. Chyba as korpus. Znaczy, że nie można tak sobie kogoś zamknąć, jeśli nie złamał prawa. Chyba as korpus. Wszystko jest zapisane. Chyba as korpus — powtórzył usłużnie.

Zdawało się, że jego sprzeciw pchnął księżną poza wściekłość, w rodzaj zafascynowanej zgrozy. Ten pryszczaty młodzik w źle dopasowanym pancerzu odmówił wykonania jej polecenia z powodu jakichś głupich słów! Coś takiego nigdy jej jeszcze nie spotkało. Było jak odkrycie, że żaby mówią. Niezwykłe, zadziwiające i w ogóle, ale wcześniej czy później trzeba gadającą żabę rozdeptać.

— Zdasz swoją zbroję i niezwłocznie opuścisz zamek, jasne? Straciłeś stanowisko i moja w tym głowa, żebyś już nigdy nie dostał pracy jako gwardzista.

Preston pokręcił głową.

— Nie można tak tego załatwić, wasza jaśnie łaskawość. A to z powodu chyba asa korpusa. Sierżant mi powiedział: „Preston, trzymaj się chyba asa korpusa. To twój przyjaciel. Na chyba asie korpusie można polegać”.

Księżna spojrzała ze złością na Tiffany, ale że jej milczenie zdawało się irytować księżną bardziej niż wszystko, co mogłaby powiedzieć, Tiffany uśmiechnęła się tylko bez słowa, w nadziei że może ta kobieta eksploduje. Nie eksplodowała, znów rzuciła się na Prestona, czego można się było spodziewać.

— Jak śmiesz tak mi odszczekiwać, ty psie!

Zamachnęła się błyszczącą laską z gałką na końcu. Nagle znieruchomiała.

— Nie uderzy go pani — oznajmiła spokojnie Tiffany. — Dopilnuję, żeby raczej złamała sobie pani rękę. W tym zamku nie bijemy ludzi.

Księżna warknęła gniewnie i szarpnęła mocno, lecz najwyraźniej ani laska, ani jej ręka nie chciały się poruszyć.

— Za chwilę laska się uwolni — powiedziała Tiffany. — Jeśli znowu spróbuje pani kogoś nią uderzyć, złamie się. Proszę zrozumieć, że to nie ostrzeżenie, tylko przepowiednia.

W twarzy Tiffany widać było coś, przed czym nawet wściekłość i stanowcza głupota musiały się zawahać. Księżna puściła laskę, która upadła na podłogę.

— Jeszcze z tobą nie skończyłam, ty smarkata czarownico!

— Po prostu czarownico, proszę pani. Po prostu czarownico.

Księżna szybkim krokiem wymaszerowała z holu.

— Będziemy mieli kłopoty? — spytał półgłosem Preston.

Tiffany lekko wzruszyła ramionami.

— Dopilnuję, żebyś ty nie miał.

Sierżant także, dodała w myślach. Zadbam o to.

Rozejrzała się i zobaczyła, jak zaciekawione twarze służących odwracają się pospiesznie, jakby wystraszone. Przecież nie było w tym żadnej prawdziwej magii, pomyślała. Po prostu nie ustąpiłam. Nie wolno ustępować na swoim terenie.

— Tak się zastanawiałem — mówił dalej Preston. — Gdybyś zmieniła ją w karalucha, a potem rozdeptała… Słyszałem, że czarownice to potrafią — dodał z nadzieją.

— Nie powiem, że to niemożliwe. Ale nie zobaczysz czarownicy, która by zrobiła coś takiego. Zresztą są też pewne techniczne problemy.

Preston z mądrą miną pokiwał głową.

— No tak — przyznał. — Na przykład różnica w masie ciała, co oznacza, że albo dostałabyś jednego ogromnego jak człowiek karalucha, który pewnie padłby pod własnym ciężarem, albo dziesiątki czy nawet setki człekokształtnych karaluchów. Kłopot w tym, jak myślę, to że ich mózg marnie by działał. Chociaż, oczywiście, gdybyś znała odpowiednie zaklęcia, mogłabyś pewnie wszystkie kawałki człowieka, które nie zmieszczą się w karaluchu, magicznie umieścić w jakimś dużym wiadrze, żeby mógł ich użyć, kiedy znowu zechce się powiększyć, bo znudzi mu się być małym. Ale tutaj kłopot polega na tym, co się stanie, jeśli jakiś wygłodniały pies zjawi się akurat wtedy, kiedy pokrywa będzie zdjęta. To by było niedobrze. Eee… powiedziałem coś niewłaściwego?

— Nie, nie — zapewniła go Tiffany. — Ale nie wydaje ci się czasem, że jesteś trochę za mądry na gwardzistę?

Preston wzruszył ramionami.

— Chłopcy uważają, że jestem całkiem bezużyteczny — wyznał pogodnie. — Ich zdaniem musi być coś nie w porządku z kimś, kto potrafi wymówić słowo „wyrafinowany”.

— Wiem, że jesteś mądry i w dostatecznym stopniu erudytą, żeby znać znaczenie słowa „erudyta”. Więc dlaczego niekiedy udajesz głupiego? No wiesz, z tą „doktryną” albo „chyba as korpus”?

Preston uśmiechnął się szeroko.

— Na własne nieszczęście urodziłem się inteligentny i odkryłem, że czasem być inteligentnym wcale nie jest dobrze. Staram się oszczędzić sobie kłopotów.

W tej chwili, uznała Tiffany, inteligencja sugeruje, by nie przebywać dłużej w tym holu. Z pewnością ta straszna kobieta nie może narobić zbyt wielkich szkód, prawda? Jednakże Roland zachowywał się dziwnie, jakby nigdy nie byli przyjaciółmi, jakby wierzył w każdą skargę na nią… Dotąd taki nie był. No owszem, opłakuje ojca, ale po prostu wydaje się… no, nie wydaje się sobą. A ta wstrętna baba właśnie poleciała, żeby go wyciągnąć, kiedy Roland w chłodzie krypty żegna się z ojcem, kiedy szuka sposobu, by wypowiedzieć słowa, na które nigdy nie było czasu, kiedy próbuje jakoś odrobić zbyt długie milczenia, sprowadzić z powrotem wczoraj i przymocować je solidnie do teraz.

Każdy tak robił. Tiffany wiele razy siedziała przy łożu śmierci. Niektóre przypadki były niemal pogodne — kiedy jakaś wiekowa dusza spokojnie zrzucała brzemię lat. Bywały tragiczne — kiedy Śmierć musiał się schylić, by zebrać swój plon. Jeszcze inne były… no, zwyczajne, smutne, ale spodziewane, jedno światełko gasnące na niebie pełnym gwiazd. Myślała o tym, kiedy robiła herbatę i pocieszała ludzi, i słuchała smutnych historii; ludziom zawsze zostawały jakieś słowa, które powinny być wypowiedziane. Uznała kiedyś, że te słowa nie były po to, by wypowiedzieć je w przeszłości, ale żeby je pamiętać teraz i tutaj.

— Co sądzisz o słowie „łamigłówka”?

Tiffany popatrzyła na Prestona, z głową wciąż pełną słów, których ludzie nigdy nie mówią. Zmarszczyła brwi.

— O co pytałeś?

— Słowo „łamigłówka” — powtórzył uprzejmie Preston. — Kiedy je wypowiadasz, czy wyobrażasz je sobie jako pękającą główkę maku, ze szczelinami koloru miedzi?

No więc, pomyślała Tiffany, w takim dniu jak dzisiaj każdy, kto nie jest czarownicą, uznałby to za jakieś głupstwo, a to znaczy, że ja nie powinnam.

Preston był najgorzej ubranym gwardzistą w zamku; najmłodsi zawsze tak wyglądają. To oni dostają spodnie z kolczugi, które są pełne dziur[[24]](#footnote-24) i wbrew wszystkiemu, co wiemy o molach, sugerują, że mole potrafią przegryźć stal. Dostają hełm, który — niezależnie od rozmiaru głowy — zawsze zjeżdża na bok i sprawia, że uszy wydają się za duże. Nie należy też zapominać o napierśniku tak podziurawionym, że bardziej się nadaje do odcedzania zupy.

Lecz spojrzenie zawsze miał czujne, tak bardzo, że ludzie przy nim czuli się niepewnie. Preston przyglądał się rzeczom. Naprawdę się im przyglądał, tak intensywnie, że potem naprawdę musiały się czuć obejrzane. Tiffany nie miała pojęcia, co się dzieje w jego głowie, ale było tam chyba dość tłoczno.

— Wiesz, nigdy właściwie się nie zastanawiałam nad słowem „łamigłówka” — powiedziała wolno. — Ale z pewnością jest zielonkawe i raczej śliskie.

— Lubię słowa — wyznał Preston. — „Wybaczenie” na przykład. Czy nie brzmi jak to, czym jest? Nie brzmi jak opadająca łagodnie jedwabna chusteczka? A co powiesz o „szemraniu”? Czy nie brzmi, twoim zdaniem, jak przekazywane szeptem spiski i mroczne tajemnice? Przepraszam, coś się stało?

— Tak, myślę, że coś mogło się stać. — Tiffany przyjrzała się niespokojnej twarzy Prestona. „Szemranie” było jej ulubionym słowem. Nie spotkała jeszcze nikogo, kto by go używał. — Dlaczego jesteś gwardzistą, Preston?

— Nie bardzo lubię owce, nie jestem dość silny, żeby zostać oraczem, ręce mam zbyt niezgrabne, żeby być krawcem, i za bardzo boję się utonąć, żeby uciec na morze. Mama nauczyła mnie czytać i pisać, wbrew życzeniom ojca, a ponieważ oznaczało to, że nie nadaję się do porządnej pracy, wysłali mnie, żebym uczył się na kapłana w Kościele Oma. Dosyć mi się tam podobało, poznałem dużo ciekawych słów, ale wyrzucili mnie, bo zadawałem za dużo pytań. Na przykład: „To rzeczywiście prawda czy jak?”. — Wzruszył ramionami. — Ale lubię być gwardzistą. — Sięgnął za pazuchę i wyjął książkę ukrytą pod napierśnikiem, który pewnie mógłby pomieścić niedużą bibliotekę. — Ma się dość czasu na czytanie, byle tylko nie stać na widoku. A metafizyka też jest interesująca.

Tiffany zamrugała.

— Chyba gdzieś się zgubiłam, Preston.

— Naprawdę? — zdziwił się chłopak. — No… na przykład mam nocną wartę i ktoś staje przed bramą. Mam wtedy zawołać: „Kto idzie, przyjaciel czy wróg?”. Na co, oczywiście, poprawna odpowiedź brzmi: „Tak”.

Tiffany potrzebowała chwili, by rozpracować tę wypowiedź, i zaczęła rozumieć, czemu Preston może mieć kłopoty z utrzymaniem się na posadzie. Chłopak tymczasem mówił dalej:

— Łamigłówka zaczyna się wtedy, kiedy osoba przed bramą powie „przyjaciel”, bo przecież może kłamać. Jednak chłopcy, którzy czasem muszą wyjść nocą za mury, bardzo rozsądnie opracowali własny szybolet, którym odpowiadają mi na to pytanie, a mianowicie: „Wysuń nos zza tej książki, Preston, i wpuść nas, ale już!”.

— A szybolet to…?

Ten chłopak był fascynujący Nieczęsto spotyka się kogoś, kto potrafi bezsensowny dźwięk uczynić cudownie rozsądnym.

— Coś w rodzaju hasła rozpoznawczego. Ściślej mówiąc, oznacza słowo lub frazę, której twój przeciwnik nie zdoła wymówić. Wobec księżnej dobrze byłoby wybrać słowo w rodzaju „proszę”.

Tiffany starała się nie wybuchnąć śmiechem.

— Pewnego dnia twój mózg wpakuje cię w kłopoty, Preston.

— Wiesz, byle się na coś przydał.

Z dalekiej kuchni rozległ się głośny krzyk, a tym, co naprawdę odróżnia ludzi od zwierząt, jest odruch, by biec w stronę wołania o pomoc, nie w przeciwną. Tiffany dotarła do kuchni parę sekund za Prestonem, a i tak nie byli pierwsi. Kilka dziewcząt pocieszało panią Coble, kucharkę, która szlochała na krześle. Jedna z nich obwiązywała jej ramię ściereczką. Z podłogi unosiła się para i leżał przewrócony czarny kociołek.

— Mówię wam, że tu były! — wykrztusiła kucharka między szlochami. — Wiły się. Zapamiętam to na zawsze! I kopały, i krzyczały „mamo!”. Do końca życia będę pamiętać ich małe twarzyczki! — Znowu zaszlochała tak gwałtownie, że przez chwilę groziło jej uduszenie.

Tiffany skinęła na najbliższą podkuchenną, która zareagowała, jakby ktoś ją uderzył, i skuliła się odruchowo.

— Chwileczkę — powiedziała Tiffany. — Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić… Gdzie niesiesz to wiadro?

Ostatnie słowa skierowane były do innej służącej, która wyciągała z piwnicy wiadro, a kiedy wśród gwaru usłyszała pytanie, puściła uchwyt. Na podłodze rozsypały się odłamki lodu.

Tiffany nabrała tchu.

— Moje panie, na miejsce oparzenia nie przykładamy lodu, choć wydaje się to rozsądne. Wystudźcie trochę herbaty, ale żeby nie była całkiem zimna, i niech zanurzy w niej rękę co najmniej na kwadrans. Wszyscy zrozumieli? To dobrze. A teraz… Co się stało?

— Tam było pełno żab! — wrzasnęła kucharka. — Szykowałam puddingi i nastawiłam wrzątek, ale kiedy podniosłam pokrywkę, były tam małe żabki i wszystkie wołały mamę! Mówiłam im, wszystkim mówiłam! Ślub i pogrzeb w tym samym domu przynoszą pecha, wiadomo przecież. To czarownictwo, nic innego! — Syknęła i zakryła dłonią usta.

Tiffany zachowała nieruchomą twarz. Zajrzała do kociołka i sprawdziła podłogę wokół niego. Nie odkryła żadnych śladów żab, choć na dnie znalazła dwa ogromne puddingi, wciąż zawinięte w ściereczki. Kiedy je wyjęła, jeszcze gorące, i ułożyła na stole, nie mogła nie zauważyć, że służące cofają się od nich.

— Normalny dobry śliwkowy pudding — stwierdziła wesoło. — Nie ma się czego obawiać.

— Często obserwowałem — wtrącił Preston — że w pewnych okolicznościach woda wrze w bardzo dziwny sposób, a kropelki tak jakby podskakiwały tuż nad powierzchnią. Sugeruję, że to jedna z przyczyn, dla których pani Coble zdawało się, że widzi żaby. — Pochylił się do Tiffany i szepnął: — Całkiem możliwe, że inną przyczyną jest prawie pusta butelka najlepszej sherry na tamtej półce, zwłaszcza w połączeniu z samotną szklaneczką widoczną w misce do zmywania, o tam.

Zaimponował Tiffany; ona nie zauważyła szklaneczki.

Wszyscy na nią patrzyli. Ktoś powinien już coś mówić, ale że nikt nie próbował, Tiffany uznała, że najlepiej zrobi to sama.

— Jestem pewna, że śmierć barona wszystkich nas wytrąciła z równowagi…

Musiała przerwać, gdyż kucharka wyprostowała się nagle i wyciągnęła do niej drżący palec.

— Wszystkich prócz ciebie, kreaturo! — zawołała oskarżycielsko. — Żem cię widziała, o tak, żem widziała! Wszyscy szlochali, płakali i jęczeli, ale nie ty! O nie! Ty kroczyłaś dookoła i wydawałaś rozkazy starszym i lepszym od ciebie! Całkiem jak twoja babcia! Wszyscy wiedzą! Robiłaś słodkie oczy do młodego barona, a kiedy cię rzucił, żeby zrobić mu na złość, zabiłaś starego barona. Byłaś widziana! O tak, teraz biedny chłopak dojść do siebie nie może ze zgryzoty, a jego narzeczona łzami się zalewa i nie chce wyjść z pokoju! Jakże musisz śmiać się z nich w duchu! Ludzie mówią, że ślub trzeba odłożyć! To by ci się pewnie podobało, co? To byłoby jak pióro w twoim czarnym kapeluszu, tak właśnie! Pamiętam, jak byłaś mała, a potem sobie poszłaś w góry, gdzie żyją dziwni ludzie i dzicy, wszyscy to wiedzą. I co wróciło? Tak, co do nas wróciło? Takie niewiadomoco, co to się jej wydaje, że wszystkie rozumy pozjadała, patrzy na nas z góry, traktuje jak śmiecie i niszczy życie młodego panicza! Ale to jeszcze nie jest najgorsze! Porozmawiajcie z panią Petty! I nie opowiadajcie mi tu o żabach! Umiem poznać żaby, kiedy je zobaczę, właśnie je widziałam! Żaby! Musiały…

Tiffany wyszła ze swojego ciała. Teraz naprawdę to potrafiła. Czasami ćwiczyła tę sztuczkę na zwierzętach, które zwykle trudniej oszukać. Nawet jeśli zbliży się do nich sam umysł, robią się nerwowe i w końcu uciekają. A ludzie? Ludzie są łatwi. Jeśli tylko ciało zostawało na miejscu, mrugało i oddychało, zachowywało równowagę i wykonywało wszystkie drobne czynności, które tak dobrze ciałom wychodzą, kiedy w środku nie ma właściciela, to wszyscy inni wierzyli, że jest.

Pozwoliła sobie dryfować w stronę pijanej kucharki, która mamrotała i krzyczała, powtarzała się, pluła krzywdzącymi idiotyzmami, żółcią i nienawiścią, a także maleńkimi kropelkami śliny, które spadały jej na podbródek.

Dopiero teraz Tiffany poczuła smród — słaby, ale wyraźny. Jeśli się teraz odwrócę, pomyślała, czy zobaczę dwa otwory w twarzy? Nie, sytuacja na pewno nie wygląda aż tak źle. Może on tylko o mnie myśli. Powinnam uciekać? Nie. Może uciekać do niego, zamiast od. On przecież może być wszędzie!

Ale przynajmniej mogę spróbować powstrzymać jego działania.

Starała się nie przenikać przez ludzi. Było to możliwe, ale choć w teorii stawała się niematerialna jak myśl, przejście przez człowieka przypominało przejście przez bagno: lepko, nieprzyjemnie i ciemno.

Przesunęła się za pomocnice kucharki, które stały jak zahipnotyzowane. Czas poza ciałem zawsze zdawał się płynąć wolniej.

Tak, butelka sherry była prawie pusta, ale tam leżała druga, całkiem pusta, ledwie widoczna za workiem ziemniaków. Pani Coble wręcz cuchnęła sherry. Zawsze lubiła wypić kropelkę, a potem i drugą. Może to choroba zawodowa kucharek, taka jak trzy obfite podbródki. Ale wszystkie te paskudne słowa? Skąd się wzięły? Czy to coś, co zawsze chciała powiedzieć, czy ktoś włożył to jej w usta?

Nie zrobiłam nic złego, pomyślała Tiffany. Warto cały czas dobrze o tym pamiętać. Ale byłam też głupia i o tym także lepiej nie zapominać.

Kucharka, wciąż hipnotyzująca dziewczęta swoją tyradą, w świecie powolnego tempa wyglądała brzydko: twarz miała zjadliwie czerwoną, przy każdym otworzeniu ust jej oddech cuchnął, a jakiś kawałek jedzenia utknął między niemytymi zębami. Tiffany przesunęła się trochę w bok. Czy byłoby możliwe, żeby sięgnąć niewidzialną ręką w głąb tego głupiego ciała i zatrzymać serce?

Nic takiego jeszcze nigdy nie przyszło jej do głowy. Fakt, poza ciałem niczego nie można chwycić, oczywiście, ale może udałoby się zablokować jakąś niewielką strużkę, zgasić iskierkę? Nawet taka wielka, tłusta, nieszczęsna istota jak kucharka może być pokonana przez najmniejszy zator, a wtedy ta głupia czerwona twarz się zatrzęsie, ten cuchnący oddech utknie w krtani, te nienawistne usta się zamkną…

Pierwsze Myśli, Drugie Myśli, Trzecie Myśli i bardzo rzadkie Czwarte Myśli niczym planety ustawiły się rządkiem w jej głowie i krzyczały chórem: To nie my! Uważaj, o czym myślisz!

Tiffany przeskoczyła do swego ciała, niemal tracąc równowagę. Podtrzymał ją Preston, stojący zaraz za nią.

Szybko! Przypomnij sobie, że pani Coble straciła męża ledwie siedem miesięcy temu, mówiła do siebie Tiffany, i że dawała ci ciasteczka, kiedy byłaś mała. Przypomnij sobie, że pokłóciła się z synową i nie może już widywać wnuków. Przypomnij sobie to wszystko i zobacz biedną starą kobietę, która za dużo wypiła i może za często słuchała plotek — na przykład od tej paskudnej panny Spruce. Przypomnij to sobie, bo jeśli teraz w nią uderzysz, staniesz się właśnie taka, jaką on chce cię widzieć! Nie dawaj mu znowu miejsca we własnej głowie!

Preston z tyłu odchrząknął.

— Wiem, że to nie jest właściwy sposób zwracania się do damy — powiedział — ale poci się pani jak świnia.

Tiffany, próbując poukładać rozpierzchłe myśli, mruknęła cicho:

— Mama zawsze mówiła, że konie się pienią, mężczyźni pocą, a kobiety jedynie błyszczą…

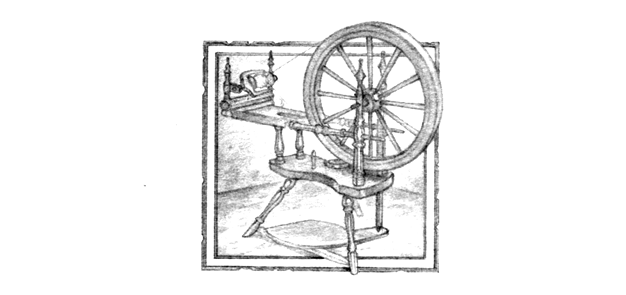
— Naprawdę? — upewnił się uprzejmie Preston. — No więc, droga pani, błyszczy się pani jak świnia.

Wywołało to liczne chichoty u dziewcząt, i tak już wstrząśniętych tyradą kucharki. Ale każdy śmiech był lepszy i Tiffany przyszło do głowy, że Preston zapewne na to liczył.

Jednak pani Coble zdołała wstać i pogroziła Tiffany palcem — chociaż tak mocno się chwiała, że zależnie od kierunku wychylenia groziła na zmianę Prestonowi, jednej ze służących i półce z serami.

— Nie oszukasz mnie, ty wstrętna awanturnico! — oznajmiła. — Wszyscy wiedzą, że zabiłaś starego barona! Pielęgniarka cię widziała! Jak śmiesz pokazywać tu swoją gębę? Wcześniej czy później zechcesz nas wszystkich wykończyć, ale ja się na to nie zgodzę! Mam nadzieję, że ziemia się rozstąpi i cię pochłonie!

Zatoczyła się do tyłu. Rozległo się głuche uderzenie, skrzypnięcie i tylko na moment, zanim się urwał, początek krzyku, kiedy kucharka wpadła do piwnicy.



Rozdział 10

TOPNIEJĄCA DZIEWCZYNA

**—**Panno Obolała, muszę prosić, by opuściła pani Kredę — oznajmił baron. Twarz miał nieruchomą, jak z drewna.

— Nic z tego!

Wyraz twarzy barona się nie zmienił. Roland potrafił tak się zachowywać, przypomniała sobie, a oczywiście teraz było o wiele gorzej. Księżna się uparła, że podczas tej rozmowy zostanie w jego gabinecie, a także sprowadzi dwóch własnych gwardzistów, obok dwóch z załogi zamku. Zajęli więc praktycznie cały gabinet, a dwie pary gwardzistów spoglądały na siebie nawzajem z totalną profesjonalną niechęcią.

— To moja ziemia, panno Obolała.

— Wiem, że mam pewne prawa — odparła Tiffany.

Roland pokiwał głową jak sędzia.

— To bardzo cenna uwaga, panno Obolała, ale niestety, nie ma pani żadnych praw. Nie jest pani dzierżawcą ani najemcą, nie posiada pani ziemi. Krótko mówiąc, nie ma pani niczego, na czym prawa się opierają.

Powiedział to, nie odrywając wzroku od leżącego przed nim arkusza papieru.

Tiffany zręcznie wyciągnęła rękę, wyrwała mu ten arkusz i usiadła z powrotem, zanim gwardziści zdążyli zareagować.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić i nawet nie spojrzeć mi w oczy? — Ale wiedziała, co znaczą te słowa. To ojciec był dzierżawcą farmy i miał prawa. Ona nie. — Słuchaj, nie możesz mnie ot tak wypędzić. Nie zrobiłam nic złego.

Roland westchnął.

— Naprawdę sądziłem, że przemówię pani do rozsądku, panno Obolała. Ponieważ jednak powołuje się pani na swoją niewinność, muszę przypomnieć następujące fakty. Po pierwsze, odebrała pani rodzicom dziecko, Amber Petty, i przekazała ją bajkowemu ludowi, który żyje w ziemnych jamach. Uważa pani, że to odpowiednie miejsce dla młodej dziewczyny? Według tego, co mówią moi ludzie, w okolicy było bardzo dużo ślimaków.

— Jedną chwilę, Rolandzie…

— Do mojego przyszłego zięcia masz się zwracać „jaśnie panie” — warknęła księżna.

— A jeśli nie, to wasza łaskawość szturchnie mnie laską, tak? Ściśnie pani śmiało pokrzywę?

— Jak śmiesz! — W oczach księżnej zapłonęła furia. — Czy pozwolisz w ten sposób zwracać się do swoich gości, Rolandzie?

Jego zdumienie wydawało się szczere.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mowa — oświadczył.

Tiffany wyciągnęła palec w stronę księżnej, co spowodowało, że gwardziści księżnej sięgnęli po broń, co spowodowało z kolei, że zamkowi gwardziści sięgnęli po broń, żeby nie zostać w tyle. Zanim miecze dały się rozplątać i wróciły do pochew, księżna już prowadziła kontratak.

— Nie powinieneś pozwalać na taką niesubordynację, młody człowieku! Jesteś baronem i przekazałeś tej… tej kreaturze nakaz opuszczenia twoich włości. Ona zakłóca porządek publiczny i nadal uparcie nie chce odejść. Czy muszę ci przypominać, że jej rodzice są twoimi najemcami?

Tiffany wrzała już ze złości z powodu tej „kreatury”, ale ku jej zaskoczeniu młody baron pokręcił głową.

— Nie, nie mogę karać dobrych najemców za to, że mają krnąbrną córkę.

Krnąbrna? To jeszcze gorsze od „kreatury”! Jak on się ośmielił… I nagle jej myśli zbiegły się w punkt i rozjaśniły. Nie ośmielił się. Nigdy się nie ośmielał, przez cały ten czas, kiedy się znali, kiedy ona była po prostu Tiffany, a on po prostu Rolandem. Łączył ich dziwny związek, głównie dlatego, że wcale nie był związkiem. Nic ich ku sobie nie ciągnęło — raczej pchał ich ku sobie sposób działania świata. Ona była czarownicą, a to automatycznie oznaczało, że różni się od innych dzieciaków z wioski; on był synem barona, co automatycznie oznaczało, że różni się od innych dzieciaków z wioski.

Pomylili się, wierząc gdzieś w głębi serc, że dwie osoby inne od reszty muszą być zatem podobne do siebie. Powolne odkrywanie, że tak nie jest, okazało się dla obojga niezbyt miłe; padły pewne słowa, co do których woleliby, aby nie zostały wypowiedziane. A potem nic się nie skończyło, bo przecież nigdy tak naprawdę się nie zaczęło. Czyli ułożyło się dla obojga jak najlepiej. Oczywiście. Tak jest. Zdecydowanie.

I przez cały ten czas nigdy nie był taki jak dzisiaj, nigdy taki zimny, nigdy taki głupi w tak skrupulatnym stylu, że nie mogła o to winić wyłącznie księżnej, choć naprawdę bardzo by chciała. Nie, działo się tutaj coś innego. Musi się strzec. I wtedy widząc, jak na nią patrzą, zrozumiała, w jaki sposób można być równocześnie głupim i sprytnym.

Przysunęła sobie krzesło, ustawiła je przed biurkiem, usiadła i złożyła dłonie na kolanach.

— Bardzo przepraszam, jaśnie panie — powiedziała. Odwróciła się do księżnej, skłoniła głowę i dodała: — Panią także, wasza łaskawość. Przez chwilę zapomniałam, gdzie jest moje miejsce. To się już nie powtórzy. Dziękuję.

Księżna prychnęła. Tiffany nie mogłaby chyba gorzej o niej myśleć, no ale takie prychnięcie? Po takim zwycięstwie? Poniżenie zarozumiałej młodej czarownicy zasługiwało na coś lepszego — jakąś uwagę tak jadowitą, że przeżerała ciało do kości… Naprawdę ta kobieta mogłaby się postarać.

Roland przyglądał się Tiffany tak zaszokowany, że samo szokowanie znikało mu już z oczu w oddali. Zakłopotała go jeszcze bardziej, wręczając pomiętą już trochę kartkę papieru.

— Czy chcesz zająć się innymi sprawami, jaśnie panie? — spytała.

Po kilku próbach udało mu się ułożyć papier na biurku i wygładzić go odpowiednio.

— Jest jeszcze kwestia śmierci mojego ojca oraz kradzieży pieniędzy z jego skrzyni.

Tiffany posłała mu uprzejmy uśmiech, od czego wyraźnie stał się nerwowy.

— Coś jeszcze, jaśnie panie? Bardzo mi zależy, aby załatwić wszystko.

— Rolandzie, ona coś knuje! — ostrzegła księżna. — Pilnuj się. — Machnęła ręką na gwardzistów. — A wy też powinniście się pilnować, skoro już tu wszystkiego pilnujecie.

Gwardziści, mający pewne kłopoty z koncepcją, że powinni teraz pilnować pilniej niż do tej pory, skoro ze zdenerwowania i tak już pilnowali wszystkiego pilniej niż kiedykolwiek, starali się wyglądać na trochę wyższych.

Roland odchrząknął.

— Ehm… Jest jeszcze sprawa kucharki, która spadła i się zabiła, jak mi wiadomo, zaraz po znieważeniu ciebie. Czy rozumiesz te zarzuty?

— Nie — odparła Tiffany.

Na chwilę zapadła cisza.

— Eee… dlaczego nie? — wymamrotał.

— Bo to nie są zarzuty, jaśnie panie. Nie stwierdzasz wprost, że twoim zdaniem to ja ukradłam pieniądze i zabiłam twojego ojca oraz kucharkę. Tak jakby machasz mi tylko przed nosem tą sugestią, zapewne w nadziei że się rozpłaczę. Czarownice nie płaczą, a ja chcę czegoś, o co zapewne nigdy jeszcze nie prosiła żadna z nich. Chcę procesu. Prawdziwego procesu. A to oznacza dowody. To oznacza świadków, czyli ludzi, którzy coś mówią, będą musieli to powiedzieć przy wszystkich. To oznacza ławę przysięgłych złożoną z osób takich jak ja, i jeszcze oznacza to habeas corpus. Dziękuję bardzo.

Wstała i odwróciła się do drzwi zablokowanych przez przeciskających się gwardzistów. Obejrzała się na Rolanda i dygnęła lekko.

— Jeśli nie czujesz się całkowicie przekonany, jaśnie panie, na tyle, by mnie aresztować, to wychodzę.

Patrzyli z otwartymi ustami, jak podchodzi do gwardzistów.

— Do zobaczenia, sierżancie. Do zobaczenia, Preston. Żegnam panów. Nie zajmę wam wiele czasu. Zechciejcie tylko mnie przepuścić, bo wychodzę.

Zauważyła, że Preston mrugnął do niej, kiedy wymijała jego miecz, a potem usłyszała, jak gwardziści przewracają się na stos.

Przeszła korytarzem do holu. Wielki ogień płonął na jeszcze większym palenisku, tak wielkim, że mogłoby samo być pokojem. Paliło się tutaj torfem. Nie wystarczał, żeby rozgrzać większą część holu, w którym nawet w środku lata nie było zbyt ciepło, ale przyjemnie było przy nim usiąść. A skoro już trzeba wdychać dym, to nie ma lepszego niż dym torfowy, który unosił się do komina i niczym ciepła mgiełka opływał bekon, zawieszony tam do wędzenia.

Wszystko znowu się komplikowało… Tiffany usiadła tam, żeby odpocząć, a skoro już znalazła wolną chwilę, to również aby nakrzyczeć na siebie za to, że była taka głupia. Jak wiele trucizny on potrafi wsączyć do ich głów? Jak wiele musi?

Na tym właśnie polega problem z czarownictwem — zdawało się, że wszyscy potrzebują czarownic, ale nikt tego nie znosił, i w jakiś sposób niechęć dla zjawiska zmieniała się w nienawiść do osoby. Ludzie zaczynali myśleć: A kim ty jesteś, że tyle umiesz? Kim jesteś, że tyle wiesz? Kim jesteś, by uważać się za lepszą od nas?

Ale Tiffany nie uważała, że jest lepsza. Była od nich lepsza w czarownictwie, owszem, lecz nie umiałaby zrobić skarpety na drutach, nie miała pojęcia, jak podkuć konia, a chociaż nieźle jej wychodziły sery, to potrzebowała trzech prób, by uzyskać bochenek chleba, w który dało się wbić zęby. Każdy był w czymś dobry. Źle tylko, jeśli człowiek nie odkrył tego na czas.

Podłoga przed kominkiem była pokryta delikatną warstewką pyłu, ponieważ nic nie daje takiego pyłu jak torf. I kiedy Tiffany patrzyła, w pyle pojawiły się odciski małych stóp.

— No dobrze — powiedziała. — Co zrobiliście gwardzistom?

Deszcz Feeglów pojawił się na siedzeniach koło niej.

— No… — zaczął Rob Rozbój. — Łosobiście to pranie bym im spuścił, tym rozkopującym kopce Cromwellom, ale zem widział, ze ci to moze syćko ciut utrudnić, to ześmy ino im snurówki razem powiązali. Moze pomyślą, ze to ciut myski były.

— Słuchajcie, macie nikomu nie robić krzywdy, jasne? Gwardziści muszą robić, co im każą.

— Nie, wcale nie musą — odparł Rob pogardliwie. — To zadna robota dla wojownika, robić, co mu kazują. I co łoni by tobie zrobili, jakby tak robili, co im kazują? Ta stara scyga, ta teściowa niby, to pałasami z łocysków ciskała na ciebie, coby ją bagno pochłonęło! Ha! Łobacym, jak sie jej kąpiel dzisiaj wiecorkiem spodoba!

Jego groźny ton zaniepokoił Tiffany.

— Nikogo nie wolno wam krzywdzić, rozumiesz? Absolutnie nikogo, Rob.

Wielki Gość burknął coś niechętnie.

— No dobze, panienko. Zem wziął na pokład, coś pedziała.

— A dajesz słowo honoru Feegla, że nie wyrzucisz tego za burtę, jak tylko się odwrócę?

Rob Rozbój znów zaczął coś burczeć, używając chrapliwych feeglowych słów, jakich nigdy jeszcze nie słyszała. Brzmiały jak przekleństwa i raz czy dwa, kiedy je z siebie wyrzucał, wylatywały z nimi iskry i dym. Tupał też nogami, co zawsze było znakiem, że przestaje nad sobą panować.

— Psysli zbrojni z łostrą stalą, coby rozkopać mój dom, wykopać mój klan i moją rodzinę — powiedział po chwili, a tym razem słowa zdawały się tym groźniejsze, że były takie spokojne i ciche. A potem rzucił krótkie zdanie w stronę ognia, który rozjarzył się zielenią, kiedy słowa trafiły w płomienie. — Nie bede nieposłusny wobec wiedźmy tych wzgóz, ale stanowco łostsegam, ze jak jesce raz łobace łopate psy moim kopcu, właściciel pocuje ją wepchniętą pod jego kilt tępym końcem napsód, coby se ręce porozcinał, jak ją bedzie wyciągał. A to dopiero pocątek jego kłopotów. I jak juz bedzie jakie usuwanie tutaj, to psysięgam na swój spog, ze to my bedziemy usuwać. — Tupiąc ze złością, przeszedł kawałek tam i z powrotem, po czym dodał: — I ło co chodzi z tym, cośmy słyseli, ze domagas sie procesu? Wis, ześmy nie są psyjaciółmi prawa.

— A Ciut Szalony Artur?

Prawie niemożliwe było doprowadzenie Feegla do stanu zażenowania, ale Rob Rozbój rzeczywiście wyglądał, jakby poczuł niesmak.

— To łokropne, co te gnomy mu zrobiły — stwierdził ze smutkiem. — Cy ty wis, ze łon codziennie myje twazycke? Znacy, takie coś mozna robić, jak brud juz za grubo lezy, ale codziennie? Ja sie pytam, ile mozna cegoś takiego wytsymać?

W jednej chwili byli przy niej Feeglowie, w następnej nastąpiło ciche „szuuu!”, po nim całkowity brak Feeglów, a w kolejnej chwili pojawił się aż nadto wystarczający zapas gwardzistów. Na szczęście byli to sierżant i Preston. Stanęli na baczność.

Sierżant odchrząknął.

— Czy zwracam się do panny Tiffany Obolałej? — zapytał.

— Wygląda na to, że tak, Brian — odparła Tiffany. — Ale sam najlepiej osądzisz.

Sierżant rozejrzał się nerwowo i pochylił lekko.

— Proszę cię, Tiff — szepnął. — Zrobiło się poważnie. — Wyprostował się i przemówił o wiele głośniej, niż to konieczne. — Panno Tiffany Obolała! Mój pan, baron, polecił mi poinformować panią, że z jego rozkazu ma pani pozostawać na turażu zamku…

— Gdzie? — zdziwiła się Tiffany.

Bez słowa, wbijając wzrok w sufit, sierżant wręczył jej kartkę papieru.

— Ach, chodzi ci o entourage — powiedziała. — To oznacza zamek i miejsca dookoła. Ale zdawało mi się, że baron chce, bym się wyniosła?

— Ja tylko czytam, co tu jest napisane, Tiff. I mam rozkaz zamknąć w lochu twoją miotłę.

— Trudną misję wam powierzono, panie sierżancie. Stoi tam pod ścianą, proszę ją sobie zabrać.

Sierżant odetchnął z ulgą.

— Ale nie będziesz robić… problemów? — upewnił się.

Tiffany pokręciła głową.

— Ależ nie, sierżancie. Nie mam sporu z człowiekiem, który tylko wykonuje swoje obowiązki.

Sierżant ostrożnie podszedł do miotły. Wszyscy ją znali, oczywiście; praktycznie codziennie widywali ją latającą nad głowami, na ogół tuż nad głowami. Zawahał się jednak, a jego palce znieruchomiały o kilka cali od drewna.

— Eee… co się stanie, jeśli jej dotknę? — zapytał.

— Och, wtedy będzie gotowa do lotu.

Dłoń sierżanta bardzo wolno cofnęła się z pobliża miotły, czy też może z jej entourage’u.

— Ale ze mną nie poleci, prawda? — W jego głosie zabrzmiało błaganie i lęk wysokości.

— Och, prawdopodobnie niezbyt daleko i nie za wysoko — odparła Tiffany, nie oglądając się.

Sierżant znany był z tego, że dostaje zawrotów głowy, gdy stanie na krześle. Po chwili więc podeszła do niego i chwyciła miotłę.

— Brian, jakie miałeś rozkazy, gdybym nie wykonała rozkazów, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi?

— Powinienem cię aresztować.

— Co? I zamknąć mnie w lochu?

Sierżant się skrzywił.

— Wiesz, że nie chciałbym tego robić. Niektórzy z nas są ci wdzięczni, a wszyscy wiemy, że nieszczęsna pani Coble była pijana jak bela. Biedna kobieta.

— Więc nie będę robić trudności. Może sama wezmę tę miotłę, która wyraźnie cię niepokoi, i zaniosę do lochu, żeby ją tam zamknąć. Wtedy nigdzie sobie stąd nie polecę, prawda?

Na twarzy sierżanta pojawiła się ulga. Gdy schodzili już po kamiennych stopniach, odezwał się znowu.

— To nie ja, rozumiesz — powiedział, zniżając głos. — To ci na górze. Wychodzi na to, że jej łaskawość postawiła na swoim.

\* \* \*

Tiffany nie widziała w życiu wielu lochów, ale ludzie opowiadali, że ten w zamku był całkiem przyzwoity jak na lochowe standardy i prawdopodobnie dostałby przynajmniej pięć kul na łańcuchu, gdyby ktokolwiek zdecydował się napisać „Przewodnik po lochach Dysku”. Był obszerny, suchy i miał biegnący przez środek wygodny ściek. Ściek kończył się nieuniknionym okrągłym otworem, który jednak nie pachniał bardzo źle.

Podobnie jak kozy, które wygrzebały się ze swych przytulnych legowisk w stosach słomy i patrzyły na nią przez szczeliny źrenic na wypadek, gdyby zrobiła coś ciekawego — na przykład zaczęła je karmić. Zresztą i tak nie przestawały jeść, bo będąc kozami, właśnie spożywały swoją kolację po raz drugi.

Loch miał dwa wejścia. Jedno prowadziło bezpośrednio za mur — za dawnych dni służyło prawdopodobnie do wciągania więźniów, ponieważ wtedy nie trzeba było wlec ich przez główny hol, brudząc podłogę błotem i krwią.

Obecnie loch był wykorzystywany jako szopa dla kóz oraz — na półkach dostatecznie wysokich, by mogła ich dosięgnąć tylko najbardziej zdeterminowana koza — skład jabłek.

Tiffany położyła miotłę na najniższej półce z jabłkami, gdy sierżant głaskał jedną z kóz, starając się nie patrzeć, żeby nie zakręciło mu się w głowie. W efekcie był zupełnie nieprzygotowany na to, co nastąpiło: Tiffany wypchnęła go za drzwi, wyjęła klucze z zamka, cofnęła się do lochu i zamknęła się w nim od wewnątrz.

— Przykro mi, Brian, ale widzisz, chodzi o was. Nie tylko o ciebie, oczywiście, ani nawet głównie o ciebie, i to było nieładnie z mojej strony, że tak wykorzystałam sytuację, ale jeśli mam być traktowana jak przestępca, to równie dobrze mogę się tak zachowywać.

Brian pokręcił głową.

— Wiesz, mamy zapasowy klucz.

— Trudno go użyć, skoro zablokowałam dziurkę — odparła Tiffany. — Ale spójrz na to z jaśniejszej strony. Siedzę tu pod kluczem, co pewnie niektórym by się spodobało, czyli ciebie może martwić tylko pewien drobny szczegół. Bo widzisz, moim zdaniem nieprawidłowo to oceniasz. W lochu jestem bezpieczna. To nie ja nie jestem już dla was groźna, ale wy nie jesteście groźni dla mnie.

Brian wygląda, jakby miał się rozpłakać, pomyślała. Nie, nie mogę tego zrobić. Zawsze się zachowywał wobec mnie przyzwoicie i teraz też się stara. To, że jestem od niego sprytniejsza, nie znaczy, że powinien stracić pracę. Zresztą już przecież wiem, jak stąd wyjść. To jest typowy problem ludzi, którzy mają lochy — za mało czasu sami w nich spędzają.

Oddała mu klucz.

Brian rozpromienił się z ulgi.

— Oczywiście przyniesiemy ci jedzenie i wodę — zapewnił. — Nie możesz żywić się tylko jabłkami.

Tiffany usiadła na słomie.

— Wiesz, całkiem tu przytulnie. To zabawne, że przy tych kozach, którym odbija się trawą, wszystko wydaje się ciepłe i miłe. Nie, nie będę jeść jabłek, ale niektóre trzeba odwrócić, bo zgniją, więc zajmę się tym, skoro już tu jestem. Oczywiście, ponieważ jestem zamknięta tutaj, to nie mogę być gdzie indziej. Nie mogę szykować leków, nie mogę obcinać paznokci, nie mogę pomagać. Jak tam ostatnio noga twojej mamy? Mam nadzieję, że nadal dobrze. Czy mógłbyś już sobie iść, jeśli można prosić? Bo chciałabym skorzystać z tej dziury.

Usłyszała na schodach jego buty. Była trochę okrutna, ale co mogła zrobić? Rozejrzała się i uniosła stosik bardzo starej i bardzo brudnej słomy, której już od bardzo dawna nikt nie dotykał. Różne małe stworzenia odczołgały się, odskoczyły i odpełzły na boki. Ponieważ teren był czysty, wokół pojawiły się głowy Feeglów; z włosów sypała im się słoma.

— Sprowadźcie mojego prawnika — poprosiła Tiffany. — Myślę, że praca tutaj mu się spodoba…

\* \* \*

Ropuch podszedł do sprawy ze sporym entuzjazmem jak na prawnika, który wie, że zapłacą mu robakami.

— Myślę, że zaczniemy od nieuprawnionego zatrzymania — stwierdził. — Przysięgli nie lubią takich rzeczy. Jeśli już ktoś ma trafić do więzienia, chcą sami go tam wsadzić.

— Wiesz, właściwie to sama się tu zamknęłam — wyjaśniła Tiffany. — To się liczy?

— W tej chwili bym się tym nie przejmował. Działałaś w sytuacji przymusowej, twoja swoboda ruchów została ograniczona, a ty sama byłaś zastraszana.

— Wcale nie! Byłam tylko strasznie zła!

Ropuch przycisnął łapą uciekającą stonogę.

— Przesłuchiwało cię dwoje przedstawicieli arystokracji w obecności czterech uzbrojonych ludzi, zgadza się? Nikt cię nie zapoznał z twoimi prawami? I baron najwyraźniej wierzy, że zabiłaś jego ojca i kucharkę oraz że ukradłaś jakieś pieniądze?

— Myślę, że Roland bardzo się stara w to nie uwierzyć. Ktoś mu nakłamał.

— W takim razie musimy to obalić, naprawdę musimy. Nie może tak sobie zarzucać podwójnego morderstwa, kiedy nie ma dowodów. Może mieć z tego poważne kłopoty.

— Och — zmartwiła się. — Nie chcę, żeby coś mu się stało. — Trudno było ocenić, czy Ropuch się uśmiecha, więc musiała zgadywać. — Powiedziałam coś śmiesznego?

— Śmiesznego nie, nie tak naprawdę. W pewnym sensie dość smutnego i dość zabawnego. Zabawne w tym wypadku oznacza coś gorzko-słodkiego. Ten młody człowiek wysuwa wobec ciebie oskarżenia, które mogłyby, gdyby były prawdziwe, w wielu miejscach tego świata doprowadzić do twojej egzekucji. A jednak nie życzysz sobie, żeby miał jakiekolwiek kłopoty.

— Wiem, że to ckliwe, ale księżna ciągle na niego naciska, a ta dziewczyna, którą ma poślubić, wydaje się naiwna…

Przerwała. Na kamiennych stopniach prowadzących z holu rozległy się kroki i z pewnością nie dzwoniły ciężko jak podkute buty gwardzistów.

To była Letitia, już wkrótce panna młoda, cała w bieli i cała we łzach. Stanęła przy kracie do lochu, chwyciła za pręty i płakała nadal. Nie były to jakieś głębokie szlochy, raczej nieskończone chlipanie, kapanie z nosa i grzebanie w rękawie w poszukiwaniu koronkowej chusteczki, już i tak całkiem przemoczonej.

Dziewczyna nie patrzyła właściwie na Tiffany, tylko łkała mniej więcej w jej stronę.

— Tak mi przykro! Tak mi strasznie przykro! Co ty sobie o mnie pomyślisz?

I tutaj właśnie Tiffany miała przed sobą podstawową wadę bycia czarownicą. Oto stała przed nią osoba, której samo istnienie doprowadziło któregoś wieczoru do rozważenia historii z wbijaniem szpilek w woskową figurkę. Tiffany tego nie zrobiła, ponieważ to coś, czego robić nie należy, coś, co czarownice generalnie potępiają, ponieważ jest to okrutne oraz niebezpieczne, a przede wszystkim dlatego, że nie mogła znaleźć żadnych szpilek.

I teraz ta nieszczęsna istota najwyraźniej cierpiała, tak nieszczęśliwa, że skromność i godność zostały spłukane nieprzerwanym strumieniem lepkich łez. Czy mogły nie zmyć także nienawiści? Prawdę mówiąc, nigdy nie było tej nienawiści zbyt wiele, więcej chyba poczucia urazy. Przecież zawsze wiedziała, że nie będzie damą — nie miała długich jasnych włosów. Przeczyłoby to całej książce z bajkami. Po prostu jej się nie podobało, że tak szybko musi się z tym pogodzić.

— Naprawdę nie chciałam, żeby tak wyszło — chlipała Letitia. — Naprawdę strasznie, strasznie przepraszam. Sama nie wiem, o czym wtedy myślałam.

Tak wiele łez ściekało na tę bezsensowną koronkową sukienkę i… no nie, na czubku tego idealnego nosa uformowała się idealna bańka śluzu…

Tiffany patrzyła z fascynacją i grozą, jak zapłakana dziewczyna hałaśliwie wydmuchuje nos i… no nie, przecież tego nie zrobi… Tak, zrobi. Tak. Wykręciła przemoczoną chusteczkę na posadzkę, wilgotną już od nieustannego płaczu.

— Słuchaj, przecież na pewno nie jest tak źle — powiedziała Tiffany, starając się nie słyszeć tych upiornych, pluszczących odgłosów na kamieniach. — Gdybyś tylko na chwilę przestała płakać, na pewno jakoś to załatwimy, cokolwiek to jest.

To wywołało jedynie więcej łez i kilka prawdziwych, naturalnych, staroświeckich szlochów, jakich w normalnym życiu nigdy się nie słyszy — no, w każdym razie aż do teraz. Tiffany wiedziała, że kiedy ludzie płaczą, mówią „buu” — a raczej tak jest to zapisywane w książkach. W rzeczywistości nikt tak nie mówi — ale Letitia owszem, cały czas zalewając przy tym łzami schody. Było jednak coś jeszcze. Tiffany pochwyciła uronione słowa, które zostały naprawdę i solidnie uronione; odczytała je, kiedy nieco wilgotne lądowały w jej mózgu.

Ach, doprawdy, pomyślała. Ale zanim zdążyła coś powiedzieć, na schodach znów zabrzmiały czyjeś kroki. Roland, księżna i jeden z jej gwardzistów zbiegli pospiesznie, ścigani przez Briana, którego najwyraźniej zaczynali już irytować obcy gwardziści, brzęczący na jego rodzinnych kamieniach, więc pilnował, by w każdym brzęczeniu brać aktywny udział.

Roland pośliznął się na plamie wilgoci i opiekuńczo objął Letitię ramionami. Księżna wyrosła groźnie nad nimi, co pozostawiło już niewiele miejsca na wyrastanie dla gwardzistów, którzy musieli się zadowolić rzucaniem sobie nawzajem gniewnych spojrzeń.

— Co jej zrobiłaś? — zapytał Roland. — Jak zwabiłaś ją tutaj?

Ropuch odchrząknął, ale Tiffany podstępnie trąciła go butem.

— Ani słowa, płazie — syknęła.

Może i był jej adwokatem, ale jeśli księżna zobaczy ropuchę pracującą jako doradca prawny, sytuacja będzie jeszcze gorsza.

Tymczasem sytuację pogorszyło właśnie to, że nie zobaczyła Ropucha, ponieważ wrzasnęła:

— Słyszałeś to? Czy nie ma końca jej zuchwałości? Nazwała mnie płazem!

Tiffany chciała już odpowiedzieć: „Nie chodziło mi o panią, tylko o tego drugiego płaza”, ale zdążyła się powstrzymać. Usiadła, jedną ręką zasypując Ropucha słomą, i zwróciła się do Rolanda.

— Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw?

— Moi ludzie szybko nauczą cię mówić! — zawołała księżna ponad ramieniem młodego barona.

— Ja już umiem mówić, uprzejmie dziękuję — odparła Tiffany. — Myślałam, że przyszła może napawać się moją klęską, ale przyczyna wydaje się bardziej… płynna.

— Ona nie może się stąd wydostać, prawda? — Roland zwrócił się do sierżanta.

Sierżant zasalutował sprężyście.

— Nie, sir — zapewnił. — Klucze do obu drzwi trzymam mocno w kieszeni, sir.

Zerknął z wyższością na gwardzistę księżnej, jakby chciał powiedzieć: „Niektórym tutaj zadają ważne pytania, a oni podają precyzyjne i zwięzłe odpowiedzi, dziękuję za uwagę”.

Efekt zepsuła nieco księżna, mówiąc:

— Dwa razy zwrócił się do ciebie „sir” zamiast „jaśnie panie”, Rolandzie. Nie możesz pozwolić, by stany niższe odnosiły się do ciebie tak familiarnie. Już ci to mówiłam.

Tiffany z radością kopnęłaby Rolanda za to, że nie zareagował ostro. Brian uczył go jeździć konno, wiedziała o tym, uczył go trzymać miecz i polować. Może powinien go także nauczyć dobrych manier.

— Bardzo przepraszam — rzekła ostrym tonem. — Długo zamierzasz mnie tutaj trzymać? Bo jeśli tak, przydałyby mi się czyste skarpety i parę sukienek na zmianę. No i oczywiście jakieś niewymowne.

Chyba właśnie wspomnienie o niewymownych spłoszyło młodego barona. Ale opanował się szybko.

— My… to znaczy ja… tego… uważam, że powinniśmy chyba trzymać cię uwięzioną, w humanitarnych warunkach, oczywiście, tam gdzie nie będziesz mogła zaszkodzić, aż do zakończenia ceremonii ślubnych. Ostatnio wydajesz się ośrodkiem bardzo wielu nieszczęśliwych wydarzeń. Przykro mi.

Tiffany nie śmiała odpowiadać, bo niegrzecznie jest wybuchać śmiechem po tak głupiej, ale wygłoszonej z powagą wypowiedzi.

Roland spróbował się uśmiechnąć.

— Postaramy się o twoją wygodę. Jeśli zechcesz, usuniemy stąd kozy.

— Jeśli to nie przeszkadza, wolałabym, żeby zostały — odparła Tiffany. — Zaczynam doceniać ich towarzystwo. Ale… mogę o coś spytać?

— Tak, oczywiście.

— Nie chodzi wam chyba o kołowrotki i wrzeciona, prawda?

No cóż, była tylko jedna droga, którą mogło ich poprowadzić to bzdurne rozumowanie.

— Co takiego? — zdziwił się Roland.

Księżna zaśmiała się tryumfalnie.

— O tak, to całkiem podobne do zuchwałej i zbyt pewnej siebie pannicy, że drażni się z nami, zdradzając swoje intencje! Ile kołowrotków mamy w zamku, Rolandzie?

Młody człowiek wydawał się zaskoczony — jak zawsze, kiedy zwracała się do niego przyszła teściowa.

— No… właściwie nie wiem. Myślę, że ochmistrzyni ma jeden, kołowrotek mamy stoi w wieży… Zawsze było kilka. Mój ojciec lubi… lubił widzieć, że ludzie robią coś pożytecznego. I… nie, naprawdę nie wiem.

— Rozkażę swoim ludziom, żeby przeszukali zamek i zniszczyli je co do jednego — oznajmiła księżna. — Sprawdzę jej blef! Z pewnością wszyscy wiedzą o obrażonych czarownicach i kołowrotkach? Wystarczy jedno ukłucie wrzecionem w palec, a wszyscy tu zaśniemy na sto lat!

— Ależ mamo, przecież nie pozwalasz mi dotykać kołowrotków! — zdołała wtrącić Letitia, oddychając ciężko przez zatkany nos.

— I nigdy nie dotkniesz kołowrotka, nigdy, moja droga, nigdy w życiu. Takie rzeczy są właściwe dla klas pracujących. Ty jesteś damą, Letitio. Przędzenie jest dla służby.

Roland poczerwieniał.

— Moja matka przędła — oświadczył bardzo wyraźnie. — Siadałem przy niej w wieży i patrzyłem na kołowrotek. Był wykładany macicą perłową. Nikomu nie wolno go tknąć.

Tiffany, obserwująca go przez kraty, miała wrażenie, że jedynie ktoś mający tylko połowę serca, bardzo mało dobroci i wcale rozsądku mógłby w tym momencie cokolwiek jeszcze mówić. Jednak księżna wyraźnie nie miała rozsądku, pewnie dlatego, że był zbyt pospolity.

— Nalegam… — zaczęła.

— Nie — rzekł Roland.

Słowo nie było głośne, ale miało w sobie spokój, który wydawał się chyba jeszcze głośniejszy od krzyku, a także podteksty i nadteksty, które potrafiłyby zatrzymać w miejscu stado słoni. Czy też, w obecnej sytuacji, jedną księżną. Ona jednak rzuciła przyszłemu zięciowi spojrzenie, które obiecywało ciężkie chwile, kiedy tylko księżna zechce jakieś wymyślić.

Tiffany ogarnęło współczucie.

— Słuchajcie, wspomniałam o tych kołowrotkach, bo chciałam być sarkastyczna. Takie historie już się nie zdarzają. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek się zdarzyły. Ludzie mieliby zasnąć na sto lat, a różne drzewa i krzaki by zarosły całą okolicę? Niby jak to może działać? Dlaczego rośliny też nie zasnęły? Bo przecież ludziom by jakieś kolczaste krzaki wyrastały z nozdrzy, a to by każdego obudziło. A co by się działo, gdyby spadł śnieg?

Mówiąc to, pilnie obserwowała córkę księżnej. Letitia niemal wykrzykiwała bardzo interesujące uronione słowo, które Tiffany zapamiętała do późniejszego rozważenia.

— No tak, widzę wyraźnie, że czarownica wzbudza zamęt, gdziekolwiek się ruszy — stwierdziła księżna. — Dlatego zostaniesz tutaj, traktowana lepiej, niż na to zasługujesz, dopóki cię nie wypuścimy.

— A co powiesz mojemu ojcu, Rolandzie? — zapytała słodko Tiffany.

Wyglądał, jakby ktoś go uderzył, co pewnie się stanie, jeśli pan Obolały usłyszy, że jego córka siedzi w lochu z kozami. Roland będzie potrzebował bardzo wielu gwardzistów.

— Wiesz co? — odezwała się. — Może mu powiemy, że zostałam w zamku, żeby zająć się ważnymi sprawami? Jestem pewna, że ten oto sierżant zdoła przekazać mojemu ojcu wiadomość tak, żeby go nie zdenerwować?

Zrobiła z tego pytanie i zobaczyła, że Roland kiwa głową, ale księżna nie mogła się powstrzymać.

— Twój ojciec jest dzierżawcą barona i zrobi, co mu się każe!

Roland usiłował się nie skręcać. Kiedy pan Obolały pracował dla starego barona, jako ludzie światowi doszli do rozsądnego porozumienia. Zgodnie z nim pan Obolały miał robić wszystko, o co baron go poprosi, pod warunkiem że baron będzie prosił o to, co pan Obolały i tak chciał zrobić i co wymagało zrobienia.

Na tym właśnie polega lojalność, tłumaczył jej któregoś dnia ojciec. Oznaczała, że dobrzy ludzie wszelkiego rodzaju pracowali dobrze, jeśli rozumieli swoje prawa, obowiązki i uznawali godność innych. Ludzie cenili tę godność, ponieważ — z dokładnością do jakiejś pościeli, garnków i patelni, paru narzędzi i sztućców — była wszystkim, co posiadają. O takiej umowie nie trzeba było nawet rozmawiać, ponieważ każda rozsądna osoba wiedziała, na czym polega: dopóki jesteś dobrym panem, ja będę dobrym robotnikiem. Będę wobec ciebie lojalny, jeśli ty będziesz lojalny wobec mnie, a dopóki ten krąg nie zostanie złamany, tak będzie.

Roland łamał ten krąg, a w każdym razie pozwalał księżnej go łamać. Jego rodzina rządziła Kredą od kilkuset lat, na dowód czego miał różne papiery. Nie istniał żaden dowód mówiący, kiedy pierwszy Obolały postawił stopę na wzgórzach Kredy — nikt jeszcze nie wynalazł wtedy papieru.

W tej chwili ludzie nie przepadali za czarownicami — byli niespokojni i zagubieni — ale Roland na pewno nie chciałby spotkać się z panem Obolałym szukającym odpowiedzi. Pan Obolały, chociaż miał już włosy przyprószone siwizną, potrafił zadawać bardzo trudne pytania.

A ja muszę tu zostać, myślała Tiffany. Znalazłam nitkę, a kiedy już ma się nitkę, trzeba podążyć za nią do kłębka.

— Nie przeszkadza mi, że zostanę tutaj — oświadczyła. — Przecież nie chcemy żadnych kłopotów.

Roland przyjął to z wyraźną ulgą, ale księżna zwróciła się do sierżanta.

— Jesteś pewien, że jest bezpiecznie zamknięta?

Brian wyprostował się; ponieważ i tak był już wyprostowany, teraz musiał chyba stanąć na palcach.

— Tak, pro… wasza łaskawość. Jak mówiłem, istnieje tylko po jednym kluczu do obojga drzwi, a ja mam je tutaj w kieszeni.

Klepnął się dłonią po prawej kieszeni. Brzęknęło. Ten brzęk najwyraźniej wystarczył, by przekonać księżną.

— W takim razie możemy spocząć dzisiaj w łóżkach nieco spokojniejsi, sierżancie — powiedziała. — Chodź, Rolandzie. I zaopiekuj się Letitią. Obawiam się, że powinna znowu wziąć swoje lekarstwo. Bogowie tylko wiedzą, co jej nagadała ta straszna dziewczyna.

Tiffany patrzyła, jak odchodzą — wszyscy oprócz sierżanta, który miał dość przyzwoitości, by wyglądać na zakłopotanego.

— Możesz tu podejść, Brian?

Sierżant westchnął i zbliżył się do krat.

— Nie narobisz mi kłopotów, Tiff, prawda?

— Oczywiście, że nie, Brian. I mam nadzieję, że ty nie spróbujesz narobić kłopotów mnie.

Sierżant zamknął oczy i jęknął.

— Planujesz coś, prawda? Wiedziałem!

— Ujmę to tak — odparła Tiffany. Pochyliła się. — Jaka jest szansa, twoim zdaniem, że zostanę dzisiaj na noc w tej celi?

Brian poklepał się po kieszeni.

— Nie zapominaj, że mam…

Strasznie wyglądała jego twarz, gdy wykrzywiła się nagle jak mordka małego szczeniaczka, który oberwał solidną burę.

— Wykradłaś mi je z kieszeni!

Spojrzał na nią błagalnie. Jak mały szczeniaczek, który spodziewa się czegoś o wiele gorszego niż bura.

Ku jego zdumieniu i zachwytowi Tiffany z uśmiechem wręczyła mu klucze.

— Nie sądzisz chyba, że czarownica potrzebuje kluczy? I obiecuję, że będę z powrotem przed siódmą rano. Zgodzisz się chyba, że w tej sytuacji to dobry układ, tym bardziej że znajdę chwilę, by zmienić opatrunek na nodze twojej mamy.

Wyraz jego twarzy wystarczył za odpowiedź. Z wdzięcznością chwycił klucze.

— Pewnie nawet nie warto pytać, jak zamierzasz się wydostać? — zapytał z nadzieją.

— Nie wydaje mi się, żebyś w obecnej sytuacji powinien mi stawiać takie pytania.

Zawahał się i uśmiechnął.

— Dziękuję, że pamiętasz o nodze mojej mamy. Dzisiaj trochę sinieje.

Tiffany odetchnęła głęboko.

— Kłopot polega na tym, Brian, że w tej chwili ty i ja jesteśmy jedynymi, którzy pamiętają o chorej nodze twojej mamy. Żyją tu starzy ludzie, którym trzeba pomóc przy wchodzeniu i wychodzeniu z kąpieli. Pigułki i mikstury trzeba przygotować i dostarczyć takim, co mieszkają w trudno dostępnych miejscach. Jest pan Bouncer, który ledwie może chodzić, jeśli nie natrę go maścią. — Wyjęła swój dziennik, obwiązany sznurkiem i ściągnięty gumkami, i pomachała nim. — Tutaj mam zapisane mnóstwo spraw do załatwienia, ponieważ jestem czarownicą. Jeśli ja tego nie załatwię, to kto? Młoda pani Trollope niedługo urodzi bliźniaki; jestem tego pewna, bo słychać bicie dwóch serc. To jej pierwszy poród. Już teraz umiera ze strachu, a najbliższa akuszerka poza mną mieszka dziesięć mil stąd, w dodatku jest, trzeba zauważyć, trochę krótkowzroczna i roztargniona. Jesteś tu prawie że oficerem, Brian. Oficerowie powinni być ludźmi zaradnymi, więc jeśli ta nieszczęsna młoda matka przyjdzie, szukając pomocy, będziesz wiedział, co robić.

Z pewną satysfakcją zobaczyła, że sierżant blednie jak ściana. Zanim jednak zdążył wykrztusić coś w odpowiedzi, zaczęła mówić dalej.

— Ja nie mogę nikomu pomóc, rozumiesz, bo przecież zła czarownica musi siedzieć zamknięta w lochu, na wypadek gdyby dostała w swoje ręce nabity kołowrotek. Zamknięta z powodu jakiejś bajki! Problem polega na tym, że ktoś może przez to umrzeć. A jeśli pozwolę komuś umrzeć, będę złą czarownicą. Tylko że złą czarownicą jestem i tak. Muszę nią być, skoro mnie tu zamknąłeś.

Naprawdę zrobiło jej się go żal. Nie po to został sierżantem, żeby radzić sobie w takich sytuacjach. Większość swych taktycznych doświadczeń czerpał z łapania uciekających świń. Czy powinnam go winić za to, co mu rozkazano? — zastanowiła się. W końcu trudno mieć pretensje do młotka o to, co z nim robi stolarz. Ale Brian ma mózg, młotek natomiast nie. Może powinien spróbować tego mózgu użyć.

Tiffany odczekała, aż stukanie butów wykazało, że sierżant całkiem poprawnie uznał, iż lepiej będzie dzisiejszej nocy znaleźć się możliwie daleko od celi, a może i zastanowić się trochę nad własną przyszłością. Poza tym z każdej szczeliny zaczęli wysuwać się Feeglowie, a oni mieli wyjątkowy instynkt, pozwalający im nie dać się zauważyć.

— Nie powinniście wykradać mu kluczy z kieszeni — upomniała Roba Rozbója, który wypluł właśnie jakieś źdźbło słomy.

— Tak? Psecie łon chciał cie tsymać w lochu!

— No, niby tak, ale to porządny człowiek. — Wiedziała, że brzmi to niemądrze, i Rob Rozbój także musiał to wiedzieć.

— Ano, istowo, poządny cłek, co cie zamyka na zycenie jakiejsik zarozumiałej scygi? — burknął. — A co z tą wielką ciut zasmarkaną dziewuską w białej sukience? Juz zem se myślał, ze tsa bedzie psy niej ściek wykopać.

— Moze to jedna z tych niby nimf wodnych? — zgadywał Tępak Wullie.

Jednak większość wyrażała opinię, że dziewczyna była jakoś zbudowana z lodu i teraz zaczęła się topić. Niżej na schodach jakaś mysz płynęła rozpaczliwie do brzegu.

Niemal podświadomie Tiffany wsunęła rękę do kieszeni i wyciągnęła kawałek sznurka. Chwilowo upuściła go na głowę Roba Rozbója, sięgnęła tam znowu i tym razem wyjęła ciekawy mały kluczyk, trzy tygodnie temu znaleziony przy drodze, puste pudełko po nasionach kwiatów i nieduży kamień z otworem w środku. Tiffany zawsze zbierała kamyki z dziurkami, gdyż przynosiły szczęście; trzymała je w kieszeni, dopóki nie przetarły materiału i nie wypadły, pozostawiając dziurę. To wszystko wystarczało, żeby wykonać podstawowy mobil, tyle że zawsze potrzebne jest też coś żywego. Stanowiące kolację Ropucha robaki zniknęły już, w większości wewnątrz Ropucha, dlatego chwyciła jego samego i umocowała delikatnie w sieci, nie zwracając uwagi na groźby działań prawnych.

— Naprawdę nie wiem, czemu nie użyjesz któregoś z Feeglów — powiedział. — Oni to lubią.

— Tak, ale zwykle mobil kieruje mnie wtedy do najbliższej gospody. Zaczekaj chwilę, co?

Kozy przeżuwały spokojnie, kiedy Tiffany przesuwała swój mobil tu i tam, szukając jakiejś wskazówki. Letitia żałowała czegoś, żałowała bardzo głęboko i mokro. A ostatnie uronione słowa, na wymówienie których zabrakło jej odwagi, ale nie zdążyła ich powstrzymać, brzmiały: „Nie tego chciałam”.

\* \* \*

Nikt nie wiedział, jak działa mobil. Wszyscy wiedzieli, że działa. Może jedyne, co robił, to zmuszał do myślenia. Może dostarczał tylko oczom czegoś, na co mogły patrzeć, kiedy użytkowniczka myślała. A Tiffany myślała tak: Ktoś jeszcze w tym budynku ma magiczne zdolności.

Mobil się skręcił, Ropuch narzekał, a srebrzysta nić konkluzji przepłynęła przez Drugie Wejrzenie. Tiffany uniosła wzrok ku sufitowi, srebrzysta nić zamigotała. Ktoś w tym budynku używa magii, pomyślała Tiffany. Ktoś, kto bardzo żałuje, że to zrobił.

Czy to możliwe, że stale blada, stale wilgotna i nieodwracalnie akwarelowa Letitia jest w rzeczywistości czarownicą? To wydawało się niemożliwe.

Ale przecież nie warto się zastanawiać, co się dzieje, kiedy można zwyczajnie iść i sprawdzić.

Miło było sobie uświadomić, że baronowie Kredy przez lata dobrze żyli z ludźmi i zapomnieli, jak się zamyka więźniów. Loch stał się szopą dla kóz, a różnica między lochem a szopą dla kóz polega na tym, że w tej drugiej nie trzeba ognia, jako że kozy same się ogrzewają. Ogień za to niezbędny jest w lochu, jeśli więźniom ma być miło i ciepło albo — jeśli baron naprawdę ich nie lubi — bardzo niemiło i ciepło. A nawet terminalnie gorąco. Babcia Obolała opowiadała kiedyś Tiffany, że kiedy była jeszcze młodą dziewczyną, w lochu trzymano bardzo wiele okropnych żelaznych narzędzi przeznaczonych głównie do rozrywania ludzi kawałek po kawałku; okazało się jednak, że nigdy nie trafił tam więzień tak zły, by ich na nim użyć. Zresztą nikt w zamku nie chciał ich obsługiwać, bo często przytrzaskiwały nieostrożnym palce. Wszystkie więc trafiły do kowala, by przerobił je na coś bardziej przydatnego, jak łopaty czy noże — oprócz Żelaznej Dziewicy, która służyła do rozdrabniania rzepy, dopóki nie odpadło z niej wieko.

W rezultacie, ponieważ nikt w zamku nie traktował lochu zbyt entuzjastycznie, wszyscy zapomnieli, że jest tam komin. Właśnie dlatego Tiffany popatrzyła w górę i zobaczyła wysoko plamkę błękitu, którą więzień nazywa niebem, ale którą ona — kiedy tylko się ściemni — zamierzała nazwać wyjściem.

Okazało sie to nieco trudniejsze, niż miała nadzieję; komin był zbyt wąski, by mogła przelecieć, siedząc na miotle, musiała więc trzymać się gałązek, gdy miotła ciągnęła ją w górę, a ona butami odpychała się od ścian.

Przynajmniej na górze wiedziała, dokąd ma iść. Wszystkie dzieci wiedziały. Prawdopodobnie w całej Kredzie nie było chłopaka, który na ołowianym dachu nie wydrapał swojego imienia, zapewne obok imion swojego ojca, dziadków, pradziadków, a nawet prapradziadków, aż imiona ginęły pod kolejnymi imionami.

Cały sens istnienia zamku polega na tym, że nikt nie może się dostać do środka, jeśli właściciel tego nie chce. Dlatego w murach nie było okien, dopiero na wyższych piętrach, gdzie znajdowały się sypialnie. Roland już dawno przeniósł się do pokoju ojca — wiedziała, bo sama pomagała mu przenosić rzeczy, kiedy stary baron pogodził się z faktem, że jest już za słaby, by wspinać się po schodach. Księżna zajmuje pewnie wielki pokój gościnny, w połowie drogi między sypialnią Rolanda a Panieńską Wieżą — naprawdę tak się nazywała — gdzie pewnie śpi Letitia. Nikt tego nie podkreślał, ale taki układ oznaczał, że matka panny młodej zajmuje pokój pomiędzy młodą parą, zapewne z uszami nastrojonymi na wszelkie odgłosy czułości, a może nawet migdalenia.

Tiffany przekradała się ostrożnie przez mrok i cicho wsunęła się do wnęki, kiedy usłyszała kroki na schodach. Była to pokojówka niosąca na tacy kubek, który niemal upuściła, kiedy drzwi pokoju księżnej odskoczyły gwałtownie, a sama księżna wyjrzała groźnie, sprawdzając, czy aby nic się nie dzieje. Gdy pokojówka ruszyła dalej, Tiffany podążyła za nią, bezgłośna i — ponieważ opanowała tę sztukę — także niewidoczna. Gwardzista pod drzwiami spojrzał z nadzieją, kiedy pojawiła się taca, i został surowo poinformowany, że może zejść na dół i sam sobie wziąć kolację. Potem pokojówka weszła do pokoju, położyła tacę przy wielkim łożu i wyszła, zastanawiając się przez moment, czy wzrok robi jej jakieś sztuczki.

Letitia wyglądała, jakby zasnęła pod warstwą świeżego śniegu; efekt psuło trochę odkrycie, że to pogniecione papierowe chusteczki. Zużyte chusteczki. W Kredzie widywało się je rzadko, gdyż były bardzo drogie; jeśli ktoś je miał, nie uważano za dowód złych manier tego, że suszył je przed kominkiem, by potem wykorzystać powtórnie. Ojciec Tiffany opowiadał, że kiedy był mały, musiał wycierać nos w myszy, ale mówił to pewnie dlatego, żeby piszczała.

W tej chwili Letitia wydmuchała nos z mało wytwornym odgłosem trąbienia, a następnie — ku zaskoczeniu Tiffany — popatrzyła wokół podejrzliwie. Zawołała nawet:

— Hej! Jest tu kto?

To pytanie, jeśli przemyśleć je sobie logicznie, nigdy nie doprowadza do niczego sensownego.

Tiffany wsunęła się głębiej w cień. Kiedy była w dobrej formie, potrafiła oszukać nawet babcię Weatherwax, a ta rozmazana księżniczka nie miała żadnego prawa do wyczuwania jej obecności.

— Wiesz, mogę zacząć krzyczeć — ostrzegła Letitia, rozglądając się czujnie. — Przed drzwiami siedzi gwardzista.

— Zszedł na dół, na kolację — odpowiedziała Tiffany. — Bardzo nieprofesjonalnie się zachował. Powinien czekać, aż ktoś przyjdzie go zmienić. Osobiście podejrzewam, że twoja matka bardziej dba o wygląd gwardzistów niż o to, jak myślą. Nawet młody Preston pilnuje lepiej od nich. Ludzie czasem w ogóle nie zdają sobie sprawy, że jest blisko, dopóki nie klepnie ich w ramię. Czy wiesz, że mało kto zaczyna krzyczeć, dopóki się z nim rozmawia? Nie wiem dlaczego, podejrzewam, że zostaliśmy wychowani tak, by zachowywać się grzecznie. A jeśli myślisz, żeby zacząć teraz krzyczeć, to chciałabym zauważyć, że gdybym planowała coś złego, pewnie już bym to zrobiła.

Milczenie trwało długo. W końcu Letitia się odezwała:

— Masz prawo się gniewać. Bo się gniewasz, prawda?

— W tej chwili nie. A przy okazji, może wypijesz to mleko, zanim wystygnie?

— Prawdę mówiąc, zawsze wylewam je do wygódki. Wiem, że to karygodne marnotrawstwo i że jest wiele ubogich dzieci, które z radością wypiłyby przed snem kubek ciepłego mleka. Ale nie zasługują na moje, bo matka każe służącym dosypywać tam lekarstwa, żebym lepiej spała.

— Czemu? — zdumiała się Tiffany.

— Uważa, że tego potrzebuję. Ale nie potrzebuję. Nie masz pojęcia, jakie to życie. Jakbym siedziała w więzieniu.

— Myślę, że teraz już wiem — zapewniła Tiffany.

Dziewczyna w łóżku znów zaczęła płakać.

— Nie chciałam, żeby się tak fatalnie poukładało. — Z dźwiękiem myśliwskiego rogu wytarła nos. — Chciałam tylko, żeby Roland nie lubił cię tak bardzo. Czy możesz sobie wyobrazić, jak to jest być mną? Na nic mi nie pozwalają, mogę jedynie malować obrazki, a i to tylko akwarelami. Nic więcej, nawet szkiców węglem!

— Myślałam o tym — odparła z roztargnieniem Tiffany. — Roland pisywał kiedyś listy do córki lorda Divera, Iodyny, a ona też ciągle malowała akwarele. Zastanawiałam się, czy to może za karę.

Ale Letitia nie słuchała.

— Ty nie musisz siedzieć i malować! Możesz sobie cały czas latać! — mówiła. — Możesz rozkazywać ludziom, możesz robić coś ciekawego! Wiesz, kiedy byłam mała, chciałam być czarownicą. Ale niestety miałam długie blond włosy, jasną cerę i bardzo bogatego ojca. Na co to komu? Takie dziewczyny nie mogą zostawać czarownicami.

Tiffany uśmiechała się lekko. Dochodziły do prawdy i ważne jest, żeby nadal była przyjazna i pomocna, bo tama znów może pęknąć i zaleje je potop.

— Kiedy byłaś mała, miałaś jakąś książkę z bajkami?

Letitia znowu wytarła nos.

— O tak.

— Czy przypadkiem była to taka z przerażającym rysunkiem goblina na siódmej stronie? Zamykałam oczy, kiedy dochodziłam do tego miejsca.

— Zamazałam go całego czarną kredką — wyznała Letitia jakby z ulgą, że wreszcie może komuś o tym powiedzieć.

— Nie lubiłaś mnie. I dlatego postanowiłaś rzucić przeciwko mnie jakiś czar…

Tiffany powiedziała to bardzo cicho, ponieważ w Letitii było coś… kruchego. Dziewczyna sięgnęła po następną chusteczkę, ale zdawało się, że wyczerpała już szlochy. Okazało się jednak, że tylko na chwilę.

— Tak mi przykro! Gdybym tylko wiedziała, nigdy bym…

— Może powinnam ci wytłumaczyć — ciągnęła Tiffany. — Roland i ja byliśmy… no, przyjaciółmi. Mniej lub bardziej, każde z nas było jedynym przyjacielem tego drugiego. Ale w pewnym sensie był to niedobry rodzaj przyjaźni. Nie zetknęliśmy się sami; pewne zdarzenia pchnęły nas ku sobie. On był synem barona, a kiedy człowiek pojmuje, że jest synem barona, i wszystkim dzieciakom powiedziano, jak mają się zachowywać wobec syna barona, to nie zna zbyt wielu osób, z którymi może rozmawiać. I obok byłam ja: dziewczyna dość mądra, żeby zostać czarownicą, a muszę powiedzieć, że nie jest to praca, która pozwala na bogate życie towarzyskie. Jeśli wolisz, dwoje ludzi odrzuconych przez innych uznało, że są do siebie podobni. Teraz to wiem. Niestety, Roland zrozumiał pierwszy. I to jest cała prawda. Ja jestem czarownicą, a on jest baronem. A ty będziesz baronessą i nie powinnaś się martwić, że czarownica i baron, dla ogólnego dobra, utrzymują dobre stosunki. I to wszystko, co w tym było, tyle że nie było nawet żadnego „tego”, najwyżej cień tego…

Zobaczyła, że ulga wypływa na twarz Letitii niczym wschodzące słońce.

— A że ja wyznałam ci prawdę, moja panno, chciałabym też usłyszeć prawdę od ciebie. Słuchaj, możemy się wynieść z tej sypialni? Boję się, że w każdej chwili może tu wpaść jakiś gwardzista, a potem spróbuje mnie zamknąć gdzieś, skąd się nie wydostanę.

\* \* \*

Tiffany udało się jakoś usadzić Letitię na miotle za sobą. Dziewczyna kręciła się nerwowo i wstrzymała oddech, kiedy miotła zsunęła się łagodnie z zamkowych murów, przefrunęła nad wioską i wylądowała na polu.

— Widziałaś te nietoperze? — westchnęła Letitia.

— Często krążą dookoła miotły, jeśli nie leci zbyt szybko — odparła Tiffany. — Właściwie to chyba powinny jej unikać… A teraz, panienko, skoro obie jesteśmy z dala od jakiejkolwiek pomocy, powiedz, co zrobiłaś, żeby ludzie zaczęli mnie nienawidzić.

W oczach Letitii błysnęła panika.

— Nie, nie chcę ci zrobić krzywdy — uspokoiła ją Tiffany. — Gdybym chciała, załatwiłabym to już dawno. Ale chcę jakoś oczyścić swoje życie. Powiedz, jak to zrobiłaś.

— Użyłam strusiego uroku — wyjaśniła Letitia. — Nazywają to nieprzychylną magią. Robisz model danej osoby, a potem wtykasz go głową w dół do kubła z piaskiem. Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro…

— Tak, już mówiłaś — przerwała jej Tiffany. — Nigdy nie słyszałam o tej sztuczce. Nie rozumiem, jak mogłaby podziałać. To przecież nie ma sensu.

Ale na mnie podziałało, pomyślała. Ta dziewczyna nie jest czarownicą, a to, czego próbowała, nie jest prawdziwym zaklęciem, lecz na mnie podziałało.

— Nie musi mieć sensu, jeśli to magia — stwierdziła Letitia.

— Gdzieś musi pojawić się sens. — Tiffany patrzyła na gwiazdy, które zaczęły rozbłyskiwać na niebie.

— No… Jeśli ci to w czymś pomoże, znalazłam je w „Zaklęciach dla zakochanych” Anatemy Bugloss.

— To taka z portretem autorki na miotle, tak? — upewniła się Tiffany. — I siedzi tyłem do przodu, muszę dodać. I nie ma żadnego pasa bezpieczeństwa. A żadna czarownica, jaką w życiu poznałam, nie nosi gogli. Co do zabierania na miotłę kota, lepiej o tym nie myśleć. Samo nazwisko jest wymyślone. Widziałam tę książkę w katalogu Boffo i nadaje się na śmietnik. Dobra dla ckliwych panienek, którym się wydaje, że do uprawiania magii wystarczy kupić bardzo drogi kijek z przyklejonym na końcu kamieniem półszlachetnym, bez urazy. Równie dobrze można wyłamać jakiś patyk z żywopłotu i nazwać go różdżką.

Letitia bez słowa przeszła do żywopłotu oddzielającego pole od drogi. Jeśli dobrze poszukać, zawsze można pod nim znaleźć jakiś poręczny patyk. Machnęła nim, a patyk zostawił za sobą w powietrzu niebieską linię.

— Na przykład taki? — spytała.

Przez dłuższy czas panowała cisza mącona tylko pohukiwaniem sowy i — dla tych z naprawdę dobrym słuchem — szelestem skrzydeł nietoperzy.

— Chyba pora, żebyśmy sobie poważnie pogadały, nie sądzisz? — odezwała się w końcu Tiffany.



Rozdział 11

STOS NA CZAROWNICE

**—**Mówiłam ci, że zawsze chciałam być czarownicą — powiedziała Letitia. — Nie wiesz, jak trudno się żyje, gdy twoja rodzina mieszka w wielkiej rezydencji i jest tak stara, że nawet herb ma parę własnych nóg. Wszystko to wchodzi w drogę i uwierz, naprawdę czasem wolałabym urodzić się z twoimi ograniczeniami. O katalogu Boffo dowiedziałam się dopiero wtedy, gdy pewnego dnia weszłam do kuchni i usłyszałam, jak chichoczą nad nim dwie służące. Uciekły, wciąż roześmiane, muszę dodać, ale zostawiły katalog. Nie mogę zamówić tylu rzeczy, ile bym chciała, bo pokojówka mnie szpieguje i donosi matce. Ale kucharka jest dość porządna, więc daję jej pieniądze i numery z katalogu, a moje zamówienie zostaje dostarczone jej siostrze w Szynce Zbożowej. Jednak nie mogę zamówić nic dużego, bo pokojówki wciąż wszystko odkurzają i czyszczą. Tak naprawdę chciałabym któryś z tych kociołków, z których wypływa zielona piana, lecz ty mówisz, że to tylko taka sztuczka dla żartu.

Letitia wyrwała z żywopłotu dwa inne patyki i wbiła je w ziemię przed sobą. Na czubku każdego z nich pojawił się błękitny blask.

— Wiesz, dla wszystkich innych to żart — odparła Tiffany. — Ale dla ciebie pojawią się pewnie smażone kurczaki.

— Naprawdę tak myślisz? — spytała ucieszona Letitia.

— Nie jestem pewna, czy w ogóle potrafię myśleć, tkwiąc głową w dół w wiadrze piasku — stwierdziła Tiffany. — Przypomina to trochę czary magów. Zwykła sztuczka… Mówisz, że takie coś było w książce panny Bugloss. Przykro mi, ale to naprawdę jest sztuczka z boffo. Nic rzeczywistego. To coś dla ludzi, którym się wydaje, że w czarownictwie chodzi o kwiaty, napoje miłosne i tańczenie po łące bez reform, coś, czego nie wyobrażam sobie, by robiła jakaś czarownica… — Zawahała się, ale była osobą z gruntu uczciwą, więc dokończyła: — No, może niania Ogg, kiedy ogarnia ją nastrój. To takie czarownictwo z odkrojonymi skórkami, a prawdziwe czarownictwo to same skórki. Ty jednak wzięłaś jedno z tych jej głupich zaklęć dla chichoczących pokojówek, użyłaś go na mnie i podziałało! Czy w twojej rodzinie była jakaś czarownica?

Letitia potrząsnęła głową, a jej długie blond włosy nawet zaiskrzyły w świetle księżyca.

— Nigdy o żadnej nie słyszałam. Mój dziadek był alchemikiem, nie zawodowym, oczywiście. Właśnie z jego powodu hol nie ma już wschodniego skrzydła. Moja matka… ja nie potrafię sobie wyobrazić, żeby zajmowała się magią, a ty?

— Ona? Absolutnie!

— Nigdy nie widziałam, żeby rzucała czary i naprawdę ma dobre chęci. Powtarza, że chce dla mnie jak najlepiej. Całą rodzinę straciła w pożarze, rozumiesz. Straciła wszystko — dokończyła Letitia.

Tiffany nie mogła nie lubić tej dziewczyny. To byłoby tak, jakby nie lubić trochę ogłupiałego szczeniaczka. Ale też nie potrafiła się powstrzymać i spytała:

— A czy ty miałaś dobre chęci, kiedy zrobiłaś moją figurkę i wsadziłaś ją głową do wiadra z piaskiem?

Letitia musiała mieć w sobie całe rezerwuary wilgoci. Zawsze była o krok od łez.

— Naprawdę nie mam pretensji, słowo — powiedziała Tiffany. — Chociaż szczerze mówiąc, wolałabym wierzyć, że to po prostu było zaklęcie! No więc wyjmij mnie i zapomnijmy o całej sprawie. Tylko nie zaczynaj płakać, bo potem wszystko jest przemoczone.

Letitia pociągnęła nosem.

— No widzisz, tylko że… tak jakby… nie zrobiłam tego tutaj. I zostawiłam wiadro w domu, w bibliotece.

Ostatnie słowo tego zdania zabrzęczało w głowie Tiffany.

— W bibliotece? Z książkami? — Czarownice nie powinny zbytnio się przejmować książkami, lecz ona czytała wszystko, co wpadło jej w ręce. Nigdy nie wiadomo, co użytecznego można w książce znaleźć. — Noc jest bardzo ciepła jak na tę porę roku — zauważyła. — A mieszkasz nie tak daleko stąd, prawda? Za parę godzin możesz być z powrotem w wieży i w łóżku.

Po raz pierwszy odkąd się spotkały, Letitia się uśmiechnęła.

— Czy mogę lecieć z przodu? — spytała.

\* \* \*

Tiffany leciała nisko nad wzgórzami.

Księżyc zbliżał się już do pełni — był to prawdziwy miesiąc plonów, o miedzianym kolorze krwi, a to z powodu unoszącego się w powietrzu dymu z wypalanych ściernisk. W jaki sposób błękitny dym z płonącej pszenicznej słomy barwił księżyc czerwienią, tego nie wiedziała i nie miała zamiaru lecieć tak daleko, aby to sprawdzić.

Wydawało się, że Letitia przebywa w jakimś prywatnym niebie. Paplała przez całą drogę, co — trzeba przyznać — było lepsze niż szlochy. Okazało się, że jest tylko o osiem dni młodsza niż Tiffany. Tiffany wiedziała o tym, gdyż włożyła sporo wysiłku, by to odkryć. Ale to tylko liczby. Czuła się dużo od Letitii starsza. Na tyle starsza, że mogłaby być matką tej dziewczyny. Dziwne, ale jeszcze w górach Petulia, Annagramma i cała reszta opowiadały to samo: czarownice starzeją się od środka. Człowiek musi robić to, co zrobić trzeba, ale czasem żołądek skręca się jak na karuzeli. Widzi czasami rzeczy, których nikt nie powinien oglądać, i zwykle sam, często w ciemności, czyni to, co konieczne. W odległych wioskach, kiedy młoda matka rodzi po raz pierwszy i trafią się poważne kłopoty, człowiek ma tylko nadzieję, że znajdzie się stara miejscowa akuszerka, która przynajmniej udzieli moralnego wsparcia. Mimo to, kiedy dochodzi już do tego, że trzeba podjąć decyzję o życiu i śmierci, decyzję podejmuje sama, bo jest czarownicą, a bywa, że nie jest to wybór między dobrem a złem, ale między złem a złem. Nie ma właściwych wyborów, są tylko… wybory.

W świetle księżyca ujrzała, jak coś pędzi po trawie, bez trudu dotrzymując tempa lecącej miotle. To coś biegło razem z nimi przez kilka minut, a potem zawróciło błyskawicznie i pomknęło w księżycowe cienie.

Zając do ognia bieży, pomyślała Tiffany. Mam wrażenie, że ja również.

Posiadłość Keepsake’ów znajdowała się na drugim końcu Kredy, i to faktycznie był koniec, bo dalej kreda ustępowała glinie i żwirom. Był tam spory park z wysokimi drzewami, właściwie z całymi lasami, były też fontanny przed samym budynkiem, który słowo „rezydencja” rozciągał do granic możliwości, gdyż wyglądał raczej jak pół tuzina sklejonych razem rezydencji. Miał przybudówki, skrzydła, duży ozdobny staw, a na dachu wiatrowskaz w kształcie czapli, z którym Tiffany niemal się zderzyła.

— Ile tu mieszka osób? — wykrztusiła, kiedy udało jej się ustabilizować lot i wylądowała w czymś, co uznała z początku za trawnik, a okazało się głęboką na niemal pięć stóp warstwą suchej trawy.

Króliki rozbiegły się na boki, przerażone tym powietrznym intruzem.

— Teraz tylko mama i ja — odparła Letitia, a martwa trawa szeleściła jej pod nogami, kiedy zeskoczyła z miotły. — I oczywiście służba. Mamy jej całkiem sporo. Nie przejmuj się, o tej porze wszyscy są w łóżkach.

— Ilu służących trzeba dla dwóch osób? — zdziwiła się Tiffany.

— Około dwustu pięćdziesięciu.

— Nie mogę uwierzyć.

Letitia poprowadziła ją do odległych drzwi.

— No wiesz, jeśli liczyć z rodzinami, to jakieś czterdzieści osób pracuje na farmie, dwadzieścia w mleczarni, dwadzieścia cztery osoby w lesie, a siedemdziesiąt pięć w ogrodach, które obejmują również cieplarnię z bananami, zagon ananasów, szklarnię melonów, dom lilii wodnych i staw z pstrągami. Reszta jest w domu albo w pokojach rentierów.

— A kto to taki?

Letitia zatrzymała się z dłonią na skorodowanej mosiężnej gałce.

— Uważasz, że moja matka jest osobą nieuprzejmą i zarozumiałą, prawda?

Tiffany nie widziała żadnej alternatywy wobec prawdy, nawet jeśli oznaczała zagrożenie nocnymi łzami.

— Tak, tak uważam.

— I masz rację — zgodziła się Letitia, przekręcając gałkę. — Ale jest lojalna wobec ludzi, którzy są lojalni wobec nas. Zawsze tak było. Nikogo nie wyrzucamy z posiadłości dlatego, że jest zbyt stary lub zbyt chory. Jeśli nie radzą sobie w swoich domkach, to mieszkają w którymś ze skrzydeł. Prawdę mówiąc, większość służących zajmuje się starymi służącymi. Może jesteśmy trochę staromodni, snobistyczni i czasem nie nadążamy za nowymi czasami, ale nikt, kto pracuje dla Keepsake’ów, nie będzie musiał pod koniec życia żebrać o jedzenie.

Zgrzytająca gałka wreszcie się przekręciła, a drzwi odsłoniły długi korytarz pachnący… pachnący… pachnący starością. Tylko tak można to określić, ale gdyby ktoś miał chwilę na zastanowienie, powiedziałby, że to mieszanka suszonych grzybów, mokrego drewna, kurzu, myszy, martwego czasu i starych książek, które same w sobie mają bardzo intrygujący zapach. To było to, uznała Tiffany. Dni i godziny umierały tu w ciszy, gdy nikt nie patrzył.

Letitia poszukała czegoś na półce za drzwiami i zapaliła lampę.

— Nikt tu nie przychodzi ostatnio prócz mnie, ponieważ to miejsce jest nawiedzane.

— Ach tak. — Tiffany starała się mówić tonem rzeczowym. — Przez bezgłową damę z dynią pod pachą? Idzie teraz w naszą stronę.

Spodziewała się szoku? Łez? Lecz na pewno nie słów Letitii:

— To musi być Mavis. Muszę zmienić jej dynię, jak tylko dojrzeją nowe. Po jakimś czasie zaczyna się trochę, no wiesz, psuć. — Podniosła głos. — To tylko ja, Mavis, nie masz się czego bać.

Bezgłowa kobieta z odgłosem jakby westchnienia zawróciła i odeszła korytarzem.

— Ta dynia to mój pomysł — mówiła dalej Letitia. — Wcześniej po prostu nie dało się z nią dogadać. Szukała swojej głowy, rozumiesz? Dynia daje jej pociechę i po prawdzie nie wierzę, aby biedactwo zauważyło jakąś różnicę. Nawiasem mówiąc, to nie był skutek egzekucji. Myślę, że chciałaby, aby wszyscy to wiedzieli. To po prostu tragiczny wypadek na schodach z udziałem kota i kosy.

I to mówi dziewczyna, która cały czas spędza we łzach! — pomyślała Tiffany. Ale to jej teren. A głośno powiedziała:

— Są jeszcze jakieś inne duchy, które chcesz mi pokazać, na wypadek gdybym znowu chciała się zmoczyć?

— Nie teraz. — Letitia ruszyła korytarzem. — Wrzeszczący szkielet przestał wrzeszczeć, kiedy dałam mu starego pluszowego misia, choć nie mam pojęcia, dlaczego to podziałało. A tak, i duch pierwszego diuka ograniczył swoje nawiedzania do toalety obok jadalni, której rzadko używamy. Ma zwyczaj w niespodziewanych momentach ciągnąć za łańcuszek, ale to i tak lepsze niż deszcze krwi, które zdarzały się wcześniej.

— Jesteś czarownicą. — Te słowa wyrwały się z ust Tiffany całkiem samodzielnie, jakby nie mogły już dłużej pozostać w odosobnieniu jej umysłu.

Dziewczyna spojrzała na nią zdumiona.

— Nie żartuj. Obie wiemy, jak to wygląda, prawda? Długie jasne włosy, skóra biała jak mleko, szlachetne, no w miarę szlachetne urodzenie i bogactwo, przynajmniej formalnie. Oficjalnie jestem damą.

— Może niesłusznie planujesz swoją przyszłość, opierając się na bajkach — odparła Tiffany. — Normalnie dziewczęta wysokiego rodu nie pomagają zagubionym bezgłowym duchom, dając im do noszenia dynię. A tym, że uciszyłaś misiem wrzeszczący szkielet, naprawdę mi zaimponowałaś. Babcia Weatherwax nazywa to głowologią. Jeśli już człowiek sięgnie do korzeni, odkryje, że większość naszego fachu to głowologia i boffo.

Letitia była podniecona i dumna jednocześnie, a jej twarz w mroku lśniła różowo-białą plamą. Tiffany musiała przyznać, że był to ten rodzaj twarzy, jaki widuje się w oknach wieży, twarzy czekającej na rycerza, który nie ma nic innego do roboty, tylko ratować właścicielkę twarzy przed smokami, potworami, a w ostateczności przed nudą.

— Nic nie musisz robić w tej sprawie — dodała Tiffany. — Szpiczasty kapelusz nie jest obowiązkowy. Ale gdyby była tu panna Tyk, na pewno zaproponowałaby ci karierę. Nie jest dobrze być czarownicą samotnie.

Dotarły do końca korytarza. Letitia przekręciła kolejną gałkę, która kolejnym zgrzytem poskarżyła się na otwieranie drzwi. Podobnie zresztą drzwi.

— Niestety sama to odkryłam — oświadczyła Letitia. — A panna Tyk to…?

— Podróżuje po wioskach i szuka dziewcząt, które mają talent. Mówią, że dziewczyna nie znajduje czarownictwa, to czarownictwo ją znajduje. I zwykle to właśnie panna Tyk stuka cię w ramię. Jest łowcą czarownic, ale nie wydaje mi się, aby trafiała do zbyt wielu bogatych domów. Czarownice są tam nerwowe. Ojej!

Powodem ostatniego okrzyku była zapalona lampa oliwna. Komnata okazała się zastawiona szafami pełnymi książek, a książki aż lśniły. Nie były to tanie współczesne tomiki, lecz książki oprawne w skórę, i to nie zwyczajną, ale skórę z mądrych krów, które poległy dla literatury po długim i szczęśliwym życiu na najlepszych pastwiskach. Książki połyskiwały, gdy Letitia przechodziła obok nich, zapalając kolejne lampy. Podciągała je pod sufit na długich łańcuchach, a one kołysały się łagodnie i lśnienie książek mieszało się z błyskami mosiądzu, aż całą komnatę wypełnił ciepły blask starego dojrzałego złota.

Letitia była wyraźnie zadowolona ze zdumienia Tiffany.

— Mój pradziadek był wielkim kolekcjonerem — wyjaśniła. — Wiesz, ten polerowany mosiądz nie jest dla ozdoby. Chodzi o mola książkowego zero trzysta trzy, który potrafi poruszać się tak szybko, że w ułamku sekundy przewierca dziurę w całej półce książek. No ale nie wtedy, kiedy z prędkością dźwięku wpada na solidny mosiądz, cha, cha! Biblioteka była kiedyś większa, lecz mój wujek Charlie uciekł ze wszystkimi książkami o… Wydaje mi się, że to się nazywało „Erotyka”. Nie jestem pewna, a nie mogę tego znaleźć na żadnej mapie. Teraz już chyba tylko ja tutaj przychodzę. Mama uważa, że czytanie budzi w ludziach niepokój. Przepraszam, ale dlaczego tak pociągasz nosem? Mam nadzieję, że nie zdechła tu jakaś mysz.

Jest tutaj coś bardzo niewłaściwego, pomyślała Tiffany. Coś… spiętego… coś się pręży. Może zawarta w książkach wiedza usiłuje się wyrwać? Słyszała kiedyś opowieść o bibliotece na Niewidocznym Uniwersytecie: niezwykłe książki stłoczone razem w czasie i przestrzeni nocą — podobno — rozmawiały ze sobą i tak jakby błyskawice przeskakiwały między jednym a drugim tomem. Zbyt wiele książek w jednym miejscu, a kto wie, do czego mogą być zdolne? Panna Tyk powiedziała jej kiedyś: „Wiedza to siła, siła to energia, energia to materia, materia to masa, a masa zmienia czas i przestrzeń”. Jednak Letitia wydawała się tak szczęśliwa pomiędzy regałami i pulpitami, że Tiffany nie miała serca oponować.

Dziewczyna skinęła na nią.

— O, a tutaj staram się rzucać te swoje drobne magiczne zaklęcia — powiedziała takim tonem, jakby tłumaczyła, że tu właśnie bawi się lalkami.

Tiffany była spocona; wszystkie małe włoski na jej skórze drżały — wyraźny sygnał, że powinna uciekać. Letitia jednak paplała radośnie, zupełnie nie dostrzegając, że Tiffany stara się nie zwymiotować.

Jego smród był okropny. Unosił się w tej złocistej bibliotece jak martwy od dawna, pełen gazów i zgnilizny wieloryb dryfujący znów ku powierzchni.

Tiffany rozejrzała się rozpaczliwie, szukając czegoś, co odciągnie jej myśli od tej wizji. Pani Proust i Derek sporo zarobili na Letitii. Kupiła u nich cały zestaw, kurzajki i całą resztę.

— Ale w tej chwili używam tylko kurzajek. Uważam, że wyglądają odpowiednio, a nie są przesadnie krzykliwe, nie sądzisz?

— Nigdy się nimi nie przejmowałam — odpowiedziała słabym głosem Tiffany.

— Ojej! — Letitia pociągnęła nosem. — Bardzo mi przykro z powodu tego zapachu, myślę, że to myszy. Wyjadają klej z książek. Chyba tym razem znalazły jakiś wyjątkowo nieprzyjemny tom.

Tiffany była coraz bardziej niespokojna. Jakby obudziła się i odkryła, że nocą do domu weszła rodzina tygrysów i teraz usnęła w nogach łóżka; w tej chwili wszystko wygląda spokojnie, ale lada moment ktoś straci rękę. Obok leżały zakupy z Boffo, stanowiące coś w rodzaju czarownictwa na pokaz. Robiły wrażenie na ludziach i może pomagały nowicjuszkom w uzyskaniu odpowiedniego nastroju, ale z pewnością pani Proust nie wysyłałaby rzeczy, które naprawdę działają, prawda?

Gdzieś z tyłu zabrzęczał metal i zza regału wyszła Letitia, dźwigając wiadro. Opuściła je na podłogę, wysypując przy tym trochę piasku. Przez chwilę w nim grzebała.

— A, tu jesteś — powiedziała, wyciągając coś, co wyglądało jak marchewka nadgryziona przez niespecjalnie głodną mysz.

— To niby mam być ja? — zdziwiła się Tiffany.

— Obawiam się, że rzeźbienie w drewnie nie bardzo mi wychodzi — przyznała Letitia. — Ale w książce piszą, że liczy się to, co myślisz…

Było to dość nerwowe stwierdzenie z doczepionym na końcu niespokojnym pytajnikiem, gotowe na wybuch płaczu.

— Przykro mi — odparła Tiffany. — To nie jest takie miłe. Liczy się to, co robisz. Żeby rzucić na kogoś hex, musisz mieć coś, co do niego należy. Włos, może ząb… I nie powinnaś się tym bawić, bo to nie jest ładne i łatwo się pomylić. — Przyjrzała się bliżej marnie wyrzeźbionej figurce. — Widzę, że ołówkiem wypisałaś tu słowo „czarownica”. Powiedziałam, że łatwo się pomylić. No cóż, są sytuacje, kiedy „pomyłka” nie wystarczy na określenie czyjegoś spapranego życia.

Letitia kiwnęła głową. Drgał jej podbródek.

Ucisk głowy Tiffany był coraz gorszy. Potworny fetor stał się tak silny, że odczuwała go jak coś fizycznego. Próbowała się skupić na niewielkim stosiku książek leżących obok na stole. Były tam smętne cienkie tomiki dla dziewcząt, które bawią się w czarownice. Tego rodzaju poradniki niania Ogg — niezwykle zjadliwa, jeśli miała na to ochotę — nazywała: „świeć i mrugaj, kupko mała”.

Letitia była dokładna: na górującym nad blatem pulpicie leżało kilka notesów. Tiffany odwróciła się, aby coś powiedzieć, ale z jakiegoś powodu głowa nie chciała zostać odwrócona, Drugie Wejrzenie ściągało ją z powrotem. Niemal mimowolnie Tiffany odsunęła na bok stosik głupich książeczek. To, co wydawało się blatem pulpitu, w rzeczywistości było o wiele większą książką, grubą i ciemną jak stare drewno. Bijąca od niej groza krzyczała, żeby uciekać i… Nie, nic więcej. Tylko uciekać, i uciekać dalej, i nie zatrzymywać się. Nigdy.

— Wiesz coś o tej książce? — Tiffany starała się mówić spokojnie.

Letitia popatrzyła przez jej ramię.

— Jest bardzo stara. Nawet nie rozpoznaję pisma. Wspaniale oprawiona i, co zabawne, zawsze trochę ciepła.

Oto jest, pomyślała Tiffany, jest przede mną tu i teraz. Eskarina powiedziała, że napisał książkę. Ale książki nikogo nie krzywdzą, prawda? Z wyjątkiem książek, które zawierają idee, bo idee mogą być niebezpieczne.

W tym momencie księga na pulpicie otworzyła się sama, ze skrzypieniem skóry i cichym klapnięciem, kiedy przewróciła się okładka. Strony zaszeleściły jak startujące do lotu stado gołębi, a potem nagle jedna z nich wypełniła komnatę jaskrawym słonecznym blaskiem, od którego łzawiły oczy. I w tym blasku Tiffany zobaczyła postać w czerni, biegnącą ku niej przez rozpaloną pustynię…

Odruchowo zatrzasnęła księgę i przycisnęła ją oburącz do piersi, jak uczennica. Zobaczył mnie, pomyślała. Wiem o tym. Tom podskoczył w jej ramionach, jakby uderzony czymś ciężkim, i usłyszała… słowa, słowa, których na szczęście nie rozumiała. Kolejne uderzenie wstrząsnęło książką, okładka się wybrzuszyła, niemal przewracając Tiffany. Przy kolejnym uderzeniu dziewczyna opadła na stół i przycisnęła książkę całym swym ciężarem.

Ogień, myślała. Nienawidzi ognia! Ale nie sądzę, żebym zdołała ją przenieść gdzieś dalej, a w bibliotekach przecież nie można niczego palić, zresztą wszystko tu jest suche jak pieprz.

— Czy coś próbuje wydostać się z książki? — spytała Letitia.

— Tak. — Książka podskoczyła raz jeszcze, a Tiffany z całej siły uderzyła nią o blat stołu.

— I to nie będzie ten goblin z książeczki z bajkami, prawda? Zawsze strasznie się bałam, że wypełznie spomiędzy kartek.

Książka znów podskoczyła do góry i opadła na stół. Wstrząs odebrał Tiffany oddech. Stęknęła tylko.

— Myślę, że to gorsze niż goblin! — wykrztusiła.

To był nasz goblin, przypomniała sobie, choć chwila nie była odpowiednia. Miały przecież tę samą książkę — z wielu względów niezbyt dobrą, ale potem człowiek dorastał i widział już tylko głupi obrazek, choć nie zapominał do końca.

Wydawało się, że coś takiego trafiało się wszystkim. Kiedy wspomniała Petulii, że bała się obrazka w książce, dziewczyna wyznała, że kiedy była mała, ją także przerażała ilustracja jakiegoś wesołego z wyglądu szkieletu. Okazało się potem, że pozostałe dziewczęta miały podobne wspomnienia. Jakby to był stały element życia. Książka zaczynała od tego, że straszyła czytelnika.

— Chyba wiem, co zrobić — powiedziała Letitia. — Możesz ją jeszcze przez chwilę przytrzymać? To potrwa moment.

Po kilku sekundach Tiffany, wciąż utrzymując zamkniętą okładkę, usłyszała piskliwy zgrzyt. Nie zwróciła na to specjalnej uwagi, gdyż na dłoniach ściskających podskakującą książkę poczuła gorąco. Potem z tyłu usłyszała głos Letitii:

— Poprowadzę cię teraz do prasy introligatorskiej. Kiedy powiem, wepchniesz tam książkę i cofniesz ręce bardzo, ale naprawdę bardzo szybko. To ważne, żebyś zrobiła to błyskawicznie!

Tiffany poczuła, że dziewczyna pomaga jej się odwrócić, i razem przeszły do czegoś metalicznego w mroku. Książka przez cały czas kołysała się wściekle, uderzając ją w pierś, całkiem jakby Tiffany trzymała bijące jeszcze serce słonia.

Ponad uderzeniami ledwie usłyszała głos Letitii.

— Połóż książkę na metalowej płycie, pchnij trochę do przodu i natychmiast zabieraj palce. Już!

Coś zawirowało. Przez jedną przerażającą chwilę Tiffany widziała, jak ręka przeciska się spod okładki, a potem metalowa płyta runęła z góry i przycięła czubki paznokci.

— Pomóż mi. Dociągniemy, jak daleko się da. — To powiedziała Letitia, która opierała się na… na czym? — To stara prasa introligatorska — wyjaśniła. — Mój dziadek korzystał z niej przez cały czas, naprawiając stare uszkodzone książki. Pomaga, kiedy na przykład trzeba z powrotem wkleić jakąś kartkę. Teraz prawie jej nie używamy, tylko na Strzeżenie Wiedźm. Świetnie się nadaje do precyzyjnego łupania orzechów. Rozumiesz, trzeba kręcić tym uchwytem, aż usłyszysz, że zaczynają pękać. W środku wyglądają jak malutkie ludzkie mózgi.

Tiffany zaryzykowała szybkie spojrzenie na prasę, na ściśnięte mocno górną i dolną płytę; chciała sprawdzić, czy na zewnątrz nie wyciekają jakieś ludzkie mózgi. Nie wyciekały, choć nie poprawiło jej nastroju to, że akurat w tym momencie ze ściany wyłonił się mały ludzki szkielet, jak przez dym przeszedł przez biblioteczne regały i zniknął. W ręku trzymał pluszowego misia. Było to jedno z tych doświadczeń, które mózg kataloguje pod hasłem „coś, czego wolałbym raczej nie widzieć”.

— Czy to był jakiś duch? — spytała Letitia. — Nie chodzi mi o ten szkielet, o nim ci mówiłam, prawda? Małe biedactwo. Chodzi mi o tego drugiego, z książki…

— On jest, hm, można chyba powiedzieć, że jest jak choroba. Albo coś w rodzaju koszmaru, który nagle staje w twojej sypialni, kiedy się budzisz. I wydaje mi się, że mogłaś go wezwać. Przywołać, jeśli wolisz.

— Tego nie robię! Rzuciłam tylko małe proste zaklęcie z książki, która kosztuje dolara! No dobrze, wiem, że byłam niemądrą dziewczyną, ale nie planowałam czegoś… takiego! — Wskazała wciąż trzeszczącą prasę.

— Głupią kobietą — poprawiła ją Tiffany.

Letitia zamrugała.

— Co powiedziałaś?

— Nie głupią dziewczyną, ale głupią kobietą! Albo niemądrą kobietą, jeśli wolisz. Za kilka dni wychodzisz za mąż, prawda? I próbowałaś z zazdrości rzucić na kogoś zaklęcie. Widziałaś tytuł tej książki? Ja widziałam. Miałam go przed oczami! To „Stos na czarownice”! Podyktował ją omniański kapłan, który był tak obłąkany, że normalności nie zobaczyłby nawet przez teleskop. I wiesz co? Książki żyją. Stronice pamiętają! Słyszałaś o bibliotece na Niewidocznym Uniwersytecie? Są tam książki, które trzeba przykuwać łańcuchem, trzymać w ciemności, a nawet pod wodą! A ty, panienko, bawiłaś się magią tuż obok księgi, która aż wrze złą, mściwą magią. Nic dziwnego, że uzyskałaś efekt. To ja go zbudziłam i od tego czasu mnie szuka, poluje na mnie. A ty, ze swoim małym zaklęciem, pokazałaś mu, gdzie jestem! Pomogłaś mu! Teraz on wrócił i znalazł mnie! Palacz czarownic… I jak już ci mówiłam, jest zakaźny niczym choroba.

Przerwała, by nabrać tchu, i czekała na potok łez, ale Letitia nie zaczęła płakać. Stała nieruchomo, jakby głęboko się nad czymś zastanawiając. Po czym powiedziała:

— Przypuszczam, że „wybacz” nie wystarczy, prawda?

— Myślę, że byłby to niezły początek — odparła Tiffany, ale pomyślała: Ta młoda kobieta, która jakoś nie zauważyła, że czas już przestać nosić dziewczęce sukienki, dała bezgłowemu duchowi dynię, żeby mógł ją nosić pod pachą i poczuł się z tym lepiej, a małemu wrzeszczącemu szkieletowi podarowała pluszowego misia. Czy ja bym na to wpadła? Ale czarownica stanowczo zrobiłaby coś takiego.

— Posłuchaj, masz wyraźny magiczny talent, naprawdę. Ale wpadniesz w potworne kłopoty, jeśli zaczniesz przy nim majstrować, kiedy nie wiesz, co robisz. Jednak przyznaję, że podarowanie misia temu biednemu małemu szkieletowi było genialnym posunięciem. Sądząc z tego, po pewnym wyszkoleniu możesz mieć całkiem niezłą magiczną przyszłość. Ale będziesz musiała spędzić trochę czasu u jakiejś starszej czarownicy, tak jak ja.

— To cudownie — odparła Letitia — ale teraz muszę spędzić trochę czasu na przygotowaniach do ślubu! Możemy już wracać? I jak myślisz, co powinnyśmy zrobić z tą książką? Nie podoba mi się pomysł, żeby on tu został. A jak się wydostanie?

— On już się wydostał. Ale ta książka jest… no, jakby oknem, które ułatwia mu przejście. Żeby mnie dosięgnąć. To jakby droga do innego świata… albo innego miejsca na tym świecie.

Tłumacząc to, Tiffany czuła się dość wyniośle, więc poczuła się nieco skarcona, gdy Letitia odpowiedziała:

— Ach tak, to jak ten las dzwonków z domkiem, gdzie czasami dym leci z komina, a czasami nie. Dziewczyna karmi kaczki w stawie, a gołębie czasami nad nią latają, a czasami siedzą na dachu. Wspomina o tym H.J. Toadbinder w książce „Dryfujące światy”. Chciałabyś ją? Wiem, gdzie jest.

I zanim Tiffany zdążyła powiedzieć choć słowo, pobiegła między regały. Wróciła po chwili, niosąc duży, oprawny w błyszczącą skórę tom. Wcisnęła go Tiffany w ręce.

— To prezent. Byłaś dla mnie o wiele milsza niż ja dla ciebie.

— Nie możesz mi tego dać! To część biblioteki! Zostanie luka!

— Nie, nalegam — uparła się Letitia. — Zresztą teraz nikt tu nie przychodzi prócz mnie. Mama trzyma w swoim pokoju tylko książki o historii rodziny, genealogii i heraldyce, i tylko ona się nimi interesuje. Czasem jeszcze pan Tyler zagląda tutaj i chyba słyszę go w tej chwili. Robi ostatni nocny obchód. Jest bardzo stary i bardzo powolny. Zanim wszystko obejdzie, potrzebuje około tygodnia, uwzględniając to, że za dnia śpi. Chodźmy już. Dostanie ataku serca, jeśli nas tu znajdzie.

Rzeczywiście usłyszały dalekie zgrzytanie gałki w drzwiach.

Letitia zniżyła głos.

— Nie przeszkadzałoby ci, gdybyśmy się wymknęły inną drogą? Może mu się coś stać, jeśli kogoś zobaczy.

Korytarzem zbliżało się światło, choć trzeba było obserwować przez dłuższą chwilę, aby dostrzec, że się porusza. Letitia otworzyła drzwi do zewnętrznego świata i wybiegły razem w to, co byłoby trawnikiem, gdyby ktokolwiek to kosił przez ostatnie dziesięć lat. Tiffany miała wrażenie, że koszenie trawy tutaj odbywało się z taką samą niedołężną prędkością jak obchód pana Tylera. Trawa była wilgotna od rosy, a w powietrzu pojawiło się uczucie, że światło dnia jest realną możliwością już w niedalekiej przyszłości. Gdy tylko dotarły do miotły, Letitia raz jeszcze rzuciła ciche przeprosiny i pobiegła z powrotem do uśpionego domu, wchodząc tam innymi drzwiami. Wróciła po pięciu minutach, niosąc dużą torbę.

— To moja żałobna sukienka — wyjaśniła, kiedy miotła uniosła się lekko w powietrze. — Jutro będzie pogrzeb starego barona. Biedny człowiek. Moja mama zawsze zabiera w podróż żałobne suknie. Mawia, że nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś może paść trupem.

— To interesujący punkt widzenia, Letitio, ale kiedy wrócimy do zamku, chciałabym, abyś powiedziała Rolandowi, co zrobiłaś. Proszę. Cała reszta jest nieistotna, lecz powiedz mu o tym zaklęciu.

Tiffany czekała. Letitia siedziała za nią w milczeniu. W głębokim milczeniu. Tak głębokim, że dało się je usłyszeć.

W dole przesuwał się krajobraz. Choć słońce kryło się jeszcze za horyzontem, tu i tam unosił się dym z domowych ognisk. Kobiety w wioskach zwykle ścigały się, która pierwsza pokaże dym z komina, co miało dowodzić, że są pracowitymi gospodyniami. Tiffany westchnęła. Problem z miotłą polegał na tym, że kiedy człowiek na niej leciał, patrzył na ludzi z góry. Nie było na to rady, choćby nie wiem jak się starać. Istoty ludzkie wydawały się tylko grupkami ruchomych kropek. Ale kiedy ktoś zaczynał tak myśleć, przychodziła pora, żeby poszukał towarzystwa innych czarownic, aby należycie ustawiły mu głowę. „Nie bądź czarownicą samotnie”, mawiano. I stanowiło to w tym samym stopniu radę co rozkaz.

— Dlaczego się na mnie nie gniewasz? — odezwała się Letitia z tyłu. Jej głos brzmiał tak, jakby starannie ważyła każde słowo, zanim postanowiła je wypowiedzieć.

— O co ci chodzi?

— Przecież wiesz! Po wszystkim, co ci zrobiłam! Jesteś tylko strasznie… miła!

Tiffany była zadowolona, że nie widzą swych twarzy.

— Czarownice rzadko się gniewają. Całe to krzyczenie do niczego właściwie nie prowadzi.

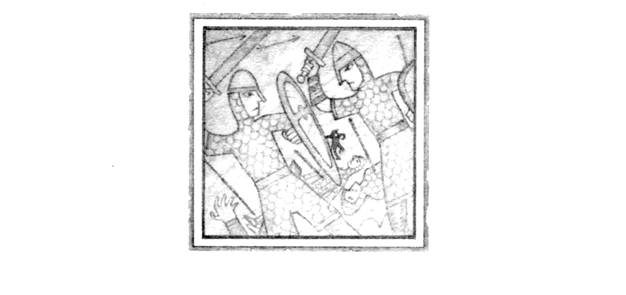
Po krótkiej chwili Letitia znów się odezwała:

— Jeśli to prawda, chyba nie nadaję się na czarownicę. Czasami czuję się strasznie zagniewana.

— Och, ja bardzo często czuję gniew — odparła Tiffany — ale odsuwam go na bok do chwili, kiedy będę mogła go jakoś wykorzystać. Na tym polega bycie czarownicą, zresztą podobnie jak magiem. Czarujemy tylko od czasu do czasu, a kiedy już do tego dojdzie, rzucamy te czary na siebie. A teraz patrz, przed nami widać już zamek. Wysadzę cię na dachu i wyznam szczerze, że chętnie sprawdzę, jak wygodna jest słoma.

— Słuchaj, ja naprawdę bardzo, bardzo…

— Wiem, już mówiłaś. Nie mam ci niczego za złe, ale musisz sprzątnąć to, co nabałaganiłaś. To kolejny element czarownictwa. — I Tiffany dodała do siebie: Wiem to aż za dobrze!



Rozdział 12

GRZECH GRZECHÓW

Słoma okazała się całkiem wygodna. Małe domki rzadko miewały pokoje gościnne, więc kiedy czarownica odwiedzała je służbowo, na przykład przy okazji porodu, miała szczęście, jeśli dostała posłanie w oborze. Właściwie wielkie szczęście, ponieważ często lepiej tam pachniało, a Tiffany nie była jedyną osobą, która wierzyła, że ciepły, pachnący trawą oddech krowy sam w sobie bywa lekarstwem.

Kozy w lochu okazały się niemal równie dobre. Stały spokojnie, raz po raz przeżuwając swoją kolację. Ani na moment nie odrywały od Tiffany uważnego spojrzenia, jakby się spodziewały, że zacznie żonglować albo wykona jakiś numer wokalno-taneczny.

Nim zasnęła, pomyślała jeszcze, że ktoś im przyniósł paszę, a zatem musiał zauważyć, że w lochu brakuje jednego więźnia. W takim razie czekało ją więcej kłopotów, choć trudno było sobie wyobrazić o wiele więcej niż w tej chwili. Zresztą może nie aż tak dużo, bo kiedy się obudziła, jakąś godzinę później, zauważyła, że ktoś ją okrył. Co tu się działo?

Zrozumiała, kiedy zjawił się Preston z talerzem jajecznicy na bekonie. Jajecznica lekko pachniała kawą, gdyż trochę jej wylało się w drodze po długich kamiennych stopniach.

— Jego lordowska mość dołącza przeprosiny — poinformował z uśmiechem Preston. — Mam też ci przekazać, że jeśli chcesz, każe ci przygotować gorącą kąpiel w czarno-białej komnacie. A gdy będziesz gotowa, baron… nowy baron chciałby z tobą porozmawiać w swoim gabinecie.

Wizja kąpieli wydawała się cudowna, lecz Tiffany wiedziała, że nie ma na nią czasu, poza tym jakakolwiek sensowna kąpiel oznaczała, że jakieś biedne dziewczyny będą musiały nosić ciężkie wiadra cztery piętra w górę po kamiennych schodach. Musi jej wystarczyć szybkie ochlapanie w misce, jeśli tylko trafi się okazja[[25]](#footnote-25). Jednak z całą stanowczością była gotowa na jajecznicę. Zapisała w pamięci, że jeśli już ma to być dzień bycia miłym dla Tiffany, to może spróbuje zdobyć potem dokładkę.

Czarownice lubią wykorzystywać ludzką wdzięczność, póki jest jeszcze ciepła. Kiedy minie dzień czy dwa, ludzie zapominają. Preston przyglądał się Tiffany z wyrazem twarzy chłopca, który zjadł na śniadanie soloną owsiankę, a kiedy skończyła, spytał ostrożnie:

— Czy teraz pójdziesz zobaczyć się z baronem?

Niepokoi się o mnie, pomyślała Tiffany.

— Najpierw chciałabym zobaczyć starego barona.

— Jest wciąż martwy — zapewnił zaniepokojony Preston.

— To pocieszające — zgodziła się Tiffany. — Wyobraź sobie, jakie zamieszanie wzbudziłby w przeciwnym razie. — Uśmiechnęła się, widząc jego zdziwienie. — Jutro jest pogrzeb i dlatego muszę go obejrzeć jeszcze dzisiaj. Natychmiast. Proszę. Natychmiast, bo jest ważniejszy od swego syna.

Czuła na sobie spojrzenia ludzi, kiedy szła w stronę krypty. Preston musiał niemal podbiegać, by dotrzymać jej kroku, i dźwięczał na schodach za jej plecami. Trochę się nad nim litowała, ponieważ zawsze był uprzejmy i pełen szacunku, ale nikt nie miał prawa pomyśleć, że gwardzista ją prowadzi. To się już skończyło. Spojrzenia, które rzucali jej ludzie, były raczej lękliwe niż gniewne. Nie wiedziała, czy to dobry znak, czy nie.

U stóp schodów odetchnęła głęboko. Wyczuła tylko zwykły zapach krypty — chłodny, z lekką nutą ziemniaków. Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie. Baron leżał na katafalku z rękami skrzyżowanymi na piersi, tak jak go zostawiła. Wyglądał, jakby zasnął.

— Myśleli, że odprawiam tu na dole jakieś czary, prawda, Preston? — spytała.

— Rzeczywiście, krążyły pewne plotki.

— No i faktycznie. Twoja babcia uczyła cię, jak opiekować się zmarłymi, prawda? Więc wiesz, że taki umarły nie powinien zbyt długo pozostawać w krainie żywych. Na dworze jest ciepło, lato było gorące i te kamienie, które mogą być zimne jak grób, nie są aż tak zimne. A więc idź i przynieś mi dwa wiadra wody, proszę.

Chłopak odbiegł, a ona usiadła spokojnie na brzegu kamiennej płyty.

Ziemia i sól, dwie monety dla przewodnika — te rzeczy daje się umarłemu. Potem trzeba patrzeć i słuchać, jak matka nowo narodzonego dziecka…

Preston wrócił, niosąc dwa duże wiadra z zawartością, której, co stwierdziła z satysfakcją, wychlapał tylko odrobinę. Postawił je na posadzce i odwrócił się, żeby wyjść.

— Nie, zostań tutaj, Preston — poleciła. — Chcę, żebyś widział, co robię. Kiedy ktoś cię zapyta, będziesz mógł powiedzieć prawdę.

Gwardzista w milczeniu kiwnął głową. Zaimponował jej.

Postawiła jedno z wiader obok płyty i przyklęknęła przy nim. Włożyła dłoń do chłodnej wody, drugą przycisnęła do kamienia katafalku i szepnęła do siebie:

— Równowaga jest wszystkim.

Gniew pomagał. Zadziwiające, jak bardzo może się przydać, jeśli człowiek oszczędza go do chwili, gdy może z nim zrobić coś pożytecznego, dokładnie tak jak tłumaczyła Letitii. Młody gwardzista syknął, widząc, że woda w wiadrze zaczyna parować, a potem bulgotać.

Poderwał się.

— Już rozumiem, panienko! Teraz wezmę to wiadro wrzącej wody i przyniosę więcej zimnej, tak?

Trzeba było wylać łącznie trzy wiadra wrzątku, zanim w krypcie znowu zapanował zimowy chłód. Tiffany wchodziła po stopniach, niemal szczękając zębami z zimna.

— Moja babcia byłaby zachwycona, gdyby potrafiła coś takiego — szepnął Preston. — Zawsze powtarzała, że umarli nie lubią ciepła. Wlałaś zimno do kamienia, prawda?

— Dokładnie mówiąc, przesunęłam ciepło z kamienia i powietrza do wiadra wody — wyjaśniła. — To nie jest tak naprawdę magia. Po prostu umiejętność. Tylko że trzeba być czarownicą, żeby to robić. To wszystko.

Preston westchnął.

— Kiedyś wyleczyłem kury mojej babci. Musiałem im porozcinać wola, żeby tam wszystko wyczyścić, a potem pozszywałem znowu. Ani jedna nie padła. A kiedy pies mojej mamy wpadł pod wóz, też go wyczyściłem, wszystkie kawałki wepchnąłem z powrotem i potem był zdrowy jak rydz, oprócz jednej nogi, której nie zdołałem uratować, ale wystrugałem mu drewnianą i przypiąłem skórzaną uprzężą. I teraz ciągle goni za wozami!

Tiffany starała się nie zdradzać wątpliwości.

— Rozcinanie kur, żeby wyleczyć wole, rzadko kiedy się udaje. Znam świńską czarownicę, która leczy też drób, jeśli trzeba, ale mówiła, że jej się to nigdy nie udało.

— Ach, bo może ona nic nie wie o korzeniu sita — wyjaśnił uprzejmie Preston. — Jeśli zmiesza się jego sok z odrobiną mięty polejowej, szybko się na nich goi. Moja babcia znała się na korzeniach i wszystkiego mnie nauczyła.

— Cóż, jeśli potrafisz zaszyć wole ptaka, to potrafiłbyś chyba poskładać złamane serce — stwierdziła Tiffany. — Dlaczego nie spróbujesz uczyć się na doktora?

Tymczasem dotarli do gabinetu barona. Preston zastukał w drzwi i otworzył je przed nią.

— To przez te litery, które stawiasz sobie przed nazwiskiem — szepnął. — Bardzo drogie litery. Może nie trzeba płacić, żeby zostać czarownicą, panienko, ale kiedy potrzebujesz tych liter, kosztują dużo pieniędzy!

Gdy Tiffany weszła, Roland stał twarzą do drzwi. Usta miał pełne uronionych słów, które przepychały się, żeby zostać wypowiedziane. Zdołał tylko wykrztusić:

— Eee, panno Obolała… to znaczy Tiffany, moja narzeczona zapewniła mnie, że wszyscy padliśmy ofiarami magicznego spisku wymierzonego w twoje dobre imię. Mam nadzieję, że wybaczysz mi wszelkie nieporozumienia z naszej strony. Liczę, że nie przyczyniliśmy się do zbyt wielkich kłopotów. Pociesza mnie także fakt, że najwyraźniej potrafiłaś uciec z naszego lochu. Ehm.

Tiffany miała ochotę krzyknąć: Czy pamiętasz, że kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, miałam cztery lata, a ty siedem i biegaliśmy po błocie w samych koszulach? Bardziej cię lubiłam, kiedy nie próbowałeś gadać jak jakiś stary prawnik z kijem wepchniętym w zadek. Przemawiasz, jakbyś był na publicznym zgromadzeniu!

Jednak spytała tylko:

— Czy Letitia wszystko ci powiedziała?

Roland wyglądał na zażenowanego.

— Podejrzewam, że raczej nie, ale była bardzo bezpośrednia. Powiedziałbym, że nawet stanowcza.

Tiffany starała się ukryć uśmiech. Roland wyglądał jak człowiek, do którego właśnie docierają niektóre fakty małżeńskiego życia. Odchrząknął.

— Mówiła, że wszyscy staliśmy się ofiarami jakiejś magicznej zarazy, która jest obecnie uwięziona w księdze pozostawionej w rezydencji Keepsake’ów. — Brzmiało to jak pytanie.

— Tak, to prawda.

— I… podobno wszystko jest już w porządku, kiedy wyjęła twoją głowę z wiadra piasku.

W tym miejscu wydawał się już zupełnie zagubiony i Tiffany wcale mu się nie dziwiła.

— Odnoszę wrażenie, że historia jest trochę zniekształcona — odparła dyplomatycznie.

— I powiedziała mi, że zostanie czarownicą. — Roland zrobił smętną minę.

Tiffany współczuła mu trochę, ale nie za bardzo.

— Uważam, że ma podstawowe zdolności. Od niej zależy, jak daleko je rozwinie.

— Nie wiem, co na to powie jej matka.

Tiffany wybuchnęła śmiechem.

— Możesz powiedzieć księżnej, że Magrat, królowa Lancre, też jest czarownicą. To żaden sekret. Oczywiście, głównie zajmuje się królowaniem, ale jeśli chodzi o mikstury, to jest jedną z najlepszych.

— Naprawdę? — zdziwił się Roland. — Król i królowa Lancre łaskawie przyjęli zaproszenie na nasz ślub.

Tiffany widziała, jak pracuje jego umysł. W tej niezwykłej grze w szachy, jaką była arystokracja, prawdziwa królowa pokonywała praktycznie każdego. To oznaczało, że księżna będzie musiała dygać, aż zaczną jej trzeszczeć kolana. Dostrzegła uronione słowa: „Oczywiście będzie to bardzo nieszczęśliwa okoliczność”. Zadziwiające, że nawet roniąc słowa, Roland był bardzo ostrożny. Jednakże nie zdołał ukryć lekkiego uśmieszku.

— Twój ojciec dał mi piętnaście ankhmorporskich dolarów w prawdziwym złocie — powiedziała Tiffany. — To był prezent. Wierzysz mi?

Dostrzegł jej wzrok i natychmiast odpowiedział:

— Tak!

— Dobrze. W takim razie sprawdź, gdzie zniknęła pielęgniarka.

Jakaś mała część kija nadal mogła tkwić w zadku Rolanda, kiedy zapytał:

— Czy sądzisz, że mój ojciec pojmował pełną wartość tego, co ci daje?

— Do samego końca umysł miał jasny i niezmącony. Możesz mu ufać, tak jak możesz ufać mnie, i możesz mi wierzyć, kiedy mówię, że cię poślubię.

Odrobinę za późno zatkała sobie usta. Skąd się to wzięło? Roland wydawał się równie mocno zaszokowany jak ona.

Odezwał się pierwszy, głośno i stanowczo, żeby przepędzić ciszę.

— Nie całkiem usłyszałem, co powiedziałaś, Tiffany… Sądzę, że ciężka praca w ostatnich dniach trochę nadwerężyła twoje siły. I wszyscy będziemy zadowoleni, gdy w końcu porządnie wypoczniesz. Wiesz, ja… kocham Letitię. Nie jest zbyt, no… wyrafinowana, ale zrobię dla niej wszystko. Gdy ona jest szczęśliwa, ja też jestem szczęśliwy. A ogólnie biorąc, nie miałem zbyt wiele szczęścia.

Zauważyła, że po policzku spływa mu łza, i nie zdołała się powstrzymać, by nie podać mu przyzwoicie czystej chusteczki. Wziął ją i próbował równocześnie wydmuchać nos, śmiać się i płakać.

— A ciebie, Tiffany, bardzo lubię, naprawdę, ale to jest tak, jakbyś miała w kieszeni chusteczkę dla całego świata. Jesteś mądra. Nie, nie kręć głową. Jesteś inteligentna. Pamiętam, jak raz, kiedy byliśmy młodsi, zafascynowało cię słowo „onomatopeja”. To takie jakby tworzenie nazwy czy słowa z dźwięku, jak kukanie, szum albo…?

— Brzęczenie — podpowiedziała, zanim zdołała się powstrzymać.

— No właśnie, i pamiętam, jak kiedyś powiedziałaś, że monotonia to głos, jaki wydaje nuda, a brzmi, jakby w upalny letni dzień bardzo zmęczona mucha brzęczała przy zamkniętym oknie w pokoiku na poddaszu. A ja pomyślałem, że nic z tego nie rozumiem! Dla mnie to nie miało sensu, ale wiem, że ty jesteś mądra i dla ciebie to ma sens. Uważam, że trzeba mieć niezwykły umysł, żeby myśleć w ten sposób. I specjalny rodzaj mądrości. A ja jej nie mam.

— Jaki głos wydaje życzliwość? — spytała.

— Wiem, co to jest życzliwość, ale nie wyobrażam sobie, żeby wydawała jakieś dźwięki. Widzisz, na tym to polega! Ja po prostu nie mam głowy żyjącej w świecie, gdzie życzliwość ma własny głos. Mam głowę w świecie, gdzie dwa dodać dwa zawsze daje cztery. Twój świat musi być bardzo ciekawy i zazdroszczę ci jak nie wiem co. Ale myślę, że rozumiem Letitię. Jest nieskomplikowana, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Dziewczyna, która kiedyś egzorcyzmowała z wychodka hałaśliwego ducha, jakby to były zwykłe porządki, pomyślała Tiffany. No cóż, życzę powodzenia w związku, jaśnie panie. Jednak zachowała te myśli dla siebie.

— Myślę, że wybrałeś rozsądnie, Rolandzie — oświadczyła.

Ku jej zdziwieniu przyjął to z ulgą. Wrócił za biurko niczym żołnierz kryjący się za blankami.

— Dziś wieczorem dotrą tu goście z dalszych okolic, żeby uczestniczyć w jutrzejszym pogrzebie. Oczywiście niektórzy zostaną aż do ślubu. Zdarzyło się dogodnie… — kolejny kawałek kija od miotły — …że w swojej misji przejeżdża tędy pastor Egg. Uprzejmie się zgodził powiedzieć kilka słów nad grobem mojego ojca. Pozostanie z nami jako gość, żeby dopełnić ceremonii ślubnej. Jest przedstawicielem nowoczesnej sekty omniańskiej. Moja przyszła teściowa aprobuje omnian, lecz niestety nie tę sektę, więc sytuacja jest nieco napięta. — Przewrócił oczami. — Co więcej, jak zrozumiałem, niedawno opuścił miasto, a kaznodzieje z miasta nie zawsze dobrze sobie tutaj radzą[[26]](#footnote-26).

— Będę ci niezwykle wdzięczny, Tiffany, za każdą pomoc przy unikaniu drobnych kłopotów i niepokojów, zwłaszcza natury duchowej, w tych trudnych dniach, które nas czekają. Proszę. Już i tak dość krąży plotek.

Tiffany wciąż się czerwieniła po swojej niedawnej wypowiedzi. Kiwnęła tylko głową i wykrztusiła:

— Słuchaj, to, co wtedy powiedziałam, to przecież nie… — urwała, ponieważ Roland uniósł dłoń.

— Dla nas wszystkich były to nerwowe chwile i to jest powód tych zabobonów. Czas ślubu i czas pogrzebu zawsze budzą stres u wszystkich zaangażowanych, w wypadku pogrzebu oprócz głównego, że tak powiem, uczestnika. Zachowajmy spokój i ostrożność. Bardzo się cieszę, że Letitia cię polubiła. Nie sądzę, aby miała wielu przyjaciół. A teraz wybacz, ale muszę jeszcze dopilnować różnych ustaleń.

\* \* \*

Tiffany wyszła z pokoju, a własny głos wciąż obijał się echem w jej głowie. Czemu w ogóle wspomniała o tym ślubie? Zawsze myślała, że tak będzie. No, w każdym razie kiedy była trochę młodsza, myślała, że tak będzie. Ale to już minęło, prawda? Prawda! I mówienie o tym teraz było czymś równie naiwnym i głupim, jak krępującym.

No i dokąd powinna teraz pójść? Jak zawsze, miała mnóstwo do zrobienia. Potrzebujących nigdy nie brakowało. Szła już przez hol, kiedy nerwowo podeszła któraś ze służących i powiedziała, że panna Letitia chce się z nią zobaczyć w swoim pokoju.

Dziewczyna siedziała na łóżku i mięła chusteczkę — czystą, co Tiffany zauważyła z satysfakcją. Wyglądała na bardziej zmartwioną, niż zwykle sugerował wyraz jej twarzy — przypominający chomika, któremu zatrzymał się kołowrotek.

— To miło, że przyszłaś, Tiffany. Czy możemy porozmawiać na osobności?

Tiffany rozejrzała się. Oprócz nich nie było tu nikogo innego.

— Tylko my — dodała Letitia i jeszcze mocniej skręciła chusteczkę.

Nie ma przyjaciół w swoim wieku, pomyślała Tiffany. Założę się, że nie pozwalali jej na zabawy z dziećmi z wioski. Zwykle siedzi w domu. A za parę dni wychodzi za mąż. Ojej. Nietrudno było wyciągnąć właściwe wnioski, nawet chromy żółw szybko by do nich doszedł. Jej mężem miał być Roland, porwany przez królową elfów, przetrzymywany w jej okropnej krainie przez całe lata, choć wcale się nie starzał. Dręczony przez swoje ciotki, niespokojny o starego ojca… I nagle musiał się zachowywać, jakby był o dwadzieścia lat starszy, niż jest. Ojej.

— Jak mogę ci pomóc? — zapytała pogodnie.

Letitia odchrząknęła.

— Po ślubie ma być miodowy miesiąc — powiedziała, a jej twarz pokrył delikatny róż. — Co dokładnie powinno się wtedy dziać?

Tiffany zauważyła, że te ostatnie kilka słów wyrzuciła z siebie bardzo szybko.

— Czy masz jakieś… ciotki? — spytała. Ciotki generalnie są dobre w takich sprawach. Letitia pokręciła głową. — A próbowałaś rozmawiać ze swoją matką?

Letitia twarz miała czerwoną jak rak.

— Czy rozmawiałabyś z moją matką o takich sprawach?

— Rozumiem problem. No więc, ogólnie mówiąc, a nie mówię tego jako ekspert… — Chociaż nim była[[27]](#footnote-27).

Czarownica nie może uniknąć bycia swego rodzaju ekspertem co do sposobu, w jaki ludzie przybywają i wkraczają na ten świat. Kiedy Tiffany skończyła lat dwanaście, starsze czarownice powierzały jej samodzielne odbieranie porodów. Nawet kiedy była jeszcze całkiem mała, pomagała przychodzić na świat jagniętom. Wszystko działo się naturalnie, jak mawiała niania Ogg, chociaż nie tak naturalnie, jak można by sądzić. Pamiętała pana i panią Hamper. Stanowili całkiem miłą parę. Mieli troje dzieci, zanim doszli, jaka jest przyczyna. Od tego czasu zawsze się starała uciąć sobie pogawędkę z wiejskimi dziewczętami w pewnym wieku, tak dla bezpieczeństwa.

Letitia słuchała jak ktoś, kto ma zamiar wszystko notować i w piątek zaliczyć test. Nie zadawała żadnych pytań aż do mniej więcej połowy wykładu, kiedy spytała:

— Jesteś pewna?

— Tak. Całkiem pewna — potwierdziła Tiffany.

— No wiesz, eee, to się wydaje całkiem proste. Oczywiście sądzę, że chłopcy wiedzą o tym wszystko… Dlaczego się śmiejesz?

— To kwestia opinii — odparła Tiffany.

— Ach, teraz cię widzę. Widzę cię, zakało, zarazo, ohydo!

Tiffany spojrzała na duże lustro w ramie z mnóstwem złotych cherubinów, które najwyraźniej chciały umrzeć z przeziębienia. W lustrze zobaczyła odbicie Letitii oraz słabo, ale jednak widoczną bezoką twarz Przebiegłego. Kontur Przebiegłego zaczął gęstnieć. Tiffany wiedziała, że jej twarz nie zmieniła wyrazu. Była tego pewna. Nie odpowiem mu, pomyślała. Już niemal o nim zapomniałam. Nie odpowiadaj. Nie pozwól, żeby cię pochwycił!

Zdołała się uśmiechnąć, gdy Letitia wyciągała z pudeł i skrzyń to, co nazywała swoją wyprawą, a co zdaniem Tiffany zawierało całe światowe zasoby falbanek. Próbowała skupić na nich uwagę, pozwolić, aby te falbanki wypełniły jej umysł i jakoś przepędziły słowa, które wylewały się z jego ust. Te, które rozumiała, były i tak okropne; te, których nie rozumiała, wydawały się jeszcze gorsze. Mimo to znów przebił się zgrzytliwy zduszony głos:

— Myślisz, że miałaś szczęście, czarownico. Masz nadzieję, że będzie ci sprzyjać nadal. Ale musisz spać. Ja nigdy nie śpię. Ty musisz mieć szczęście za każdym razem. Mnie wystarczy szczęście tylko raz. Tylko raz, a wtedy… spłoniesz.

Ostatnie słowo zabrzmiało niemal delikatnie, a przez to jeszcze gorzej.

— A wiesz — powiedziała Letitia, rozkładając suknię, o której Tiffany wiedziała, że nigdy nie będzie jej na taką stać. — Choć naprawdę się cieszę, że będę panią tego zamku, muszę przyznać, że kanalizacja cuchnie tu obrzydliwie. Prawdę mówiąc, cuchnie tak, jakby nie czyścili niczego od początku świata. Mogłabym uwierzyć, że załatwiały tu swoje potrzeby prehistoryczne potwory.

Potrafi go wyczuć, pomyślała Tiffany. Jest czarownicą. Czarownicą, która wymaga szkolenia, ponieważ bez tego stanie się zagrożeniem dla wszystkich, w tym dla siebie. Letitia paplała dalej — trudno było to nazwać inaczej. Tiffany, wciąż próbując wysiłkiem woli odepchnąć głos Przebiegłego, zapytała:

— Dlaczego?

— Bo myślę, że kokardki wyglądają o wiele ładniej od guzików — odparła Letitia, trzymając w rękach imponującą nocną koszulę, co po raz kolejny przypomniało Tiffany, że czarownice nigdy tak naprawdę nie mają pieniędzy.

— Płonęłaś już kiedyś i ja też! — zakrakał głos w jej głowie. — Ale tym razem nie zabierzesz mnie ze sobą! To ja zabiorę ciebie i całe twoje sprzymierzenie zła!!!!!

Tiffany miała wrażenie, że widzi te wykrzykniki. Krzyczały nawet wtedy, kiedy on mówił cicho. Podskakiwały i rozcinały jego słowa. Widziała twarz i drobne kropelki śliny towarzyszące krzykom i grożeniu palcem: bryłki płynnego szaleństwa przelatujące w powietrzu pod powierzchnią zwierciadła.

Jak to dobrze, że Letitia jeszcze go nie słyszy… Jej umysł pełen był teraz falbanek, dzwonków, ryżu oraz perspektyw bycia główną postacią ślubu. Nawet Przebiegły nie potrafiłby wypalić sobie drogi przez to wszystko.

— Nie będzie ci pasować — zdołała powiedzieć, a jakaś część jej umysłu powtarzała bezgłośnie: Bez oczu. W ogóle nie ma oczu. Dwa tunele przez głowę.

— Tak, chyba masz rację. Może lepsza będzie liliowa — zgodziła się Letitia. — Chociaż zawsze mi mówiono, że moim kolorem jest taki bladoseledynowy. A przy okazji, czy mogłabym jakoś ci to wynagrodzić, biorąc cię na pierwszą druhnę? Oczywiście mam mnóstwo małych dalekich kuzynek i rozumiem, że już od dwóch tygodni nie zdejmują swoich sukienek druhen.

Tiffany wciąż patrzyła w nicość, a raczej w dwa prowadzące w nicość tunele. W tej chwili były najważniejszymi obiektami w jej myślach, dostatecznie groźnymi nawet bez wprowadzania na scenę małych kuzynek.

— Nie sądzę, aby czarownice nadawały się na druhny, ale dziękuję — powiedziała.

— Druhny? Ślub?

Serce Tiffany przyspieszyło. Nie było przed tym ratunku. Wybiegła z pokoju, zanim ten stwór dowiedział się czegoś więcej. Jak ją odnajdywał? W jaki sposób szukał? Czy właśnie udzieliły mu wskazówki?

Zbiegła aż do lochu, który w tej chwili stał się bezpiecznym schronieniem.

Była tam książka, którą dostała od Letitii. Otworzyła ją i zaczęła czytać. Szybkiego czytania nauczyła się w górach, kiedy jedyne książki, jakie mogła zdobyć, pochodziły z objazdowej biblioteki. Kiedy spóźniała się ze zwrotem, żądali dodatkowego pensa, co było godziwą kwotą dla kogoś, dla kogo standardową jednostką monetarną jest stary but.

Ta książka opowiadała mnóstwo historii o oknach, ale nie takich zwyczajnych. Niektóre mogły tak wyglądać, ale za nimi były… potwory. Obraz, stronica w książce, nawet kałuża w odpowiednim miejscu mogły być oknem. Raz jeszcze przypomniała sobie paskudnego goblina ze starej książki z bajkami. Czasami śmiał się, kiedy indziej tylko szczerzył zęby. Zawsze była o tym przekonana. Zmiana nie była wielka, jednak występowała. I człowiek zawsze się zastanawiał, jak goblin wyglądał poprzednim razem. Może źle zapamiętała?

Kartki szeleściły pod palcami Tiffany niczym głodna wiewiórka, która budzi się w dziupli pełnej orzechów. Autorem był mag i pisał dość rozwlekle, ale mimo to książka ją zafascynowała. Istnieli ludzie, którzy wchodzili do obrazu i którzy z niego wychodzili. Okna były metodą przejścia z jednego świata do drugiego. Wszystko mogło być oknem i wszystko mogło być światem. Słyszała kiedyś, iż oznaką dobrego portretu jest to, że oczy śledzą człowieka po całym pokoju, ale według tej książki mogło się zdarzyć, że pójdą za nim do domu i w sypialni wlezą do łóżka — tego pomysłu wolała teraz nie rozważać. Autor jak typowy mag usiłował wyjaśniać wszystko poprzez wykresy i schematy, lecz żaden nie pomagał.

Przebiegły szedł w jej stronę wewnątrz księgi, a ona zatrzasnęła ją, zanim się wydostał. Widziała już jego palce, nim opadła prasa. Ale nie mogła go zgnieść w środku tej księgi, gdyż tak naprawdę go tam nie było, chyba że w jakiś magiczny sposób. Zresztą znajdował ją również na inne sposoby. Jak? Nieciekawe dni opatrywania złamanych nóg, leczenia rozstrojonych żołądków i wycinania wrastających paznokci wydały się w tej chwili całkiem atrakcyjne. Zawsze mówiła, że o to chodzi w czarownictwie, i to prawda, aż do chwili kiedy znikąd wyskoczy coś strasznego. W takich chwilach kompres po prostu nie wystarcza.

Z góry spadło źdźbło słomy, wylądowało na książce.

— Możecie bezpiecznie wyjść — powiedziała Tiffany. — Jesteście tam, prawda?

A tuż obok jej ucha ktoś powiedział:

— Ano, my są.

Potem zaczęli wychodzić zza bel słomy, zza pajęczyn, półek z jabłkami, zza kóz i siebie nawzajem.

— Czy ty nie jesteś Ciut Szalonym Arturem?

— Ano, panienko. Sie zgadza. I muse ci pedzieć, ze troche zem jest skrępowany, ale Rob Rozbój kładzie we mnie ufanie, bom jest polisjantem, a Rob myśli, ze jak sie gada z grubymiszychami, to polisjanta bardziej sie wystrasą. I umiem mówić po gruboszychowemu! Terozki Rob więcej casu siedzi w kopcu. No wis, nie ufa temu baronowi, ze znowu nie psyjdzie do kopca z łopatą.

— Dopilnuję, żeby tak się nie stało — obiecała stanowczo Tiffany. — To było nieporozumienie.

Ciut Szalony Artur nie wydawał się przekonany.

— Ciese sie, ze to mówis, panienko, i Wielki Gość tez sie uciesy, bo moge ci obiecać, ze jak pierwsa łopata wbije sie w kopiec, to w tym zamku nie łostanie sie zywa dusa i wielki bedzie lament kobiet, z wyłąceniem tu obecnych.

Wśród Feeglów rozległ się ogólny pomruk na temat rzezi, jaka czeka tego, kto podniesie rękę na kopiec Feeglów, i jak osobiście każdy z nich i wszyscy razem będą żałowali tego, co muszą zrobić.

— To te portecki — wyjaśnił Trochę-chudszy-niż-tłusty-Jock-Jock. — Kiedy cłek ma Feegla w nogawce, cas cierpienia i męki dopiero sie zacyna.

— Ano. I wielkie bedzie dla takich jak łon skakanie i bieganie w góre i dół — dodał Ciut Jock z Siwą Głową.

Tiffany była wstrząśnięta.

— Kiedy ostatnim razem Feeglowie walczyli z grubymiszychami?

Po krótkiej dyskusji poinformowano ją, że była to bitwa o wysypisko, tak przynajmniej twierdził Ciut Jock z Siwą Głową.

— Nigdy jesce nie było takich ksyków i biegania w kółko, tupania i załosnych slochów. A razem z nimi piskliwego chichotu dam, gdy ludziska próbowali pozbyć sie tych portecek, co juz nie były im psyjacielem, jak wis, o co mi chodzi.

Tiffany, która słuchała tych opowieści z otwartymi ustami, opanowała się na tyle, by je zamknąć. I zaraz otworzyła znowu, żeby spytać:

— Czy Feeglowie zabili kiedyś człowieka?

To doprowadziło do wyraźnego unikania kontaktu wzrokowego pomiędzy Feeglami oraz głośnego szurania nogami i drapania się po głowie, skutkującego zwykłym opadem owadów, zmagazynowanego jedzenia, ciekawych kamieni i innych trudnych do opisania przedmiotów. W końcu odezwał się Ciut Szalony Artur:

— Jako zem jest, panienko, Feeglem, który łostatnio łodkrył, ze nie jest bajkowym sewcem, to moja duma nie ucierpi, jak ci powiem, ze to prowda. Zem gadał z moimi braćmi i zem sie dowiedział, ze jak zyli jesce w dalekich góreckach, istowo musieli casem bić sie z ludźmi, któzy psychodzili sukać magicnego złota. Pse-raza-jąca bitwa była, i istowo, bandyty za gupie, coby uciec, okazały sie dość mądre, coby umzec. — Odchrząknął. — Jednako w obronie mojej rodziny tsa pedzieć, ze zawse pilnowali, coby sanse byli równe i sprawiedliwe, co łoznaca jednego Feegla na dziesięciu ludzi. Bardziej ucciwie sie nie da. I to nie ich wina, ze niektózy z nich chcieli popełnić samobójstwo.

Błysk w oku Ciut Szalonego Artura kazał Tiffany zapytać:

— A jak dokładnie chcieli popełnić samobójstwo?

Policjant Feegle wzruszył szerokimi ramionami.

— Psysli z łopatą na kopiec Feeglów, panienko. Jestem cłowiekiem, któren zna prawo, panienko. Nigdy zem nie widział kopca, póki zem nie napotkał tych miłych dzentelmenów, a mimo to krew we mnie wzy, panienko, wzy jak nie wiem. Serce mi wali, puls pędzi i w gardle mi zbiera jak dech jakiegosik smoka na samą myśl o jasnej stalowej łopacie, co rozcina gline kopca Feeglów, rozcina i zgniata. Zabiłbym cłeka, co to by zrobił, panienko. Zabiłbym go na śmierć, a potem bym go ścigał na tamtym świecie, coby go zabić raz jesce, i potem bym to zrobił znowu i znowu. Bo byłby to grzech grzechów, tak zamordować caluśki ród, i jedna śmierć by nie starcyła za zapłate. Ale zem juz zekł, zem jest cłekiem prawa, to i mam nadzieje, ze obecne nieporozumienie da sie rozwiązać bez masowej rzezi, pselewu krwi, wzasków, płaców i slochów, i ludzisków, co majom kawałki siebie psybite do drzew, jako jesce nikt nie widział.

Ciut Szalony Artur trzymał swą pełnowymiarową odznakę niczym tarczę i patrzył na Tiffany z mieszaniną oszołomienia i wyzwania.

A Tiffany była czarownicą.

— Muszę ci coś powiedzieć, Ciut Szalony Arturze — rzekła. — Spróbuj zrozumieć, co mówię. Jesteś w domu, Ciut Szalony Arturze.

Tarcza wypadła mu z ręki.

— Ano, panienko, terozki to wim. Polisjant nie powinien gadać takich słów, co zem je sam pedział. Winien gadać o sędziach i ławach, więźniach i wyrokach, i powinien pedzieć, co nie wolno brać prawa w swoje ręce. Oddam moją łodznake i łostane tutaj, wśród swoich, choć tsa pedzieć, ze w bardziej higienicnych warunkach.

Zyskał oklaski Feeglów, chociaż Tiffany nie była pewna, czy większość z nich rozumie koncepcję higieny, i jeśli już o tym mowa, przestrzegania prawa.

— Masz moje słowo — oświadczyła Tiffany — że nikt już nie tknie waszego kopca. Dopilnuję tego, rozumiesz?

— Ano — odparł smętnie Ciut Szalony Artur. — Mozes łobiecywać, ze syćko bedzie dobze, panienko, ale co sie stanie za twoimi plecami, kiedy bedziesz se latać i śmigać nad wzgózami w swoich waznych sprawach? Co wtedy bedzie?

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Tiffany, oczy kóz również. Podniosła Ciut Szalonego Artura do poziomu swej twarzy, choć wiedziała, że to oznaka złych manier.

— Jestem wiedźmą tych wzgórz — oznajmiła. — I przysięgnę wam i innym Feeglom, że nikt już żelazem nie zagrozi ich domowi. Ten dom nigdy nie znajdzie się za moimi plecami, bo zawsze będę go miała przed sobą. I przez ten czas nie tknie go żaden żywy człowiek, jeśli żywy chce pozostać. A jeśli w tym Feeglów zawiodę, niech przeciągną mnie przez wszystkie siedem piekieł na miotle zrobionej z gwoździ.

Tiffany musiała przyznać sama przed sobą, że były to właściwie puste groźby, ale Feeglowie nie uznawali przysięgi, jeżeli nie zawierała całej masy piorunów, błyskawic, przechwałek i krwi. Ta krew jakoś czyniła przysięgę oficjalną.

Dopilnuję, żeby nikt już nigdy nie dotknął tego kopca, pomyślała. Niemożliwe, żeby Roland mi teraz odmówił. A poza tym mam tajną broń: przyjaźń i zaufanie młodej damy, która wkrótce będzie jego żoną. W tej sytuacji żaden mężczyzna nie jest bezpieczny.

W spokojnym cieple uspokojenia Ciut Szalony Artur odezwał się znowu:

— Dobze powiedziane, pani. A kozystając z łokazji, w imieniu moich nowych psyjaciół i krewniaków kce ci podziękować, ześ wytłumacyła syćko o weselnych zaślubinach. Bardzo to było ciekawe dla syćkich, co zadko mają do cynienia z takimi zecami. Niektózy se myślą, cy mogą ci zadać pare pytań.

Zagrożenie widmową grozą było dostatecznie straszne, ale sama myśl o Nac Mac Feeglach, pytających o życie małżeńskie pomiędzy ludźmi, wydawała się jeszcze gorsza. I nie warto było nawet tłumaczyć, dlaczego nie ma zamiaru tłumaczyć.

— Nie! — powiedziała Tiffany po prostu, głosem twardym jak stal, po czym ostrożnie odstawiła Feegla na ziemię. I dodała: — Nie powinniście słuchać.

— Cemu? — spytał Tępak Wullie.

— Bo nie powinniście! I niczego tłumaczyć nie zamierzam. A teraz, panowie, jeśli wam to nie przeszkadza, chciałabym mieć chwilę dla siebie.

Niektórzy oczywiście pójdą za mną, pomyślała. Zawsze to robią.

Wróciła do holu i usiadła jak najbliżej wielkiego paleniska. Nawet późnym latem w holu było chłodno. Na ścianach wisiały gobeliny mające izolować wnętrze od chłodu kamieni; przedstawiały jak zwykle ludzi w pancerzach, wymachujących na innych ludzi w pancerzach mieczami, łukami i toporami. Ponieważ bitwy są z reguły szybkie i hałaśliwe, musieli pewnie przerywać tę walkę co parę minut, żeby damy, które tkały gobelin, miały trochę czasu, by nadrobić opóźnienie. Ten najbliższy paleniska Tiffany znała na pamięć, jak wszystkie dzieci. Z gobelinów można było uczyć się historii, jeśli tylko trafił się jakiś stary człowiek, który wyjaśniał, co na nich widać. Lecz zwykle, kiedy była o wiele młodsza, zabawa polegała na tym, żeby wymyślać sobie opowieści o różnych rycerzach, na przykład o tym, który rozpaczliwie usiłował dogonić swojego konia, albo o tym, który został przez konia zrzucony i z powodu szpiczastego hełmu tkwił teraz wbity głową w ziemię; już jako dzieci rozumieli, że nie jest to dobra pozycja na polu bitwy. Ci rycerze byli jak starzy przyjaciele, unieruchomieni w wojnie, której powodu nikt w Kredzie nie pamiętał.

I nagle… pojawił się jeszcze jeden, którego tam nigdy nie było, i biegł przez pole bitwy w stronę Tiffany. Patrzyła na niego. Jej ciało dopominało się o trochę snu, a fragmenty mózgu, które wciąż jeszcze działały, nalegały, by coś z tym zrobiła. A ona, pośrodku tego wszystkiego, instynktownie chwyciła z brzegu paleniska płonące polano, uniosła je i przysunęła do gobelinu.

Tkanina praktycznie rozsypywała się ze starości. Będzie płonąć jak sucha trawa.

Postać zbliżała się teraz ostrożnie. Tiffany nie widziała jeszcze i nie chciała widzieć żadnych szczegółów. Rycerze na gobelinie byli utkani bez żadnego wyczucia perspektywy, płascy jak na dziecięcych obrazkach. Ale mężczyzna w czerni, który pojawił się jako daleka plama, zbliżając się, rósł, a teraz… widziała już jego twarz i puste oczodoły. Nawet mogła dostrzec, jak zmieniają się kolory, kiedy przechodził od malowanej zbroi jednego rycerza po drugim. Po chwili znów ruszył biegiem i stawał się coraz większy. A w jej stronę sączył się zapach… Ile jest wart ten gobelin? Czy ma prawo go zniszczyć? A jeśli to coś wyjdzie na zewnątrz? O tak, tak!

Czy nie byłoby miło być magiem i rzucić czar, by ci rycerze stoczyli jeszcze swoją ostatnią bitwę?

Czy nie byłoby miło być czarownicą, której tu nie ma?

Uniosła płonące drewno i spojrzała w otwory, gdzie powinny tkwić oczy. Trzeba być czarownicą, żeby zmierzyć się ze wzrokiem, którego nie ma, ponieważ wrażenie było takie, jakby wysysał jej gałki oczne z głowy.

Te tunele przez czaszkę były hipnotyzujące; Przebiegły przesuwał się z jednej strony na drugą jak wąż.

— Proszę cię, przestań — powiedział ktoś z naciskiem, ale przyjaźnie.

Nie spodziewała się tego. Głos należał do Eskariny Smith.

Dmuchał zimny srebrzysty wiatr.

Leżąc na plecach, Tiffany spojrzała w białe niebo; na granicy pola widzenia kołysały się suche trawy, ale co ciekawe, zaraz za tym kawałkiem pola znajdował się wielki kominek i walczący rycerze.

— Nie ruszaj się, to bardzo ważne — usłyszała ten sam głos. — Miejsce, w którym teraz jesteś, zostało, jak to mówimy, zszyte na potrzeby tej rozmowy. Nie istniało, dopóki się nie pojawiłaś, i przestanie istnieć w chwili, kiedy odejdziesz. Ściśle mówiąc, według standardów najbardziej filozoficznych gałęzi wiedzy nie można powiedzieć, by miało jakiekolwiek istnienie.

— Czyli to miejsce magiczne, jak Nierealna Nieruchomość?

— Bardzo rozsądnie to określiłaś. Ci z nas, którzy o nim wiedzą, nazywają je wędrującym teraz. To łatwy sposób, żeby porozmawiać na osobności, a kiedy się zamknie, znajdziesz się dokładnie tam, gdzie byłaś; czas nie upłynie. Rozumiesz?

— Nie!

Eskarina usiadła obok niej na trawie.

— Dzięki za to bogom. Gdybyś zrozumiała, byłoby to dość niepokojące. Jesteś niezwykłą czarownicą. O ile potrafię to stwierdzić, masz wrodzony talent do robienia serów, a jak na talenty, ten jest bardzo dobry. Świat potrzebuje serowarów. Dobra serowarka warta jest swojej wagi, no, w serze. Ale nie urodziłaś się z talentem do czarów.

Tiffany otworzyła usta, aby odpowiedzieć, że nie jest to niezwykłe wśród ludzkich istot, lecz coś innego przebiło się przez jej myśli.

— Chwileczkę, trzymałam płonące polano, a teraz ściągnęłaś mnie tutaj, gdziekolwiek to jest. Co się stało? — Spojrzała na ogień. Płomienie zastygły w bezruchu. — Ludzie to zobaczą, będą się dziwić.

— Nie. A przyczyny są skomplikowane. Wędrujące teraz… to czas poskromiony. To czas, który jest po twojej stronie. Uwierz mi, we wszechświecie zdarzają się dziwniejsze rzeczy. W tej chwili, Tiffany, żyjemy naprawdę w pożyczonym czasie.

Płomienie nadal były nieruchome. Tiffany miała wrażenie, że powinny być zimne, ale czuła ich ciepło. Miała też czas, aby się zastanowić.

— A kiedy wrócę?

— Nic się nie zmieni — odparła Eskarina — oprócz zawartości twojej głowy, która w tej chwili jest bardzo istotna.

— I zadała sobie pani tyle kłopotu tylko po to, by mi powiedzieć, że nie mam talentu do czarownictwa? — spytała spokojnie Tiffany. — To bardzo uprzejmie z pani strony.

Eskarina się roześmiała. Był to bardzo młody śmiech i dziwnie kontrastował ze zmarszczkami na jej twarzy. Tiffany nigdy jeszcze nie widziała tak młodo wyglądającej starszej osoby.

— Powiedziałam, że nie urodziłaś się z talentem do czarownictwa. Nie przyszedł ci łatwo. Ciężko nad nim pracowałaś, ponieważ tego chciałaś. Zmusiłaś świat, żeby ci go dał, niezależnie od ceny, a cena jest i zawsze będzie wysoka. Znasz powiedzenie, że nagrodą za kopanie dołów jest większa łopata?

— Tak — odparła. — Babcia Weatherwax kiedyś tak powiedziała.

— Ona to wymyśliła. Ludzie mówią, że nie znajdujesz czarownictwa, to czarownictwo znajduje ciebie. Ale ty je znalazłaś, nawet jeśli wtedy nie zdawałaś sobie sprawy, co znajdujesz. Chwyciłaś je za tę chudą szyję i zmusiłaś, by dla ciebie pracowało.

— To wszystko jest bardzo… interesujące — przyznała Tiffany. — Ale mam różne sprawy, o które muszę zadbać.

— Nie w wędrującym teraz — odparła stanowczo Eskarina. — Widzisz, Przebiegły znowu cię znalazł.

— Myślę, że ukrywa się w książkach i obrazkach. I w gobelinach. — Tiffany zadrżała.

— I w lustrach — dodała Eskarina — w kałużach, w błysku światła na odprysku szkła, w lśnieniu na nożu. Ile jeszcze sposobów przyjdzie ci do głowy? Na jak wielkie przerażenie jesteś gotowa?

— Będę musiała z nim walczyć — rzekła Tiffany. — Wiedziałam, że do tego dojdzie. On nie wygląda na kogoś, przed kim można uciec. To tyran, prawda? Atakuje, kiedy uważa, że zwycięży, więc muszę znaleźć sposób, żeby być silniejsza od niego. Sądzę, że potrafię ten sposób znaleźć, w końcu jest trochę podobny do ulnika. A tamto było właściwie całkiem proste.

Eskarina nie krzyczała; mówiła całkiem spokojnie i w sposób, który robił jakby więcej hałasu, niż mógłby krzyk.

— Serowarko Tiffany Obolała, czy będziesz się upierać przy nieuznawaniu, że to bardzo poważna sprawa? Masz szansę pokonać Przebiegłego, a jeżeli zginiesz, czarownictwo zginie razem z tobą. On posiądzie twoje ciało, twoją wiedzę, twoje zdolności i twoją duszę. Dla własnego dobra i dla dobra wszystkich twoje siostry czarownice zapomną o swoich kłótniach i cisną was oboje w zapomnienie, zanim zdążycie narobić większych szkód. Rozumiesz? To jest ważne! Musisz sama sobie pomóc.

— Inne czarownice mnie zabiją?! — spytała wstrząśnięta Tiffany.

— Oczywiście. Jesteś czarownicą i wiesz, co zawsze mówiła babcia Weatherwax: Robimy to, co słuszne, a nie to, co miłe. To będzie on albo ty, Tiffany Obolała. Przegrany zginie. Jego, co stwierdzam z żalem, za kilka stuleci możemy zobaczyć znowu. Co do ciebie… nawet nie chcę zgadywać.

— Chwileczkę! Jeżeli skłonne są walczyć z nim i ze mną, to może wszystkie połączymy siły i wystąpimy przeciwko niemu?

— Oczywiście. Chciałabyś, żeby to zrobiły? Czego naprawdę chcesz, Tiffany Obolała, tu i teraz? Wybór należy do ciebie. Inne czarownice na pewno nie będą źle o tobie myślały. — Eskarina zawahała się przez chwilę, po czym dodała: — A przynajmniej będą dla ciebie bardzo łagodne.

Czarownica, która stanęła wobec próby i uciekła? — myślała Tiffany. Czarownica, dla której są łagodne, gdyż wiedzą, że nie jest dostatecznie dobra? Jeśli sama nie uważa się za dość dobrą, to już nie jest czarownicą.

— Wolę raczej zginąć, próbując być czarownicą, niż zostać dziewczyną, którą wszystkie traktują łagodnie.

— Panno Obolała, okazuje pani niemal grzeszną wiarę we własne siły, przytłaczającą dumę i pewność siebie, a muszę zaznaczyć, że po czarownicy nie spodziewałam się niczego innego.

\* \* \*

Świat zakołysał się odrobinę, a potem zmienił. Eskarina zniknęła, choć jej słowa wciąż jeszcze zapadały w pamięć Tiffany. Przed nią znowu pojawił się gobelin, a ona wciąż trzymała płonące drewno, ale tym razem uniosła je stanowczo. Czuła się tak, jakby wypełniało ją powietrze, jakby unosiła się w górę. Świat przez chwilę był dziwny, ale przynajmniej wiedziała, że ogień w jednej chwili zmieni tę zetlałą tkaninę w popiół.

— Spalę tę płachtę, możesz mi wierzyć — ostrzegła. — Wracaj, skąd przyszedłeś!

Ku jej zdumieniu ciemna postać się wycofała. Coś zasyczało krótko, a Tiffany poczuła, jakby ciężar spadł jej z ramion i zabrał ze sobą fetor.

— To było bardzo ciekawe.

Tiffany odwróciła się szybko i spojrzała prosto w uśmiechniętą twarz Prestona.

— Naprawdę się wystraszyłem, kiedy na chwilę zesztywniałaś. Pomyślałem, że nie żyjesz. Kiedy dotknąłem twojego ramienia, z całym szacunkiem, żadnego migdalenia, to było jak powietrze w burzliwy dzień. Więc pomyślałem, że to czarownictwo, i postanowiłem uważać na ciebie, a wtedy zagroziłaś temu niewinnemu gobelinowi śmiercią w płomieniach.

Patrzyła w oczy chłopca, jakby były lustrem. Ogień, myślała. Ogień już raz go zabił i on to wie. Nie podejdzie blisko do ognia. Ogień jest rozwiązaniem. Zając do ognia bieży. Hm…

— Prawdę mówiąc, lubię ogień — zauważył Preston. — Nie uważam go za wroga.

— Co takiego?

— Obawiam się, że mówiłaś coś pod nosem — ciągnął Preston. — Nie będę pytał co. Moja babcia mawiała: Nie wtrącaj się w sprawy czarownic, bo możesz oberwać w ucho.

Tiffany podjęła błyskawiczną decyzję.

— Potrafisz dochować tajemnicy?

Preston kiwnął głową.

— Oczywiście. Na przykład nigdy nikomu nie powiedziałem, że sierżant pisze wiersze.

— Preston, właśnie mi to powiedziałeś!

Chłopak wyszczerzył zęby.

— Ach, ale czarownica to nie jest nikt. Babcia mówiła, że zdradzić swój sekret czarownicy, to jak wyszeptać go do ściany.

— No, właściwie tak — zaczęła Tiffany, a potem nagle urwała. — Skąd wiesz, że pisze wiersze?

— Trudno nie zauważyć. Pisze je na stronach księgi raportów na wartowni, pewnie wtedy, kiedy ma nocną zmianę. I bardzo starannie wyrywa kartki, tak równiutko, że nikt by nie zauważył, ale ołówek przyciska tak mocno, że łatwo przeczytać odciśnięte litery z kartki pod spodem.

— Więc inni gwardziści też musieli to zauważyć.

Preston pokręcił głową, co sprawiło, że jego za duży hełm zakręcił się lekko.

— O nie, panienko, znasz ich. Uważają, że czytanie to dziewczyńska zabawa. Ale i tak jeśli pojawiam się wcześniej, wyrywam tę kartkę, żeby się z niego nie nabijali. Muszę powiedzieć, że jak na samouka jest niezłym poetą. Ma wyczucie metafory. Wszystkie są dla jakiejś Millie.

— To jego żona — przypomniała sobie Tiffany. — Na pewno ją widziałeś w wiosce. Ma więcej piegów niż ktokolwiek inny. Jest bardzo wyczulona na tym punkcie.

Preston pokiwał głową.

— To może tłumaczyć, czemu jego ostatni wiersz nosi tytuł „Na co komu niebo bez gwiazd”.

— Patrząc na niego, trudno byłoby zgadnąć, że to poeta, prawda?

Chłopak zamyślił się przez chwilę.

— Wybacz mi, Tiffany, ale nie wyglądasz dobrze. Prawdę mówiąc, bez urazy, wyglądasz okropnie. Gdybyś była kimś innym i przyjrzała się sobie, powiedziałabyś, że chyba jesteś chora. I wyglądasz, jakbyś ostatnio w ogóle nie spała.

— Zeszłej nocy spałam co najmniej godzinę. A dzień wcześniej się zdrzemnęłam!

— Doprawdy? A jeśli nie liczyć dzisiejszego śniadania, to kiedy ostatnio jadłaś porządny posiłek?

Z jakiegoś powodu Tiffany wciąż czuła się wypełniona światłem.

— Chyba przegryzłam coś wczoraj…

— Przekąski i drzemki? Nie w ten sposób powinno się żyć; tak ludzie umierają!

Miał rację. Wiedziała o tym. Ale to tylko pogarszało sytuację.

— Posłuchaj, śledzi mnie okropny stwór, który potrafi całkowicie nad kimś zapanować, i muszę sobie z nim poradzić!

Preston rozejrzał się z zaciekawieniem.

— Nade mną też mógłby zapanować?

Trucizna trafia tam, gdzie truciznę przyjmują, pomyślała Tiffany. Dzięki za to użyteczne powiedzonko, pani Proust.

— Nie, nie sądzę. Trzeba być odpowiednią osobą, a raczej nieodpowiednią osobą. No wiesz, kimś, kto ma w sobie trochę zła.

Po raz pierwszy wydał się zmartwiony.

— Przykro mi o tym mówić, ale mam to i owo na sumieniu.

Mimo zmęczenia Tiffany się uśmiechnęła.

— A co zrobiłeś najgorszego?

— Kiedyś ze straganu na rynku ukradłem paczkę kredek. — Spojrzał na nią wyzywająco, jakby się spodziewał, że krzyknie albo pogardliwie wytknie go palcem.

Tylko pokręciła głową.

— Ile miałeś wtedy lat?

— Sześć.

— Preston, nie wydaje mi się, żeby ta kreatura odnalazła wejście do twojego umysłu.

— Panno Tiffany, musi pani odpocząć naprawdę, w prawdziwym łóżku. Jaka czarownica może się zajmować wszystkimi, jeśli nie jest dość rozsądna, żeby zająć się sama sobą? Quis custodiet ipsos custodes. Co znaczy: Kto pilnuje strażników. Tak właśnie — mówił dalej Preston. — Kto dba o czarownice? Kto opiekuje się ludźmi, którzy opiekują się ludźmi? Wygląda na to, że to będę ja.

Poddała się.

\* \* \*

Mgła nad miastem była gęsta jak kotara, kiedy pani Proust sunęła w stronę ciemnej, ponurej bryły Tant, jednak kłęby mgły rozstępowały się posłusznie, gdy się zbliżyła, a za nią natychmiast zasnuwały się z powrotem.

Dozorca czekał przy głównej bramie z latarnią w ręku.

— Przepraszam panią, ale pomyśleliśmy, że powinna to pani zobaczyć, zanim powiadomimy oficjalne czynniki. Wiem, że chwilowo czarownice nie są popularne, ale my tutaj zawsze uważaliśmy panią za rodzinę, jeśli pani rozumie, o czym mówię. Każdy pamięta pani tatę. To był mistrz! Potrafił powiesić człowieka w siedem i ćwierć sekundy! Nikt nie pobił tego wyniku. Już nie widuje się takich jak on. — Spoważniał. — I mam nadzieję, wie pani, że już nigdy nie zobaczę niczego takiego jak to, co zaraz pani pokażę. Wszyscy jesteśmy roztrzęsieni, nie da się ukryć. I to coś z pani dziedziny, jak sądzę.

W biurze więzienia pani Proust strzepnęła z płaszcza krople deszczu. Wyczuwała w powietrzu strach. Słychać było jakieś stukania i dalekie krzyki, które zawsze się zdarzają, jeśli w więzieniu dzieje się coś złego. Więzienie to z definicji mnóstwo ludzi ściśniętych razem, gdzie każdy lęk, nienawiść, niepokój, przerażenie czy plotka siedzi jedno na drugim i walczy o miejsce. Powiesiła płaszcz na gwoździu przy drzwiach i zatarła ręce.

— Ten chłopak, którego przysłaliście, mówił coś o ucieczce.

— Skrzydło D — rzekł dozorca. — Macintosh. Pamięta pani? Wylądował tu mniej więcej rok temu.

— A tak, pamiętam. Musieli przerywać proces, bo przysięgli wymiotowali. Paskudny typ. Ale przecież nikt nigdy nie uciekł ze skrzydła D, prawda? Kraty w oknach są ze stali?

— Wygięte — odparł spokojnie. — Lepiej niech pani to obejrzy. Nie wstydzę się przyznać, że ciarki nas przechodzą.

— O ile pamiętam, Macintosh nie był szczególnie dużym mężczyzną — powiedziała, kiedy szli wilgotnym korytarzem.

— Zgadza się, pani Proust. Niski i wredny. Miał zawisnąć w przyszłym tygodniu. Wyrwał pręty, których silny człowiek nie potrafiłby ruszyć nawet łomem, a potem zeskoczył z trzydziestu stóp na ziemię. To nie jest normalne. Ale co jeszcze zrobił… słowo daję, niedobrze mi się robi na samą myśl.

Przed celą niedawno zwolnioną przez nieobecnego Macintosha stał dozorca. Pani Proust nie rozumiała po co, skoro więzień wyraźnie zniknął. Na jej widok dozorca z szacunkiem dotknął ronda kapelusza.

— Dzień dobry, pani Proust — powitał ją. — To zaszczyt spotkać córkę najlepszego kata w historii. Pięćdziesiąt jeden lat przy dźwigni i nie zawiódł ani jednego klienta. Teraz jest pan Trooper, porządny gość, ale czasami trochę mu podrygują, czego nie uważam za pełen profesjonalizm. Pani tato nie zrezygnowałby z zasłużonej egzekucji ze strachu, że będą go potem nawiedzać ognie zła i demony przerażenia. Niech pani pamięta moje słowa, on chwyciłby te demony i też je powiesił! Siedem i ćwierć sekundy, to mistrz!

Ale pani Proust patrzyła na podłogę.

— Zbyt straszne, żeby oglądała to dama — ciągnął dozorca.

Pani Proust niemal odruchowo odparła:

— Podczas pracy czarownice nie są damami, Frank. — A potem rzuciła przekleństwo, od którego Frankowi zaczęły łzawić oczy.

— Można się zastanawiać, co w niego wstąpiło, prawda?

Czarownica się wyprostowała.

— Nie muszę się zastanawiać, chłopcze — powiedziała ponuro. — Ja wiem.

Mgła przyciskała się do ścian budynków, starając się jak najszybciej zejść z drogi pani Proust, kiedy szła z powrotem na ulicę Dziesiątego Jajka, zostawiając za sobą wybity w mroku tunel w kształcie pani Proust.

Derek pił spokojnie kakao ze swojego kubka, kiedy matka wpadła nagle do sklepu przy dźwiękach potężnego pierdnięcia. Uniósł głowę i zmarszczył brwi.

— Czy to dla ciebie brzmiało jak b-moll? Bo dla mnie nie.

Sięgnął do szuflady po kamerton, ale matka wyminęła go pospiesznie.

— Gdzie moja miotła?

Derek westchnął.

— W piwnicy, pamiętasz? Kiedy w zeszłym miesiącu krasnoludy powiedziały ci, ile będzie kosztować naprawa, nazwałaś ich bandą wykutych ozdób trawnikowych, pamiętasz? Zresztą i tak jej nigdy nie używasz.

— Muszę wyjechać na wieś — oświadczyła pani Proust, zaglądając za półki, na wypadek gdyby kryła się tam jeszcze jedna działająca miotła.

Syn wytrzeszczył oczy.

— Jesteś pewna, mamo? Zawsze twierdziłaś, że wieś szkodzi ci na zdrowie.

— To sprawa życia i śmierci — wymamrotała. — A co z Długą Chudą Niską Grubą Sally?

— Mamo, nie powinnaś tak na nią mówić — rzekł z wyrzutem Derek. — Nic na to nie poradzi, że ma alergię na pływy.

— Za to ma miotłę! Ha! Jak nie jedno, to drugie. Przygotuj mi jakieś kanapki, dobrze?

— Chodzi o tę dziewczynę, która była tu w zeszłym tygodniu? — spytał podejrzliwie. — Nie wydaje mi się, żeby miała poczucie humoru.

Matka go zignorowała, pogrzebała chwilę pod ladą i wyciągnęła dużą, obitą skórą pałkę. Drobni sklepikarze przy ulicy Dziesiątego Jajka pracowali przy niezmiernie wąskim marginesie zysku, więc mieli bardzo bezpośrednie podejście do sklepowych złodziei.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem! — jęczała. — Czynić dobro w moim wieku? Chyba mi się w głowie przewróciło. I nawet mi za to nie zapłacą! Nie wiem, naprawdę nie wiem. Człowiek się nie obejrzy, a zacznie dawać ludziom po trzy życzenia, i jeśli zacznę tak robić, Derek, to chciałabym, żebyś mocno walnął mnie w głowę. — Wręczyła mu pałkę. — Wszystko zostawiam pod twoją opieką. Spróbuj pchnąć trochę gumowej czekolady i tych zabawnych jajek sadzonych, dobrze? Mów ludziom, że to jakieś zabawne zakładki albo coś takiego.

Wybiegła w noc. Nocą ulice i zaułki miasta były bardzo niebezpieczne, pełne rabusiów, złodziei i tym podobnych nieprzyjemności. Jednak kiedy przechodziła, szybko cofali się w mrok. Pani Proust była złą wieścią i lepiej jej nie drażnić, jeżeli człowiek chciał, by kości jego palców nadal były ułożone w odpowiednią stronę.

\* \* \*

Ciało, które było Macintoshem, biegło przez noc. Przepełniał je ból. Dla ducha nie miało to znaczenia. To nie był jego ból. Ścięgna jęczały w agonii, ale nie była to agonia ducha. Palce krwawiły po wyrwaniu stalowych prętów z muru. Ale duch nie krwawił. Nigdy nie krwawił.

Już nie pamiętał, kiedy jakieś ciało naprawdę należało do niego. Ciała trzeba karmić, ciała muszą coś pić. To była irytująca cecha tych nieszczęsnych narzędzi. Wcześniej czy później przestawały być użyteczne. Często nie miało to znaczenia — zawsze był ktoś inny, jakiś drobny umysł ociekający nienawiścią, zazdrością i urazą, który chętnie powita w sobie ducha. Ale duch musiał być ostrożny i szybki. A przede wszystkim musiał być bezpieczny. Tutaj, na pustych drogach, trudno będzie znaleźć inny odpowiedni pojemnik. Z żalem pozwolił ciału zatrzymać się i napić mętnej wody z sadzawki. Okazało się, że jest w niej pełno żab, ale ciało musi też jeść, prawda?



Rozdział 13

KOŚCI SŁYCHAĆ STUK

Łóżko w czarno-białej komnacie było o wiele wygodniejsze niż loch, choć Tiffany brakowało uspokajającego towarzystwa kóz.

Znowu śniła o ogniu. I ktoś ją obserwował. Czuła to, i tym razem nie były to kozy. Ale nie była to też zła obserwacja — ktoś się o nią martwił. W tym śnie szalał ogień, ciemna postać rozsunęła płomienie, jakby to były kotary, a za nimi zając siedział obok tej postaci jak pies. Potem pochwycił wzrok Tiffany i skoczył w ogień. I Tiffany wiedziała.

Ktoś zastukał i zbudziła się gwałtownie.

Głos po drugiej stronie ciężkich drzwi zapytał:

— Jaki dźwięk wydaje zapomnienie?

Nie musiała się zastanawiać.

— Szelest wiatru w martwych trawach w gorący letni dzień.

— Tak, myślę, że to by się zgadzało — przyznał głos Prestona za drzwiami. — I żeby przejść do sedna, panienko, na dole jest bardzo dużo ludzi. I chyba potrzebują swojej czarownicy.

\* \* \*

To dobry dzień na pogrzeb, uznała Tiffany, spoglądając przez wąskie zamkowe okno. W pogrzeby nie powinien padać deszcz — ludzie są wtedy zbyt przygnębieni. Ona starała się unikać przygnębienia na pogrzebach — ludzie żyli i umierali, i byli pamiętani. W taki sam sposób po lecie następuje zima. Nic w tym złego. Były łzy, oczywiście, ale dla tych, którzy zostali; ci, którzy odeszli, już ich nie potrzebowali.

Służba wstała bardzo wcześnie, a w wielkim holu ustawiono długie stoły, by przygotować poczęstunek dla wszystkich przychodzących. Taka była tradycja — bogaty czy biedny, pan czy dama, pogrzebowe śniadanie czekało na każdego, z szacunku dla starego barona. Z szacunku dla dobrego posiłku hol wypełniał się ludźmi. Księżna była na miejscu w czarnej sukni, która była czarniejsza od wszystkich czerni, jakie Tiffany w życiu widziała. I ta suknia lśniła. Czarna sukienka przeciętnej czarownicy była tylko teoretycznie czarna. W rzeczywistości była raczej zakurzona, możliwe, że również połatana w okolicach kolan, trochę wystrzępiona na brzegu, no i oczywiście wytarta przez częste prania. Bo służyła jako odzież robocza. Nie dało się wyobrazić sobie, jak księżna w tej sukni odbiera poród… Tiffany zamrugała. Owszem, potrafiła sobie wyobrazić księżną odbierającą poród; gdyby sytuacja była dramatyczna, zrobiłaby to. Tyranizowałaby wszystkich i rozstawiała po kątach, ale by to zrobiła. Była taką właśnie osobą.

Tiffany mrugnęła. Umysł miała krystalicznie czysty. Świat wydawał się — co zrozumiałe — odrobinę kruchy, jakby mógł się rozpaść niczym lustrzana kula.

— Dzień dobry, panienko!

To była Amber, a za nią jej rodzice. Pan Petty wyglądał na wyszorowanego, trochę ogłupiałego, a także mocno zawstydzonego. Wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć. Tiffany też nie.

Przy głównych drzwiach powstało jakieś zamieszanie, Roland pospieszył w tamtą stronę i wrócił z królem Verence’em z Lancre oraz Magrat, jego królową. Tiffany spotkała ich już kiedyś. Trudno byłoby ich nie spotkać w Lancre, bo to królestwo bardzo małe, a nawet jeszcze mniejsze, jeśli wziąć pod uwagę, że mieszka tam również babcia Weatherwax.

Babcia Weatherwax też tu była, właśnie tutaj, w tej chwili, z Tobą[[28]](#footnote-28) leżącą jej na ramionach jak szal, tuż za królewską parą, a przed źródłem potężnego wesołego głosu, który wykrzyknął:

— Hej, Tiff! Jak tam zdrówko?

Co oznaczało, że kilka stóp niżej, ale niewidoczna z powodu swego wzrostu, stała niania Ogg. Niektórzy uważali, że jest nawet mądrzejsza od babci Weatherwax, i dostatecznie mądra, by nie pozwolić jej tego odkryć.

Tiffany skłoniła się im, zgodnie z obyczajem. Gromadzą się, pomyślała.

Uśmiechnęła się do babci Weatherwax.

— Bardzo się cieszę, że panią tu widzę, pani Weatherwax, i jestem trochę zaskoczona.

Babcia przyglądała jej się bez słowa.

— Droga z Lancre jest długa i wyboista — odezwała się niania Ogg. — No to sobie pomyślałyśmy, że podrzucimy tu Magrat i jej króla.

Może Tiffany sobie to wyobraziła, ale tłumaczenie niani Ogg brzmiało, jak gdyby układała je sobie od dłuższego czasu. Mówiła, jakby recytowała rolę.

Ale nie miały już czasu na rozmowy. Przybycie króla jakby uruchomiło coś, zmieniło atmosferę, a Tiffany po raz pierwszy zauważyła pastora Egga w czarno-białym habicie. Poprawiła szpiczasty kapelusz i podeszła do niego. Wyglądał, jakby był zadowolony z towarzystwa, a w każdym razie uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

— Aha… Zgaduję, że jest panienka czarownicą.

— Tak, ten szpiczasty kapelusz to dość wyraźna wskazówka, prawda?

— Ale nie czarna sukienka, jak widzę…?

Tiffany usłyszała przefruwający znak zapytania.

— Kiedy będę stara, w północ się odzieję — powiedziała.

— Całkiem odpowiednio — zgodził się pastor. — Ale teraz nosi panienka zieleń, biel i błękit, kolory wzgórz, czego trudno nie zauważyć.

Zaimponował Tiffany.

— Czyli nie jest pan zainteresowany polowaniem na czarownice?

Trochę głupio się czuła, pytając o to wprost, ale była podenerwowana.

Pastor Egg pokręcił głową.

— Mogę zapewnić, madame, że Kościół już od setek lat nie uczestniczył poważnie w tego rodzaju przedsięwzięciach! Niestety, niektórzy mają dobrą pamięć. No cóż… Zaledwie kilka lat temu słynny pastor Oats ogłosił w swoim głośnym „Testamencie z gór”, że kobiety, określane jako czarownice, w opiekuńczy i praktyczny sposób ucieleśniają najwspanialsze ideały proroka Bruthy. Mnie to wystarczy. Mam nadzieję, że panience też.

Tiffany rzuciła mu swój najsłodszy uśmiech, który jednak nie był słodki, choć się starała. Słodycz jakoś jej nie wychodziła nigdy.

— Ważne, żeby w takich sprawach nie było niejasności, prawda?

Pociągnęła nosem, ale nie wyczuła żadnego odoru prócz lekkiego zapachu mydła do golenia. Mimo wszystko będzie musiała mieć się na baczności.

\* \* \*

To był dobry pogrzeb; z punktu widzenia Tiffany dobry pogrzeb odbywał się wtedy, kiedy główny bohater był naprawdę stary. Widywała już takie — zbyt wiele — kiedy był mały i owinięty w całun. W Kredzie trumien praktycznie nie używano, ani właściwie nigdzie indziej. Porządne drewno jest zbyt cenne, bo mogło sobie gnić pod ziemią. Większości wystarczał praktyczny całun z białej wełny — łatwy do wykonania, niezbyt drogi i przyczyniał się do rozwoju przemysłu wełnianego. Baron jednak odchodził na wieczny odpoczynek w grobowcu z białego marmuru, który — jako człowiek praktyczny — zaprojektował, kupił i opłacił już dwadzieścia lat temu. Biały całun znalazł się wewnątrz, bo biały marmur jest za zimny, żeby na nim leżeć.

I taki był koniec starego barona, tyle że jedynie Tiffany wiedziała, gdzie jest naprawdę. Naprawdę chodził teraz ze swoim ojcem po ścierniskach, gdzie płonęły źdźbła zbóż i chwasty, w doskonały dzień późnego lata, w jednej niezmiennie doskonałej chwili, na zawsze zatrzymanej w czasie…

Syknęła.

— Rysunek!

Chociaż rzuciła to słowo pod nosem, ludzie wokół spojrzeli na nią z zaciekawieniem. Jak mogłam być taka samolubna? — pomyślała. Na pewno jeszcze tam leży!

Gdy tylko pokrywa grobowca wsunęła się na miejsce z dźwiękiem, który Tiffany miała zapamiętać już na zawsze, odszukała Briana. Wycierał hałaśliwie nos, a kiedy na nią spojrzał, miał zaczerwienione oczy.

Ujęła go łagodnie pod ramię; starała się mówić spokojnie.

— Ten pokój, w którym ostatnio mieszkał baron… jest zamknięty na klucz?

Wydawał się zaskoczony.

— No pewnie! A pieniądze są w wielkim sejfie w gabinecie. Czemu pytasz?

— Było tam coś bardzo cennego. Taka skórzana teczka. Czy ona też trafiła do sejfu?

Sierżant pokręcił głową.

— Możesz mi wierzyć, Tiff. Po tej… — zawahał się. — Po tej kłopotliwej sprawie zrobiłem spis wszystkiego, co było w tym pokoju. Nic stamtąd nie wynieśli tak, żebym tego nie widział i nie zapisał w swoim notesie. Swoim ołówkiem — dodał dla maksymalnej precyzji. — I nie było tam nic takiego jak skórzana teczka. Jestem tego pewien.

— Nie. Bo panna Spruce już ją zabrała — domyśliła się Tiffany. — Ta przeklęta pielęgniarka! Może uznała, że w środku są jakieś akty własności albo co…

Tiffany wróciła szybko do holu i rozejrzała się. Roland był teraz pod każdym względem baronem. Ludzie zebrali się wokół niego z szacunkiem, mówiąc „Był dobrym człowiekiem” albo „Dbał o tę krainę” czy „Przynajmniej nie cierpiał” i wszystkie te słowa, które mówią ludzie, kiedy nie wiedzą, co powiedzieć.

Po chwili Tiffany zmierzała już w tamtą stronę, ale zatrzymała się, kiedy czyjaś dłoń opadła jej na ramię. Podążyła wzrokiem od tej dłoni wzdłuż ręki, aż do twarzy niani Ogg, która zdobyła gdzieś największy dzban piwa, jaki Tiffany w życiu widziała. Dokładniej mówiąc, zauważyła, że to tylko pół dzbana piwa.

— Przyjemnie zobaczyć taką uroczystość załatwioną jak należy — stwierdziła niania. — Nie znałam staruszka, oczywiście, ale wydaje się, że porządny był z niego gość. Miło cię znowu widzieć, Tiff. Radzisz sobie?

Tiffany spojrzała w te niewinne, wesołe oczy i dalej, na o wiele surowszą twarz babci Weatherwax i rondo jej kapelusza. Skłoniła się.

Babcia Weatherwax odchrząknęła z odgłosem jakby przesypywanego żwiru.

— Nie jesteśmy tu służbowo, moja droga; chciałyśmy tylko pomóc królowi dotrzeć wygodnie na miejsce.

— Wcale nie przyleciałyśmy w sprawie Przebiegłego — dodała wesoło niania Ogg.

Brzmiało to, jakby zwyczajnie się wygadała, i Tiffany usłyszała pełne dezaprobaty prychnięcie babci. Jednak jeśli niania Ogg wygłaszała niechcący jakąś niemądrą i kłopotliwą uwagę, to wcześniej bardzo dokładnie ją sobie przemyślała. Tiffany wiedziała o tym, a niania z pewnością wiedziała, że Tiffany wie, i o tym Tiffany wiedziała także. Ale w ten sposób czarownice zachowywały się całkiem często i wszystko układało się idealnie, jeśli tylko nikt nie sięgał po topór.

— Wiem, że to mój problem — powiedziała. — Rozwiążę go.

Na pozór była to bardzo niemądra wypowiedź. Na pewno by się jej przydały starsze czarownice i ich pomoc. Ale jak by to wyglądało? To przecież jej gospodarstwo, a ona ma swoją dumę.

Nie mogła powiedzieć: „Przecież już wcześniej radziłam sobie z trudnościami i niebezpieczeństwami”, ponieważ to się rozumiało samo przez się. Natomiast liczyło się tylko to, co zrobi dzisiaj. To kwestia godności. Kwestia stylu.

Była to również kwestia wieku. Może za dwadzieścia lat, kiedy poprosi o pomoc, ludzie pomyślą: No cóż, nawet doświadczona czarownica może napotkać coś naprawdę niezwykłego. I pomogą jej w całkiem naturalny sposób. Ale teraz, gdyby poprosiła, cóż… pomogą, oczywiście. Czarownice zawsze pomagają innym czarownicom. Ale każda z nich pomyśli sobie: Czy ona w ogóle się do czegoś nadaje? Czy wytrzyma dłużej? Czy jest dostatecznie silna na długi dystans? Naturalnie, żadna nic nie powie, ale wszystkie będą tak myślały.

Wszystko to Tiffany pomyślała w ciągu sekundy, a kiedy mrugnęła, czarownice się jej przyglądały.

— Wiara w siebie jest twoją najlepszą przyjaciółką — oświadczyła surowo babcia Weatherwax.

Niania Ogg kiwnęła głową.

— Zawsze możesz wierzyć w wiarę w siebie. Zawsze to powtarzam. — Zaśmiała się, widząc minę Tiffany. — Myślisz, że tylko ty musiałaś sobie radzić z Przebiegłym, skarbie? Ta oto babcia spotkała się z nim, kiedy była w twoim wieku. I szybko odesłała go z powrotem tam, skąd przyszedł. Możesz mi wierzyć.

Z góry wiedząc, że to na nic, Tiffany postanowiła jednak spróbować. Zwróciła się do babci.

— Czy mogę liczyć na jakieś sugestie, pani Weatherwax?

Babcia, która już dryfowała w stronę bufetu, przystanęła na chwilę.

— Zaufaj sobie — powiedziała. Przeszła kilka kroków, zatrzymała się, jakby zatopiona w myślach, po czym dodała: — I nie przegraj.

Niania Ogg klepnęła Tiffany w plecy.

— Ja tam nigdy drania nie spotkałam, lecz słyszałam, że jest dość paskudny. Ale, ale, czy zarumieniona panna młoda urządza dzisiaj wieczór panieński?

Starsza pani mrugnęła porozumiewawczo i wlała sobie do gardła resztę zawartości dzbana.

Tiffany starała się myśleć szybko. Niania Ogg radziła sobie z każdym. Tiffany miała tylko niejasne pojęcie, na czym polega wieczór panieński, choć niektóre artykuły w sklepie pani Proust dały jej pewne wskazówki; jeśli niania Ogg także je znała, to z pewnością w grę wchodził alkohol.

— Nie wydaje mi się, żeby w noc po pogrzebie wypadało urządzać takie spotkanie. Prawda, nianiu? Ale myślę, że Letitia ucieszy się na małą pogawędkę.

— Jest twoją koleżanką, prawda? Sądziłam, że sama przeprowadziłaś z nią tę pogawędkę.

— Przeprowadziłam! — zapewniła Tiffany. — Ale ona mi chyba nie uwierzyła. A ty miałaś trzech mężów, nianiu.

Niania Ogg przyglądała jej się przez chwilę.

— To całkiem długa rozmowa, jak sądzę. No dobrze. A co z tym młodym człowiekiem? Kiedy on wyprawi wieczór kawalerski?

— Aha, słyszałam o nich! To wtedy, kiedy przyjaciele upijają go, zabierają gdzieś daleko, przywiązują do drzewa, a potem… Wydaje mi się, że niekiedy jest w użyciu wiadro farby i pędzel, ale zwykle wrzucają go do chlewa. A czemu pytasz?

— Och, wieczory kawalerskie zawsze są ciekawsze od panieńskich — odparła niania ze złośliwym błyskiem w oku. — Czy szczęśliwy pan młody ma tu jakichś przyjaciół?

— No, jest paru szlachetnie urodzonych chłopców z dobrych rodzin, ale jedyni ludzie, których zna naprawdę, to ci, którzy mieszkają tutaj, w wiosce. Wszyscy dorastaliśmy razem, rozumiesz. A żaden z nich nie ośmieliłby się wrzucić barona do chlewa!

— A może ten twój młody człowiek, o tam? — Niania skinęła na Prestona, który stał w pobliżu. Zdawało się, że zawsze stoi w pobliżu.

— Preston? Nie wydaje mi się, żeby dobrze znał barona. Zresztą… — Tiffany urwała.

„Twój młody człowiek”… Odwróciła się i spojrzała na nianię, która z założonymi z tyłu rękami wpatrywała się w sufit. Miała minę anioła, choć oczywiście takiego, który w swoim czasie spotkał kilka demonów. Cała niania… Jeśli chodziło o sprawy serca — a prawdę mówiąc, także każdej innej części ciała — nie dało się niani Ogg oszukać.

Preston stanął przed nianią i zdjął hełm.

— Obawiam się, droga pani, że byłoby to wbrew regułom, gdybym jako członek gwardii podniósł rękę na dowódcę — rzekł. — Gdyby nie to, uczyniłbym to z wielką skwapliwością.

Niania Ogg z aprobatą pokiwała głową, słysząc tę wyszukaną odpowiedź, i mrugnęła znacząco do Tiffany, która zaczerwieniła się aż po podeszwy butów. Uśmiech niani Ogg stał się tak szeroki, że dobrze by wyglądał na dyni.

— Och jej, och jej, och jej… — wymruczała. — Widzę, że przyda się tu trochę zabawy. Dzięki niebiosom, że tu jestem.

Niania Ogg miała złote serce, ale jeśli człowiek łatwo daje się szokować, to lepiej niech wsadzi sobie palce do uszu, kiedy niania zamierza cokolwiek powiedzieć. No ale przecież ma chyba trochę rozsądku…

— Nianiu, jesteśmy na pogrzebie…

Takie argumenty nie mogły skłonić niani do zmiany decyzji.

— Czy był dobrym człowiekiem? — spytała.

Tiffany wahała się tylko przez chwilę.

— Dojrzał do dobroci.

Niania Ogg zauważała wszystko.

— A tak, twoja babcia Obolała nauczyła go dobrych manier, o ile pamiętam. No ale umarł jako dobry człowiek? To dobrze. Czy będzie wspominany z miłością?

Tiffany przełknęła grudę dławiącą ją w gardle.

— O tak — wykrztusiła. — Przez wszystkich.

— A ty dopilnowałaś, żeby dobrze umarł? Nie dopuszczałaś bólu?

— Nianiu, chociaż sama to mówię, ale zapewniam, że miał idealną śmierć. Jedyna lepsza śmierć byłaby wtedy, gdyby wcale nie umarł.

— Brawo. A nie wiesz, czy miał jakąś ulubioną piosenkę?

— Tak! „Melodyjnie śpiewały skowronki” — odparła Tiffany.

— Aha, domyślam się, że to ta, którą my nazywamy „Jak dobrze w letni dzionek”. Rób to co ja, a szybko wprowadzimy ich w odpowiedni nastrój.

Po czym niania chwyciła przechodzącego kelnera, wzięła z tacy pełen dzban i żwawo jak młoda dziewczyna wskoczyła na stół. Krzyknęła, prosząc o ciszę głosem dźwięcznym jak tamburmajor.

— Panie i panowie! Na pamiątkę dobrego życia i lekkiego zejścia naszego zmarłego przyjaciela i barona poproszono mnie, żebym zaśpiewała jego ulubioną piosenkę. Przyłączcie się, jeśli starczy wam tchu!

Tiffany słuchała oczarowana. Niania Ogg była jednoosobową klasą mistrzowską wiedzy o ludziach. Całkiem obcych traktowała, jakby ich znała od lat, a oni zachowywali się, jakby naprawdę znała. Pociągnięci głosem doprawdy znakomitym jak na jedną starą kobietę z jednym zębem, już przy drugim wersie ludzie podnosili swoje głosy powyżej cichego pomruku, a pod koniec pierwszej zwrotki śpiewali chórem. Miała ich w ręku.

Tiffany zaszlochała i przez łzy zobaczyła małego chłopca w tweedowej marynarce pachnącej moczem, idącego z ojcem przez pole pod innymi gwiazdami.

A potem zobaczyła łzy błyszczące na twarzach, w tym również na twarzy pastora Egga i księżnej. Echa rozbrzmiewały poczuciem straty i wspomnieniem, aż sam hol westchnął.

Tego powinnam się uczyć, myślała. Chciałam poznać ogień i ból, ale powinnam się uczyć ludzi. Powinnam się nauczyć nie śpiewać jak indyk…

Piosenka dobiegła końca i ludzie patrzyli na siebie trochę oszołomieni, ale buty niani Ogg już wstrząsały stołem.

— „Tańcz, tańcz, gdy kości słychać stuk, tańcz, tańcz, kiedy marsza zagra, słyszysz”… — śpiewała.

Czy to odpowiednia piosenka na pogrzeb? — zastanowiła się Tiffany. I zaraz pomyślała: Oczywiście, że tak. To piękna melodia i mówi nam, że pewnego dnia wszyscy umrzemy, ale — i to jest ważne — że jeszcze nie umarliśmy.

Po chwili niania Ogg zeskoczyła ze stołu i chwyciła pastora Egga. Zakręciła nim i zaśpiewała:

— „Bo przecież żaden kapłan przed śmiercią nikogo nie uchroni”…

A on okazał klasę — zatańczył z nią.

Ludzie klaskali — tego Tiffany nie spodziewała się na pogrzebie. Chciałaby, och, jak bardzo by chciała być jak niania Ogg, która rozumiała wszystko i potrafiła przekuć ciszę w śmiech.

A potem, kiedy oklaski ucichły, męski głos zaintonował:

— „W wąskiej dolinie, gdzie trawa sucha, głowę wznieś w górę i wiatru słuchaj”…

I cisza znowu musiała odstąpić wobec nieoczekiwanie srebrzystego głosu sierżanta.

Niania Ogg podeszła do Tiffany.

— No, wygląda na to, że ich rozgrzałam. Założę się, że nim ten wieczór się skończy, zaśpiewa jeszcze pastor. A mnie przyda się coś do picia. Strasznie wysuszają takie śpiewy. — Mrugnęła porozumiewawczo. — Najpierw istota ludzka, a dopiero potem czarownica. Trudno zapamiętać, łatwo zrobić.

To była magia; magia zmieniła salę pełną ludzi, którzy w większości nie znali zbyt wielu spośród pozostałych, w istoty ludzkie, które wiedziały, że są pośród innych ludzkich istot. W tej chwili nic więcej nie musiało się liczyć.

I wtedy właśnie Preston klepnął ją w ramię. Miał na twarzy dość dziwny niespokojny uśmieszek.

— Przepraszam, panienko, ale dostałem dzisiaj służbę, taki pech, i powinienem cię zawiadomić, że masz trzech gości.

— Nie możesz ich przyprowadzić? — zdziwiła się Tiffany.

— Chciałbym, ale utknęły na dachu. Odgłos, jaki wydają trzy czarownice, to mnóstwo przekleństw.

\* \* \*

Jeśli istotnie przeklinały, nowo przybyłe wyraźnie się zmęczyły, zanim Tiffany znalazła odpowiednie okno i wyczołgała się na ołowiany dach zamku. Nie było się tu czego chwycić, a w dodatku zaległa lekka mgła, więc ostrożnie przesuwała się na czworakach w stronę gniewnego mamrotania.

— Są tu jakieś czarownice?! — zawołała.

A z mroku odpowiedział jej głos kogoś, kto nawet nie próbuje nad sobą panować.

— A co byś zrobiła, na wszystkie siedem piekieł, gdybym odpowiedziała „nie”, panno Tiffany Obolała?

— Pani Proust? Co pani tu robi?

— Trzymam się gargulca! Ściągnij nas na dół, moja droga, bo to nie są moje kamienie, a pani Happenstance musi iść do wygódki!

Tiffany przeczołgała się kawałek dalej, świadoma przepaści otwierającej się o cal od jej dłoni.

— Preston poszedł po linę. Macie miotłę?

— Owca na nią wpadła — odparła pani Proust.

Tiffany dostrzegła w mroku jej sylwetkę.

— Zderzyłyście się z owcą w powietrzu?

— Może to była krowa albo coś jeszcze innego. Jak się nazywają te stwory, które robią „nuff-nuff”?

— Zderzyłyście się z latającym jeżem?

— Nie, to nie tak. Leciałyśmy nisko, bo szukałyśmy jakichś krzaków dla pani Happenstance. — Z ciemności dobiegło westchnienie. — To z powodu jej dolegliwości, biedactwo. Możesz mi wierzyć, po drodze przystawałyśmy przy bardzo wielu krzakach. I wiesz co? W każdym z nich, w każdym siedzi coś, co żądli, gryzie, kopie, wrzeszczy, wyje, mlaska, okropnie smrodzi, całe się robi kolczaste, próbuje cię przewrócić albo robi wielgachną kupę! Czy wy tutaj nie słyszeliście o porcelanie?

Tiffany była zaskoczona.

— No owszem, ale nie na polach!

— Szkoda, byłoby wygodniej — stwierdziła pani Proust. — Zniszczyłam sobie całkiem porządne buty, ot co.

We mgle rozległy się jakieś brzęki i Tiffany z ulgą usłyszała głos Prestona.

— Udało mi się otworzyć starą klapę, drogie panie. Gdybyście uprzejmie zechciały poczołgać się w moją stronę…

Klapa w dachu prowadziła do sypialni, najwyraźniej takiej, w której zeszłej nocy spała kobieta. Tiffany przygryzła wargi.

— Wydaje mi się, że to pokój księżnej. Proszę, starajcie się niczego nie dotykać, ona i tak jest nie do wytrzymania.

— Księżna? Nieźle brzmi — przyznała pani Proust. — A jaka to księżna, jeśli wolno spytać?

— Wdowa po diuku Keepsake. Widziała ją pani, kiedy miałyśmy te drobne kłopoty w mieście. Pamięta pani? Przy Królewskiej Głowie? Mają wielką posiadłość jakieś trzydzieści mil stąd.

— To miłe — stwierdziła pani Proust tonem sugerującym, że prawdopodobnie wcale nie będzie miło, za to będzie interesująco i zapewne też krępująco dla kogoś, kto nie jest panią Proust. — Pamiętam ją. I pamiętam, że kiedy już po tym wszystkim wróciłam do domu, pomyślałam sobie: Gdzie ja cię wcześniej widziałam, paniusiu? Wiesz coś o niej, moja droga?

— Jej córka powiedziała mi, że straciła majątek i całą rodzinę w strasznym pożarze, zanim jeszcze poznała diuka.

Pani Proust rozpromieniła się, choć były to raczej promienie rzucane przez ostrze noża.

— Doprawdy? — rzuciła głosem słodkim jak melasa. — Coś podobnego. Nie mogę się doczekać, kiedy spotkam tę damę znowu… i wyrażę głębokie współczucie.

Tiffany uznała, że nie ma czasu na rozwikłanie tej zagadki. Musiała myśleć o innych sprawach.

Spojrzała na wysoką kobietę, próbującą jakoś się schować za panią Proust. Czarownica się obejrzała.

— Ojej, gdzie moje maniery? Tak, wiem, nie miałam ich od początku… Tiffany, to jest panna Cambric, lepiej znana jako Długa Chuda Niska Gruba Sally. Panna Cambric uczy się u pani Happenstance, którą przelotnie widziałaś zbiegającą po schodach, z jednym tylko celem w głowie. Sally cierpi mocno od pływów, biedactwo. Musiałam zabrać je obie, bo Sally miała jedyną działającą miotłę, jaką udało mi się znaleźć, a nie chciała zostawiać pani Happenstance samej. To była męka utrzymać miotłę w poziomie. Nie przejmuj się, Sally za kilka godzin wróci do normalnych pięciu stóp sześciu cali. Oczywiście, jest prawdziwą męczennicą sufitów. Sally, biegnij za panią Happenstance, ale szybko.

Machnęła ręką i młoda czarownica odeszła pospiesznie, wyraźnie zdenerwowana. Kiedy pani Proust wydawała polecenia, zwykle były wykonywane.

Zwróciła się znowu do Tiffany.

— To coś, co cię szuka, moja panno, ma teraz ciało. Ukradł ciało uwięzionego w Tantach mordercy. I wiesz co? Zanim ten typ wydostał się z budynku, zabił swojego kanarka. Tego się nie robi. Podczas bójki można bić innego więźnia żelaznym prętem po głowie, ale nigdy nie zabija się kanarka.

W nietypowy sposób wprowadziła ten temat do rozmowy, lecz najwyraźniej nie lubiła swobodnych pogawędek ani też, jak się zdawało, pocieszania.

— Podejrzewałam… wiedziałam, że coś takiego się stanie — stwierdziła Tiffany. — Jak on wygląda?

— Zgubiłyśmy go parę razy. Zew natury i takie rzeczy. Mógł się włamać do jakiegoś domu, żeby zdobyć lepsze okrycie. Trudno powiedzieć. Nie będzie się przejmował tym ciałem. Będzie z niego korzystał, dopóki nie znajdzie lepszego albo dopóki to nie rozpadnie się na kawałki. Będziemy na niego uważały. To jest twoje gospodarstwo?

Tiffany westchnęła.

— Tak. A on teraz ściga mnie jak wilk owcę…

— No więc jeśli zależy ci na ludziach, musisz szybko się go pozbyć. Jeśli wilk zgłodnieje, pożre cokolwiek. Hm… A gdzie są twoje maniery, panno Obolała? Jesteśmy głodne i przemoczone, a sądząc po odgłosach, na dole podają jedzenie i picie. Mam rację?

— Och, przepraszam. Leciałyście tak daleko, żeby mnie ostrzec…

Pani Proust machnęła ręką, jakby to nie było ważne.

— Długa Chuda Niska Gruba Sally i pani Happenstance na pewno chętnie coś przegryzą po długiej podróży, ale ja jestem tylko zmęczona — powiedziała. Po czym, ku przerażeniu Tiffany, rzuciła się plecami na łoże księżnej; na zewnątrz sterczały tylko ociekające wodą buty. — Ta księżna… sprawiała ci jakieś kłopoty?

— Tak, niestety — odparła Tiffany. — Ona chyba nie ma szacunku dla nikogo poniżej króla, a podejrzewam, że i wtedy nie tak na pewno. Znęca się też nad córką — oświadczyła i dodała jeszcze: — Jedną z pani klientek.

Po czym opowiedziała pani Proust wszystko o Letitii i księżnej, ponieważ pani Proust była taką właśnie kobietą, której mówi się wszystko. I kiedy opowieść się rozwijała, uśmiech pani Proust stawał się coraz szerszy; Tiffany nie potrzebowała żadnych czarodziejskich zdolności, by przewidzieć, że księżną czekają jakieś problemy.

— Tak myślałam. Nigdy nie zapominam twarzy. Słyszałaś kiedy o music-hallu, moja droga? Nie, na pewno nie słyszałaś, nie tutaj. Występują tam różni komedianci, śpiewacy, gadające psy… i oczywiście tancerki. Mam nadzieję, że rozumiesz, o czym mówię, prawda? Nie taka zła robota dla dziewczyny, która potrafi zamachać ładną nóżką, zwłaszcza że po występie wszyscy eleganccy dżentelmeni czekają na nie przy drzwiach za kulisy, żeby zabrać je na wytworną kolację i tak dalej. — Czarownica zdjęła szpiczasty kapelusz i rzuciła go na podłogę obok łóżka. — Nie cierpię mioteł — wyznała. — Robią mi się nagniotki w miejscach, gdzie nikt nie powinien mieć nagniotków.

Tiffany nie wiedziała, co robić. Nie mogła zażądać od pani Proust, żeby wstała z łóżka — przecież nie było to jej łóżko. To nie był jej zamek. Uśmiechnęła się. Prawdę mówiąc, to w ogóle nie był jej problem. Jak miło znaleźć w końcu problem, który nie był jej…

— Pani Proust — powiedziała — czy zdołam panią namówić do zejścia na dół? Są tam inne czarownice i chciałabym, żeby się panie poznały.

Najlepiej wtedy, kiedy nie będzie mnie w tym samym pomieszczeniu, pomyślała, ale wątpię, czy to będzie możliwe.

— Żywopłotowe czarownice? — Pani Proust pociągnęła nosem. — Chociaż nie ma nic złego w żywopłotowej magii. Spotkałam kiedyś taką, która potrafiła przesunąć rękami nad ligustrowym żywopłotem, a on trzy miesiące później wyrósł w kształt dwóch pawi i irytująco słodkiego szczeniaczka trzymającego w pyszczku ligustrową kość. A wszystko to, zauważ, bez żadnego sekatora.

— Dlaczego to zrobiła? — zdumiała się Tiffany.

— Nie sądzę, żeby sama chciała, ale ktoś ją o to poprosił i zapłacił niezłą sumę. Takie strzyżenie krzewów nie jest nielegalne, choć podejrzewam, że kilka osób pierwsze stanie pod żywopłotem, kiedy przyjdzie rewolucja. Żywopłotowe… tak w mieście nazywamy te wiejskie czarownice.

— Naprawdę? — rzuciła niewinnie Tiffany. — Nie wiem, jak my tutaj, na wsi, nazywamy miejskie czarownice, ale pani Weatherwax na pewno pani powie.

Wiedziała, że powinna z tego powodu odczuwać trochę wyrzutów sumienia, lecz miała za sobą ciężki dzień na zakończenie ciężkiego tygodnia, a przecież czarownicy też należy się w życiu trochę radości.

Po drodze na dół minęły pokój Letitii. Tiffany usłyszała głosy i śmiech — to śmiała się niania Ogg. Pomyłka była niemożliwa. Ten śmiech radośnie klepał człowieka w plecy.

— To naprawdę działa? — dobiegł zza drzwi głos Letitii.

Niania odpowiedziała cicho coś, czego nie dało się słyszeć, ale co wywołało atak śmiechu Letitii. Tiffany się uśmiechnęła. Zarumieniona oblubienica odbierała instrukcje od kogoś, kto pewnie nigdy w życiu się nie zarumienił; wydawało się, że to całkiem dobry układ. Przynajmniej nie zalewała się łzami co chwila.

Tiffany wprowadziła panią Proust do holu. To zdumiewające przekonać się na własne oczy, że ludzie do szczęścia potrzebują tylko jedzenia, picia i innych ludzi. Nawet bez ponagleń niani Ogg wypełniali przestrzeń… no, byciem ludźmi. A w miejscu, skąd mogła widzieć prawie wszystkich, stała babcia Weatherwax. Rozmawiała z pastorem Eggiem.

Tiffany zbliżyła się do niej ostrożnie; twarz kapłana świadczyła, że nie będzie miał jej za złe, jeśli się wtrąci. Babcia Weatherwax potrafiła być niezwykle wręcz bezpośrednia w temacie religii.

Zauważyła jego ulgę, gdy powiedziała:

— Pani Weatherwax, chciałam panią przedstawić pani Proust. Mieszka w Ankh-Morpork, gdzie prowadzi niezwykły ośrodek handlowy. Pani Proust, to jest babcia Weatherwax.

Cofnęła się; dwie starsze czarownice zmierzyły się wzrokiem. Wstrzymała oddech. Cały hol umilkł; żadna z nich nie odwracała oczu. A potem… nie, to niemożliwe… babcia Weatherwax mrugnęła, a pani Proust się uśmiechnęła.

— Cieszę się, że mogłam panią poznać — rzekła babcia.

— Bardzo mi miło, że się spotkałyśmy — zapewniła pani Proust.

Wymieniły spojrzenia, po czym zwróciły się do Tiffany, która pojęła nagle, że stare i mądre czarownice były dużo starsze niż ona i mądrzejsze o wiele dłużej.

Babcia Weatherwax zaśmiała się niemal w głos, kiedy pani Proust powiedziała:

— Nie musimy znać swoich imion, żeby się rozpoznać. Ale czy mogłabym zaproponować, młoda damo, żebyś znowu zaczęła oddychać?

Babcia swobodnie, choć z godnością ujęła panią Proust pod ramię i ruszyła na spotkanie niani Ogg, która schodziła właśnie po schodach. Za nią podążała Letitia czerwieniejąca w miejscach, gdzie ludzie rzadko się czerwienią.

— Pozwól, moja droga — rzuciła babcia. — Musisz poznać moją przyjaciółkę, nianię Ogg, która często robi zakupy w pani sklepie.

Tiffany odeszła. Przez jedną krótką chwilę nie miała nic do roboty. Rozejrzała się po holu; ludzie wciąż zbierali się w małych grupkach. Zauważyła księżną, całkiem samą. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego podeszła do tej kobiety? Może dlatego, pomyślała, że kiedy człowiek ma się zmierzyć ze straszliwym potworem, przyda mu się trochę praktyki.

Ale ku jej absolutnemu zaskoczeniu księżna płakała.

— Czy mogę pani jakoś pomóc? — spytała Tiffany.

Natychmiast stała się celem groźnego spojrzenia, ale łzy nie przestały płynąć.

— Ona jest dla mnie wszystkim — powiedziała księżna, spoglądając w stronę Letitii wciąż sunącej za nianią. — Roland na pewno będzie dobrym mężem. Mam nadzieję, że uzna, iż dałam jej dobre podstawy, by bezpiecznie iść przez świat.

— Uważam, że istotnie wiele ją pani nauczyła — przyznała Tiffany.

Lecz księżna już spoglądała na czarownice. Nie patrząc na Tiffany, powiedziała:

— Wiem, że nie zgadzałyśmy się idealnie, moja droga, ale zastanawiam się, czy mogłabyś mi zdradzić, kim jest ta dama, o tam, jedna z twoich sióstr czarownic, która teraz rozmawia z tą niezwykle wysoką?

Tiffany rozejrzała się szybko.

— Och, to pani Proust. Mieszka w Ankh-Morpork. Czy jest może pani znajomą? Bo niedawno pytała o panią.

Księżna uśmiechnęła się, ale był to dość dziwny uśmiech. Gdyby uśmiechy miały kolory, ten byłby zielonkawy.

— Och… To było, ehm… — Urwała i zachwiała się lekko. — To bardzo ładnie z jej strony. — Zakaszlała. — Tak się cieszę, że ty i moja córka jesteście teraz, jak się zdaje, bardzo sobie bliskie. Chciałabym zaoferować przeprosiny za wszelkie moje pochopne opinie wygłaszane w ostatnich dniach. Chcę też przeprosić ciebie i ciężko pracującą służbę tego zamku za to, co mogło się wydawać zachowaniem nazbyt wyniosłym. Ufam, że dasz się przekonać, iż wszystko to wynikało z matczynej determinacji, by osiągnąć dla dziecka to, co najlepsze.

Mówiła bardzo starannie; słowa padały niczym dziecięce kolorowe klocki, ale między klockami — jak zaprawa murarska — padały uronione słowa: Proszę, proszę, nie mów nikomu, że byłam tancerką w music-hallu! Błagam!

— Ależ oczywiście, to chwile trudne dla nas wszystkich — zapewniła ją Tiffany. — Nie warto o tym gadać, jak to mówią.

— Z żalem stwierdzam, że chyba nie powstrzymywałam się od gadania.

Tiffany zauważyła, że księżna trzyma w ręku duży kieliszek do wina, prawie pusty. Księżna przyglądała się jej przez chwilę, nim podjęła:

— Ślub odbędzie się prawie zaraz po pogrzebie, tak?

— Niektórzy uważają, że nie można przesuwać daty ślubu, kiedy została już ustalona. To przynosi pecha.

— Wierzysz w pecha?

— Wierzę w to, że nie muszę wierzyć. Ale muszę zaznaczyć, wasza łaskawość, że w takich chwilach wszechświat bardziej się do nas zbliża. To dziwne dni, czas początku i czas końca. Niebezpieczne i potężne. I wyczuwamy to, jeśli nawet nie wiemy, co się dzieje. Takie okresy niekoniecznie są dobre i niekoniecznie złe. Tak naprawdę to, jakie są, zależy od tego, jacy my jesteśmy.

Księżna zerknęła na swój pusty kieliszek.

— Z jakiegoś powodu sądzę, że powinnam się zdrzemnąć.

Ruszyła do schodów; niewiele brakowało, a przeoczyłaby pierwszy stopień.

Na drugim końcu holu wybuchły śmiechy. Idąca za księżną Tiffany zatrzymała się, by klepnąć Letitię po ramieniu.

— Na twoim miejscu spróbowałabym porozmawiać z mamą, zanim pójdzie na górę. Myślę, że chciałaby tej rozmowy właśnie teraz. — Pochyliła się i szepnęła jej do ucha: — Ale nie opowiadaj za dużo o tym, czego się dowiedziałaś od niani Ogg.

Letitia wyglądała, jakby chciała zaprotestować, ale zobaczyła minę Tiffany, przemyślała to i pobiegła za matką.

Nagle u boku Tiffany stanęła babcia Weatherwax. Po chwili, jakby zwracając się do powietrza, powiedziała:

— Masz tu ładne gospodarstwo. Mili ludzie. Ale muszę cię ostrzec: on jest blisko.

Tiffany zauważyła, że inne czarownice — nawet Długa Chuda Niska Gruba Sally — ustawiły się rzędem tuż za babcią. Tiffany była celem ich spojrzeń, a kiedy czarownice na kogoś spoglądają, cel spojrzeń czuje to jak blask słońca.

— Czy coś mi chcecie powiedzieć? — zapytała. — Chcecie, prawda?

Nieczęsto się zdarzało… a właściwie, kiedy Tiffany się nad tym zastanowiła, nie zdarzyło się jeszcze nigdy, żeby zobaczyła zmartwioną babcię Weatherwax.

— Jesteś pewna, że potrafisz zwyciężyć Przebiegłego, tak? Widzę, że nie odziałaś się jeszcze w północ.

— Kiedy będę stara, w północ się odzieję — odparła Tiffany. — To kwestia wyboru. Babciu, wiem, czemu tu jesteście. Żeby mnie zabić, jeśli mi się nie uda, tak?

— Niech to! — mruknęła babcia. — Jesteś czarownicą, i to dobrą czarownicą. Ale niektóre z nas uważają, że powinnyśmy nalegać, byś przyjęła naszą pomoc.

— Nie. Moje gospodarstwo. Mój bałagan. Mój problem.

— Choćby nie wiem co?

— Absolutnie.

— No cóż, muszę ci wyrazić uznanie za stosowanie się do wymogów twojej pozycji i życzyć… nie, nie szczęścia, ale pewności! — Czarownice zaszemrały, lecz babcia rzuciła ostro: — Podjęła decyzję, moje panie, i to kończy sprawę.

— Nie ma sporu — zapewniła z uśmiechem niania Ogg. — Już prawie mi go żal. Kopnij go w… Kopnij go, gdzie tylko zdołasz, Tiff.

— To twój teren — stwierdziła pani Proust. — Jak czarownica może nie zwyciężyć na własnym terenie?

Babcia Weatherwax kiwnęła głową.

— Jeśli pozwolisz, żeby kierowała tobą duma, już przegrałaś. Ale jeśli chwycisz swoją dumę za kark i dosiądziesz jak rumaka, to może już zwyciężyłaś. A teraz myślę, że pora ci się przygotowywać, panno Tiffany Obolała. Czy masz jakiś plan na rano?

Tiffany spojrzała w przenikliwe błękitne oczy.

— Tak. Nie przegrać.

— To dobry plan.

Dłonią kłującą od kurzajek pani Proust uścisnęła rękę Tiffany.

— Szczęśliwym trafem, moja droga — powiedziała — chyba też powinnam wybrać się i zabić potwora…



Rozdział 14

WYPALANIE KRÓLA

Tiffany wiedziała, że tej nocy nie zaśnie, więc nawet nie próbowała. Ludzie siedzieli w małych grupkach i rozmawiali, a na stole nadal stało jedzenie i napoje. Może właśnie z powodu napojów ludzie nie dostrzegali, jak szybko znikają, ale Tiffany była pewna, że wśród belek stropu słyszy ciche głosy. Oczywiście, czarownice są przysłowiowo sprawne w upychaniu jedzenia po kieszeniach, na później, ale Feeglowie zwyciężali je liczbą.

Tiffany przemieszczała się bez celu od jednej grupki do drugiej, a kiedy księżna w końcu ruszyła na górę, nie poszła za nią. Bardzo starannie podkreślała w myślach, że wcale nie idzie za księżną. Po prostu całkiem przypadkowo szła w tym samym kierunku. A kiedy stanęła pod drzwiami pokoju księżnej, kiedy tylko się za nią zamknęły, przecież nie robiła tego po to, by podsłuchiwać. Na pewno nie.

Zdążyła usłyszeć gniewny krzyk, a potem głos pani Proust:

— Toż to Deirdre Paisley! Dawnośmy nie widziały twoich cekinów! Nadal potrafisz nogą zdjąć komuś z głowy cylinder?

I cisza. Tiffany odeszła pospiesznie, ponieważ drzwi były bardzo grube i ktoś na pewno by zauważył, gdyby za długo przyciskała do nich ucho.

Wróciła więc na dół i zdążyła porozmawiać z Długą Chudą Niską Grubą Sally i panią Happenstance. Dopiero teraz zauważyła, że pani Happenstance jest niewidoma. Było to nieszczęście, ale dla czarownicy niezbyt wielka tragedia. Czarownice zawsze mają w zanadrzu kilka dodatkowych zmysłów.

A potem zeszła do krypty.

Kwiaty leżały wokół grobowca starego barona, ale nie na nim, gdyż marmurowe wieko było tak pięknie wykonane, że szkoda byłoby je zakrywać nawet różami. Na kamieniu kamieniarze wyrzeźbili samego barona, w zbroi i z mieczem, a wyrzeźbili tak idealnie, że wyglądał, jakby lada chwila miał wstać i odejść. W czterech rogach płyty paliły się świece.

Tiffany przeszła obok innych kamiennych baronów. Tu czy tam leżała żona wyrzeźbiona ze spokojnie złożonymi dłońmi. To było… dziwne. W Kredzie nie stawiano nagrobków — kamień był zbyt cenny. Były miejsca pochówku i w zamku przechowywano starożytną księgę wyblakłych map, na których zaznaczono, gdzie składano ludzi do grobów. Jedyną zwykłą osobą, która miała pomnik — ale też osobą pod wieloma względami bardzo niezwykłą — była babcia Obolała; żelazne koła i piecyk, które pozostały po jej pasterskiej chacie, na pewno przetrwają następne sto lat. Zrobiono je z porządnego metalu, a wiecznie skubiące trawę owce dbały o to, by łąka wokół wyglądała jak doskonale zadbany trawnik. Poza tym ocierały się o koła, a tłuszcz z owczej wełny działał jak olej i świetnie konserwował metal.

Za dawnych dni, zanim rycerz został rycerzem, uzbrojony spędzał noc w swoim holu, modląc się do dowolnych bogów, którzy go słuchali, o siłę i mądrość.

Była pewna, że usłyszała te słowa, przynajmniej w swojej głowie, jeśli nie w uszach. Obejrzała się na śpiących rycerzy, myśląc, że może pani Proust się nie myliła i kamień naprawdę ma pamięć.

Ale jaką ja mam broń? Odpowiedź nadeszła natychmiast: dumę. Pewnie, słyszy się, że to grzech, że podąża tuż przed klęską. Ale to przecież nie może być prawda. Kowal jest dumny z dobrego odlewu; woźnica jest dumny, że jego konie są zadbane i lśniące jak świeże kasztany na słońcu; pasterz jest dumny, że ochronił stado przed wilkami; kucharka dumna jest ze swoich ciast. Jesteśmy dumni, jeśli tworzymy z naszego życia dobrą opowieść.

Mam też strach — strach, że zawiodę innych. A ponieważ czuję strach, pokonam to, co go wzbudza. Nie przyniosę wstydu tym, które mnie uczyły.

I mam ufność, chociaż nie jestem pewna, czemu właściwie ufam.

— Duma, strach i ufność — powiedziała głośno.

A przed nią płomienie czterech świec rozciągnęły się jakby od wiatru. Rozbłysło światło. Przez chwilę Tiffany była pewna, że w ciemny kamień wtapia się postać starej czarownicy.

— A tak, mam jeszcze ogień.

Po czym, nie wiedząc dlaczego, dodała:

— Kiedy będę stara, w północ się odzieję. Ale jeszcze nie dzisiaj.

Podniosła latarnię; cienie się przesunęły i tylko jeden — który wyglądał całkiem jak stara kobieta w czerni — rozwiał się zupełnie.

I wiem, czemu zając skacze do ognia, pomyślała. A jutro… nie, dzisiaj… ja także wskoczę.

Uśmiechnęła się.

\* \* \*

Kiedy wróciła do holu, czarownice przyglądały się jej ze schodów. Zastanowiła się, jak rozwinie się znajomość babci i pani Proust, skoro obie są dumne jak koty pełne miedziaków. Wydawało się jednak, że ich stosunki są przyjazne, choć raczej z kategorii rozmów o pogodzie, o fatalnym wychowaniu młodych ludzi w dzisiejszych czasach czy o skandalicznych cenach sera. Jednak niania Ogg wyglądała na nietypowo niespokojną. Widok niespokojnej niani Ogg budził niepokój… Minęła północ — formalnie rzecz biorąc, godzina czarów. W prawdziwym życiu każda godzina była godziną czarów, jednak to, że obie wskazówki zegara stawały pionowo, wydawało się trochę niesamowite.

— Słyszałam, że chłopcy wrócili z wieczoru kawalerskiego — poinformowała niania. — Ale zdaje się, że zapomnieli, gdzie zostawili pana młodego. Są prawie pewni, że rozebrali go ze spodni i gdzieś przywiązali. — Chrząknęła. — To na ogół typowa procedura. Tradycyjnie pierwszy drużba powinien pamiętać, gdzie to było, ale znaleźliśmy go i nie pamięta nawet, jak się nazywa.

Zegar w holu wybił północ; nigdy nie mógł zdążyć na czas. Tiffany wydawało się, że każde uderzenie czuje w kościach.

A tam maszerował ku niej Preston. Od pewnego czasu miała wrażenie, że gdziekolwiek popatrzy, tam jest Preston — energiczny, czysty i jakby pełen nadziei.

— Posłuchaj mnie, Preston — rzekła. — Nie mam czasu niczego tłumaczyć, zresztą nie jestem pewna, czybyś uwierzył. Muszę stanąć do walki i zabić tego potwora, zanim on mnie zabije.

— W takim razie będę cię chronił. Poza tym mój głównodowodzący może leżeć gdzieś w chlewie, a jakaś maciora obwąchuje jego niewymowne! Reprezentuję tu władzę tymczasową.

— Ty? — mruknęła zdziwiona.

Preston wypiął pierś, chociaż nie wysunęła się zbyt daleko.

— Tak jest, właśnie ja. Chłopcy zrobili mnie podoficerem gwardii, żeby mogli spokojnie się napić. W tej chwili sierżant siedzi w kuchni i wymiotuje do ścieku. Wydawało mu się, że potrafi w piciu wygrać z panią Ogg! — Zasalutował. — Będę ci towarzyszył, panienko. I nie możesz mi przeszkodzić. Bez urazy, naturalnie. Ale na mocy władzy powierzonej mi przez sierżanta w przerwach w rzyganiu do ścieku, chcę zarekwirować ciebie i twoją miotłę do pomocy w poszukiwaniach, jeśli ci to nie przeszkadza.

To żądanie skierowane do czarownicy było ryzykowne. Ale… postawił je Preston.

— No dobrze — zgodziła się. — Lecz staraj się jej nie zadrapać. Tylko że wcześniej muszę jeszcze coś załatwić. Przepraszam.

Podeszła do otwartych drzwi holu i oparła się o zimne kamienie.

— Wiem, że są tu Feeglowie, którzy mnie słyszą — powiedziała.

— Ano są. — Głos zabrzmiał o jakiś cal od jej ucha.

— No więc nie chcę, żebyście mi dzisiaj pomagali. To wiedźmowa sprawa, rozumiecie?

— Ano. Ześmy widzieli cały oddział wiedźm. Dzisiaj jest wielka wiedźmowa noc.

— Muszę… — zaczęła Tiffany. I wtedy wpadła jej do głowy świetna myśl. — Mam się zmierzyć z tym człowiekiem bez oczu. A one chcą się przekonać, czy potrafię dobrze walczyć. Dlatego nie mogę oszukiwać, wykorzystując Feeglów. To bardzo ważna wiedźmowa zasada. Oczywiście, szanuję to, że oszukiwanie jest uświęconą tradycją Feeglów, ale wiedźmy nie oszukują. — Zdawała sobie sprawę, że to gigantyczne kłamstwo. — Jeśli mi pomożecie, dowiedzą się i wszystkie wiedźmy będą mną gardzić.

A jeśli przegram, pomyślała, staną Feeglowie przeciwko wiedźmom, a tę bitwę świat zapamięta na długo. Żadnych nacisków, co?

— Rozumiecie, prawda? — spytała głośno. — Tym razem, tylko tym razem zrobicie, co wam mówię, i nie będziecie mi pomagać!

— Ano, rozumimy. Ale wis, Jeannie mówiła, ze tsa nam cie pilnować bez pserwy, bo ześ jest wiedźmą tych wzgóz — odparł Rob Rozbój.

— Przykro mi to mówić, lecz keldy tu nie ma. Za to ja jestem i muszę was uprzedzić, że jeśli tym razem mi pomożecie, nie będę już wiedźmą tych wzgórz. Powierzono mi misio, wicie. To wiedźmowa misio, a to znacy wazna. — Usłyszała chóralny jęk i dodała: — Nie żartuję. Naczelna wiedźma to babcia Weatherwax. Przecież ją znacie! — Znowu zbiorowy jęk. — No właśnie. Proszę, tym razem pozwólcie mi załatwić sprawę po mojemu.

Po chwili milczenia odezwał się głos Roba Rozbója:

— Ano niech.

— Bardzo dobrze.

Tiffany odetchnęła głęboko i ruszyła po swoją miotłę.

\* \* \*

Zabranie Prestona okazało się niezbyt dobrym pomysłem, co wyszło na jaw, gdy tylko wznieśli się ponad dachy zamku.

— Czemu nie powiedziałeś, że boisz się latać?

— Jesteś niesprawiedliwa — odparł Preston. — To przecież mój pierwszy lot.

Kiedy osiągnęli przyzwoitą wysokość, Tiffany sprawdziła pogodę. Nad górami wisiały chmury, od czasu do czasu niebo rozjaśniała letnia błyskawica. W oddali dudnił grom — w górach burza nigdy nie jest daleko. Mgła się uniosła i księżyc wyszedł na niebo; noc była idealna. Dmuchał lekki wietrzyk — Tiffany liczyła na to. A Preston obejmował ją rękami w pasie — nie była pewna, czy na to również liczyła, czy raczej nie.

Po chwili znaleźli się u stóp Kredy, na równinie, i nawet w świetle księżyca widziała ciemne prostokąty tam, gdzie wcześniej wypalono pola. Ludzie zawsze dbali o to, by ogień nie wymknął się spod kontroli. Nikt nie chciał pożaru — trudno wtedy przewidzieć, co się spali.

Dolecieli do ostatniego pola. Zawsze nazywano je Królem. Zwykle gdy płonęło ściernisko na Królu, połowa wsi czekała, by chwytać uciekające przed ogniem króliki. To powinno się odbyć dzisiaj, ale wszyscy byli… no, byli zajęci czymś innym.

Kurniki i chlewy stały trochę wyżej, na szczycie niewielkiego wzniesienia. Mówiono, że właśnie dlatego Król daje taki obfity plon — ponieważ o wiele łatwiej jest mierzwę rozlewać tutaj, niż wieźć ją do dalszych pól.

Wylądowali koło chlewów, przy akompaniamencie jak zwykle straszliwego kwiku prosiąt, które wierzyły, że niezależnie od tego, co się akurat dzieje, świat planuje zamordować je w jakimś lochu.

Pociągnęła nosem. Pachniało świniami; była pewna, absolutnie pewna, że mimo to wyczuje upiora, jeśli i kiedy się pojawi. Świnie, choć brudne, miały jednak naturalny zapach; wobec smrodu ducha pachniały jak fiołki.

Zadrżała. Wiatr dmuchnął mocniej.

— Jesteś pewna, że zdołasz go zabić? — szepnął Preston.

— Myślę, że zdołam doprowadzić do tego, by sam się zabił. Aha, Preston… absolutnie ci zakazuję sobie pomagać.

— Przykro mi — odparł chłopak. — Władza tymczasowa, rozumiesz. Nie możesz mi wydawać rozkazów, panno Obolała, jeśli wolno mi przypomnieć.

— Chcesz powiedzieć, że poczucie obowiązku i posłuszeństwo wobec przełożonych oznaczają, że musisz mi pomóc?

— Zgadza się. To i kilka innych spraw.

— W takim razie naprawdę możesz mi się przydać, Preston. Naprawdę. Myślałam, że załatwię to sama, ale jeśli pomożesz, będzie o wiele łatwiej. Otóż chcę, żebyś zrobił tak…

Była prawie pewna, że duch nie mógłby podsłuchiwać, lecz i tak zniżyła głos. Preston wysłuchał jej słów bez mrugnięcia.

— To brzmi całkiem łatwo — stwierdził. — Możesz polegać na tymczasowej władzy.

— Fuj! Skąd ja się tu wziąłem?!

Coś szarego, lepkiego, mocno pachnącego świniami i piwem usiłowało przeciągnąć się nad ogrodzeniem chlewika. Tiffany wiedziała, że to Roland, ale tylko dlatego, że było bardzo mało prawdopodobne, by aż dwóch panów młodych zostało dzisiaj wrzuconych między świnie. Wyprostował się jak jakiś potwór z bagien, ociekając… no, po prostu ociekając, nie warto chyba wchodzić w szczegóły. Jakieś grudy odpadały od niego z pluskiem.

Czknął.

— Mam wrażenie, że ogromna świnia trafiła do mojej sypialni. Wydaje się też, że zapodziałem gdzieś spodnie — powiedział, otumaniony alkoholem. Rozejrzał się, a zrozumienie nie tyle nadeszło, ile raczej wybuchło w jego głowie. — To chyba nie jest moja sypialnia, prawda? — wymruczał i powoli zsunął się z powrotem do zagrody.

Wtedy wyczuła ducha. Jego odór unosił się nad zapachami chlewa i tkwił tam niczym lis między kurami. A po chwili duch przemówił głosem grozy i zgnilizny:

— Wiem, że tam jesteś, czarownico, i inni także. Nie dbam o nich, ale to ciało, choć niezbyt krzepkie, ma… ma własne plany. Jestem silny. I nadchodzę. Nie możesz ocalić wszystkich. Wątpię, czy twoja piekielna latająca miotła zabierze cztery osoby. Kogo zostawisz? A może wszystkich? Czemu nie porzucić nieznośnej rywalki, chłopaka, który tobą wzgardził, i tego natarczywego młodzika? Och, dobrze wiem, w jaki sposób myślisz, czarownico!

Ja wcale tak nie myślę, pomyślała Tiffany. Pewnie, może i podobał mi się widok Rolanda w chlewie, ale ludzie są nie tylko ludźmi — są ludźmi w różnych okolicznościach.

Lecz nie ty. Ty już nawet nie jesteś człowiekiem.

Obok niej, ze straszliwym chlupaniem i wbrew protestom maciory, Preston wyciągnął Rolanda z chlewa. Obaj naprawdę mieli szczęście, że nie słyszeli tego głosu.

I nagle znieruchomiała. Cztery osoby? Nieznośna rywalka? Przecież oprócz niej byli tu tylko Roland i Preston.

Spojrzała w kierunku drugiego końca pola, na cień zamku w blasku księżyca. Jakaś biała postać biegła szybko w ich stronę.

To musiała być Letitia. Nikt tutaj nie nosił stale takiej powiewnej bieli. Myśli Tiffany zawirowały przez algebry taktyki.

— Preston, ruszaj! Weź miotłę.

Preston kiwnął głową i zasalutował z uśmiechem.

— Zawsze do usług, panienko.

Letitia przybyła w trzepocie sukienki i w kosztownych białych pantofelkach. Stanęła jak wryta, gdy zobaczyła Rolanda — dostatecznie trzeźwego, by próbować zakryć dłońmi to, co Tiffany zawsze już będzie nazywać częściami namiętnymi. W rezultacie rozległo się głośne plaśnięcie, jako że cały był pokryty świńską mierzwą.

— Któryś z jego towarzyszy zdradził mi, że dla zabawy wrzucili go do chlewika! — oznajmiła wzburzona Letitia. — I oni nazywają się jego przyjaciółmi!

— Wydaje mi się, że ich zdaniem po to właśnie są przyjaciele — odparła z roztargnieniem Tiffany.

Myślała przy tym: Czy to się uda? Czy coś przeoczyłam? Czy dobrze rozumiem, co powinnam robić? Czy wiem, do kogo mówię? Wydaje mi się, że czekam na jakiś znak, zwykły znak…

Coś zaszeleściło i Tiffany opuściła wzrok. Zając spojrzał na nią, po czym — bez paniki — zniknął na ściernisku.

— Uznam to za „tak” — powiedziała i poczuła, że ją ogarnia panika. Czy był to znak, czy zwyczajny zając, na tyle doświadczony, by nie uciekać natychmiast, kiedy zobaczy ludzi? Wiedziała jednak, że nie wypada prosić o kolejny znak, by rozstrzygnął wątpliwość, czy ten pierwszy nie był tylko przypadkiem.

Wtedy właśnie, dokładnie w tej chwili, Roland zaczął śpiewać — może z powodu alkoholu, a może dlatego, że Letitia wycierała go pracowicie. Oczy miała mocno zamknięte, aby — jako kobieta niezamężna — nie zobaczyć czegoś niestosownego czy zaskakującego. A piosenka, którą śpiewał Roland, brzmiała:

— „Jak dobrze w letni dzionek iść sobie przez pola, gdy świt złotem zalewa strumyka zakola, gdy złocą się zboża i zielenią się łąki, pod niebem melodyjnie śpiewają skowronki”… — Przerwał. — Mój ojciec często to śpiewał, kiedy spacerowaliśmy po polach — wyjaśnił.

Był na takim etapie, na którym pijani mężczyźni zaczynają płakać, a łzy pozostawiały wąskie jasne linie tam, gdzie zmyły z twarzy brud.

Ale Tiffany myślała: Dzięki. Znak był znakiem. Trzeba wybierać te, które pasują. Stała na rozległym polu, gdzie wypala się ostatnie ścierniska. A zając do ognia bieży. No tak — znaki. Zawsze są bardzo ważne.

— Nie mam zamiaru z wami dyskutować — stwierdziła — ponieważ ty, Rolandzie, jesteś pijany w sztok, a ty, Letitio, jesteś czarownicą… — w tym miejscu Letitia się rozpromieniła — …młodszą ode mnie doświadczeniem, zatem będziecie robić to, co wam powiem. I w ten sposób może wszyscy wrócimy do zamku żywi.

Oboje słuchali uważnie. Roland chwiał się lekko.

— Kiedy krzyknę — mówiła dalej Tiffany — każde z was chwyci mnie za rękę i pobiegnie! Skręcajcie, kiedy ja skręcę, zatrzymajcie się, kiedy ja się zatrzymam, chociaż bardzo wątpię, czy będę chciała się gdzieś zatrzymywać. A przede wszystkim nie bójcie się i ufajcie mi. Jestem prawie pewna tego, co robię. — Tiffany uświadomiła sobie, że nie jest to najlepsze pocieszenie, ale oni chyba nic nie zauważyli. — A kiedy powiem „skaczcie”, macie skoczyć, jakby sam diabeł was gonił, bo tak będzie.

Smród stał się nagle nie do wytrzymania; czysta nienawiść zdawała się atakować mózg Tiffany. Kciuk mnie swędzi, co dowodzi, że jakiś potwór tu nadchodzi, pomyślała, patrząc w mrok. Nos mój smród straszliwy czuje, coś złego się tu pakuje, dodała, by jakoś opanować drżenie. Spojrzała na odległy żywopłot.

I zauważyła kogoś.

O tam… szedł wolno przez pole, ale nabierał szybkości. W jego ruchach była jakaś niezgrabność… Kiedy przejmuje ciało, właściciel tego ciała staje się jego niewolnikiem; nie ma ucieczki, nie ma uwolnienia — tak jej mówiła Eskarina. A nic dobrego, nic zdolnego do odkupienia nie może tak cuchnąć.

Tiffany chwyciła młodą parę za ręce i pociągnęła za sobą. Ten… stwór znalazł się między nimi a zamkiem. I poruszał się wolniej, niż się spodziewała. Zaryzykowała szybkie spojrzenie za siebie i dostrzegła błyski metalu w dłoniach — noże.

— Szybciej!

— Te pantofelki nie nadają się do biegania — poskarżyła się Letitia.

— Głowa mnie boli — jęczał Roland.

Tiffany ciągnęła ich do granicy ścierniska, ignorując narzekania, choć wysokie suche źdźbła drapały łydki i kłuły w stopy. Biegli zaledwie truchtem. Stwór ścigał ich uparcie. Kiedy skręcą, żeby pobiec w stronę zamku, zacznie się zbliżać…

Ale on także miał kłopoty. Tiffany zastanawiała się, do czego można zmusić ciało, jeśli nie czuje się jego bólu, agonii płuc, szaleńczego bicia serca, skrzypienia kości i strasznego cierpienia, które potrafi pchać człowieka do ostatniego tchu i dalej. Pani Proust opowiedziała jej szeptem o tym, co zrobił Macintosh, jakby wypowiedzenie tego na głos mogło zatruć powietrze. Wobec takich czynów jak można zakwalifikować zaduszenie małego ptaszka? A jednak tkwiło ono w myślach jako niewybaczalna zbrodnia.

Nie będzie wybaczenia za uciszone trele. Nie będzie odkupienia za zabicie nadziei w mroku. Znam cię.

Jesteś tym, który szeptał Petty’emu do ucha, zanim pobił swoją córkę.

Jesteś pierwszym akordem kociej muzyki.

To ty patrzysz ponad ramieniem człowieka, który podnosi pierwszy kamień, i chociaż myślę, że jesteś w nas wszystkich i nigdy się ciebie nie pozbędziemy, przynajmniej możemy zmienić twoje życie w piekło.

Nie będzie litości. Nie będzie odkupienia.

Obejrzała się. Jego twarz wydawała się większa. Tiffany zdwoiła wysiłki, by ciągnąć po nierównym gruncie zmęczoną i niechętną parę.

— Spójrzcie na niego! Spójrzcie na to! — zdołała wykrztusić zdyszana. — Chcecie, żeby nas dogoniło?

Usłyszała krótki krzyk Letitii i stęknięcie nagle trzeźwiejącego Rolanda. Macintosh miał oczy przekrwione i szeroko otwarte, jego wargi zastygły w obłąkanym uśmiechu. Próbował wykorzystać skrócony nagle dystans, ale strach dodał obojgu nowych sił i teraz to oni niemal ciągnęli za sobą Tiffany.

Czekał ich bieg w górę przez pole. Wszystko zależało od Prestona. Co dziwne, Tiffany była spokojna. Można mu zaufać, myślała.

Za nimi rozległo się przerażające rzężenie — to upiór zmuszał nosiciela do większego wysiłku. Tiffany wyobrażała sobie, że słyszy świst noży. Kluczowe będzie zgranie czasowe. Ale Prestonowi naprawdę można zaufać. Rozumiał, o co chodzi, prawda? Oczywiście. Na Prestonie mogła polegać.

Później tym, co zapamiętała najlepiej, okazała się cisza, w której słychać było jedynie trzask łamanych łodyg, ciężkie oddechy Letitii i Rolanda oraz okropne dyszenie ich prześladowcy. W umyśle Tiffany ciszę przerwał głos Przebiegłego.

— Zastawiasz na mnie pułapkę! Zakało! Myślisz, że tak łatwo dam się złapać po raz drugi? Małe dziewczynki, które bawią się ogniem, mogą się poparzyć, ale ty spłoniesz. Och, jak będziesz płonąć! I co się wtedy stanie z dumą czarownic? Naczynia niegodziwości! Druhny nieczystości! Brukające wszystko, co święte!

Tiffany starała się nie odwracać wzroku i patrzeć na sam koniec pola. Łzy spływały jej po twarzy. Nie mogła nic poradzić. Nie potrafiła nie dopuszczać do siebie tej nienawiści, która ściekała jak trucizna, przesączała się przez uszy, płynęła pod skórą.

Kolejny świst za plecami sprawił, że cała trójka znalazła w sobie nowe siły, ale Tiffany wiedziała, że długo już nie wytrzymają. Kogo tam widać w mroku? Czy to Preston? Więc kim jest ta ciemna postać obok niego, wyglądająca jak stara czarownica w szpiczastym kapeluszu? Tiffany patrzyła, jak postać rozpływa się w ciemności.

I nagle wybuchnął ogień, rozlał się niczym wschód słońca i zaczął sunąć w stronę uciekinierów. Iskry wzlatywały na niebo niczym nowe gwiazdy. Wiatr powiał mocniej i znowu usłyszała cuchnący głos:

— Będziesz płonąć! Będziesz płonąć!

Podmuch rozniecił płomienie i po chwili ściana ognia pędziła przez ściernisko szybko jak sam wiatr. Tiffany spojrzała pod nogi — zając wrócił i biegł teraz obok nich, na pozór bez żadnego wysiłku. Zerknął na Tiffany, machnął łapkami i pobiegł, pobiegł już na poważnie, pomknął w stronę ognia jak strzała…

— Pędem teraz! — nakazała Tiffany. — Ogień was nie spali, jeśli zrobicie, co powiem! Biegnijcie szybko! Pędź, Rolandzie, żeby ocalić Letitię! Pędź, Letitio, żeby ocalić Rolanda!

Ogień był już przy nich. Potrzebuję siły, pomyślała. Potrzebuję mocy… I przypomniała sobie, co mówiła niania Ogg: Świat się zmienia. Świat płynie. W tym kryje się moc.

Śluby i pogrzeby to czas mocy… Tak, śluby.

Tiffany mocniej ścisnęła obie dłonie. Już ku nim sunęła — trzaskająca, rycząca ściana płomieni…

— Skaczcie! — I natychmiast wrzasnęła: — Skacz, opryszku! Skacz, dziwko stara!

Czuła, jak się wznoszą, gdy dotarł do nich ogień.

Czas się zawahał. Królik przebiegł w dole, w przerażeniu uciekając przed płomieniami. On też będzie uciekał, pomyślała. Będzie uciekał przed ogniem, ale ogień pomknie do niego. A ogień pędzi o wiele szybciej niż konające ciało.

Płynęła w kuli żółtych płomieni. Zając przeleciał obok — istota szczęśliwa w swoim żywiole. Nie jesteśmy tak szybcy jak ty, pomyślała. Trochę nas przypiecze.

Spojrzała w lewo i w prawo, na pannę i pana młodego, którzy jak zahipnotyzowani wpatrywali się przed siebie; przyciągnęła ich bliżej. Zrozumiała.

Poślubię cię, Rolandzie. Mówiłam, że tak będzie.

— Wracaj do piekieł, skąd przybyłeś, Przebiegły! — krzyknęła, przekrzykując trzask płomieni. — Skacz, opryszku! Skacz, dziwko stara! — wrzasnęła znowu. — Od teraz zawsze ślubna z was para!

I to są zaślubiny, pomyślała. Nowy początek. Przez kilka minut na tym świecie tutaj właśnie jest ośrodek mocy. O tak, prawdziwe centrum.

Wylądowali i przekoziołkowali już za ścianą ognia. Tiffany była przygotowana; przydeptywała żar i tłumiła małe płomyki. Preston podbiegł również, chwycił Letitię i wyniósł ją z popiołów. Tiffany objęła Rolanda, który lądował miękko (być może na głowie, pomyślała przelotnie) i poszła za nimi.

— Chyba tylko bardzo drobne oparzenia i trochę przypalonych włosów — oznajmił Preston. — A na twoim byłym chłopaku błoto całkiem się zapiekło. Jak wam się udało?

Tiffany odetchnęła głęboko.

— Zając przeskakuje płomienie tak szybko, że prawie ich nie czuje — odparła. — A kiedy spada, ląduje w gorącym popiele. Przy silnym wietrze ściernisko wypala się szybko.

Za nimi rozległ się wrzask, a ona wyobraziła sobie ociężałą postać bezskutecznie usiłującą prześcignąć pędzone wiatrem, coraz bliższe płomienie. Czuła ból tego stwora, który od wieków pełzł przez świat.

— Zostańcie tu. Nie idźcie za mną. Preston, zaopiekuj się nimi.

Ruszyła przez stygnące popioły. Muszę zobaczyć, myślała. Muszę dać świadectwo. Muszę wiedzieć, co uczyniłam.

Ubranie na trupie tliło się jeszcze. Sprawdziła — nie było pulsu. Był dla ludzi potworem, myślała. Od jego czynów nawet więzienni dozorcy dostawali mdłości. Ale co jemu uczyniono najpierw? Czy był po prostu o wiele gorszą wersją pana Petty? Czy w ogóle miał szansę być dobry? Jak można zmienić przeszłość? Gdzie zaczyna się zło?

Poczuła, że słowa wpełzają jej w umysł niby robaki:

— Morderczyni! Śmieć! Zabójca!

Pomyślała, że powinna przeprosić własne uszy za to, co słyszały. Ale głos ducha był słaby, cienki i płaczliwy; zsuwał się z powrotem w mrok dziejów.

Nie możesz mnie dosięgnąć, myślała. Jesteś wyczerpany. Jesteś już za słaby. Jak trudno jest zmusić człowieka, żeby sam zagonił się na śmierć? Nie możesz się do mnie przedostać; czuję, jak próbujesz.

Sięgnęła w popiół i podniosła grudkę krzemienia, wciąż ciepłą po pożarze. W ziemi pełno leżało tych najostrzejszych kamieni. Był zrodzony w kredzie, tak samo jak Tiffany; jego gładkość była niczym dotyk dłoni przyjaciela.

— Nigdy się nie nauczysz, co? — powiedziała. — Nie zrozumiesz, że inni też potrafią myśleć. Oczywiście, że nie pobiegłbyś do ognia, ale w swej arogancji nie mogłeś pojąć, że ogień pobiegnie za tobą.

Twoja moc to tylko plotki i kłamstwa, myślała. Przebijasz się do ludzi, kiedy są niepewni, słabi, niespokojni i przestraszeni; myślą, że ich wrogiem są inni ludzie, podczas gdy zawsze będziesz nim ty, mistrz kłamstwa. Na zewnątrz wydajesz się straszny, ale wewnątrz jesteś niczym, jedynie słabością.

Ja wewnątrz jestem krzemieniem.

Poczuła ciepło całego pola; skoncentrowała się i ścisnęła kamień. Jak śmiałeś się tutaj pojawić, ty glisto! Jak śmiałeś wedrzeć się do tego, co moje!

Czuła, że krzemień w jej dłoni staje się coraz gorętszy, aż stopił się, spłynął jej między palcami i pociekł na ziemię. Nigdy jeszcze tego nie zrobiła; głęboko zaczerpnęła oczyszczonego przez ogień powietrza.

A jeśli kiedyś wrócisz, Przebiegły, znajdzie się inna czarownica taka jak ja. Zawsze będzie jakaś inna czarownica jak ja, bo zawsze będą takie potwory jak ty — ponieważ to my robimy dla nich miejsce. Ale teraz, na tym krwawiącym skrawku ziemi, ja jestem czarownicą, a ty jesteś niczym. Oko mruga należycie, jakiś potwór traci życie.

Wrzenie w umyśle ucichło i pozostała sama ze swymi myślami.

— Nie ma litości — powiedziała. — Nie ma odkupienia. Zmusiłeś tego człowieka, żeby zabił swojego niewinnego ptaszka, i wydaje mi się, że to była największa zbrodnia.

\* \* \*

Zanim ruszyła z powrotem przez pole, zdołała na nowo stać się Tiffany Obolałą, która umie robić sery i co dzień wykonuje swoje obowiązki, a nie wyciska między palcami roztopione skały.

Szczęśliwa, choć nieco przypalona młoda para zaczynała powoli zwracać uwagę na otoczenie. Letitia usiadła.

— Czuję się ugotowana. Co to za zapach?

— Przykro mi, ale to ty — odparła Tiffany. — I boję się, że ta śliczna koronkowa nocna koszula teraz nadaje się tylko do mycia okien. Niestety, nie skoczyliśmy tak szybko jak zając.

Letitia rozejrzała się wokół.

— Czy Roland… Czy nic mu się nie stało?

— Zdrowy jak wiosenny deszcz — uspokoił ją Preston. — Ta wilgotna świńska mierzwa bardzo mu pomogła.

Letitia zastanowiła się przez chwilę.

— A to… coś?

— Odeszło — zapewniła Tiffany.

— Jesteście pewni, że Rolandowi nic się nie stało? — nie ustępowała Letitia.

Preston wyszczerzył zęby.

— Absolutnie zdrowiuteńki, panienko. Nic ważnego mu się nie spaliło, choć może go trochę boleć, kiedy zdejmiemy tę skorupę. Jest nieco zapieczony, jeśli panienka rozumie, co mam na myśli.

Letitia pokiwała głową i zwróciła się do Tiffany.

— Co powiedziałaś, kiedy skoczyliśmy?

Tiffany nabrała tchu.

— Poślubiłam was.

— Ty… ty nas poślubiłaś? To znaczy udzieliłaś ślubu… nam?

— Tak. Skakanie razem przez ogień to starożytna forma zaślubin. Nie trzeba żadnych kapłanów, co pozwala sporo zaoszczędzić na jedzeniu.

Możliwa młoda żona rozważyła tę kwestię.

— Jesteś pewna?

— No, tak mi powiedziała pani Ogg. I zawsze chciałam spróbować.

To chyba zyskało aprobatę Letitii, gdyż odpowiedziała:

— Pani Ogg jest bardzo uczoną damą, muszę przyznać. Wie zadziwiająco wiele.

Tiffany, starając się utrzymać powagę, odrzekła:

— Zadziwiająco wiele o zadziwiających sprawach.

— O tak. Ehm… — Letitia odchrząknęła niepewnie i do „ehm” dodała jeszcze: — Um…

— Coś się stało? — spytała Tiffany.

— To słowo, którym mnie określiłaś, kiedy skoczyliśmy… Myślę, że to było brzydkie słowo.

Tiffany spodziewała się tego.

— Wiesz, to chyba tradycyjne. — Mówiła z wahaniem, tak jak Letitia. — I nie uważam też Rolanda za opryszka. Oczywiście, znaczenie słów zmienia się z czasem.

— Nie wydaje mi się, żeby tego słowa też.

— No cóż, to zależy od okoliczności i kontekstu. Ale powiem szczerze, Letitio, w sytuacji zagrożenia czarownica wykorzysta każde narzędzie, jakie ma do dyspozycji. Poza tym nasz sposób myślenia o pewnych słowach się zmienia. Na przykład czy znasz znaczenie słowa „hoża”?

Po co prowadzę tę pogawędkę? — zastanawiała się. Wiem. Bo jest jak kotwica, bo przekonuje mnie, że jestem ludzką istotą wśród innych ludzkich istot. Pomaga spłukać grozę z mojej duszy…

— Nie — odparła przyszła panna młoda. — Obawiam się, że w tej dziedzinie mam pewne braki.

— Byłoby to dość nieszczęśliwe kilkaset lat temu, ponieważ ceremonia ślubna za tamtych czasów nakazywała oblubienicy być hożą dla swego małżonka.

— Musiałabym wcisnąć sobie poduszkę pod stan sukni…

— Niekoniecznie. To znaczyło: łagodna, pełna zrozumienia i posłuszna.

— Och, z tym sobie poradzę — stwierdziła Letitia. — Przynajmniej z dwoma pierwszymi — dodała z uśmiechem. — A co właściwie, poza zaślubinami, oczywiście… i wciąż mnie to trochę śmieszy… co przed chwilą zrobiliśmy?

— Cóż… Pomogliście mi wciągnąć w pułapkę jednego z najgorszych potworów, który kalał swą obecnością ten świat.

Nowa oblubienica się rozpromieniła.

— Naprawdę? To dobrze, że się udało. I naprawdę nie wiem, jak możemy ci się odwdzięczyć za pomoc.

— Wiesz, czysta używana pościel i stare buty zawsze się przydadzą — odparła Tiffany z powagą. — Ale nie musisz mi dziękować za to, że jestem czarownicą. Wolałabym, żebyś podziękowała mojemu przyjacielowi Prestonowi. Naraził się dla was na prawdziwe niebezpieczeństwo. My przynajmniej byliśmy razem. On był tu zupełnie sam.

— Jeśli idzie o rzeczywiste fakty — rzekł Preston — nie jest to całkiem ścisłe. Moje zapałki były wilgotne, ale szczęśliwie pan Tępak Wullie i jego koledzy uprzejmie pożyczyli mi swoje. Prosili, by ci przekazać, że wszystko jest w porządku, ponieważ pomagali mnie, nie tobie. I chociaż są tu obecne damy, muszę zaznaczyć, że pomogli mi w szybkim rozpaleniu ognia, machając na płomienie kiltami. Kto raz to zobaczył, nigdy nie zapomni.

— Bardzo chciałabym to widzieć — zapewniła uprzejmie Letitia.

— Nie radzę — powiedziała Tiffany, starając się wypchnąć tę wizję z umysłu. — Lepiej skoncentruj się na tym, że jutro zostaniesz poślubiona Rolandowi przez pastora Egga. A wiesz, co jest najważniejsze w jutrzejszym dniu? To już dzisiaj!

Roland, który trzymał się za głowę i jęczał, zamrugał teraz i zapytał:

— Co jest dzisiaj?



Rozdział 15

CIEŃ I SZEPT

Ogólnie biorąc, był to całkiem dobry ślub. Pastor Egg, świadom sporej liczby obecnych czarownic, utrzymywał religię na poziomie minimalnym. Zarumieniona panna młoda weszła do holu i Tiffany zauważyła, że rumieni się jeszcze bardziej na widok niani Ogg, która znacząco uniosła w górę oba kciuki. Po czym nastąpiło obrzucanie ryżem, a następnie, ma się rozumieć, staranne zamiatanie ryżu, bo szkoda marnować dobre jedzenie.

Były radosne okrzyki, gratulacje oraz — ku zdumieniu niektórych — radosna, rozpromieniona księżna, która gawędziła swobodnie nawet ze służącymi i miała dobre słowo chyba dla każdego. Tylko Tiffany wiedziała, dlaczego od czasu do czasu zerka nerwowo na panią Proust.

Tiffany wymknęła się potem, żeby pomóc Prestonowi na Królu. Preston wykopał tam dół dostatecznie głęboki, by żaden pług nie trafił na zwęglone szczątki, które zebrali i wrzucili do środka. Potem umyli ręce żrącym ługowym mydłem, bo ostrożności nigdy za wiele. Prawdę mówiąc, nie było to szczególnie romantyczne spotkanie.

— Myślisz, że on kiedyś wróci? — zapytał Preston, kiedy oboje oparli się na łopatach.

Tiffany kiwnęła głową.

— A w każdym razie wróci Przebiegły. Trucizna zawsze jest gdzieś przyjmowana.

— A co ty będziesz robić, skoro jego już nie ma?

— Och, wiesz, mam mnóstwo bardzo ekscytujących zajęć. Zawsze gdzieś czeka noga, którą trzeba zabandażować, albo nos do wytarcia. Mnóstwo pracy przez cały dzień.

— Nie brzmi to specjalnie ciekawie.

— Pewnie masz rację. Ale w porównaniu z wczoraj taki dzień wydaje mi się nagle bardzo dobrym dniem.

Szli w stronę holu, gdzie weselne śniadanie podawano teraz jako obiad.

— Okazałeś się bardzo zaradnym młodym człowiekiem — stwierdziła Tiffany, zwracając się do Prestona. — I bardzo ci jestem wdzięczna za pomoc.

Preston z uśmiechem pokiwał głową.

— Dziękuję za miłe słowa, panienko, naprawdę dziękuję, ale chcę zasugerować jedną… jak to nazwać… poprawkę. Masz szesnaście lat, mniej więcej, a ja siedemnaście, więc chyba powinnaś skończyć z tym nazywaniem mnie „młodym człowiekiem”. Owszem, przyznaję się do pogodnego, młodzieńczego usposobienia, ale jestem starszy od ciebie, dziewczyno.

Na chwilę zapadła cisza.

— Skąd wiesz, ile mam lat? — zapytała czujnie Tiffany.

— Popytałem w okolicy — odparł Preston, wciąż z radosnym uśmiechem.

— Po co?

Nie uzyskała odpowiedzi, bo przez główne drzwi holu wyszedł sierżant. Z jego hełmu sypały się kaskady konfetti.

— Ach, tutaj jesteś, Tiff! Baron o ciebie pytał, baronessa też. — Przerwał, by się uśmiechnąć, i dodał: — Miło znowu mieć taką w zamku. — Zauważył Prestona i zmarszczył brwi. — Znowu się wałęsacie, młodszy szeregowy Preston?

Preston zasalutował sprężyście.

— Wysunął pan poprawną hipotezę, sierżancie; pańskie wnioski są absolutnie prawdziwe.

Zyskał tym, jak zwykle w takich sytuacjach, zakłopotane spojrzenie sierżanta. A także niechętne prychnięcie, które oznaczało: Pewnego dnia dojdę do tego, co właściwie mówisz, mój chłopcze, a wtedy będziesz miał się z pyszna.

\* \* \*

Wesela są podobne do pogrzebów w tym, że poza głównymi bohaterami, kiedy wszystko już się kończy, ludzie nigdy nie są pewni, co powinni dalej robić. Dlatego zwykle próbują sprawdzić, czy zostało jeszcze wino. Ale Letitia promieniała, co jest obowiązkiem panny młodej, a nieco przypalone jej włosy zostały elegancko zamaskowane przez błyszczący, roziskrzony diadem. Roland także porządnie się wyszorował i trzeba było stanąć naprawdę blisko, żeby wyczuć świnie.

— Co do wczorajszej nocy… — zaczął nerwowo. — Eee… to się naprawdę zdarzyło, prawda? Wiesz, pamiętam chlewik, a potem wszyscy biegliśmy, ale…

Umilkł.

Tiffany zerknęła na Letitię, która samymi wargami wymówiła bezgłośnie: „Ja pamiętam wszystko”.

Tak, rzeczywiście jest czarownicą, pomyślała Tiffany. Będzie ciekawie.

Roland chrząknął. Tiffany się uśmiechnęła.

— Droga panno Obolała — rzekł i przynajmniej ten jeden raz Tiffany skłonna była mu wybaczyć ton publicznych przemówień. — Zdaję sobie sprawę z faktu, że stałem się narzędziem naruszenia naturalnej sprawiedliwości i pani dobrego imienia.

Odchrząknął znowu, a Tiffany pomyślała: Mam nadzieję, że Letitia zmyje z niego trochę tego krochmalu…

— Pamiętając o tym, zwróciłem się do tego oto młodego Prestona, a on w swoim pogodnym stylu porozmawiał z dziewczętami z kuchni i w rezultacie dowiedział się, gdzie zniknęła pielęgniarka. Zdążyła już wydać trochę pieniędzy, ale większa ich część jest tutaj. Z satysfakcją stwierdzam, że należą do pani.

W tym momencie ktoś szturchnął Tiffany z boku. To był Preston.

— Znaleźli też to — szepnął.

Wsunął jej w dłoń wytartą skórzaną teczkę. Skinęła mu z wdzięcznością i spojrzała na Rolanda.

— Twój ojciec chciał, żeby to trafiło do ciebie — powiedziała. — Może być dla ciebie warte więcej niż wszystkie pieniądze. Ale z otwieraniem zaczekałabym, aż zostanę sama.

Obrócił teczkę w dłoniach.

— Co to jest?

— Wspomnienie — odparła. — Tylko wspomnienie.

Sierżant wystąpił naprzód i na stół, między naczynia i kwiaty, wysypał zawartość ciężkiego skórzanego mieszka. Goście syknęli.

Moje siostry czarownice patrzą na mnie jak jastrzębie, pomyślała Tiffany. Patrzą na mnie praktycznie wszyscy, których znam, i wszyscy, którzy mnie znają. Muszę rozegrać to właściwie. Muszę rozegrać to tak, żeby wszyscy zapamiętali.

— Myślę, panie, że powinieneś zatrzymać te pieniądze. — Roland przyjął to z ulgą, ale Tiffany mówiła dalej. — Mam jednak kilka niewielkich próśb w imieniu innych osób.

Letitia szturchnęła męża pod żebra, a on rozłożył ręce.

— To mój ślub. Jak mógłbym odmówić jakiejkolwiek prośbie?

— Młoda Amber Petty potrzebuje posagu, który jednocześnie pozwoli jej wybrankowi zapłacić za naukę u mistrza rzemiosła. Może nie jesteś świadom, że to on uszył suknię, która teraz zdobi twoją młodą żonę. Czy widziałeś kiedyś coś piękniejszego?

Rozległy się oklaski, a także gwizdy przyjaciół Rolanda, którzy wykrzykiwali: „Ale o co chodzi?! O dziewczynę czy o sukienkę?!”.

Tiffany zaczekała, aż wrzawa ucichnie, i mówiła dalej:

— Co więcej, panie, za twoją zgodą, chciałabym usłyszeć przyrzeczenie, że każdy chłopiec czy dziewczyna z Kredy, zgłaszający się z podobną prośbą, może liczyć na pomoc. Zgodzisz się chyba, że proszę o mniej, niż ci zwracam.

— Przyznam, Tiffany, że tak jest w istocie — odparł Roland. — Ale podejrzewam, że coś jeszcze chowasz w rękawie.

— Jak dobrze mnie znasz, jaśnie panie — rzekła Tiffany i twarz Rolanda pokrył lekki rumieniec. — Chcę szkoły, panie. Tutaj, w Kredzie. Myślę o niej już od dawna, o wiele dłużej, niż potrafię nazwać te plany. W Rodzinnej Farmie jest stara szopa, w tej chwili nieużywana. Sądzę, że w tydzień da się ją przygotować.

— Przecież co kilka miesięcy zaglądają do nas wędrowni nauczyciele — przypomniał baron.

— Tak, jaśnie panie. Wiem o tym, ale oni są bezużyteczni. Uczą faktów, a nie zrozumienia. To jakby tłumaczyć ludziom lasy, pokazując im piłę. Chcę, żeby powstała tu prawdziwa szkoła, gdzie uczą czytać i pisać, a także lepiej myśleć, żeby ludzie mogli odkryć, do czego się nadają. Ponieważ ktoś, kto naprawdę lubi to, co robi, jest cennym nabytkiem dla każdej krainy. I aż nazbyt często ludzie dowiadują się tego za późno.

Tiffany świadomie nie patrzyła na sierżanta, ale jej słowa i tak wzbudziły szemranie w całym holu. Słuchała tego z zadowoleniem.

— Niedawno zdarzały się chwile — podjęła — kiedy naprawdę chciałam zmienić przeszłość. Nie mogę, ale potrafię zmienić teraźniejszość, by warto było ją mieć, kiedy już stanie się przeszłością. Chcę, żeby chłopcy uczyli się o dziewczętach, a dziewczęta o chłopcach. Nauka polega na odkrywaniu, kim kto jest, gdzie jest i na czym stoi, w czym jest dobry i co leży za horyzontem, i w ogóle wszystkiego. Na szukaniu miejsca, gdzie człowiek będzie pasował. Ja znalazłam takie miejsce dla siebie i chciałabym, żeby wszyscy je znaleźli. I czy wolno mi zaproponować Prestona jako pierwszego nauczyciela w tej szkole? On wie praktycznie wszystko, co należy wiedzieć.

Preston skłonił się nisko, zdejmując hełm, czym wzbudził śmiechy.

Tiffany mówiła dalej:

— A nagrodą za rok pracy nauczyciela będzie dość pieniędzy, by mógł zapłacić za kilka liter przed nazwiskiem i zostać doktorem. Czarownica nie zdoła załatwić wszystkiego, więc przyda nam się w okolicy porządny lekarz.

Wzbudziła tym prawdziwy entuzjazm, jaki zwykle wybucha, kiedy ludzie zdają sobie sprawę, że dostaną coś, za co nie muszą płacić. Gdy ucichli, Roland spojrzał na sierżanta.

— Czy myślicie, sierżancie, że poradzicie sobie bez militarnej sprawności Prestona?

Co wywołało kolejne śmiechy. To dobrze, myślała Tiffany. Śmiech pomaga ideom zagnieździć się w głowach.

Sierżant Brian starał się zachować powagę.

— To będzie dla nas cios, sir, ale sądzę, że jakoś sobie poradzimy, sir. Tak, mogę chyba zapewnić, że odejście ze służby młodszego szeregowego Prestona podniesie ogólną sprawność oddziału.

Rozległy się oklaski tych, którzy nie zrozumieli, i śmiechy tych, którym się to udało.

Baron klasnął w ręce.

— No cóż, panno Obolała, wydaje się, że otrzymała pani wszystko, o co prosiła. Prawda?

— Właściwie, panie, jeszcze nie skończyłam. Mam jeszcze jedną prośbę i nie będzie cię to kosztować ani pensa, nie musisz się obawiać. — Tiffany nabrała tchu i spróbowała wyglądać na wyższą. — Chcę, żebyś ludowi znanemu jako Nac Mac Feeglowie oddał łąki powyżej Rodzinnej Farmy, żeby należały do nich wobec prawa i sprawiedliwości. Trzeba stworzyć odpowiedni dokument… nie martw się kosztami, znam ropucha, który zrobi to za garść robaków. W tym dokumencie Nac Mac Feeglowie ze swej strony zobowiążą się, że zagwarantują wszystkim pasterzom i owcom nieskrępowany dostęp do łąk, ale… to ważne… nie wolno tam wnosić żadnego ostrego metalowego narzędzia większego od noża. Nie będzie cię to nic kosztowało, jaśnie panie baronie, ale ty i twoi następcy… a mam nadzieję, że zamierzasz posiadać następców…

Tutaj musiała przerwać z powodu huraganu śmiechu, którego istotnym elementem była niania Ogg. Po chwili podjęła:

— Myślę, panie, że zagwarantujesz sobie przyjaźń, która nigdy nie zgaśnie. Zyskujesz wiele, nic nie tracąc.

Trzeba Rolandowi przyznać, że prawie się nie zastanawiał.

— Będę zaszczycony, mogąc przekazać Nac Mac Feeglom akt nadania ich ziemi, i żałuję… nie, bardzo przepraszam za wszelkie nieporozumienia, jakie pojawiły się między nami. Jak słusznie zauważyłaś, zasłużyli na to według prawa i według sprawiedliwości.

Tiffany zaimponowało to krótkie przemówienie. Język był nieco sztywny, ale baron miał serce we właściwym miejscu, a taka mowa odpowiadała także Feeglom. Wyraźnie zaszemrało wśród belek stropu nad holem. A baron, bardziej teraz wyglądający na prawdziwego barona, mówił dalej:

— Żałuję tylko, że w tej chwili nie mogę powiedzieć im tego osobiście.

W mroku pod stropem rozległ się potężny okrzyk:



\* \* \*

Wiatr był chłodny i srebrzysty. Tiffany otworzyła oczy z okrzykiem Feeglów wciąż jeszcze dzwoniącym jej w uszach. Ale słyszała teraz tylko szelest suchych traw na wietrze. Leżała. Chciała usiąść, lecz bez skutku, a jakiś głos za nią powiedział:

— Nie kręć się, proszę. To i tak jest trudne.

Spróbowała odwrócić głowę.

— Eskarina?

— Tak. Jest tu ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać. Możesz już wstać, zrównoważyłam węzły. Nie zadawaj pytań, bo nie zrozumiesz odpowiedzi. Znowu jesteś w wędrującym teraz. Teraz i znowu, można powiedzieć. Zostawię cię z twoją przyjaciółką. Obawiam się, że nie macie zbyt dużo czasu, dla ustalonej wartości czasu. Ale muszę chronić swojego syna…

— Chcesz powiedzieć, że masz… — zaczęła Tiffany.

I urwała, ponieważ przed nią uformowała się jakaś postać, która stała się czarownicą, klasyczną czarownicą w czarnej sukni, czarnych butach — całkiem ładnych, jak zauważyła Tiffany — i oczywiście szpiczastym kapeluszu. Miała też naszyjnik — na łańcuszku wisiał złoty zając.

Kobieta była stara, ale nie dało się łatwo określić, jak bardzo. Stała wyprostowana dumnie, jak babcia Weatherwax, ale jak niania Ogg zdawała się sugerować, że wieku czy czegokolwiek innego nie traktuje poważnie.

Tiffany jednak skupiła uwagę na naszyjniku. Ludzie noszą biżuterię, żeby coś zademonstrować.

— No dobrze, dobrze — powiedziała. — Mam tylko jedno pytanie. Nie jestem tutaj, żeby cię pochować, prawda?

— Słowo daję, szybka jesteś — pochwaliła ją kobieta. — W jednej chwili stworzyłaś niezwykle ciekawą narrację i natychmiast się domyśliłaś, z kim rozmawiasz. — Roześmiała się. Głos miała młodszy od twarzy. — Nie, Tiffany. Choć twoja sugestia jest interesująco makabryczna, odpowiedź brzmi „nie”. Pamiętam, babcia Weatherwax tłumaczyła mi kiedyś, że jeśli sięgnąć do sedna, to w świecie wszystko polega na opowieściach. A Tiffany Obolałej znakomicie wychodzą zakończenia.

— Wychodzą?

— Tak. Klasyczne zakończenia romantycznej historii to ślub albo spadek, a ty uzyskałaś z każdego po jednym. Brawo.

— Jesteś mną, prawda? — spytała Tiffany. — O to chodziło w tym, że muszę sama sobie pomóc. Tak?

Starsza Tiffany uśmiechnęła się, a młodsza nie mogła nie zauważyć, że tamta ma bardzo ładny uśmiech.

— Szczerze mówiąc, wtrąciłam się tylko trochę i tylko kilka razy. Na przykład dopilnowałam, żeby wiatr wiał dla ciebie naprawdę mocno… chociaż przypominam sobie, że pewna kolonia małych ludków dołączyła do przedsięwzięcia, prowadząc własne, dość szczególne działania. Nigdy nie jestem pewna, czy moja pamięć jest dobra czy zła. Taki jest problem z podróżami w czasie.

— Potrafisz podróżować w czasie?

— Z niewielką pomocą naszej przyjaciółki Eskariny. I tylko jako cień i szept. To podobne do sztuczki z niewidzeniem, którą ja… my… No, w każdym razie musisz przekonać czas, żeby nie zwracał na ciebie uwagi.

— Ale czemu chciałaś ze mną porozmawiać? — spytała Tiffany.

— No więc najbardziej irytująca odpowiedź brzmi tak, że pamiętam tę rozmowę — odparła starsza Tiffany. — Przepraszam, to znowu te podróże w czasie. Ale chyba chciałam ci powiedzieć, że wszystko jakoś się udaje, mniej więcej. Wszystkie elementy trafiają na swoje miejsca. Zrobiłaś pierwszy krok.

— To jest drugi?

— Nie, to jest kolejny pierwszy krok. Każdy krok jest pierwszym krokiem, jeśli prowadzi we właściwym kierunku.

— Poczekaj… Czy ja nie stanę się kiedyś tobą? I czy wtedy będę teraz ze sobą rozmawiać?

— Tak, ale ty, z którą będziesz rozmawiać, nie będzie dokładnie tobą. Przepraszam, lecz muszę mówić o podróżach w czasie językiem, który się do tego nie nadaje. W skrócie, Tiffany, według teorii gumowych strun przez całą resztę czasu stara Tiffany będzie gdzieś rozmawiać z młodą Tiffany, a fascynujące jest to, że za każdym razem będą trochę inne. Kiedy spotkasz swoją młodszą wersję, przekażesz jej to, co uważasz, że powinna wiedzieć.

— Mam pytanie — oświadczyła Tiffany. — I to takie, na które chciałabym poznać odpowiedź.

— No to spiesz się — odparła starsza Tiffany. — To coś z gumową struną, czy czego tam jeszcze używa Eskarina, nie daje nam dużo czasu…

— No więc — zaczęła Tiffany — możesz mi przynajmniej powiedzieć, czy kiedyś…

Starsza Tiffany rozwiała się, wciąż uśmiechnięta w pustkę. Ale Tiffany pochwyciła jedno słowo. Brzmiało jak „słuchaj”.

\* \* \*

A potem znów była w holu, jakby nigdzie się nie przenosiła, ludzie wiwatowali i zdawało się, że wszędzie są Feeglowie. Obok niej stał Preston. Było tak, jakby nagle stopniały lody. Ale zanim odzyskała równowagę, zanim przestała sama siebie pytać, czy to, co właśnie się zdarzyło, zdarzyło się naprawdę, odszukała wzrokiem pozostałe czarownice. Zobaczyła, że dyskutują między sobą jak sędziowie ustalający werdykt.

Kiedy skończyły, ruszyły ku niej, prowadzone przez babcię Weatherwax. Stanęły, skłoniły się i uniosły kapelusze, co w tym fachu jest oznaką najwyższego szacunku.

Babcia przyjrzała się jej surowo.

— Widzę, że sparzyłaś się w rękę.

— Nie zauważyłam… — mruknęła Tiffany. — Mogę cię o coś spytać, babciu? Czy wszystkie byście mnie zabiły?

Zauważyła, jak zmieniają się twarze pozostałych czarownic.

Babcia Weatherwax rozejrzała się i zastanowiła.

— Powiedzmy, moja droga, że bardzo byśmy się starały, by do tego nie doszło. Ale ogólnie, uważamy, że zachowałaś się dzisiaj jak prawdziwa kobieta. Miejsce, gdzie szukamy czarownicy, znajduje się w samym centrum. No więc rozglądamy się tutaj i widzimy, że jesteś tak centralna, aż całe gospodarstwo obraca się wokół ciebie. Jesteś jednak panią samej siebie i jeśli nie zaczniesz kogoś szkolić, będzie to prawdziwą stratą. Zostawiamy to gospodarstwo w najlepszych rękach.

Czarownice zaklaskały i kilkoro gości przyłączyło się do nich, choć nie całkiem rozumieli, co oznaczały te zdania. Pojęli jednak, że były to w większości starsze, doświadczone, ważne i groźne czarownice, i składały wyrazy szacunku Tiffany Obolałej, komuś miejscowemu, tutejszej czarownicy. Czyli była ona bardzo ważną, a zatem i Kreda musi być bardzo ważnym miejscem. Oczywiście, wiedzieli o tym od zawsze, ale miło jest uzyskać potwierdzenie. Prostowali się więc nieco i czuli się dumni.

Pani Proust ponownie zdjęła kapelusz.

— Panno Obolała, proszę się nie wahać przed powrotem do miasta. Myślę, że mogę obiecać trzydzieści procent zniżki na wszystkie towary boffo, z wyjątkiem materiałów eksploatacyjnych oraz produktów łatwo się psujących. To oferta nie do pogardzenia.

Czarownice raz jeszcze zgodnie uchyliły kapeluszy i odeszły, znikając wśród gości.

— Potrafisz wszystko, co trzeba, by organizować ludziom życie zamiast nich — odezwał się Preston za jej plecami. Kiedy odwróciła się gwałtownie, odstąpił ze śmiechem. — Ale w dobrym znaczeniu — zapewnił. — Jesteś czarownicą, Tiffany! Jesteś czarownicą!

Ktoś wzniósł toast, było więcej jedzenia, więcej tańca, śmiechy, przyjaźnie, zmęczenie… O północy Tiffany Obolała leżała na miotle wysoko ponad kredowymi wzgórzami. Patrzyła w górę na wszechświat, a potem w dół, na ten jego fragment, który należał do niej. Naprawdę była czarownicą i unosiła się wysoko nad wszystkim, jednak — trzeba zaznaczyć — z mocno zapiętym skórzanym pasem bezpieczeństwa.

Miotła unosiła się i opadała łagodnie w ciepłym wietrze. W ciemności Tiffany wyciągnęła ręce i przez jedną chwilę, nim obrócił się świat, była odziana w północ.

Nie zniżała lotu, dopóki świt nie obrysował horyzontu światłem. Zbudziły ją śpiewy ptaków. Z całej Kredy wzlatywały skowronki, jak to robiły każdego ranka w symfonii płynnego dźwięku. I rzeczywiście śpiewały melodyjnie. Przefruwały obok miotły, nie zwracając na nią uwagi, a Tiffany słuchała oczarowana, póki ostatni z ptaków nie zniknął na jasnym niebie.

Wylądowała, przygotowała śniadanie dla pewnej przykutej do łóżka starszej pani, nakarmiła jej kota i poszła sprawdzić, jak się zrasta złamana noga Banała Boxera[[29]](#footnote-29). W połowie drogi zatrzymał ją sąsiad starej panny Swivel, która nagle, w ciągu jednej nocy, straciła zdolność chodzenia. Na szczęście Tiffany szybko odkryła, że panna Swivel pechowo wsunęła obie nogi do jednej nogawki reform.

Potem poszła do zamku, by sprawdzić, co jeszcze wymaga dopilnowania.

Była przecież czarownicą.



Epilog

PÓŁNOC ZA DNIA

Znowu nadszedł dzień szorowania i jarmark, i ta sama hałaśliwa katarynka, nurkowanie po żaby, wróżby, śmiech i kieszonkowcy (ale nie z kieszeni czarownicy). W tym roku, za powszechną zgodą, zrezygnowano z konkursu toczenia serów. Tiffany spacerowała wszędzie, skinieniem witała ludzi, których znała — to znaczy wszystkich — i ogólnie rozkoszowała się słońcem. Czy już minął rok? Tyle się wydarzyło, a wszystko mieszało się ze sobą niczym odgłosy jarmarku.

— Dzień dobry, panienko.

To była Amber i jej chłopak… jej mąż.

— Ledwie cię rozpoznałam, panienko — oświadczyła wesoło Amber. — Znaczy bez tego szpiczastego kapelusza, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

— Pomyślałam, że dzisiaj będę tylko Tiffany Obolałą — wyjaśniła Tiffany. — W końcu mamy święto.

— Ale nadal jesteś czarownicą?

— O tak, nadal jestem czarownicą, ale już niekoniecznie kapeluszem.

Mąż Amber wybuchnął śmiechem.

— Znam to uczucie, panienko. Czasami mógłbym przysiąc, że ludzie biorą mnie tylko za parę rąk.

Tiffany zmierzyła go wzrokiem. Poznali się, oczywiście, kiedy poślubiła go Amber, i zrobił na niej dobre wrażenie; był solidnym chłopcem o umyśle ostrym jak jego igły. Miał szansę zajść wysoko i zabrać ze sobą Amber. A kiedy Amber zakończy swoją naukę u keldy, kto wie, jak wysoko pociągnie jego?

Tymczasem wisiała na jego ramieniu, jakby było konarem dębu.

— Mój William ma prezent dla panienki — oznajmiła. — No dalej, Williamie, pokaż jej.

Młody człowiek wręczył Tiffany pakiet, który niósł pod pachą, i odkaszlnął.

— Nie wiem, czy panienka śledzi modę, ale w wielkim mieście robią teraz przepiękne tkaniny, więc kiedy Amber wpadła na ten pomysł, pomyślałem właśnie o nich. Materiał jednak musiał być łatwy do prania. Uznałem, że przyda się może rozcięcie do lotów na miotle, i bufiaste rękawy, ostatni krzyk w tym sezonie, ale z wąskimi mankietami na guziczki, żeby nie przeszkadzały. No i wewnętrzne kieszenie tak wycięte, żeby były prawie niewidoczne. Mam nadzieję, że będzie pasować, panienko. Na ogół dobrze mi wychodzi mierzenie bez taśmy, to wrodzony dar.

Amber podskakiwała u jego boku.

— Przymierz, panienko! No, dalej! Przymierz!

— Jak to? Przy tych wszystkich ludziach? — spytała Tiffany, zakłopotana i zaintrygowana równocześnie.

Amber nie dała się zbić z tropu.

— Tam stoi namiot dla matek z dziećmi, panienko! Nie ma tam żadnych mężczyzn, bez obawy! Boją się, że będą musieli nosić jakieś niemowlaki!

Tiffany skapitulowała. Pakiet z dotyku wydawał się elegancki i miękki jak rękawiczka. Matki i dzieci patrzyły, jak wsuwa się do sukni; usłyszała pełne zazdrości westchnienia przerywane stęknięciami niemowlaków.

Amber entuzjastycznie przecisnęła się pod klapą i stanęła jak wryta.

— Och, panienko, jak świetnie panienka wygląda! Och, panienko! Gdyby panienka mogła sama siebie zobaczyć! Chodźmy, musi się panienka pokazać Williamowi, będzie chodził dumny jak król! Och, panienko!

Nie dało się Amber rozczarować. Po prostu się nie dało. To byłoby jak… no, jakby kopnąć szczeniaka.

Bez kapelusza Tiffany czuła się inaczej. Może lżej.

William szeroko otworzył oczy.

— Chciałbym, żeby zobaczył to mój mistrz, bo jesteś prawdziwym majstersztykiem, panno Obolała. Szkoda, że nie może panienka siebie obejrzeć… Panienko?

Tylko na jedną chwilę, bo ludzie nie powinni niczego podejrzewać, Tiffany stanęła obok siebie i patrzyła, jak kręci się w nowej sukience, czarnej niczym kot pełen miedziaków. I myślała: W północ się odzieję i będę wyglądać świetnie…

Wróciła pospiesznie do swego ciała i nieśmiało podziękowała młodemu krawcowi.

— Jest przepiękna, Williamie, i chętnie polecę, żeby pokazać się twojemu mistrzowi. Mankiety są cudowne!

Amber znowu podskakiwała.

— Spieszmy się lepiej, jeśli chcemy zobaczyć przeciąganie liny, panienko! Startują Feeglowie przeciwko ludziom! Będzie zabawnie!

Rzeczywiście, słyszała już krzyki rozgrzewających się Feeglów. Dokonali pewnych poprawek w swoim tradycyjnym zawołaniu:

— Ni ma króla! Ni ma królowej! Ni ma włodcy! Jeden barrron, ino psy wspólnie uzgodnionym kontrrrakcie, wicie!

— Idźcie przodem — poprosiła Tiffany. — Czekam na kogoś.

Amber zatrzymała się na chwilę.

— Nie czekaj za długo, panienko, nie czekaj za długo!

Tiffany szła powoli w tej cudownej sukni i myślała, czy odważy się nosić ją na co dzień, bo… czyjeś dłonie przesunęły się koło jej uszu i zasłoniły oczy.

Głos z tyłu zapytał:

— Bukiecik dla pięknej damy? Nigdy nie wiadomo, może ci pomóc znaleźć ukochanego.

Odwróciła się.

— Preston!

Rozmawiali, oddalając się wolno od gwaru. Tiffany słuchała opowieści o zdolnym młodym chłopcu, którego Preston wyszkolił, by zastąpił go jako nauczyciel; o egzaminach lekarskich i o Darmowym Szpitalu Lady Sybil, który — to było najważniejsze — przyjął właśnie nowego ucznia, to znaczy Prestona. Uznano, że może mieć talent do chirurgii — może dlatego, że potrafił gadać jak najęty, aż ręce odpadały.

— Nie sądzę, żebym miał dużo wolnego — mówił. — Uczniowie nigdy nie mają; co noc będę musiał spać pod autoklawem i pilnować wszystkich pił i skalpeli, ale wszystkie kości będę znał na pamięć!

— Przecież miotłą to nie tak daleko — zauważyła Tiffany.

Wyraz twarzy Prestona zmienił się nagle; młody człowiek sięgnął do kieszeni i wyjął coś owiniętego w bibułkę. Wręczył jej to bez słowa.

Tiffany odwinęła prezent, wiedząc — wiedząc bez żadnych wątpliwości — że będzie to złoty zając. Nie istniała żadna inna możliwość. Próbowała znaleźć jakieś słowa, ale to Preston zawsze miał ich dostateczny zapas.

— Panno Tiffany czarownico… — powiedział. — Czy zechce mi pani zdradzić, jaki jest odgłos miłości?

Krzyki przeciągających linę ucichły nagle. Ptaki przestały śpiewać. Koniki polne w trawie przestały pocierać nóżkami o siebie i popatrzyły w górę. Ziemia poruszyła się lekko, kiedy nawet kredowy olbrzym (być może) zaczął nasłuchiwać. Cisza rozlewała się po świecie, aż został tylko Preston, który był zawsze.

A Tiffany odpowiedziała:

— Słuchaj.



SŁOWNIK FEEGLÓW

zredagowany dla osób delikatnej natury

(Praca realizowana przez pannę Perspikację Tyk)

Badoń: osoba niesympatyczna.

Bida: ogólny okrzyk rozpaczy.

Chłystek: osoba ogólnie niesympatyczna.

Chodek: wygódka.

Grubeszychy: istoty ludzkie.

Blektaki: bzdury, nonsens.

Bomiewezno: wyraz irytacji, desperacji (jak w: „Bomiewezno, jak nie dostanę herbaty”).

Borok: ktoś słaby.

Dugoń: coś dziwnego, niesamowitego. Czasami, z jakichś powodów, oznacza także coś podłużnego.

Feszt: zmartwiony, zaniepokojony.

Gamoń: osoba bezużyteczna.

Gonagiel: bard klanu, ma talent muzyczny, tworzy poematy, opowieści i pieśni.

Kelda: żeńska głowa klanu, w końcu także matka większości jego członków. Noworodki Feeglów są bardzo małe, a kelda może ich w życiu urodzić setki.

Łochfiara: patrz „Gamoń”.

Łocy: oczy.

Łojzicku: ogólny okrzyk, który może oznaczać wszystko, od „Ojej” do „Właśnie straciłem cierpliwość i zbliżają się poważne kłopoty”.

Łowiecki: wełniste stwory, które jedzą trawę i mówią „meee!”. Nie mylić z myśliwskim.

Misio: bardzo ważne zobowiązanie wynikające z tradycji lub magii. Nie małe zwierzę.

Parówa: spotykana jedynie w wielkich kopcach Feeglów w górach, gdzie jest dość wody, by pozwolić na regularne kąpiele. Jest to pewna odmiana sauny. Feeglowie z Kredy polegają raczej na tym, że na skórze można zgromadzić warstwę brudu tylko określonej grubości; potem sam zaczyna odpadać.

Paskud: osoba naprawdę niesympatyczna.

Popsedni Świat: Feeglowie wierzą, że są martwi. Ten świat jest taki przyjemny, przekonują, że za życia musieli być naprawdę bardzo dobrzy, a potem umarli i trafili tutaj. Pozorna śmierć tutaj oznacza jedynie powrót do Poprzedniego Świata, który — jak uważają — jest dosyć nudny.

Scyga: stara kobieta.

Specjalna Maść na Owce: przykro mi to mówić, ale chodzi prawdopodobnie o pędzoną gospodarskim sposobem whisky. Nikt nie wie, jak działa na owce, ale podobno kropelka dobrze robi pasterzom w długie zimowe noce, a Feeglom w dowolnej porze roku. Nie próbujcie tego w domu.

Spog: skórzany mieszek noszony z przodu u pasa. Feegle trzyma tam swoje kosztowności, a także niedojedzoną żywność, ciekawe owady, przydatne gałązki, szczęśliwe kamyki i tak dalej. Nie jest rozsądne grzebanie ręką w spogu.

Syćko: wszystko.

Tajułki: sekrety.

Tocyć swojom kłode: przyjmować to, co nam los zgotuje.

Wiedźma: czarownica w dowolnym wieku.

Wiedźma wiedźm: bardzo ważna czarownica.

Wiedźmienie, wiedźmowanie: wszystko, co robi czarownica.

Wielki Gość: wódz klanu (zwykle mąż keldy).

Wkunzony: jak mnie zapewniono, oznacza to „zmęczony”.

Zafajdoć gatki: ehm, delikatnie ujmując… być bardzo, ale to bardzo przerażonym. Jak to bywa.

Od autora

Moja praca polega na tym, żeby wymyślać pewne historie, a najlepsza metoda wymyślania to przetwarzanie ich na podstawie tego, co zdarzyło się naprawdę…

Gdy byłem małym chłopcem, tuż po ostatnim zlodowaceniu, mieszkaliśmy w domku, który Tiffany Obolała poznałaby z łatwością. Mieliśmy tylko zimną wodę, żadnej elektryczności i kąpaliśmy się raz w tygodniu, gdyż trzeba było wnieść do domu balię, zawieszoną na gwoździu na zewnętrznej ścianie kuchni. Napełnienie jej trwało długo, bo mama miała do dyspozycji tylko jeden kociołek. Potem ja, najmłodszy, kąpałem się pierwszy, następnie mama i tata, a na końcu pies, jeśli tata uznał, że już trochę śmierdzi.

We wsi żyli starzy ludzie, urodzeni jeszcze w okresie jurajskim, i dla mnie wszyscy wyglądali tak samo: nosili kaszkiety i bardzo poważne spodnie podtrzymywane przez bardzo grube skórzane pasy. Jednym z nich był pan Allen. Nie lubił pić wody z kranu, ponieważ, jak twierdził, nie ma smaku ani zapachu. Pił więc wodę z dachu własnego domu, ściekającą do beczki na deszczówkę.

Przypuszczalnie pił nie tylko deszczówkę, gdyż miał nos, który wyglądał jak dwie zderzone ze sobą truskawki[[30]](#footnote-30).

Pan Allen często siedział na starym kuchennym krześle na słońcu przed swoim domkiem i patrzył, jak przepływa przed nim świat. My, dzieciaki, obserwowaliśmy jego nos, na wypadek gdyby jednak wybuchł. Pewnego dnia rozmawiałem z nim i zupełnie nagle powiedział:

— Widziałeś, jak wypalają ścierniska, chłopcze?

Oczywiście, że widziałem. Nie w pobliżu naszego domu, ale kiedyś jechaliśmy na wakacje nad morze; czasami dym z płonących ściernisk jest tak gęsty, że wygląda jak mgła. Ściernisko jest tym, co pozostaje z pola po zebraniu plonu. Wypalanie podobno pomagało w pozbyciu się szkodników i chorób, ale w czasie tego procesu paliło się wiele małych ptaków i zwierząt. Właśnie z tego powodu praktyka ta już dawno została zakazana.

Pewnego dnia, kiedy naszą ulicą przejechał wóz ze zbożem, pan Allen zapytał mnie:

— A widziałeś kiedy zająca, chłopcze?

— Oczywiście — odpowiedziałem.

(Jeżeli nie widzieliście zająca, to wyobraźcie sobie królika skrzyżowanego z chartem, który potrafi wspaniale skakać).

Pan Allen powiedział na to:

— Zając nie boi się ognia. Obserwuje go, a potem przeskakuje i ląduje bezpiecznie po drugiej stronie.

Miałem wtedy sześć lub siedem lat, ale zapamiętałem to, gdyż pan Allen wkrótce potem umarł. A kiedy byłem już o wiele starszy, znalazłem w antykwariacie książkę „Skaczący zając” napisaną przez George’a Ewarta Evansa i Davida Thomsona. Dowiedziałem się z niej faktów, których nie ośmieliłbym się wymyślać.

Pan Evans, który zmarł w 1988, podczas swego długiego życia rozmawiał z ludźmi pracującymi na polach, i to nie w kabinie traktora, ale z końmi. Widzieli wokół siebie dziką naturę. Podejrzewam, że koloryzowali trochę te historie, które mu opowiadali, ale wszystko lepiej wygląda, jak się doda odrobinę koloru. Ja też nie wahałem się dodać koloru do legendy o zającu. Nie jest to zatem czysta prawda, ale jest tym, czym prawda być powinna.

Tę książkę dedykuję panu Evansowi, cudownemu człowiekowi, bo wielu z nas pozwolił odkryć głębiny historii, nad którymi zwykle się nie zastanawiamy. To ważne, byśmy wiedzieli, skąd przychodzimy, ponieważ jeśli nie wiemy, skąd przychodzimy, to nie wiemy, gdzie jesteśmy, a jeśli nie wiemy, gdzie jesteśmy, to nie wiemy, dokąd zmierzamy. A jeśli ktoś nie wie, dokąd zmierza, to prawdopodobnie zmierza w złym kierunku.

Wiltshire, 27 maja 2010

Terry Pratchett

1. Robi się to z zawiązanymi oczami. [↑](#footnote-ref-1)
2. Jako czarownica Tiffany znała ich naprawdę dobrze. [↑](#footnote-ref-2)
3. Później Tiffany zrozumiała, że prawdopodobnie wszystkie czarownice przelatywały nad olbrzymem, ponieważ trudno go przeoczyć komuś, kto leci od gór do wielkiego miasta. Na pewno wystawał, tak jakby… Ale niania Ogg niewątpliwie by zawróciła, by przyjrzeć mu się jeszcze raz. [↑](#footnote-ref-3)
4. To jasne, myślała Tiffany, że przy skakaniu przez ognisko człowiek powinien pamiętać, by mieć odzież ochronną i przygotowanych ludzi z wiadrami wody, na wszelki wypadek. Niezależnie od tego, jakie są czarownice, głównie i przede wszystkim są praktyczne. [↑](#footnote-ref-4)
5. Niewykluczone, iż romantycznym ambicjom Petulii dopomógł fakt, że świnie młodego człowieka z tajemniczych przyczyn chorowały bezustannie i wymagały leczenia na szory, ślepowzdęcia, mosiężny kark, pływanie zębów, skrobiące oko, paskud, bystrzaki, skręcenie śrubne, wykręty czy zanik kolan. Było to straszne nieszczęście, jako że ponad połowa tych dolegliwości nigdy nie przydarza się świniom, a jedna jest chorobą nękającą wyłącznie ryby słodkowodne. Sąsiedzi byli poruszeni tym, ile pracy wkłada Petulia, by ulżyć biednym zwierzętom. Jej miotła lądowała na świńskiej farmie praktycznie o każdej porze dnia i nocy. No cóż, praca czarownicy wymaga czasem poświęceń. [↑](#footnote-ref-5)
6. Pierwsze Wejrzenie oznacza, że człowiek widzi to, co jest naprawdę; Drugie Myśli to myślenie o tym, co się myśli. W wypadku Tiffany działały też czasem Trzecie Myśli i Czwarte, choć nad tymi trudno było zapanować i czasami skutkowały tym, że próbowała przejść przez zamknięte drzwi. [↑](#footnote-ref-6)
7. Zapominajki to ładne, czerwone i białe kwiatki, zwykle wręczane przez młode panienki, by przekazać młodzieńcom, że nie chcą ich więcej widywać, a przynajmniej dopóki nie nauczą się porządnie myć i nie znajdą jakiejś pracy. [↑](#footnote-ref-7)
8. Jeśli ktoś jeszcze nie wie, kim są Nac Mac Feeglowie, to 1) niech będzie wdzięczny za spokojne życie i 2) niech będzie gotów do ucieczki, jeśli usłyszy, że ktoś sięgający mu wzrostem mniej więcej do kostek krzyczy „Łojzicku!”. Formalnie Nac Mac Feeglowie są jedną z odmian elfów, ale lepiej im tego nie przypominać, jeśli ktoś liczy na przyszłość, w której ma jeszcze wszystkie zęby. [↑](#footnote-ref-8)
9. Dawni wytwórcy tkanin używali uryny jako utrwalacza barwników, żeby wełna nie farbowała. W rezultacie leciutki zapach moczu mógł się utrzymywać przez lata. Nawet panna Tyk nie potrafiłaby wytłumaczyć tego lepiej i równie delikatnie, choć prawdopodobnie użyłaby raczej określenia „wydalone płyny ustrojowe”. [↑](#footnote-ref-9)
10. Ziemia i sól to dawna tradycja. Służą do tego, by nie dopuszczać duchów. Tiffany nigdy nie widziała ducha, więc prawdopodobnie były skuteczne, a w każdym razie działały na umysły ludzi, którzy lepiej się czuli, wiedząc, że ziemia i sól są na miejscu. Kiedy już człowiek to pojął, o wiele lepiej rozumiał magię. [↑](#footnote-ref-10)
11. Ropuch nie miał innego imienia niż Ropuch. Dołączył do klanu Feeglów kilka lat wcześniej i odkrył, że życie w kopcu bardziej mu odpowiada niż dawna kariera prawnika, czy też, ściślej mówiąc, prawnika, który był trochę za sprytny w obecności wróżki chrzestnej. Kelda kilka razy proponowała mu, że przemieni go znowu w człowieka, ale zawsze odmawiał. Sami Feeglowie uważali go za mózg zespołu, ponieważ znał słowa dłuższe niż on sam. [↑](#footnote-ref-11)
12. Z punktu widzenia Tiffany słowo to oznaczało kogoś o parę lat młodszego od niej. [↑](#footnote-ref-12)
13. Patrz: słownik Feeglów na końcu książki. [↑](#footnote-ref-13)
14. Zatrzymała dla siebie myśl, że najlepiej radzą sobie ze znajdowaniem rzeczy należących do innych. Ale prawdą jest, że Feeglowie potrafią tropić jak psy, nie tylko pić jak ryby. [↑](#footnote-ref-14)
15. Tiffany zyskała uznanie innych czarownic, przekonując Feeglów, by wykonywali prace domowe. Jednak faktem było, że Feeglowie wykonaliby każdą pracę, pod warunkiem że będzie hałaśliwa, chaotyczna, rzucająca się w oczy i — jeśli to możliwe — obejmująca krzyki. [↑](#footnote-ref-15)
16. Uwaga autora: nie wszystkie kociołki są z metalu. Możecie zagotować wodę w kociołku skórzanym, jeśli tylko wiecie, co robicie. Możecie nawet zaparzyć herbatę w papierowej torbie, o ile jesteście ostrożni i wiecie, jak się zabrać do rzeczy. Ale proszę, lepiej nie próbujcie, a jeśli jednak spróbujecie, nie mówcie nikomu, że to ja wam powiedziałem. [↑](#footnote-ref-16)
17. Jeannie, jako kelda nowoczesna, zachęcała swoich synów i braci do nauki czytania i pisania. Idąc za przykładem Roba Rozbója, odkryli, że warto poświęcić na to trochę czasu, ponieważ teraz mogli przeczytać etykiety na butelkach, zanim wypili zawartość. Nie robiło im to specjalnej różnicy, ponieważ Feeglowie prawdopodobnie i tak wypiliby wszystko, co nie miało na etykiecie czaszki i skrzyżowanych piszczeli — a nawet wtedy musiałaby to być bardzo przerażająca czaszka. [↑](#footnote-ref-17)
18. Większość ludzi, która gotuje w kociołku, używa go jak bojlera, z niedużymi rondelkami z wodą wokół krawędzi. Wykorzystują one ciepło z głównego naczynia, do którego można włożyć obciążoną wieprzową nogę albo parę klusek w worku. W ten sposób obfity posiłek dla kilku osób można ugotować całkiem tanio i za jednym zamachem, nie wyłączając deseru. Oczywiście oznacza to, że żołądek musi pochłonąć sporą ilość gotowanego jedzenia, ale nie ma sobie co żałować, to zdrowe. [↑](#footnote-ref-18)
19. W rzeczywistości świat jest według Nac Mac Feeglów miejscem tak cudownym, że aby się do niego dostać, musieli być bardzo dobrzy we wcześniejszym istnieniu i trafili tutaj jak do nieba. Oczywiście, czasami umierali i tutaj, ale woleli o tym myśleć jak o przejściu do ponownych narodzin. Liczni teologowie dowodzili, że to bardzo niemądre wierzenie, jednak z pewnością przyjemniejsze od wielu innych. [↑](#footnote-ref-19)
20. Czarownica buduje mobil z czegokolwiek, co akurat ma w kieszeni, ale jeśli zależy jej na pozorach, dba o to, co „przypadkiem” do tej kieszeni trafia. Nie ma to znaczenia dla działania mobilu, lecz jakiś tajemniczy orzech albo ciekawy kawałek drewna, skrawek koronki i srebrna spinka sugerują czarownicę bardziej elegancką niż, powiedzmy, urwana sznurówka, strzęp papierowej torby, pół garści rozmaitych nieokreślonych paprochów i chusteczka używana już tyle razy, że trzeba ją składać oburącz. Tiffany zwykle przeznaczała jedną kieszeń właśnie na składniki mobilu, ale jeśli panna Smith postępowała w ten sam sposób, to miała kieszenie większe niż szafa — jej mobil sięgał sufitu. [↑](#footnote-ref-20)
21. Końska czaszka zawsze wygląda przerażająco, nawet jeśli ktoś pomalował ją szminką. [↑](#footnote-ref-21)
22. Istnieją liczne legendy dotyczące konnych posągów, zwłaszcza takich z jeźdźcem. Podobno pewne informacje zakodowane są w liczbie i położeniu końskich kopyt: jeśli jedno kopyto znajduje się w powietrzu, to jeździec został ranny w bitwie; dwie nogi w powietrzu oznaczają jeźdźca poległego w bitwie; trzy nogi w powietrzu mówią, że jeździec zabłądził w drodze do bitwy, natomiast cztery nogi w powietrzu dowodzą, że rzeźbiarz był naprawdę bardzo sprytny. Pięć nóg w powietrzu oznacza, że prawdopodobnie co najmniej jeden koń stoi za koniem, na którego patrzymy. Natomiast jeździec leżący na ziemi, a koń na nim, mając w powietrzu wszystkie cztery nogi, to znak, że jeździec albo był bardzo niekompetentny, albo miał bardzo narowistego konia. [↑](#footnote-ref-22)
23. Patrz: słownik Feeglów na końcu książki. [↑](#footnote-ref-23)
24. Trzeba zaznaczyć, że spodnie z kolczugi zawsze są pełne dziur, ale nie powinny być pełne dziur średnicy siedmiu cali. [↑](#footnote-ref-24)
25. Czarownice pilnują, żeby ich dłonie były idealnie czyste. Reszta czarownicy musi czekać na wolną chwilę w wypełnionym rozkładzie zajęć lub na ulewną burzę. [↑](#footnote-ref-25)
26. W Kredzie nie było tradycji świątobliwych mężów, ale ponieważ wzgórza leżały pomiędzy miastami a górami, więc na ogół, zwłaszcza przy dobrej pogodzie, ciągnęła tędy nieprzerwana procesja takich czy innych kapłanów, którzy za porządny posiłek lub posłanie na noc głosili jakąś dobrą nowinę i solidnie szorowali ludzkie dusze. Jeśli tylko byli dość przyzwoici, ludzie zbytnio się nie przejmowali, kim był ich bóg, o ile on (czasami ona, a niekiedy to) pilnował, by słońce i księżyc kręciły się jak należy, i nie żądał niczego nowego lub śmiesznego. Pomagało też, jeżeli kaznodzieja znał się trochę na owcach. [↑](#footnote-ref-26)
27. Ale nie dzięki osobistym doświadczeniom. [↑](#footnote-ref-27)
28. Kiedy Tiffany podarowała ją starej czarownicy, Ty była smutnym białym kociakiem. Teraz stała się królową, jeszcze bardziej snobistyczną od księżnej. Musiała rozpoznać Tiffany, gdyż zniżyła się do mrugnięcia w jej stronę, po czym ze znudzeniem odwróciła głowę. W chatce babci Weatherwax nie było już żadnych myszy. Ty patrzyła na nie tak, że pojmowały, jak bardzo są bezwartościowe, i wynosiły się dyskretnie. [↑](#footnote-ref-28)
29. Pani i pan Boxer byli odrobinę zbyt dobrze wykształceni i uznali, że „banał” to odpowiednie imię dla trzeciego dziecka. [↑](#footnote-ref-29)
30. Tato powiedział, że nazywa się to pijackim nosem. Chyba się mylił. Taka dolegliwość, jak mi mówiono, to odmiana trądziku występującego u osób dorosłych (nazywa się rhinophyma, ale podejrzewam, że to już zbyt dużo informacji). [↑](#footnote-ref-30)